

Skąpana w rzymskim słońcu opowieść o tym,
jak rodzi się radość i przyjaźń...
a może i miłość.

Księżyc *nad* Rzymem

Magdalena Giedrojć

Prószyński i S-ka

Magdalena Giedrojć

Księżyc
nad
Rzymem

Prószyński i S-ka

Copyright © Magdalena Giedrojć, 2017

Projekt okładki
Sylwia Turlejska
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© lassedesignen/Fotolia.com; Konstantyn/Fotolia.com;
gudrun/Fotolia.com; Rawf8/Fotolia.com

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Joanna Ziolo

Korekta
Maciej Korbański
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8123-437-5

Warszawa 2017
Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl



Zapomniała już, jakie to przyjemne uczucie tak iść wśród obcych ludzi i czuć ich życzliwość. Nikomu tu nie zależało na jej szczęściu, ale wszyscy chcieli, żeby była zadowolona. Dbali o jej uśmiech, zapewniali o swojej sympatii, dzielili się swoją radością i pasją. Wystarczyło kilka dni, by zaczęli ją kojarzyć. Ułatwiała im to swoimi blond włosami i dziwnym akcentem. Rzucała się w oczy, gdy robiąc zakupy, nagle zamyślała się nad cukinią lub z nieco melancholijnym uśmiechem studiowała głęboki fiolet bakłażanów.

– Witaj, piękna! – zawołał malutki sprzedawca przypraw, uśmiechając się, jakby była jego najlepszą przyjaciółką. Wyciągnął rękę w jej stronę, po czym zaprosił ją do swojego stoiska. – Dobrze wiesz, dziewczyno, że u mnie zawsze znajdziesz to, czego szukasz.

Miał w sobie tyle energii, że nie sposób było nie odwzajemnić uśmiechu. Nie potrafiła się oprzeć tym wszystkim słonecznym spojrzeniom i radosnym powitaniom, którymi obdarzano ją tutaj w najmniej spodziewanych momentach.

– Dziś niczego nie szukam...

– Jeszcze nie wiesz, że szukasz. Ale właśnie znalazłaś – powiedział, zniżając głos prawie do szeptu. Położył na jej dłoni zawiniątko i posłał całusa, który kończył poranne spotkanie z nową znajomą.

Mogła iść dalej, bogatsza o jedną życzliwość na początek dnia i tajemniczy pakunek, którego nie było w planach. Trudno było nie poddać się atmosferze spontaniczności tego miejsca. Pracowicie sporządzana lista zakupów stanowiła jedynie punkt wyjścia, sugestię, od czego zacząć wędrówkę między straganami. Potem w koszyku i tak lądowały produkty, które w danym momencie najsilniej przemówiły do jej wyobraźni.

Teraz stała przy stoisku z warzywami i korzystając z nieuwagi sprzedawcy,

śledziła słoneczne rozbłyski na wypolerowanej czerwieni jabłek. Nie zamierzała ich kupować, dała się jednak wciągnąć pięknu tej niespodziewanej gry światła. Dopiero trzaśnięcie pobliskiej okiennicy przywróciło ją rzeczywistości. Zaczęła rozmawiać z czarnookim sprzedawcą. Młodzieniec wydawał się nieco przytłoczony aktywnością swojej matki, która zarządzała stoiskiem, jakby prowadziła wielkie przedsiębiorstwo. Wolał bardziej kameralne spotkania w narożniku straganu, gdy pakując jedne warzywa, jednocześnie zachwalał następne, a wszystko niemal bez odrywania wzroku od rozmówcy. Nietrudno mu było zresztą gawędzić z tą kobietą, która mogła być od niego nawet o kilkanaście lat starsza, ale przejawiała niemal dziecinny zachwyty nad jego warzywami.

– Proszę dotknąć i sprawdzić – zachęcał, wskazując kosze, a ona skwapliwie z tego zaproszenia korzystała i obdarzała delikatnym dotykiem kolejne wielobarwne krągłości.

W pewnym momencie ocknęła się ze zmysłowych doznań pośród cytrusów i przypomniała sobie, że musi kupić pomidory. Obiecała to Francesce i Chiarze, a rozczarowanie na twarzach starszych pań było ostatnią rzeczą, którą chciałyby zobaczyć w ten słoneczny poranek. Wyciągnęła rękę w stronę czerwonych słońc, spoglądając jeszcze na jabłka. Poczuła ciepło i miękkość, niezwykajne znanym jej pomidorom. Przez ułamek sekundy delectowała się tym wrażeniem. Dopiero gdy odwróciła głowę, dostrzegła, że jej dłoń spoczywa na innej dłoni.

– Przepraszam – rzuciła z uśmiechem w stronę mężczyzny, którego obdarzyła tą niespodziewaną pieśczęcią.

Patrzył na nią przez krótką chwilę, po czym prawie niezauważalnie skinął głową i odszedł.

Masz babo placek, pomyślała rozczarowana. Taka dłoń zasługiwała na to, by poznać jej właściciela.

– Wystraszyłam panu klienta – zażartowała, już bez przeszkód wybierając kolejne pomidory do sałatki dla starszych pań.

– Wróci – mruknął chłopak, po czym zniknął w głębi stoiska, skąd dobiegały gniewne pokrzykiwania jego matki.

Laurze pozostało zapakowanie wszystkich zakupów do koszyka i spokojny powrót do domu, w którym wynajmujące jej pokój damy zapewne znowu przekomarzały się, popijając cappuccino.



Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Andrea jak zawsze przeszedł przez sekretariat i podążył w stronę gabinetu. Tym razem jednak Livia i Giulia zachowywały się nad podziw spokojnie, a i on kroczył wolniej. Zdawać by się mogło, że celebrytuje ten szczególny dzień, ale jego myśli zaprzętało coś zupełnie innego. Zamknął za sobą drzwi gabinetu, zaledwie skinąwszy głową na powitanie swoim współpracownikom. Chciał być sam.

Znów miał ten sen. Tak jak wtedy. Po raz kolejny wchodził powoli na górę, a gdy był już na szczycie, miał przed sobą tylko pionową ścianę przepaści. Droga, którą się wspinał, opadała gwałtownie w dół. Dlaczego nie czuł tego, gdy wchodził? Dał się zwieść pozornie łagodnemu podejściu? Stracił instynkt? Ten sen powracał. Wyzwalał w nim krzyk. Kiedy zlany potem budził się, wmawiał sobie, że w końcu naturą Koziorożca jest wspinaczka, a zdobywanie szczytów to rzecz zwyczajna dla mężczyzny w jego sytuacji. Powtarzał to jak mantrę, aż w końcu serce przestawało walić, a strach znikał.

Kiedyś zauważył, że ten sen jest zapowiedzią.

Nie, tylko nie teraz, jeszcze nie jestem gotowy, myślał, patrząc w okno.

Błękit rzymskiego nieba uspokajał go, przywodził na myśl niebo nad jego domem, jedynym miejscem, gdzie zawsze czuł się u siebie.

Odchylił głowę na oparcie swojego nowego fotela i przymknął oczy. Powinien cieszyć się dzisiaj początkiem nowej drogi, a tymczasem zastanawia się, skąd nadejdzie zmiana, na której przyjście nie jest gotowy. Był absolutnie pewien, że jego senna wspinaczka nie odnosiła się do tego, co sprawiło, że od dziś jest nowym właścicielem tego gabinetu. Znał go doskonale, tak jak wszystkie mniej lub bardziej oficjalne rozgrywki w Palazzo Madama. Od lat konsekwentnie zmierzał w kierunku ostatniego piętra, z którego rozpościerał się miły widok nie tylko na jedną z piękniejszych dzielnic Rzymu, lecz także na

tych wszystkich, którzy niczym migające punkciki przemykali właśnie do pracy. Nie był naiwnym idealistą, wiedział, jak działa machina, w której się znalazł, a mimo to miał nadzieję, że będzie mógł zrobić coś dobrego.



Nie myliła się, podejrzewając, że starsze panie spędzają poranek w kuchni. Filiżanki po cappuccino dawno już były puste, ale one wciąż dyskutowały o czymś zawzięcie, zapomniawszy o bożym świecie.

– No sama rozsądź, moja droga, czy ona nie wygląda w tym jak dziecko. – Francesca zwróciła się do wchodzącej Laury i od razu sama rozwiąła wszelkie wątpliwości: – Może i jesteś artystką, Chiaro, ale na ubieraniu to znasz się tak jak ja na malarstwie.

Siostry Manzoni zajęły się rozpakowywaniem koszyka z zakupami, a Laura mogła spokojnie skubać podsuniętą jej słodką bułeczkę i pogrążyć się w przelotnym zamyśleniu, które zawsze rozbawiało jej babcię, a doprowadzało do furii Krzysztofa. Pod wpływem jego karcących spojrzeń próbowała panować nad tą swoją skłonnością do refleksji, ale krótkie chwile, gdy oddalała się od samej siebie, odświeżały ją psychicznie. Nie ma nic gorszego niż myśląca kobieta, mamrotał wtedy Krzysztof, a ona do dziś nie wiedziała, ile było w tym powagi, a ile żartu.

– Wystarczy tego siedzenia, moja droga, czas zająć się czymś naprawdę istotnym. Idziemy z Chiarą do sklepu, przecież nie mogę pozwolić, żeby wychodziła na ulicę w tych swoich kolorowych namiocikach. – Francesca załamała ręce w udawanej rozpacz.

Laurze stanęła przed oczami jej babcia, która, odkąd sięgała pamięcią, przyjmowała ją w porozciągany szlafrok i z drutami wystającymi z kieszeni. Robótki znajdowały się na każdym fotelu, a kolorowe włóczki ujawniały swoją obecność w najmniej oczekiwanych miejscach. Siostra babci nie miała zamiłowania do robótek ręcznych, za to z niesłabnącym zaangażowaniem oddawała się wyszukiwaniu u siebie kolejnych chorób i była niepokieszona, gdy któryś z młodych lekarzy lekceważył jej odkrycia.

Zaawansowana dojrzałość Franceski i Chiary nie odbierała im energii do życia. Teraz sprzeczały się o to, która torebka pasuje do zielonej spódnicy młodszej z nich. W końcu Chiara postawiła na swoim i wyszła z kuchni, przy okazji pokazując siostrze język. Laura się uśmiechnęła.

– Masz rację, też się będą z niej śmiali – skwitowała Francesca, nieco inaczej odczytawszy reakcję Laury. – Kto to widział, żeby się tak ubierać?

Zacząła sprzątać ze stołu, narzekając przy tym na swoją siostrę i jej zachowanie nieprzystające do prawdziwego życia.

– Mój Stefano nie miał za grosz gustu, a jego matka to już w ogóle tragedia, ja jednak zawsze i wszędzie starałam się wyglądać jak kobieta z rodziny Manzoni. To do czegoś zobowiązuje. Tymczasem Chiara mogłaby wyjść na miasto w koszuli nocnej i nawet by tego nie zauważyła. Ci artyści...



Gabinet wyglądał tak jak wczoraj. Andrea wiedział, że musi poczekać, aż biurokratyczna machina zauważy zmianę szefa i zdecyduje się uwzględnić jego oczekiwania, dlatego nie spodziewał się, że ktoś tak szybko zareaguje na jego wczorajsze podziękowanie po wręczeniu nominacji. Widać słuchano go, choć atmosfera zdawała się nie sprzyjać uwadze. Z zaskoczeniem patrzył teraz na ścianę naprzeciwko biurka, na której jeszcze wczoraj widniał Juliusz Cezar przewracający się na oczach swoich żołnierzy, gdy schodził ze statku u brzegu Afryki z okrzykiem: „Mam cię, Afryko!”.

Cezar zniknął. Andrea zasunął żaluzje, zapadł się w fotelu i skierował reflektor lampki na przeciwległą ścianę. Snop światła padł na obraz. Andrea poczuł się jak w kaplicy Contarellich w kościele San Luigi dei Francesi. Powołanie św. Mateusza zawsze robiło na nim ogromne wrażenie i choć u Francuzów wisiały trzy płótna Caravaggia, najsilniej przyciągało go właśnie Powołanie. Niemal codziennie przyglądał się Mateuszowi, którego zadziwienie było tak ludzkie i jemu bliskie. Dlaczego ja?, zdawał się pytać ów człowiek, niewolny od wad i słabości. Dlaczego ja?, powtarzał Andrea, zastanawiając się nad tym, co w jego życiu wciąż pozostawało w sferze niedopowiedzeń.

Dziś nie zdążył do kościoła, bo dłużej niż zwykle trwały jego zakupy na Campo de' Fiori. Miał słabość do tego miejsca. Wiedział, że targ staje się atrakcją dla żądnych wrażeń turystów i traci swoją autentyczność, a mimo to za każdym razem, gdy pojawiał się na nim przed pracą, czuł, że odzyskuje wewnętrzną równowagę. Także dziś z radością wtopił się w tłum kupujących. I gdy pochylał się nad skrzynką z bazylią, usłyszał ten głos.

Mówiła płynnie po włosku, ale jej akcent był wyjątkowy, niespotykany. Gdzieś już wprawdzie słyszał tę melodię, ale na pewno nie pochodziła ona

z żadnego z włoskich regionów. Znał mieszkańców wszystkich zakątków Włoch, żaden z nich nie mówił w sposób, który przypominałby szemrzący śpiew tej dziewczyny. Musiała być spoza Włoch, choć nie bez zdziwienia zauważył, że na stoisku z warzywami radziła sobie jak prawdziwa Włoszka. Instynktownie wybierała tylko to, co najlepsze. Nawet wtedy, gdy przez nieuwagę położyła dłoń na jego dłoni, czuł, jak ocenia go dotykiem.

To krótkie wspomnienie poranka sprawiło, że Andrea uśmiechnął się do siebie. Przed oczami miał ulubiony obraz i sympatyczne doświadczenie na ulubionym Campo. Może ten sen to tylko przypadek, klisza z przeszłości, która wyświetliła się w najmniej oczekiwanym momencie.



Dawno minęło południe, gdy Laura zdecydowała się opuścić Forum. Zrobiła kilka zdjęć, ale nie była to właściwa pora na fotografowanie. Słońce wypalało kolory, jednocześnie wykreślając złowrogie kontrasty. Ruiny straciły swoją siłę, miejsce uwodzącej wyobraźnię monumentalności niczym z Piranesiego zajęły płaskie szkice przestrzeni jak z notatnika studenta pierwszego roku akademii. Znajdowały swoich amatorów, ale Laurze marzyły się raczej poranne rozbłyski i popołudniowe półmroki niż filtr słońca w południe. Poddała się słonecznej błogości, w którą niespodziewanie wkradły się ostatnie chwile przed jej wyjazdem do Rzymu.

– Nie było już innego miasta?! – krzyczała ciotka Sabina, gdy dowiedziała się, że Laura jedzie do Rzymu. – Mogłaś wybrać Londyn albo Paryż, miłe, kulturalne miasta, w których można odnaleźć spokój i sens życia. Nie to co ten barbarzyński Rzym.

– A tak w ogóle to musisz się włóczyć po świecie? – wtórował wujek Waldek, który nie do końca rozumiał rodzinne żale i pretensje, ale starał się być lojalnym mężem. – Przecież tu też jest dobrze.

Próbowała tłumaczyć, że wyjazd ma charakter zawodowy i temu tylko zamierza się poświęcić. Rodzice wspierali jej starania, łagodząc sytuację, która z chwilą, gdy kuzynka Kaśka przez przypadek zdradziła matce, że Laura wyjeżdża do Rzymu, stała się nie do zniesienia.

– Wiesz, że Włosi prawie nie znają angielskiego, więc Laurze zostaną rozmowy z bibliotekarzami i profesorami – przekonywała ciotkę mama, która wiedziała, że córce przez lata udawało się utrzymywać w tajemnicy coraz lepszą znajomość języka włoskiego.

– Przez pół roku nauczy się co najwyżej zamawiać cappuccino – dodał łagodnym tonem ojciec. – Nawet angielski kaleczy, chociaż uczy się go od

przedszkola.

Dla dobra sprawy postanowiła przymknąć oko na kłamstwa ojca, które uspokoiły wuja Waldka, a ciotkę Sabinę na chwilę wyciszyły. Mama skorzystała z okazji i wysłała ją na zakupy, zwalniając z dalszego słuchania ciotki, która – w co Laura nie wątpiła – na pewno szybko ponowi starania o udaremnienie wyjazdu; jej emocje były zbyt silne, by zrezygnować. I rzeczywiście, jeszcze w dniu wylotu Laury zadzwoniła do jej matki, podejmując ostatnią próbę uratowania honoru rodziny.



Dźwięk wiertarki wyrwał Andreę z zamyślenia. Pracownik techniczny przykręcał do drzwi mosiężną tabliczkę z nowym nazwiskiem sekretarza generalnego senatu.

Zmiana numer dwa, pomyślał Andrea, spoglądając raz jeszcze na zaskoczonego Mateusza.

Uśmiechnął się. Znamienne, że najpierw pojawiło się to pytanie naprzeciwko jego biurka, a dopiero potem na eleganckiej, godnej tego urzędu tabliczce ogłoszono światu, kto jest nowym gospodarzem gabinetu.

Powoli ruszył w stronę drzwi, które oddzielały go od sekretariatu. Słyszał z tego, że potrafi bezszelestnie zbliżyć się do innych i niespodziewanym powitaniem przyprawić o gwałtowne bicie serca. Pozostało mu to z dzieciństwa, gdy skradał się, by obserwować przyrodę i polować na nią z aparatem fotograficznym, swoją pierwszą prawdziwie cenną rzeczą. Do dziś nie wyrósł z pasji do tego bezkrwawego safari, nie dając się namówić swoim znajomym z parlamentu na innego rodzaju polowanie. Wielu ludzi sądziło, że irytujących umiejętności zakradania się i nasłuchiwania nauczyły Andreę tajne służby. Nigdy nie dementował tych podejrzeń.

– Kawy! – Wkroczył znieczeka do sekretariatu.

– Ale z mlekiem – usłyszał obok.

Rozpoznał ten głos, nie odwracając głowy. Należał do Pietra z Bari, wiecznie uśmiechniętego i pełnego energii, co bywało dużym zaskoczeniem dla osób, które miały zwyczaj osądzać na podstawie wyglądu. Ten niemal zupełnie łysy mężczyzna po sześćdziesiątce z daleka przypominał raczej kulkę niż poważnego męża stanu. Chętnie to wykorzystywał i najpierw zwodził swoim pociesznym wyglądem, by w odpowiednim momencie uderzyć z siłą miotacza.

– Witaj, mój młody przyjacielu, przepraszam, panie ministrze. Czy poświęcisz mi trochę swojego ministerialnego czasu?

– Służę ci nim, wszak jestem teraz sługą.

Andrea uwielbiał rozmowy z Pietrem. Zawsze nastrojały go optymistycznie. Pietro był senatorem kolejną kadencję, ale wciąż nie miał pojęcia o polityce. Za to pozostawał najlepszym włoskim fotografem sportowym. Był mistrzem innego spojrzenia, niezrównanym obserwatorem, który umiał zatrzymać w kadrze te sekundy, gdy wszystko jest prawdziwe. Do tego uwielbiał kobiety, czyniąc z tego zawodowy atut i prywatną słabość.

– Ach, gdybym był dwadzieścia lat młodszy. – Pietro zawsze rozpromieniał się na widok każdej nowej sekretarki.

– To byłbyś ciągle o dwadzieścia lat za stary – podejmował grę Andrea, stając po drugiej stronie barykady.

Obaj doskonale wiedzieli, gdzie są granice tej zabawy i kiedy należy ją skończyć, by coś nie pękło.

– A prezentu dla nowego ministra nie masz? – zapytał Andrea, wprowadzając przyjaciela do swojego nowego gabinetu.

– Jak mógłbym nie mieć? – oburzył się Pietro, wyciągając podłużne pudełeczko. – Wszak z Bari pochodzi święty Mikołaj, mój drogi, niedouczony Toskańczyku!

Andrea rozpakował prezent i roześmiał się. Kolejny kiczowaty krawat do jego kolekcji. Powinien się tego spodziewać, Pietro był cudownie przewidywalny. Jediną niespodzianką mógł być nie rodzaj prezentu, ale jego deseń. Tym razem wybór padł na nowe hobby senatora z południa. Na całej długości zielonego aksamitnego krawata rozrzucono kule bilardowe, które jawnie szydziły z powagi tej części męskiej garderoby. Livia, która przyniosła kawę, zachichotała i bez słowa wycofała się do sekretariatu. Andrea był pewien, że mu nie odpuszczą i będzie musiał wystroić się w tę dość osobliwą propozycję. Zastanawiał się, czy nie zalać krawata kawą. Postanowił z tym jednak poczekać, aż ofiarodawca zniknie z jego gabinetu.

– To było beznadziejne – rzucił tymczasem Pietro, gdy za Livią zamknęły się drzwi.

Andrea lubił zagadkowość Pietra. Komentarze bez słowa wprowadzenia zmuszające rozmówcę do czytania w jego myślach. Jakby rozmowa na dany temat trwała od dawna, a wypowiedziane zdanie było kolejnym, które w niej padło.

– Tak, ale są jeszcze gorsi. – Andrea obstawiał, że chodzi o wczorajszy mecz Włochów z Holendrami.

– Chyba Polacy – mruknął Pietro, potwierdzając, że intuicja nie zawiodła Andrei.

No jasne!, przemknęło Andrei przez głowę jak błyskawica. To była Polka! Dzięki Pietro w jednej chwili przypomniał sobie, gdzie wcześniej słyszał tę niezwykłą melodię języka włoskiego. Tak samo mówiła tłumaczka, która kilka lat temu była na spotkaniu z grupą senatorów z Polski. Zapamiętał ją, bo nie przestawała się uśmiechać, podczas gdy towarzyszący jej politycy nie umieli wyjść poza sztywność swoich za szerokich garniturów. To wtedy po raz pierwszy usłyszał tak miękką wersję swojego języka. Dziewczyna z targu też musiała być Polką. Pietro po raz kolejny zrobił coś dobrego, jak zwykle zresztą nie zdając sobie z tego sprawy.



Zatrzymała się w pobliżu pomnika Wiktora Emanuela. Wiedziała, że każdy porządny Włoch krzywi się na jego widok z niesmakiem, uważając go za brzydactwo wielkiej miary – piętrowy tort weselny lub rozklekotaną maszynę do pisania. I choć lubiła zgadzać się z Włochami, tym razem daleka była od marudzenia. To prawda, że tę osobliwą budowlę trudno było oceniać w kategoriach czysto estetycznych, miała jednak w sobie coś, co czyniło ją ciekawą. A przy tym cudownie otwierała perspektywę na Corso. Wystarczyło, że wdrapała się na szczyt schodów, a Rzym rozstępował się przed nią niczym rozchylające się połówki jabłka. Zdecydowanie nie zamierzała potępiać tej białej plamy na planie miasta.

– Mamo, mamó, ja chcę loda! – pokrzykiwała przechodząca obok dziewczynka. – Czekoladowego, z posypką i karmelem, i jeszcze czekoladę na wierzch.

– A ja chcę owocowego, ze wszystkimi owocami naraz! – jakiś chłopięcy głos próbował przebić się przez wymagania towarzyszki spaceru. – I karmelowego.

A ja chcę ciepła, pomyślała Laura, uśmiechając się do siebie. Przeciągnęła się i przeszła przez plac, z wolna kierując się w stronę domu.

Przypomniała sobie poranek na Campo. Dłoń, którą napotkała przy pomidorach, była ciepła. Lubiała mężczyzn, którzy mieli duże ciepłe dłonie. Byli znacznie bardziej poukładani wewnątrz niż posiadacze smukłych i chłodnych palców. Ich ręce dotykały ze zrozumieniem, jakby robiły to nie dla samego dotyku, ale dla głębszego poznania drugiej osoby. Obiecywały człowiekowi z wewnętrznym światłem.

Ciekawe, jakie wnętrze ma pan od pomidorów, zastanawiała się, przypominając sobie jego twarz.

Patrzyli na siebie zaledwie kilka sekund, ale zdążyła dostrzec, że był kilka lat starszy od niej. Miał spojrzenie, w którym ciekawość walczyła z lekką nieobecnością. Nie zareagował, równie dobrze więc mógł myśleć wtedy o pracy albo o spotkaniu z atrakcyjną Włoszką o namiętym usposobieniu, choć dłonią oddał drgnięcie, niezauważalnie ją prostując pod wpływem nagłego dotyku obcej osoby. Kiedy się cofał, zobaczyła obrączkę. Wyraźnie zaznaczała swoją obecność, tym dumniej, że chyba pozostawała tam dość długo. Dłoń wokół niej zmężniała, okrzepła i stwardniała, a ona sama nieco straciła zalotny blask, ukrywając się za smugą matowej powagi. Mimo to wciąż zdawała się młodzieńcza, jakby nie dorosła do roli obrączki dojrzałego mężczyzny.

Przypomniała sobie sześć swoich obrączek leżących w szufladzie. Kiedy miała pięć lat, kolega z przedszkola oznajmił, że zamierza się z nią ożenić w nieodległej przyszłości. Na dowód prawdziwości uczuć wręczył jej plastikową obrączkę. Laura nie miała nic przeciwko małżeństwu z Mariuszem, fajnie było się z nim bawić klockami, mógł więc zostać jej mężem. Wszystkim pokazywała różową obrączkę, tłumacząc, że znalazła już męża.

– Tylko pamiętaj, że masz być moją żoną – przypomniał jej Mariusz, gdy kończyli przedszkole, a rodzice wybrali dla nich zupełnie inne szkoły.

Aby utrudnić im wspólne oczekiwanie na ślub, rodzice Mariusza postanowili przeprowadzić się na drugi koniec miasta, a rodzicom Laury ani w głowie było podążanie za przyszłymi teściami córki. Czasami widywali się w domu kultury i na miejskim lodowisku, kiedyś udało się Laurze zaprosić Mariusza na urodziny. Wizja małżeństwa oddalała się niebezpiecznie.

Pięć lat później spotkali się na wspólnych koloniach i Mariusz postanowił odnowić obietnicę małżeńską, przeznaczając połowę kieszonkowego na nową obrączkę. Tym razem nie była różowa, ale świeciła się w słońcu na złoto i farbowała palce na zielono. Laura była z niej jeszcze bardziej dumna. Potem nie było ani domu kultury, ani lodowiska. Los bywa przewrotny i w piętnaste urodziny Mariusz znów pojawił się w jej życiu. Kręciła się wówczas wokół niego mała ruda Gośka, a przy Laurze pojawiał się dość często szkolny mistrz karate Tomek. A jednak Mariusz przypomniał o ślubie i w prezencie urodzinowym ofiarował Laurze trzecią obrączkę – cieniutką, srebrną. Jej pierwsza prawdziwa biżuteria. Była naprawdę bliska zakochania się w nim. Potem były kolejne pięciolatki i kolejne wizyty Mariusza w jej życiu, było coraz więcej żartów, a mniej obietnic, ale tradycyjnie zjawiał się z obrączką.

Ich rytuał. Trzy lata temu Mariusz wyjechał do Londynu, mejlowali trochę, więc wiedziała, że nie zamierza wracać. A przecież ona wkrótce skończy trzydzieści pięć lat. Czy stanie w jej drzwiach? A może czas obrączek już minął...



Pietro miał jedną uciążliwą wadę. Nie potrafił skończyć. Na szczęście Andrea dawno temu nauczył się radzić sobie z takimi rozmówcami – odpływał w głąb siebie. Osiągnął w tym niemałą wprawę i tak naprawdę jedynie wrażliwe i czujne kobiece oko potrafiło dostrzec ten moment, w którym blask oka zniknął, a myśli Andrei podążały w zupełnie innym kierunku. Kiedyś dostrzegła to Giulia, wcześniej Marlena. Ta umiejętność przydawała mu się w pracy i nie miał wyrzutów sumienia, że wykorzystuje ją w chwilach być może przełomowych dla kraju. Czasami nie miał siły, by słuchać po raz kolejny tego samego, innym razem po prostu potrzebował zastanowić się nad pewnymi sprawami.

Pietro nie potrzebował rozmówcy, lecz słuchacza, więc duchowa nieobecność Andrei nie stanowiła dla niego problemu. Z przyjemnością skonstatował, że przyjaciel się uśmiecha, nie podejrzewając nawet, iż nie podąża za jego wywodem. Andrea tymczasem z zakamarków pamięci wyławiał wszystko, co wiedział o Polsce. Przypominał sobie znacznie więcej niż tylko polskiego papieża czy polsko-włoskiego Bońka. Pomijając wszelkie wydarzenia polityczne, które rozpoczęły europejski przełom, a wiedział o nich niejako z obowiązku zawodowego, Polska kojarzyła mu się przede wszystkim z Ryszardem Kapuścińskim, Krzysztofem Kieślowskim i z bursztynem. Jego mama uwielbia bursztyn. Znajoma powiedziała mu kiedyś, że mieszkańcy północy Europy twierdzą, iż w bursztynie natura zamknęła słońce, aby towarzyszyło im w długich zimnych i ciemnych dniach. Miałby o czym rozmawiać z kimś z tamtych stron, nie musiał się wstydzić.

Kiedyś pewna Czeszka, którą spotkał na przyjęciu u znajomego ambasadora, wyznała mu, że jest w stanie wiele wybaczyć, ale pytanie, czy stolicą Czech jest Moskwa, przyprawia ją o palpację.

– Wywróciliśmy Europę do góry nogami, a świat i tak uważa, że stolicą każdego państwa w naszym regionie jest Moskwa.

Przypomniawszy sobie jej złość, rozmyślając o Polsce. Nie popełniłby takiego faux pas. Doskonale wiedział, że stolicą tego kraju jest Warszawa, choć pamiętał to głównie dzięki albumowi o polskim Wersalu, czyli Wilanowie. Dostał go od jakiejś polskiej delegacji, która odwiedziła parlament kilka lat temu, gdy krótko opiekował się gośćmi z krajów niestrategicznych.

Jutro musi być na targu wcześniej. Może znowu uda mu się posłuchać, jak ta dziewczyna miękko kołysze słowa w jego języku. Ale najpierw musi pozbyć się Pietra. Nieoczekiwanie nadeszła pomoc, sygnał esemesa na jego prywatnej komórce przerwał kolejny opis walki na boisku.

– Będziemy mieć gości, idą nasze umiłowane papużki nierozłączki, Bartolomeo i Vincenzo – odczytał z komórki.

Nie zdziwił się, gdy Pietro nagle przypomniał sobie o bardzo ważnej rozmowie i szybko uciekł, aby uniknąć spotkania z dwoma sycylijskimi senatorami, których roszczenia zazwyczaj burzyły krew. Bali się ich wszyscy w tym gmachu, a zwłaszcza ci, którzy mieli wpływ na podejmowanie decyzji, gdyż ci dwaj smutni panowie przychodzili zawsze wtedy, gdy trzeba było coś ważnego rozstrzygnąć. Przedstawiali swoje propozycje, sugerując, że to jedyne możliwe rozwiązanie, o czym przekonani są także ich przyjaciele. Nikt tych przyjaciół nie znał, panowało jednak powszechne przekonanie, że lepiej nie poznawać.



Gdyby nie Monika, Laura nie zdecydowałaby się na przyjazd do Rzymu. Po tym, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach, daleka była od zrobienia sobie wakacji pod włoskim niebem, nawet jeśli usprawiedliwieniem miała być praca naukowa. Powtarzała, że najbardziej potrzebuje spokoju i ciszy, które pomogą jej odzyskać pewność siebie. Tymczasem gdy Monika dowiedziała się o propozycji wyjazdu, utworzyła silny front rodzinno-przyjacielski na rzecz wysłania Laury w stronę słońca. Wszyscy ją namawiali, każdy przytaczał racjonalne argumenty, których nie sposób było utracić. Między wizją ciągłego siedzenia w bibliotekach a nieograniczonego używania życia znalazło się wystarczająco dużo dobrych powodów do wyjazdu, by ostatecznie przyznać rację siostrze i jej towarzyskiemu zapleczu.

– Pojadę, tylko nie przekonujcie mnie już więcej. – Poddała się nie bez przyjemności.

– Wiedziałaś, że jest w tobie okruczeństwo człowieka – podsumowała Monika i wróciła do swoich codziennych zajęć.

Zadanie zostało wykonane, Laura zmuszona do podjęcia jedynej słusznej decyzji, sprawę uznała więc za załatwioną. Trzeba było zająć się kwiatami w ogrodzie zimowym, które wciąż wymagały podlewania i pielęgnacji. Nie można im powiedzieć, że mają poczekać, bo udręczona dusza młodszej siostry oczekuje dopieszczenia.

– Powinnaś być moim bratem – stwierdziła Laura, dla której męskie podejście do życia Moniki zawsze stanowiło nieodgadnioną zagadkę.

Gdy bowiem jedna z sióstr zastanawiała się nad sensem świata, druga układała listę zadań do wykonania w najbliższym tygodniu, miesiącu, roku. Z Moniką nie dało się usiąść przy winie i ponarzekać, bo zamiast współczująco słuchać, od razu spisywała pomysły na rozwiązanie problemu.

A przecież w takim podlanym alkoholem marudzeniu chodziło nie o to, by prostować zaplątane ścieżki, ale by sobie popłakać nad bezmiarem zakrętów.

– Na miłość boską, córca, tylko nic nie mów ciotce Sabinie, bo nie da nam żyć. – Reakcja mamy była łatwa do przewidzenia, a jej słowa dzięki gadulstwu Kaśki szybko okazały się prorocze, gdyż ciotka Sabina rzeczywiście dostawała spazmów na myśl o wyjeździe Laury do Włoch.

– Niczym się nie przejmuj, jedź i bądź szczęśliwa – powtarzał ojciec, uniemożliwiając córce wycofanie się z pomysłu.

Sabina była siostrą cioteczną jego żony, miał więc do niej dystans i jej niepokój nie spędzał mu snu z powiek. Kiedy zaczynała się niebezpiecznie zbliżać do ataku hysterii, szedł do swojego pokoju i oglądał sport. Podobała mu się ta romantyczna tragedia rodzinna, było w niej nawet coś z Szekspira, wolał jednak pozostać niezaangażowanym obserwatorem, a nie uczestnikiem tych lamentów.

Ponieważ propozycja nie pojawiła się nagle, Laura miała niemal pół roku na przygotowanie się do wyjazdu. Postanowiła zrealizować swoje marzenie i wykorzystać pobyt w Rzymie na dopowiedzenie historii dziadka Macieja. Monika była jedyną osobą, którą wtajemniczyła w ten plan, i to siostrze zawdzięczała pierwsze sukcesy w tym zakresie. Od niej dowiedziała się, że zła kobieta, która spędzała sen z powiek ciotce Sabinie, nazywała się Raffaella z domu Sanguinetti. Od tego momentu poszło łatwiej, strony internetowe okazały się skarbnicą wiedzy o ludziach, a media społecznościowe pozwoliły odnaleźć kolejne ogniwo w tej splątanej historii.



Esemes, który tak skutecznie wypłoszył zaprzyjaźnionego senatora, wcale nie zapowiadał wizyty strasznych gości. Andrea wykorzystał go, by pozbyć się Pietra, stanowczo za długo przesiadującego w jego gabinecie. Teraz mógł delectować się ciszą. Raz jeszcze przeczytał wiadomość, która przysłała kilka minut temu: „Gratuluję, ten awans należał Ci się od dawna. N”.

N jak Nicole, tego był absolutnie pewien. Zawsze podpisywała się pierwszą literą imienia. I zawsze trzymała rękę na pulsie. Jak wtedy, gdy awansował po raz pierwszy. I potem, gdy nie podjął walki o wysokie stanowisko, któremu zawdzięczałby pierwsze strony gazet. Wiedział, że cena byłaby zbyt wysoka. Nicole nie mogła znać szczegółów, ale przysłała mu słowa wsparcia. I jak zwykle zadbała o to, by nie mógł oddzwonić, bo wysłała wiadomość przez internet. Obserwowała go z oddali, nie pozwalając się zbliżyć do siebie. Dziś, jak nigdy wcześniej, poczuł, że pora to zmienić.



Wieczór zapowiadał się spokojnie, choć nie mogła liczyć na kameralną samotność. Chciała zanurzyć się w światłach Rzymu, tak cudownie pozdrawiających jej taras na trzecim piętrze. Za dnia widok nie był oszałamiający, ale w nocy okoliczne placyki i zaułki zamieniały się w granatowe przestrzenie rozbłyskujące tajemną energią tego miasta. Świetliste patchworki domów i szpalery pomarańczowych latarni, wyznaczające bezpieczne powroty do domu, urzekały Laurę, która otulona kocem spędzała na miniaturowym tarasie długie godziny. Nie towarzyszyły jej odkrycia intelektualne ani zgłębianie istoty życia, wystarczała szczęśliwa świadomość, że jest w miejscu, w którym być powinna.

– Kochanie, zejdź do nas na dół – usłyszała w słuchawce domowego telefonu głos Chiary.

Instykt jej nie zawiódł. Właścicielki znowu zadbały o to, by nie spędzała wieczoru w pojedynkę. Była wdzięczna za troskę, jaką ją otaczały, ale nie przywykła do tego, by inni ludzie wnikalili w jej życie tak płynnie i naturalnie, jakby należało do nich. Tu nikt nie pytał, czy byłaby zainteresowana kolacją z kolejnymi przyjaciółmi domu. Po prostu talerz stawał na stole i czekał na nią do czasu, aż jej przedłużająca się nieobecność wyzwalała w którejś z sióstr potrzebę bezpośredniej ingerencji.

– Poznaj państwa Zanettich – zabrzmiało jak refren.

Wczoraj w salonie czekali na nią starszycy Leopoldini, a w zeszłym tygodniu gospodynie zaprosiły swoją przyjaciółkę, panią Clarę Angelikę z córką Sofią, która przeszła właśnie na emeryturę i wydawała się tym faktem tak przytłoczona, że przypominała siostrę swojej matki. Tym razem widok gości w salonie ją zaskoczył. Gaetano i Caterina byli znacznie młodszy niż siostry Manzoni, chyba nawet młodszy od jej rodziców. On nieco zaokrąglony,

elegancki, z odrobiną szlachetnej siwizny na skroniach. Ona doskonała w każdym szczególe, niczym skończone dzieło sztuki. Laura nie mogła oderwać od niej spojrzenia, pozostając w niemym zachwycie nad wyczuciem stylu.

– Zaraz przyjdą nasi synowie. Prosili, żeby was przeprosić za spóźnienie. Matteo ma zajęcia, a Massimo jak zwykle coś załatwia – powiedziała Caterina.

– Pewnie chodzi o dziewczynę – mruknął małomówny Gaetano. – Kiedy go nie ma, na pewno jest z jakąś kolejną pannicą.

– Nie broń mu tej odrobiny przyjemności w życiu – wtrąciła się Francesca. – Przez wzgląd na Caterinę nie przypomnę ci twojej przeszłości, młodzieńcze.

Zanim poważny dyrektor banku zdążył zareagować na tę aluzję, Chiara wniosła dymiącą wazę ze wspaniałą minestrone. Niby zwykła zupa jarzynowa, ale smakuje tak, że dokładka staje się absolutną koniecznością i chciałoby się, by waza nie miała dna. Rozmowa urwała się, gdy wszyscy pochylili się nad talerzami. Potem, gdy na stole pojawiło się mięso z duszonymi warzywami, konwersacja również ustąpiła miejsca kulinarnemu zachwytowi.

Laura przypomniała sobie słynne obiady ciotki Heleny, która po prostu włączała gaz pod jarzynami i szła oglądać kolejne odcinki ulubionych seriali. Po pewnym czasie warzywa traciły stan skupiony, co uznawane było przez gospodynię za idealny moment, by dodać przyprawy i jeszcze pięć minut podduścić. Taką pulpę chętnie zjadłoby dziecko stęsknione innych doznań smakowych niż marchewka, ale dorosłym nie przypadła ona do gustu. Jadano ją więc dość rzadko, ku ucieście ogółu i lekkiemu rozczarowaniu ciotki Heleny, która pozostawała w nieustającym zachwycie nad wynalezioną kiedyś przez przypadek serialową metodą kulinarną.

– No, nareszcie jesteś, urwisie! – zawołała Francesca i rozpostarła ramiona na powitanie jednego z synów państwa Zanettich. – Specjalnie dla ciebie zrobiłam tiramisu.

– Mówiłem już, że cię uwielbiam – szepnął chłopak namiętnie, niemniej żartobliwie, po czym rzucił się do całowania rąk Franceski.

– A o mnie zapomniałeś, Massimo – naburmuszyła się teatralnie Chiara i wyciągnęła do niego dłoń.

Niewiarygodne, ale te siedemdziesięcioletnie panie flirtowały z chłopakiem. Miało to oczywiście konwencję salonowej zabawy, ale błysk w ich oczach był dość przekonujący.

– Witaj, piękna. – Podszedł do Laury i spojrzał na nią tak, że zamarła.

Było w jego spojrzeniu to specyficzne południowe połączenie bezczelności i uwielbienia, tupetu i miękkości. Stał przed nią chłopiec i mężczyzna w jednym ciele. Ujął jej dłoń i złożył długi pocałunek, pełen kurtuazji, choć podszyty psotą. Dreszcz na karku przypominał jej inną dłoń, którą dziś poznała.

Chwilę później do pokoju wkroczył jego starszy brat Matteo. Nie było w nim tego ognia, który zobaczyła u Massima, ale na okładce pisma dla kobiet wzbudziłby powszechny zachwyty. Miał charakterystyczny typ urody, który sprawi, że do czterdziestki będzie wyglądać jak typowy włoski student – szczupły, w okularach, z kręconymi włosami. Niby myśliciel, a jednak mężczyzna. Z wiekiem nabierze szlachetności, którą tak jak u jego ojca podkreśli siwizna na skroniach i coraz bardziej eleganckie dodatki do stroju. Massimo pozostanie chłopcem nawet wtedy, gdy u jego boku pojawią się wnuki.

Bracia dopełniali się idealnie. Młodszy promieniał wewnętrznym blaskiem i nawet brak towarzyskiego obycia przydawał mu uroku. Starszy emanował włoską odmianą melancholii, lekką i niezbyt męczącą, ale nader atrakcyjną.

– Podobno fotografujesz zabytki. – Matteo studiował historię i do rzymskiej starożytności miał stosunek bardziej niż serdeczny. – Pamiętaj, to nieprawda, że obiektyw nie widzi przeszłości, trzeba go tylko właściwie ustawić...

– Ja ci pokażę taki Rzym, dziewczyno, że wpadniesz w zupełnie niefotograficzny zachwyty – rzucił Massimo.

Chyba nie tylko siostry Manzoni mają skłonność do udowadniania jedna drugiej, że racja leży po stronie mówiącej. Bracia Zanetti również konkurowali ze sobą o dusze rozmówców i prawo do ciepłej odwzajemnionego spojrzenia. Laura uśmiechnęła się mimowolnie i tego wieczoru obu młodzieńców obdarzyła spojrzeniami pełnymi zachwyty. Siedząc w salonie, w kamienicy niedaleko Campo de' Fiori, upajała się swobodą życia.



Andrea zapadł się w swoim ulubionym fotelu z pilotem w rękę. To był dziwny dzień. Taki, który wymyka się spod kontroli i pokazuje nam język, puszczając przy tym oko. Miały być pierwsze spotkania jego jako szefa z naczelnikami poszczególnych biur, rutynowa biurokracja, a były dotyk, esemes i trudna rozmowa z Antoniem. Uruchomił pilotem odtwarzacz, podkrecając głos prawie do końca skali. Muzyka wypełniła całą przestrzeń pokoju. Kochał ciszę, ale teraz muzyka musiała wybrzmieć, zawładnąć jego duszą i ciałem. Z głośników płynęły dźwięki Vangelisa, który swoją muzyką opisywał obrazy El Greca. Takiej jedności sztuki potrzebował. Po dzisiejszym dniu bardziej niż zwykle pragnął poczuć, że świat jest spójny, a każdy chaos można ogarnąć.

Na ziemię sprowadziło go brutalne szarpnięcie za ramię.

– Czy ty od tej muzyki już zupełnie ogłuchłeś?!

To Marta. Stała za nim i walczyła z przyciskami pilota. Bezskutecznie. Pilotem do telewizora nie da się ściszyć wieży. Andrea pozwolił jej posiłować się chwilę z niewłaściwym pilotem, po czym ściszył muzykę.

– Pogięło cię? Jest już po północy! Nie mieszkasz tu sam! – krzyczała na niego, wyrwana z głębokiego snu.

– Nie krzycz, bo obudzisz swoją piżamkę – powiedział, wskazując na kolorowe owieczki, które drzemały na chmurach. – Chyba nie zamierzasz dręczyć zwierząt...

Zdanie kończył, biegnąc do swojej sypialni. Za nim leciała już poduszka rzucona przez Martę. Uśmiechnął się do niej z daleka i poszedł spać, bo czekał go ciężki dzień.



Poranki nie były tym momentem dnia, który Laura lubiła najbardziej. Niezmiennie kojarzyły się jej z pełnym pośpiechu przygotowywaniem się do pracy. Leżała w łóżku najdłużej jak się dało, a potem próbowała prześcignąć sekundnik. W efekcie rozlewała wodę w łazience, parzyła się herbatą, a konturówka na jej ustach nieraz falowała w rytm spóźnienia i odbierała uśmiechowi perfekcyjną symetrię.

Teraz, gdy nie musiała spieszyć się do pracy – stypendyści przychodzili bowiem do fundacji po odbiór zadań, a nie po to, by wysiadywać godziny – gdy zegarek nie poganiał, lecz dobrotliwie informował o upływającym czasie, budziła się skoro świt i cała stawała się rzymskim porankiem. Owinięta kołdrą lubiła wychodzić na balkon, by obserwować z góry budzące się do życia miasto. Leniwy klekot rozstawianych straganów, warkot samochodów dostawczych pod sklepami, jakby zgaszenie silnika uniemożliwiało kierowcom przenoszenie skrzynek, trzask okiennic – wszystkie te dźwięki stopniowo wypełniały powietrze, a Laurze pozwalały otworzyć się na nadchodzący dzień.

Tym razem nie miała ochoty na obserwowanie miasta, więc wyskoczyła z łóżka tylko po to, by odsłonić okno i zaprosić słońce do pokoju, po czym wróciła pod kołdrę i ponownie zamknęła oczy, aby jeszcze przez chwilę pokołysać się sennie wśród pierwszych odgłosów miasta.

Zawsze zastanawiała się, jak to jest, że dzieci wstają skoro świt, a dorośli przedłużają swoją nieobecność w świecie jak się tylko da. Jako dziecko budziła nieraz cały dom, a zaledwie kilka lat później wpadała w szał, gdy młodszy brat Darek ogłaszał rodzinie, że już nie śpi, choć sobota na dobre się nie zaczęła.

Z każdym rokiem coraz bardziej ciągnęło ją do poduszki, starała się

przespać stres, klasówki i egzaminy. Kiedy w miejskim wydziale kultury musiała zaczynać pracę o wpół do ósmej, najpiękniejszym momentem tygodnia stawał się piątkowy wieczór, gdy była radośnie świadoma tego, że następnego dnia budzik będzie spał razem z nią. Wcześniej w szkole pracowała dopiero od południa, bo młodzi sportowcy zaczynali dzień od basenu, bieżni i siłowni. Potem w muzeum również udawało jej się wstawać nieco później.

Ale i tak dokuczał jej przymus otwierania oczu o określonej godzinie, dorosły obowiązek bycia odpowiedzialnym, wykonywania poleceń służbowych w narzuconym rytmie, dojeżdżania do pracy w największym tłoku, gdy wszyscy niewolnicy budzika również musieli dostać się do swoich firm. To przez ten trud poranków straciła do nich serce, przestała się uśmiechać na widok pierwszych promieni słonecznych.

– Dorosłość polega na tym, że robimy to, co trzeba, a nie to, na co mamy ochotę – powtarzała jej rodzina, gdy na początku próbowała jeszcze mówić, co uciska jej duszę.

– A gdyby robić to, co trzeba, w sposób, w jaki mamy ochotę? – starała się negocjować z życiem.

– Nie filozofuj – mówił Darek, któremu upodobanie do wczesnego wstawania nie przeszło z wiekiem.

Ale on działał na dwie baterie jednocześnie, łądował się pracą i pasją, miał bowiem szczęście zakochać się w projektowaniu zabawek i całkiem nieźle na tym zarabiać.

– Gdybym nie musiała wstawać o szóstej rano, to pewnie bym właśnie o tej godzinie wstawała.

– To wyobraź sobie, że nie musisz wstawać. – Wzruszył ramionami i wrócił do swoich spraw.

Kochał siostrę, ale meandry jej duszy zawsze wydawały mu się nazbyt zawile. Monika była znacznie prostsza w obsłudze. Z Laurą czasami nie można było dojść do ładu przez to jej pragnienie życia inaczej.



Andrea wstał wcześniej niż zwykle, a zawsze wstawał wcześnie. To pozostałość z dzieciństwa, gdy przez cały rok budził się o szóstej rano, by popędzić do kościoła Madonna di San Biagio przy Montepulciano, gdzie jego dziadek był organistą. Uwielbiał słuchać muzyki organowej, która wypełniała szesnastowieczne mury, przenikała dusze i ciała słuchaczy. Dla tej muzyki, która wprowadzała go w misterium Kościoła, biegł codziennie ponad kilometr po pagórkach na skróty, sobie jedynie znanymi ścieżkami wśród winnic.

Dzisiaj też obudził się o szóstej, by w ciszy poranka zaplanować dzień. Uwielbiał myśleć właśnie rankiem, gdyż umysł był jeszcze świeży niczym czysta tablica, na której noc wytarła wszystkie myśli dnia poprzedniego. Po cichu, by nie zbudzić Marty, zbiegł do sklepiku na dole kamienicy, a właściwie do małej piekarni, która część swojej produkcji sprzedawała od razu po upieczeniu. Kupił wspaniale pachnące świeże rogaliki. Zrobił dwie kawy z dużą ilością mleka i postawił na stole wraz z pieczywem i dżemem z pomarańczy. Dopiero wtedy delikatnie zapukał do drzwi pokoju Marty.

– Masz ochotę na kawę?

Po chwili z pokoju wygramoliła się zaspana postać w szlafroku. Była tak niewyspana, że mógł jedynie powiedzieć:

– Przepraszam za wczoraj, zrobiłem śniadanie.

– To było dzisiaj – burknęła wrogo. – Nie mogłam zasnąć prawie do rana.

Nagle jej spojrzenie odnalazło śniadanie na stole.

– Masz dzień dobroci dla kobiet czy prozaiczne wyrzuty sumienia?

– Chciałem wypić z tobą kawę. Liczyłem, że wyjdiesz jak w nocy, bez szlafroka...

Widział, że gwałtownie próbowała wyrzucić resztki snu ze swojego umysłu. Ale choć pamiętała kilka momentów minionego wieczoru, to jej strój do nich

nie należał.

– Naprawdę byłam taka... niekompletna?

– Nie skorzystałem z okazji, by pokazać ci, co tracisz, kobieto. – Zręcznie uniknął odpowiedzi wprost. – A mogłem. Doceń to, zamiast wypominać mi słuchanie muzyki.

– Mówiłeś coś o kawie? – płynnie zmieniła temat. – Kawa, rogaliki, mój dzem. Czy ja mam dziś urodziny?

– Po prostu chciałem ci zrobić przyjemność. Skoro nie w nocy, to przynajmniej rano.

Gdy kończyli śniadanie, Andrea nagle spojrział na zegarek i rzucił:

– Cholera, jak późno, nie zdążyłem wyprasować koszuli, a mam ważne spotkanie i muszę zrobić dobre wrażenie...

– Od początku wiedziałam, że coś kombinujesz. Dawaj tę koszulę, panie ministrze.

Nie cierpiał prasowania. Na szczęście znów się udało...



Rzym rozśłonecznił się na dobre. Laurze nie pozostało nic innego, jak zacząć nowy dzień. Wpadła na cappuccino do pobliskiego baru, przyjęła uśmiech od przypadkowego mężczyzny, sama uśmiechnęła się do kilku osób. Było jej dobrze. Rano zadzwoniła Alessia i umówiły się na spotkanie, tym razem w ojczyźnie włoskiej kuzynki.

Poprzednio widziały się u Laury. Po kilku tygodniach mejlowania i rozmów przez telefon postanowiły w końcu się spotkać, zwłaszcza że praca Włoszki niespodziewanie im to umożliwiła. Alessia okazała się śliczną kobietą o uśmiechu tak słonecznym, że warszawskie lotnisko rozpromieniło się, gdy szła w stronę Laury. Strój stewardesy podkreślał jej figurę, a toczek i ciasno upięte włosy sprawiały, że wyglądała jak piękność z dawnych płócien. Miała tyle lat co Laura, kiedy jednak stanęły obok siebie, siła i młodość były po jej stronie. Za kilka lat może ją dopaść niezbyt piękna włoska dojrzałość, na razie jednak czarowała południową energią. Mocny makijaż, wyrazista twarz, wszystko to przyciągało męskie spojrzenia. Laura ze swoim wypłukanym blondem na włosach i bladorożowym uśmiechem poczuła się niemal przezroczysta.

– Witaj, kuzynko! – Alessia rzuciła się w ramiona Laury, jakby znały się od stu lat, a nie od dwóch miesięcy.

– Jak dobrze cię widzieć. – Przytuliły się do siebie niczym rodzone siostry.

Monika dobrze wywiązała się ze swojego zadania. Kiedy obiecała Laurze, że pomoże jej dotrzeć do prawdy o dziadku Macieju, nikt się nie spodziewał, że pierwszy krok zrobi tak szybko. Jakimiś sobie tylko znanymi sposobami ustaliła, jak nazywała się pierwsza żona Macieja, ta, od której zaczęło się całe nieszczęście ciotki Sabiny. Wszyscy wiedzieli, że włoskie zło miało na imię Raffaella, nazwisko pozostawało jednak wielką tajemnicą, być może również

dla samej ciotki. Historia z Włoszką skończyła się trzy lata przed narodzinami Sabiny, nigdy o niej nie mówiono, nie wymieniano nawet jej imienia, jakby chciano zapomnieć, że w ogóle była. Tylko dziadek nie umiał zapomnieć.

Laurze dość długo oszczędzano szczegółów, kiedy jednak zaczęła wykazywać nadmierne zainteresowanie włoską muzyką, mama dla świętego spokoju opowiedziała jej tę część rodzinnej historii, którą ciotka Sabina pragnęła ukryć. To wtedy po raz pierwszy usłyszała o przeszłości dziadka.

– Ależ on był przystojny za młodu. – Mama westchnęła, pokazując Laurze jego fotografię.

Laura pamiętała go jako szczupłego starszego pana o zmęczonej twarzy i pogłębiającej się łysinie, tymczasem tu stał postawny, pięknie zbudowany mężczyzna o jasnym obliczu. Mundur dodawał mu energii i sprawiał, że Maciej wydawał się wyższy. Nonszalancko opierał się o terenowy samochód wojskowy.

– Podobno to zdjęcie zrobiono tuż po zdobyciu Monte Cassino. – Mama zwróciła uwagę Laury na drzewko w oddali przypominające oliwkę, co miało świadczyć o włoskiej scenerii. – Wszyscy byli wtedy tacy szczęśliwi. Opłakiwali wprawdzie śmierć wielu kolegów, ale cieszyli się, że sami przeżyli. I byli dumni, że to oni przełamali opór wroga. Nie wielcy alianci, ale właśnie oni, chłopcy z Polski.

Kobiety lubią bohaterów, więc i Macieja pewna piękna rzymianka polubiła tak bardzo, że pobrali się w tajemnicy przed jej rodziną i wyjechali na północ. Po sześciu latach małżeństwa, zmęczona chłodem, biedą i brakiem perspektyw, wsiadła z pięcioletnią córką do samolotu i wróciła do swojego świata. Nigdy więcej się nie zobaczyli, nawet rozwód przeprowadzono zaocznie, adwokat podsunął Maciejowi papiery do podpisania, potem dziadek dostał dokument, którego treści do końca życia nie zrozumiał. Dwa lata później, zmęczony czekaniem na to, co nigdy nie nastąpi, poślubił sąsiadkę, która zaopiekowała się nim po rozwodzie. Rok po ślubie Stasia urodziła Sabinę, ale Maciej wciąż zdawał się być duchem w swoim poprzednim życiu.

– Dopóki mógł jeździć samochodem, jakoś się trzymał, kiedy jednak zaczął mieć problemy ze wzrokiem i w jednostce odsunięto go od ciężarówek i transporterów, nic już nie stało na przeszkodzie, by mógł oddać się wódce i rozpaczy.

Kilkadziesiąt lat później jego piękna wnuczka Alessia witała się w Warszawie z wnuczką jego brata Laurą. Uśmiechnęły się, widząc te dwie

kobiety obejmujące się na powitanie, rozpromienione odkrywają właśnie wspólną historię, jego historię.



Upały trzymały Rzym w uścisku już od dwóch tygodni, a parne powietrze znad morza sprawiało, że miasto zmieniało się w saunę. Andrea lubił ciepło, ale u siebie w Toskanii, gdzie strzeliste cyprysy i cudownie zielone gaje oliwne dawały cień, a z pagórków spływały łagodzące powiewy wiatru. Tutaj był tylko żar bijący od budynków, duszący smród asfaltu i powiew spalin z rzeki pojazdów, które nieustannie korkowały ulice. Do tego to denerwujące buczenie skuterów. Nie znosił ich, odkąd jakaś rozmarzona panna najechała mu na stopę. Po sześciu tygodniach gipsu pozostał mu niemijający uraz do tych małych warkoczających maszyn, które wciskały się w strukturę miasta, naruszając odwieczny podział na pieszych i zmotoryzowanych.

Pogoda i konieczność włożenia ciemnego garnituru spowodowały, że z przyjemnością skorzystał z przywileju wynikającego z nowo objętej funkcji. Przed jego domem stał już ministerialny samochód, a przed nim niski chudy człowieczek z sumiastym wąsem.

– Dzień dobry, panie ministrze – ukłonił się, kurcząc się jeszcze bardziej. – Jedziemy do pracy?

– Najpierw na Campo.

– Ależ nie, proszę przygotować listę, ja wszystko kupię. Zawsze tak robiłem.

– Dobrze, że użyłeś czasu przeszłego. To się skończyło. – Kierowca z wrażenia zamarł z ręką na klamce. – Lubię chodzić na targ i sam robię zakupy.

Dotarli tam w godzinie porannego szczytu zakupowego. Kierowca przyczał się przy samochodzie, nie wiedząc, jak zachować się wobec kaprysu nowego ministra. Andrea nie zamierzał rezygnować ze swoich porannych przyjemności, więc bez oglądania się na szofera ruszył między stoiska z warzywami. Jutro zapewne miejsce małego kierowcy zajmie wielki

ochroniarz, który nie zostawi go ani na moment samego w tej wędrownicy wśród skrzynek z owocami, dziś jednak miał jeszcze swobodę i zamierzał to wykorzystać. Kupi jakieś owoce, ale przede wszystkim da sobie szansę na spotkanie. Jeśli Polka zna się na rzeczy, też powinna być o tej porze. Najdłuższą trasą doszedł do stoiska Marii, po drodze obserwując wszystkie kupujące blondynki. Nie odnalazł jej.

– Dzień dobry, Mario. Myślałem, że rzuciłaś już tę robotę. Nie było cię wczoraj.

– Dzień dobry. Miło, że zauważyłeś. – Uśmiechnęła się na powitanie, odrywając od układania warzyw.

Wielokrotnie obserwował ją podczas pracy. Miała dryg do tworzenia misternych kompozycji przypominających piramidy. Warzywa w jej rękach stawały się posłuszne, bez oporu poddawały się wszystkim pomysłom. Potrafiła okiełznać nawet okrągłe cytrusy, które dzięki jej zabiegom zamierały i tworzyły wokół łagodne wzgórza. Jej stoisko imponowało elegancją i porządkiem, choć nie byłaby Włoszką, gdyby od czasu do czasu nie wprowadziła lekkiego zamieszania w koszu z ziołami lub sałatami.

– Trudno nie zauważyć spadku o połowę poziomu urody na targowisku. – Nie musiał kłamać. Naprawdę była śliczną dziewczyną o rzadkiej w tych stronach szlachetności.

– Miałam ostatni egzamin – wyszeptała, nieco zmieszana niespodziewanym komplementem.

– Gratuluję. To może wieczorem dasz się z tej okazji zaprosić na kolację. Może tym razem mi nie odmówisz. – Spojrzał jej głęboko w oczy.

Nigdy nie odmówiła, bo nigdy nie zaproponował, ale teraz nie miało to znaczenia. W końcu poprosił. Uśmiechnęła się i bez negocjowania warunków przyjęła zaproszenie.

– Do zobaczenia – rzucił miękko, odchodząc.

Kiedy szedł w stronę czekającego na niego samochodu, czuł, że Maria odprowadza go spojrzeniem. Nie odwrócił się. Nigdy tego nie robił.



Miała sporo do zrobienia. Z zalem rezygnując z wizyty na Campo, pobiegła prosto do fundacji. Szefowa przydzieliła jej nowe zadania i przynajmniej jedno z nich należało wykonać szybko. Czekał ją zatem dzień archiwalny, pewnie bez dłuższej przerwy. Włosi nie wyobrażali sobie, że mogliby nie zjeść porządnego obiadu i nie zrobić sobie pięciu krótkich przerw na espresso w ulubionym barze. Nienawykłym do tego zagranicznym stypendystom zdecydowanie łatwiej było pozostawać godzinami w pracy.

– Szybciej zrobię, szybciej wyjdę – powtarzała Laura, gdy koledzy namawiali ją na obiad. Była przyzwyczajona do picia kawy przy biurku i jedzenia pogniecionych kanapek.

– Marnujesz życie, oczy i żołądek nad tymi papierami – marudził archiwista Giuseppe, który przy całej swojej miłości do starych papierów starał się jak najwięcej czasu spędzać poza fundacją.

Kiedy nie było go przy biurku, można było w ciemno iść do baru jego kuzyna trzy przecznice dalej, gdzie Giuseppe tłumaczył komuś znajomemu, jaka jest różnica między starodrukiem a inkunabułem. Nikogo to wprawdzie nie interesowało, ale ten malutki okrągły człowieczek umiał opowiadać tak, że słuchało się jego słów jak relacji z meczu. Zawsze znalazł się więc w barze ktoś, kto pytał, czym właściwie zajmuje się ich ulubiony lokalny mędrzec. A mędrzec nigdy nie unikał odpowiedzi na to pytanie.

– Głodny pracownik to zły pracownik – stwierdziła szefowa, która z dezaprobatą przyglądała się cudzoziemskim zwyczajom, by obiad jadać na kolację, a w ciągu dnia zapychać się chlebem. – Czy wyście powariowali z tym jedzeniem?

Pięć minut później wszyscy stypendyści zostali wyrzuceni na przymusową przerwę obiadową.

– Trzeba was jak dzieci uczyć życia. – Szefowa pokręciła głową, jakby zgrzeszyli przeciwko wszystkim przykazaniom.

Laura postanowiła wykorzystać przymusowy czas wolny i wpaść do Daniela, sąsiadki, która od kilkunastu lat opiekowała się garderobą starszych pań. Obiecała rano Francesce, że podrzuci jakieś stylowe guziki do sukienki, a przy okazji zaprosi Danielę na kolację, którą starsze panie organizują w niedzielę.

Daniela była książkową włoską mamą, która robiła kilka rzeczy naraz, starając się podołać domowym obowiązkom, utrzymaniu dyscypliny i szyciu. Maszyna do szycia stała w dużej kuchni, aby gospodyni mogła niemal jednocześnie stebnować i gotować. Nawet miarę Daniela zdejmowała w części jadalnej. Jakim cudem szyte przez nią ubrania nie były pochłapane sosem pomidorowym, pozostaje tajemnicą.

– Marcello, nie bij brata i wracaj do nauki! – wrzasnęła do starszego syna, całkiem sympatycznego nastolatka. – Filippo, siadaj na kanapie i nie rozrabiaj!

Chłopcy uspokoili się na pięć minut, po czym wrócili do swojej męskiej wojny. Daniela co jakiś czas pokrzykiwała na nich, ale nie było w jej głosie ani cienia agresji. Po prostu w ten sposób komunikowała się ze swoimi dziećmi. A gdy w domu pojawił się jej mąż Damiano, jemu również zaserwowała dość głośną wymianę zdań na temat niezapłaconych rachunków.

– Zapomniałem – tłumaczył się skruszony małżonek, co wyglądało tym zabawniej, że był postawnym mężczyzną o groźnym spojrzeniu. Skurczył się przed obliczem swojej korpulentnej, niewysokiej żony, po czym dostał ścierką po plecach i mógł zająć się jedzeniem.

– Zawsze w trakcie pracy wpada na obiad – powiedziała Daniela do Laury, a w stronę męża rzuciła głośniej: – Ale rachunków to sierota nie popłaci, wszystko na mojej głowie.

Ciotka Laury też była domowym generałem i również pohukiwała na swojego męża, ale między nimi był chłód charakterystyczny dla ludzi, którzy już zapomnieli, dlaczego są ze sobą. Natomiast Damiano przed wyjściem pocałował żonę tak, jakby właśnie próbował zdobyć jej serce. Ona rzecz jasna mamrotała potem przez kilka minut, że ród męski to niewdzięcznicy, którzy myślą tylko o jednym, ale nie sposób było nie dostrzec, jak wielką przyjemność sprawił jej ten drobny gest ze strony męża. Rachunki przestały być istotne.

– Mama, Marcello znów mi dokucza – poskarżył się śliczny drobiazg płci męskiej i żałośnie pociągnął nosem.

– Filippo, ile razy ci powtarzałam, żebyś się nie mazał. Chodź, mama cię przytuli.

Maluch obłapił mamę rączkami i przylgnął do niej jak zmęczone kocię. Daniela zamilkła i nagle z temperamentnej Włoszki stała się mamą uniwersalną. Jej ostre rysy złagodniały, natapirowana fryzura miękko otuliła twarz, a uśmiech błakający się w kącikach ust stał się bliższy Madonnie Filippa Lippiego niż Sophii Loren. W powietrzu pojawiła się miłość.

– Na mnie już pora. – Laura wycofała się cicho z mieszkania.



Lubił przychodzić wcześniej na spotkania, dawało mu to nie tylko spokój, ale i przewagę nad osobą, która miała nadejść. Nigdy nie siadał od razu, przyjemność sprawiało mu okrażanie miejsca spotkania. Czuł się wtedy trochę jak dyrygent, który przygotowuje się do decydującego podniesienia batuty. Nastrajał się i koncentrował. Teraz także pojawił się na placu przed Panteonem piętnaście minut przed umówioną godziną. Choć była prawie dwudziesta, tłum turystów nie zmniejszał się, atakował go z każdej uliczki dochodzącej do placu. Ustupując wycieczce Kanadyjczyków, wpadł na grupę Japończyków.

Kilkanaście fleszy oślepiło go synchronicznym blaskiem. Małe azjatyckie aparaciki wytwarzały nad podziw dużo światła. Turyści fotografowali Panteon, ale nikt z grupy nie był zainteresowany historią tego niezwykłego miejsca, którą opowiadała przewodniczka. Zabytek był na trasie ich marszobiegu, zaplanowany na trzydzieści sekund. Trzeba było go sfotografować, by dać dowód swojej obecności, ale słuchanie wykraczało poza cel wycieczki. Gdy jesienią z dumą zaprezentują tysiące zdjęć na monitorach swoich komputerów, nikt ich nie zapyta, gdzie to było. Ważne, że gdzieś daleko poza Japonią.

Zanim Andrea się zorientował, zniknęli w jakiejś uliczce, pędząc w poszukiwaniu parlamentu. Ich miejsce zajęły gołębie.

Odwrócił się w przeciwną stronę i tym razem oślepiło go zachodzące słońce. Z jego blasku wynurzyła się postać. Nie widział jej twarzy, ale światło w kontrze obrysowywało kobietę sylwetką, podkreślając piękne kształty. Wyglądała jak Madonna na obrazach renesansowych mistrzów.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Maria?!

- Tak, ale Magdalena, ta mniej święta.
- Liczy się to, co na końcu.
- Wiem, dlatego nie tracę wiary. Też jesteś przed czasem...
- Dorabiam, licząc turystów w kategoriach: płeć, wiek, kolor włosów, kształt paznokci...
- I gdzie mnie umieściłeś?
- Muszę stworzyć nową kategorię: zjawisk nadprzyrodzenie pięknych albo zjawiskowo pięknych nadprzyrodzoności. Ale będzie to zbiór jednoelementowy.
- Dziękuję.

Maria istotnie wyglądała oszałamiająco. Miała na sobie pastelową sukienkę, której rozkloszowany dół podkreślał jej zgrabne nogi, szeroki pas współgrał z jej szczupłą talią, a dwa wiązane na karku trójkąty nie tylko sprytnie odkrywały plecy, ale też podziały na wyobraźnię Andrei, gdy spojrzał w jej dekolt. Jeden dyskretny rzut oka pozwolił mu ocenić piękno ukrywające się pod płataniną materii. 75B, ocenił nie bez przyjemności. Między piersiami migotał delikatny rubin, który powtarzał się w kolorze lakieru do paznokci. Kształtna szyja przechodziła płynnie w równie proporcjonalną głowę. Całości dopełniały długie kruczoczarne włosy upięte w koński ogon. Wysokie obcasy wydłużały i tak już długie nogi.

- Dokąd mnie porywasz?
- Na wspólną konsumpcję. Uważam, że jedzenie należy do tych rzeczy, którym najlepiej oddawać się we dwójkę.
- A jakie są inne?
- Na przykład gra w scrabble...

Udało mu się przejąć inicjatywę i prowadzić w tym tańcu. Fakt, zaskoczyła go. Wcześniej widywał Marię wyłącznie na targu, ubraną w sposób umożliwiający wykonywanie pracy fizycznej, ukrytą za rzędami skrzyń z owocami. Dostrzegł jej urodę, ale nie spodziewał się aż tak spektakularnej przemiany. Teraz stała przed nim, piękna i nie do końca świadoma swojej siły. Była jak młode wino, musująca i rześka, ale zwodnicza.



– Witam was w naszym małym królestwie. Cieszę się, że jesteście tu z nami.
– Niski okrągły człowieczek wyrzucił ręce w górę w teatralnym geście. – Razem sprawimy, że świat nabierze rumieńców, pofruniemy do gwiazd, odkryjemy rozkosze smaku...

Stojąca obok starsza kobieta szturchnęła mównicę, który natychmiast opuścił ramiona, wyprostował się jak skarcony uczeń, a jego natchnione spojrzenie stało się bardziej obecne.

– Nazywam się Giancarlo, a to jest moja mama Maria Elena. Wspólnie nauczymy was rzymskiej kuchni, opowiemy o składnikach i smakach, a potem będziecie mogli sami przygotować nasze lokalne arcydzieła... – Znowu był na granicy uniesienia, mama pozostała jednak czujna i groźnym chrząknięciem przywróciła go do rzeczywistości.

Laura rozejrzała się po dużej kuchni na zapleczu starej restauracji. W sali dla gości urządzono elegancką cukiernię, głównie dla brytyjskich turystów, którzy nawet podczas wakacji w Rzymie musieli wypić swoją obowiązkową popołudniową herbatę. Wielka kuchnia nie była już potrzebna, przygotowywano w niej przekąski na przyjęcia w okolicznych biurach, a po pracy Giancarlo organizował tu zajęcia swojej prywatnej szkoły gotowania. „Wieczory z Giancarlem” cieszyły się tak dużym zainteresowaniem wśród miejscowych obcych, którzy pragnęli poczuć rzymską atmosferę, że Laurze przy każdej kolejnej edycji udawało się zapisać jedynie na listę rezerwową. Pewnie straciłaby nadzieję i chęć trwania w oczekiwaniu, gdyby nie koleżanka z fundacji, której wielkim marzeniem były lekcje w prawdziwej włoskiej szkole gotowania. Tak długo przypominała Giancarlo o sobie, że w końcu zapisał obie cudzoziemki poza kolejnością, na dodatek obniżył im cenę, ciekaw upartych kobiet z Północy. Polki i Finki nie miał jeszcze na swoim

kursie. Może pomyślał, że blondynki będą się dobrze prezentowały na zdjęciach dokumentujących jego działalność.

– Zaczniemy powoli i z pomocą mamy, potem będziecie musieli bardziej się postarać. Pierwszy punkt programu: spaghetti alla carbonara.

Poza Laurą i Eriką przy stanowiskach do gotowania stało jeszcze siedem osób. Rozgadany i uśmiechnięty Julio oraz jego przyjaciółka Alejandra, oboje z Argentyny, nieziemsko piękna Bułgarka Anna, dwie przyjaciółki ze Szkocji, Jenny i Elisabeth, Chinka o długich rzęsach i długim nazwisku, które skróciła, kazać się nazywać po prostu Lu. Obok Laury stała filigranowa Włoszka, która przyjechała do Rzymu z najbardziej północnej części kraju i czuła się tu zagubiona, również kulinarnie.

– Tęsknię za ziemniakami mojej babci, ale muszę się przyzwyczaić do makaronu. – Annalisa się uśmiechnęła, a Laura od razu poczuła do niej sympatię.

Jej także brakowało niektórych polskich dań, ziemniaków ze zsiadłym mlekiem, kiszonych ogórków i prawdziwego twarogu. Uwielbiała włoską kuchnię, ale żadna ricotta ani mozzarella nie zastąpi białego sera z polskiej wsi.

– Carbonara to pokarm bogów, jeśli tylko niczego nie zepsujecie – zaczął Giancarlo, a jego ręce odruchowo powędrowały do góry. – Choć w nazwie macie spaghetti, możecie ewentualnie sięgnąć po inny makaron, ale na miłość boską, niech to nie będą farfalle ani penne. Do tej słonecznej potrawy potrzebujecie długich promieni, boskich nici szczęścia, które połączą was z nieziemską energią smaku. Może być bucatini, nawet jakieś wstążki lepiej się sprawdzą niż rurki. I żadnych kolorów, żadnego grubego ziarna, tylko biała puszystość semoliny.

Maria Elena przygotowała wcześniej makaron – długie nici szczęścia suszyły się na specjalnych drążkach. Giancarlo opowiadał, jak pokroić i podsmażyć pancettę, jak wbić żółtka do miseczki i wymieszać je z tartym serem pecorino i z pieprzem.

– Nie bójcie się pieprzu, dosypujcie hojnie. To danie węglarzy, prawdziwych, spracowanych mężczyzn, którzy potrzebowali konkretnego smaku. Ziółka i listeczki zostawimy sobie na inną okazję, tu dajemy energię i wyrazistość, pancettę i pieprz, nawet pecorino ma charakter. Jak prawdziwi rzymianie...

Włoska mama w milczeniu obserwowała syna, kręcąc głową, gdy Giancarlo

zaczynał za daleko odbiegać od realiów kuchni. Znała jego możliwości i wiedziała, kiedy zaczyna tracić kontakt z garnkami. Od czasu do czasu trzaskaniem szafek i pobrzękiwaniem sztućców sprowadzała go na ziemię.

– A teraz wrzucamy ugotowany makaron na patelnię do pancetty, odstawiamy na bok i wlewamy żółtka z serem – zarządził Giancarlo, wybity z transu przez matkę porządnym uderzeniem łyżką o pokrywkę. – I mieszamy, mieszamy, niech cały makaron otuli się złocistym sosem.

Zapanowała cisza, gdyż każdy był zajęty doprowadzeniem swojej carbonary do wielkiego finału. Julio omal się nie rozplakał, kiedy sos zmienił się w jajecznicę, bo w natłoku wrażeń zapomniał zdjąć patelnię z ognia. Na szczęście Alejandra obiecała, że podzieli się z nim swoją porcją. Jenny dosypała zdecydowanie za dużo pieprzu, więc szybko wymieszały z Elisabeth swoje makarony i podzieliły na dwie porcje. Giancarlo patrzył na to z rozbawieniem, ale Maria Elena najchętniej wygoniłaby tę rozchichotaną dzieciarnię z kuchni. Gotowanie to poważna sprawa, a tymczasem nawet jej syn zdaje się tego do końca nie pojmować, chociaż prowadzi szkołę gotowania. Ciągłe tylko ucieka w opowieści o nie wiadomo czym, w kółko miesza do kuchni Boga i poezję, jakby to miało ze sobą coś wspólnego.

– Spróbujcie – wyszeptał Giancarlo, nic sobie nie robiąc z groźnych spojrzeń swojej mamy. – Poczujcie na języku tę boską energię, kremową lirykę rzymskiej kuchni...

To faktycznie było dobre. Laura wiele razy jadła carbonarę, zawsze jednak dostawała coś, co bardziej przypominało beszamel ze skwarkami albo wodę po płukaniu szmaty do podłogi. Teraz smakowała potrawę z przymkniętymi oczami. Dla takich doznań warto żyć, pomyślała, pobłażliwie uśmiechając się do swoich wspomnień z carbonarą. Erika i Lu dawno już wszystko zjadły. Bułgarce zajęło to nieco więcej czasu, bo miała problem z opanowaniem sztuki nawijania nitek na widelec. A Laura wciąż kręciła widelcem z nadzieją, że ta chwila nigdy nie przeminie.



Idealne miejsce znaleźli w małej osterii na rogu. Takiej bez tłumy turystów zza oceanu, którzy zamawiali makarony, w głębi duszy marząc, by miały smak hamburgera z sosem barbecue. Co bardziej ambitni wskazywali palcem w menu wszystko to, o czego istnieniu nie mieli wcześniej pojęcia. Im dziwniej brzmiało, tym wydawało się bardziej atrakcyjne. Jak zjedzenie mózgu tubylca. Do tego cola w wersji light, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia, że uległo się pokusie. Bąbelki tłumiły każdą subtelną nutę smakową, przywracając podniebieniu dobrze znajome kontrasty i chemiczne dominanty. Rozstrojony gust kulinarny turysty wracał do normy, a on sam wychodził z restauracji dumny ze swojej odwagi. Opowieści o mdławych sosach i dziwnych dodatkach rozbrzmiewać będą jeszcze przez wiele tygodni w bezpiecznych domach z dala od włoskiego słońca.

Wiedzieli o tym doskonale rzymscy restauratorzy, serwując turystom potrawy, za których smak powinni zostać pozbawieni licencji na gotowanie. Wiedział o tym każdy rzymianin, który w takich miejscach nie jadał, a jeśli już zasiadał w pobliżu turystów, przed złożeniem zamówienia dbał o to, by jego tubylczość nie uszła uwagi kelnerów i kucharzy. Tylko wtedy miał szansę na coś, co nie wplątywało smętnego smaku w ekstatyczną nazwę.

Andrea zaproponował stolik w narożniku. Lubił widzieć całą salę, samemu nie będąc obserwowanym. Zawodowy nawyk, który dawał mu przewagę w wielu strategicznych momentach, zwyciężał także w okolicznościach prywatnych. Nie umiał się rozluźnić, gdy ktoś siedział mu za plecami. Jego myśli natychmiast zaludniały się demonami, uniemożliwiając jakikolwiek krok naprzód.

Bezpiecznie skryty w nastrojowym zakamarku mógł skupić się na menu i siedzącej przed nim kobiecie o promieniejącym uśmiechu. W taki upalny

dzień nie mieli ochoty na nic mięsnego, dlatego wybrał dla siebie makaron z bakłazanem, pomidorami i ricottą, Maria zaś, jak przystało na wyspiarkę, zamówiła frutti di mare. Do tego wyraziste chianti classico, które przygotowywało ich na przyjęcie kolejnych smaków.

– Gustujesz w daniach sycylijskich? – zapytała, gdy złożył zamówienie. – Czy tylko robisz mi przyjemność?

– Gustuję w sycylijskich, nie tylko daniach...

Uwielbiał zabawy słowem. Nie skomentowała, ale cień uśmiechu na ustach oznajmił mu, że nie pominęła tej uwagi.

– Nie mówmy o mnie, dzisiaj jest twój dzień. – Zmienił temat, dbając o odpowiednią dynamikę rozmowy. – Opowiedz o egzaminach.

Andrea doskonale wiedział, że kobiecie należy poświęcić uwagę, pozwolić jej mówić i okazać zainteresowanie. Miał doskonały kontakt z kobietami, odkąd zaczął zauważać różnice płci i wcielać w życie swoje obserwacje.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, we wrześniu obronię dyplom.

– O czym piszesz? – spytał, mimo że wiedział.

Chciał, żeby zaczęła mówić. Potrzebowała zachęty, bo choć od początku ich spotkania prezentowała wzorcowy uśmiech, widział, że jest spięta. Na jej miejscu pewnie też byłby zaskoczony tym zaproszeniem. W końcu dotychczas rozmawiali dość często, ale głównie na temat pomidorów.

– O zachowaniu ludzi podczas zakupów. Taka analiza, kto gdzie kupuje i dlaczego. – Machnęła ręką, jakby chciała umniejszyć znaczenie tej pracy, ale widział zaangażowanie w jej oczach.

Lubiła to, co robiła. Dzisiejszego wieczoru nie tylko nie zamierzał odbierać jej prawa do tej pasji, ale wręcz chciał, by się otworzyła.

– Rozumiem, że publikację zakupiła już jakaś sieć handlowa. Dzięki twoim badaniom będą wiedzieli, jak złowić klientów – zażartował. – Domyślam się, że nasz targ też był miejscem twoich badań. I że mnie również dokładnie przebadasz.

– Oczywiście, warzywa sprzedawałam wyłącznie dla zmylenia przeciwnika i uśpienia twojej czujności.

– Dlaczego tam kupowałam?

– Szczegóły poznasz, gdy opublikuję książkę. Ale robięś to, jak wszystko inne, dla kobiet!

– To chyba ze mną wszystko w porządku. – Poczł, że doszli do właściwego momentu, by przejść do jego części programu. – A czy na takie targi jak na

Campo przychodzą obcokrajowcy? Nie mówię oczywiście o turystach, którzy wpadają zrobić kilka zdjęć, nie zwracając uwagi na warzywa.

– Tak, ale niewielu. Zagraniczni kupujący wolą anonimowe markety. Krępuje ich nasza otwartość. Tak naprawdę pojawiają się tu tylko ci, którzy nie przyjechali oglądać, ale czuć.

– Spotkałaś kogoś takiego?

– Jest pewna cudzoziemka, z którą od czasu do czasu rozmawiam.

– A w jakim języku? – Wiedział, że języki obce były słabą stroną Marii.

– Dokuczaj biednej istocie. Gdy ty się uczyłeś, ja musiałam zajmować się pomidorami. Wiem, jak jest pomidor w kilkunastu językach! Wiem też, jak jest pizza po fińsku, złośliwcze! Rozmawiałam z nią po włosku, chociaż to Polka.

– Polka w Rzymie kupuje warzywa na Campo de' Fiori, a Rosjanie wykupują ziemię na Sycylii. Ten świat zmierza ku zagładzie. – Teatralnie udramatyzował swoją wypowiedź, załamując ręce, aby Maria mogła zareagować jakimś zaprzeczeniem lub dodatkowymi informacjami.

– Laura to miła dziewczyna. Mieszka gdzieś w pobliżu placu, więc wpada rano na zakupy.

– Przyjechała do Rzymu za chlebem czy przed czymś uciekała?

– Raczej uciekała do czegoś.

– Widzę, że dużo o niej wiesz.

– Wiem o każdym dużo więcej, niż mu się wydaje. – Spojrzała Andrei w oczy i zatrzymała spojrzenie na kilka sekund. – Zapominasz, że rozmawiasz z psychologiem, za kilka tygodni nawet dyplomowanym. A poza tym babcia powtarzała, że mam duszę czarownicy...

Uśmiechnęła się znacząco, jakby chciała mu powiedzieć, że ta część rozmowy dobiegła końca i teraz powinien poświęcić więcej uwagi jej samej, nie jej tematowi badawczemu. Na szczęście na horyzoncie pojawił się kelner.

– Wygląda i pachnie znakomicie.

– Twoja też, ośmiorniczki wyglądają jak żywe. Widzisz, jedna chyba próbuje coś powiedzieć nam na migi, tak ładnie rusza łapkami. – Nie jadał owoców morza, bo nazbyt mu przypominały wizyty w małych portach rybackich, gdzie widział jeszcze żywe to, co potem lądowało na talerzu. Nie przepadał za ich specyficznym smakiem i zapachem. Nawet w rybach, które dla odmiany uwielbiał, szukał smaków ziemi, nie wody.

– Dodać peperoncino? – spytał uprzejmie kelner.

– Nie, dziękuję, nie palę...

– Mięczak z ciebie większy niż te moje na talerzu. A ja, owszem, poproszę...



Łagodny wieczór spłynął na nią ciepłem, którego nigdy o tej porze dnia w Polsce nie mogła zakosztować. Nawet gorące dni kończyły się tam chłodnym zmrokiem, tutaj można było się wygrzewać na ławce również po zachodzie słońca.

Weszła na podwórko domu, w którym mieszkały siostry Manzoni. Spotykało się tu kilka kamienic, wszystkie w kolorach tak soczystych, że o każdej porze dnia miało się wrażenie uczestniczenia w najpiękniejszym słonecznym spektaklu. Różne schodki i podejścia do licznych drzwi sprawiały, że przestrzeń otwierała się dla mieszkańców z bajkową radością, a doniczki przytulone do murów rozbawiały pomysłowością i niezwykłym umiejscowieniem.

Na małym murku po prawej stronie za dnia wylegiwała się czarno-biała kocica, wyłapując każdy słoneczny promień, który pojawiał się na podwórku. Obok stały zawsze dwie miseczki, które ktoś z domowników systematycznie uzupełniał. Siostry Manzoni nie wiedziały, jak nazywa się ich dzika lokatorka, więc Laura nazwała ją Księżniczką, pozostając pod wrażeniem jej arystokratycznej wyniosłości. Wieczorem kocica zniknęła, zapewne w jednym z piwnicznych okien, których nie brakowało w otaczających podwórko budynkach.

Ciemność rozpraszały światła z okolicznych okien i śmieszna lampa przy powyginanej ławeczce. W polskim świetle Laury wypłówiały żółty blok otoczony wydeptanym trawnikiem odcinał się od okolicznych bloków, z których każdy miał swoją namiastkę ogródka, swój płot, swoją ławkę zajęta przez swoich meneli. Nie było żadnej wspólnoty, nikt nie znał sąsiadów, a gdy ktoś dzwonił do drzwi, to chciał coś sprzedać lub miał pretensję o zbyt głośną muzykę.

Zamierzała wejść do domu, gdy na podwórko wkroczył Massimo. Uśmiechnęła się, bo widok czarującego podrywacza z sąsiedztwa był sympatycznym zwieńczeniem dnia pełnego wrażeń.

– Masz rację, dziewczyno, życie jest tak piękne, że trzeba się do niego uśmiechać – odezwał się chłopak.

Podszedł tak blisko, że poczuła nie tylko jego wodę toaletową, ale nawet zapach balsamu po goleniu i skórzanej kurtki, którą przewiesił przez ramię bardziej dla ozdoby niż ochrony przed chłodem.

– Pójdiesz ze mną na spacer? – szepnął, niemal wtulając się w jej szyję, po czym odsunął się na bezpieczną odległość i dorzucił: – Obiecałem ci magiczne miejsca Rzymu.

– Nie masz lepszego towarzystwa? – Próbowwała złapać oddech.

– Chcę się pochwalić Polką. – Zaśmiał się i poprawił kosmyk opadający na jej twarz. – Taką Polką.

Objął ją władczym gestem posiadacza i poprowadził w stronę placu znajdującego się kilkaset metrów od domu. Tam posadził w kafejce przy najlepiej oświetlonym stoliku i zaczął robić wokół siebie zamieszanie. Jak spod ziemi wyrósł rozgadany właściciel lokalu, także bezszelestni kelnerzy nagle zmienili się w wielbicieli wieczornej pogawędki. Wszyscy mówili jednocześnie, witając się z oszołomioną Laurą i omawiając z Massimem wyniki ostatniego meczu. A on w zupełnie niezrozumiały dla niej sposób odpowiadał na ich pytania, nie zapominając o adorowaniu swojej towarzyszki. Czowała się jak w oku cyklonu, i było to wspaniałe doznanie.

Kilkuosobową grupą poszli na spacer po uliczkach otaczających plac. Ciemność rozjaśniały liczne latarnie i światła buchające z otwartych okien, tłumy ludzi wymijały się zgrabnie, witając się, wymieniając opinie na różne tematy i po prostu rozkoszując się urokiem ciepłego wieczora.

– Obiecałem ci magiczne miejsce, a ja nie rzucam słów na wiatr – stwierdził nagle Massimo i zdecydowanym ruchem odciągnął ją od swoich przyjaciół.

Wpadli w jakiś zaułek zakończony stromymi schodami. Zmusił ją, by pokonała je prawie biegiem. Napawałaby się pewnie romantycznymi stromiznami, ale uniemożliwił jej to ogień w płucach. Myślała, że już nigdy się nie zatrzymają, gdy w końcu Massimo stanął i szerokim gestem wskazał jej otwierającą się przed nimi panoramę miasta. Zamarła z wrażenia.

– Czyż to nie jest zachwycające? – szepnął.

Niebiańsko piękna gra rozbłysków zapierała dech w piersiach. To, co

jeszcze kilka godzin temu było zwyczajnym światem, teraz zmieniło się w istną serenadę żółci, bieli, niebieskości, a gdzieś tam nawet zieleni. Dopiero z takiej odległości widać, jak wielokolorowe bywają światła. Niektóre poukładane były w uliczne szeregi, inne otaczały ciemne plamy parków.

– Podoba ci się? – zapytał Massimo, od dłuższej chwili obserwujący jej zachwyty. – Widziałaś kiedyś coś takiego?

W jego głosie brzmiała nie tylko duma, że odkrył przed sąsiadką niezwykle widoki, ale też poczucie wyższości, że tylko w tym miejscu na ziemi jest to możliwe. Na ułamek sekundy w Laurze obudził się północny patriotyzm.

– Wyobraź sobie, młody człowieku, że w moim kraju też jest elektryczność. Mamy brukowane ulice i potrafimy budować schody. A po zmroku każde duże miasto może mierzyć się z Rzymem. – Nie do końca się z tym zgadzała, ale postanowiła przeciwstawić się samouwielbieniu miejscowych.

– Masz rację – rzucił, swobodnie obejmując ją w talii i posyłając jej jeden z tych uśmiechów, które zazwyczaj nie pozostawiają kobiet obojętnymi. – Mieszkam w całkiem zwyczajnym, szarym i nudnym mieście.

– Bez przesady. – Zaśmiała się.

Ruszyli w stronę domu. Spływali powoli po schodach, które wcześniej pokonali w szaleńczym biegu. Massimo plótł trzy po trzy o swoich przygodach. Barwnie opisywał różne piękne panie, które przewinęły się przez jego niezbyt skomplikowane życie, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało mu od czasu do czasu rzucać swojej towarzyszce takie spojrzenia, jakby była kandydatką na żonę. Odprowadził ją pod same drzwi, ucałował dłoń, otulił ciepłym oddechem w szyję i oddalił się miękkim krokiem.

Dopiero gdy zniknął, Laura poczuła, że wieczorny spacer zaostriżył jej apetyt. Zdjęła buty, by nikogo nie zbudzić, i zbiegła po schodach do kuchni.



Gawędzili, rozkoszując się sympatyczną atmosferą i swoim towarzystwem. Kiedy pora jedzenia minęła i nic już nie mogło jej przedłużyć, spytała, czy nie miałby ochoty na mały spacer. Nie odmówił. Wzięła go pod ramię i przez dłuższą chwilę szli w milczeniu.

– Wiesz, pierwszy raz w życiu byłam na kolacji z mężczyzną takim jak ty. Jest w tobie coś nieodgadnionego, jakieś wielkie nierozwiązanie. Masz cień na plecach.

– Twoja babcia miała rację. Jesteś czarownicą. – Zaśmiał się, ale poczuł nieswojo.

Wytrąciła go z równowagi. Zobaczyła więcej, niż był gotów pokazać. Nie miał pojęcia, jakim cudem dostrzegła to podczas rozmowy o zakupach i ośmiornicach, ale wiedział, że musi się pilnować w jej obecności.



Zwariowany wieczór z Massimo nie uchronił jej przed kiepską nocą. Zasnęła bez problemu, jednak dość szybko pojawiło się uczucie nieistnienia, tak znane, tak silne, że przywróciło ją rzeczywistości. Westchnęła i zrezygnowana otworzyła oczy. Wiedziała, że czeka ją dłuższa przerwa w spaniu. Równie dobrze mogłaby zapalić światło i sięgnąć po książkę, ale wolała pozostać w ciemności, którą rozjaśniała tylko poświata z zewnątrz.

Wszystko poszło nie tak...

Karolina miała przyjechać ze swoim mężem, ale Grzegorz wybrał pracę i opiekę nad żoną powierzył szwagrowi, a Krzysztof nie umiał się oprzeć kaprysom ciężarnej siostry. Zośka miała nocować sama, ale przydzielono jej do pokoju starszą ciotkę, której chrapanie sprawiło, że przyjaciółka Laury o północy wciąż jeszcze siedziała w barze nad kolejnym drinkiem z parasolką.

– Przynajmniej nie czuję się tak bardzo samotna w tę bezsenną noc – zażartowała, wskazując wachlarz kolorowych parasolek na stoliku. – Moje wierne przyjaciółki towarzyszą mi w niedoli.

– Uważaj, taka przyjaźń uzależnia. – Laura, zmęczona fochami siostry Krzysztofa, postanowiła pozostać z przyjaciółką w hotelowym barze.

Ona także miała inaczej spędzić ten wieczór po przyjęciu weselnym kolegi ze studiów, ale musiała ustąpić miejsca ciężarnej, która w trosce o dziecko ustawiła świat na baczność. Postanowiły więc z Zośką spędzić resztę wieczoru nad kolorowymi drinkami, nie myśląc o chrapiącej ciotce i marudnej siostrze przyszłego męża Laury. Barman mieszał i ozdabiał, a one z jednakowym zachwytem witały każdą jego propozycję.

Dwie godziny później w holu hotelu pojawili się Krzysztof i Karolina. Przyszła matka uznała, że nie odpowiada jej atmosfera tego miejsca, gęsta od alkoholu i towarzyskiej niestosowności. Kazała się odwieźć do domu.

Krzysztof miał nadzieję, że przetrzuci to na zazwyczaj trzeźwą Laurę, ale ona akurat tego wieczoru postanowiła pić w barze.

– Umówiliśmy się, że ty prowadzisz – warknął.

– Nie o drugiej w nocy. – Cztery parasolki sprawiły, że była gotowa na konfrontację. – Jutro jestem do dyspozycji.

– Karolina nie będzie czekała do jutra!

– No to macie problem, drodzy państwo.

Rano dowiedziała się, że Krzysztof stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w drzewo. Jemu nic się nie stało, Karolina zginęła na miejscu. Rozpacz po śmierci siostry zamienił w nienawiść do narzeczonej za to, że tamtej nocy nie była trzeźwa i gotowa do pomocy. Obarczył ją odpowiedzialnością i linczował, dzień po dniu, przy rodzinie, przyjaciółach, znajomych. Na początku nie broniła się, zaskoczona ciężarem oskarżeń, potem próbowała przeczekać, w końcu zaczęła wierzyć w swoją winę. A jemu wciąż było mało.

Pewnego dnia powiedziała coś, co wyzwoliło w nim nową falę gniewu. Ostatnim wspomnieniem ich ostatniego spotkania była jego pięść.



Odczekał chwilę, aż na ostatnim piętrze, w mieszkaniu Marii, zapaliło się światło. Błyskawicznie wrócił taksówką do swojego mieszkania. Po zmierzchu, gdy zamierał ruch, miał wrażenie, że miasto zmniejszało się, a dzielnice przybliżały się do siebie, jakby nocą chciały przytulić się do siebie jak ludzie. Do mieszkania wszedł cicho, bez zapalania światła. Nie chciał psuć Marcie kolejnej nocy. Nagle coś splątało jego nogi i runął jak długi na podłogę.

– Ożeż... mać! – Z zasady nie przeklinał, ale tym razem nie mógł się powstrzymać.

Głowa go bolała, więc żył. Znalazł nawet siłę, by się podnieść i włączyć światło w przedpokoju. Na podłodze leżały porozrzucone części munduru, a bezpośrednią sprawczynią zajścia była spódnica. Podniósł ją z wściekłością, ale i zaciekawieniem. Marta, jak przystało na karabiniera, dbała o mundur. Spódnica wisiała przeważnie w szafie i czekała na oficjalne uroczystości. Kiedy dziś rano wychodzili razem, była w spodniach. Spojrzał ponownie na podłogę. Spodnie Marty i inne części nie tylko jej garderoby leżały w różnych miejscach korytarza, wyznaczając drogę do sypialni.

Jutro chyba on dostanie kawę z rogalikami.



Obudziła się wcześniej rano, jakby organizm nie zauważył, że pół nocy przesiedziała na łóżku, wpatrując się w ścianę. Chyba przyzwyczała się już do tego, że gdy tylko w jej życiu niespodziewanie pojawiał się uśmiech, wracało tamto wspomnienie. Rzym dotychczas oszczędzał jej bezsennych nocy, ale byłoby zbyt pięknie, gdyby wyjazd z domu wymazał z jej pamięci przeszłość. Czuła, że to kiedyś musi wrócić.

Wczoraj po raz pierwszy od przyjazdu do Rzymu ponownie poczuła tę przezroczyść, która zawładnęła nią, gdy wtedy wypełniła ją cisza absolutna. Mężczyzna, który obiecywał jej szczęście aż po grób, próbował ją zabić. Przeżyła dzięki sąsiadowi, ale gdy otworzyła oczy w szpitalu, okazało się, że przestała czuć życie. Zdaniem lekarzy nie było problemu, musiało jednak minąć wiele miesięcy, zanim ponownie zaczęła słyszeć muzykę, dostrzegać kolory i zapachy. Zmysły powoli wracały, ale czasami wystarczyło czyjeś złe spojrzenie, by wszystko cofało się o całe tygodnie.

Teraz tylko noce niekiedy odbierały jej świat, wtrącając w tamto nieistnienie.

– A ty dokąd tak wcześnie, moja droga? – Francesca zjawiała się w kuchni, gdy Laura kończyła w pośpiechu śniadanie.

– Jestem umówiona ze sztuką – rzuciła, uśmiechając się znad filiżanki cappuccino.

Cieszyła się, że akurat dziś będzie mogła wejść do Galerii Borghese. Wiedziała, że z odrętwienia mogą ją wyrwać tylko silne emocje, jakich miała nadzieję doznać wśród dzieł sztuki.



Ból albo wieczór z Marią sprawiły, że mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Osiągnął swój cel, dowiedział się czegoś o Polce. Wciąż były to zaledwie strzępy informacji, ale przestała być dla niego bezimienną dłonią. Starał się nie robić Marii nadziei na kolejne kolacje, wyraźnie podkreślając, że wspólny wieczór poświęcony jest zdany egzaminom. Ale ta czarnooka sprzedawczyni warzyw przejrzała go i choć nie dostrzegła jego zainteresowania Laurą, to wniknęła w jego duszę i zaczęła niebezpiecznie się w niej rozglądać.

Przez sen poczuł miły miękki dotyk na twarzy.

– Dzień dobry, pieszczoszku!

Ten głos nie należał ani do Marii, ani do Polki. Gdy z trudem otworzył oczy, z mgły wyłoniła się twarz Marty. Jej ręka dotykała jego czoła.

– Ale masz guza. Musisz ładnie poprosić, a zrobię ci makijaż, który wszystko ukryje. Mam w tym doświadczenie.

– O guzie jeszcze pogadamy. Co robisz w mojej sypialni?

– Wczoraj zrobiłeś mi śniadanie, więc dzisiaj ja postawię cię na nogi poranną kawą. Poza tym chciałam popatrzeć na ministra w negliżu.

Dopiero po tych słowach uświadomił sobie, że jak zawsze latem spał bez ubrania, a prześcieradło w niewielkim stopniu okrywało jego ciało.

– Marsz do kuchni, babo wstrętna. Tam, gdzie twoje miejsce.

– Idę, panie. Śniadanie podane do stołu.

W wysprzątanym przedpokoju nie było śladu nocnego gościa.

– Powiedziałem ci wczoraj, że masz chatę wolną, a ty od razu przyprowadzasz kogoś na noc. Nie taka była umowa.

– Przepraszam. Wiem, że postąpiłam źle, ale nie planowałam tego. Możesz mnie wyrzucić zaraz po śniadaniu.

Widział, że przeprasza szczerze, choć nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż

w głębi duszy jest rozbawiona całą tą sytuacją. Właściwie jemu też uśmiech cisnął się na usta, ale musiał pilnować, by ustalenia były respektowane. Nie mógł sobie pozwolić na spontaniczność, która wymyka się spod kontroli, zwłaszcza w jego mieszkaniu.

– Ale żeby tak od razu w przedpokoju? – Uśmiechnął się w końcu pobłaźliwie.

– Wczoraj po służbie mieliśmy w pracy imprezę z szefostwem z okazji awansów. Świętowaliśmy przy jednym stoliku, a potem poszliśmy z Anną na spacer. Chciała się komuś wygadać, więc zgodziłam się, żeby przysła do mnie. I jakoś tak wyszło – zaczęła się plątać. – Ona przejęła inicjatywę, no a ja... wiesz, jestem słaba.

Posłała mu przekorny uśmiech, ale on wiedział, że rzeczywiście nie jest tak silna, jak czasami chciała być. Dzielna pani karabinier miała swoje mroczne tajemnice, które sprawiały, że czasami w jej oczach pojawiała się bezbronność.

– Chodź tu, słaba kobieto. – Przyciągnął ją do siebie, a ona nawet nie próbowała się bronić. Wtuliła się w niego jak małe dziecko i tak zakończyli nieplanowaną renegocjację warunków wspólnego zamieszkiwania.



Nie zamierzała robić większych zakupów.

– Witaj, Mario. – Uśmiechnęła się do pięknej brunetki, z którą rozmawiała, jeśli dziewczyna nie była zajęta swoimi obowiązkami.

– Cześć, północny wietrze. – Sprzedawczyni się zaśmiała. – Gdzie tak mkniesz, zamiast delektować się porankiem?

– Dziś zamierzam delektować się nim gdzie indziej. Ale zanim ucieknę, poproszę kilka mandarynek.

Maria zajęła się ważeniem owoców, a Laura podziwiała jej piękną opaleniznę, tak odważnie odsłoniętą przez kusą bluzkę. Nie zdążyła w porę oderwać spojrzenia i sprzedawczyni złapała ją na tym, że się jej przygląda.

– Uwielbiam takie kolory – rzuciła zmieszana, wskazując na bluzkę.

– Porta Portese. – Maria się uśmiechnęła.

Laura zawsze zazdrościła koleżankom ciemnych włosów, dużych oczu, głębokiej opalenizny i długich paznokci. Wszystkiego, co było wyraziste, efektowne, przyciągało spojrzenia. I choć jej błękitne oczy i jasnorożowe usta również budziły zaciekawienie, zwłaszcza we Włoszech, czasami czuła się jak gorsza koszula z reklamy proszku do prania, wyblakła i nijaka. Maria była śliczna, młoda i energetyczna. A na dodatek miała niezwykle piękne oczy.

– Chciałabym patrzeć na świat takimi oczami, może nawet wypatryłabym jakiegoś bogatego i dobrego księcia – mamrotała pod nosem, idąc w stronę przystanku autobusowego, wciąż jeszcze w kiepskiej formie po ciężkiej nocy.



Jego kierowca cierpliwie czekał przed domem, gdy żegnał się z Martą. Pani karabinier powtórzyła jeszcze trzy razy, że absolutnie nigdy nikogo już nie zaprosi do jego domu, po czym zasalutowała i pomknęła do radiowozu, a on spokojnie dokończył przeobrażanie się w ministra i zszedł na dół.

– Dzień dobry. – Mały człowieczek o zatroskanej twarzy ukłonił się. – Jedziemy po warzywa?

– Nie, dziś prosto do pracy – mruknął Andrea, z uczuciem ulgi rozsiadając się z tyłu.

Rozłożył gazetę, która czekała na niego na sąsiednim siedzeniu, ale nie mógł się skupić. Coś rozpraszało jego uwagę, niwecząc próby skoncentrowania się na rzędach liter. Nie mógł ustalić przyczyny, ale wzięwszy pod uwagę wydarzenia ostatnich dni, uznał, że na pewno była to jedna z kobiet. Nie wiedział tylko która.



Galeria Borghese miała ją przytłoczyć wielkością. Laura spodziewała się intensywności wrażeń przyprawiającej o zawrót głowy. Tymczasem przez dłuższą chwilę nie zdarzyło się nic, czego nie zaznałaby podczas wizyt w innych muzeach. Wypełniało ją estetyczne wzruszenie, uczucie miłe, ale dość przewidywalne. Była rozczarowana i może nawet skróciłaby wizytę, by nie potęgować narastającej irytacji, gdyby nie pewna rzeźba, której biel przyciągnęła ją z drugiego końca sali.

Stała przed Porwaniem Prozerpiny Berniniego i zamarła. Widywała już dynamiczne rzeźby, które zresztą zawsze bardziej ją pociągały niż te stateczne, pełne powagi i patosu, jednak nigdy jeszcze nie widziała kamienia tak cielesnego. Gwałtowne palce Plutona wbijały się w odsłonięte udo Prozerpiny, nadając mu nieoczekiwaną miękkość. Świetliście biała skóra broniącej się kobiety poddawała się okrutnej adoracji władcy podziemi. Dziewczyna walczyła, ale prawa ręka boga idealnie wpasowała się w zagłębienia skóry w talii i zapowiadała przymierze, jakie wkrótce przyjdzie zawrzeć bogu z matką porywanej piękności. Kiedy zmuszona przez starszych ulegnie, jej dusza podda się i szarpiące się ciało złoży w ofierze. Może nawet na zgliszczach nadziei zbuduje miłość do tego nieokrzesanego boga. Ale jeszcze o tym nie wie, jeszcze walczy, jeszcze wierzy, że jej życie należy do niej.

Laura najpierw obeszła rzeźbę dookoła, oglądając każdy detal. Teraz po prostu stała w niemym uniesieniu.

– Cudowna miękkość kamienia. – Usłyszała za sobą męski głos.
– Niewiarygodna – szepnęła i odwróciła się w poszukiwaniu osoby, która tak trafnie odczytała jej zachwyty.

Stał przed nią niewysoki mężczyzna o twarzy wyżłobionej zmarszczkami, ale

przy tym nad wyraz pogodnej. Może to za sprawą siwych włosów, które zdawały się żyć własnym życiem, opadając niesfornie na twarz.

– Bernini wydobył z kamienia taką cielesność, jakiej nie dostrzegamy często w prawdziwym ciele. – Delikatnie przesunął Laurę tak, by spojrzała na rzeźbę pod innym kątem. – Czujesz ich walkę, prawda?

Nie miała pojęcia, kim jest ten mężczyzna, ale magnetyczna siła jego słów sprawiła, że stała wciąż przed rzeźbą i słuchała jego opowieści o kamieniu, który oddycha i krzyczy, o nieszczęściu Plutona, który musiał porwać kobietę, gdyż dobrowolnie żadna nie zesłaby do jego posępnego świata. O jego gwałtowności, która nie była przejawem zła, ale samotności.

– Dasz się zaprosić na spacer, dziewczyno? – zapytał nagle mężczyzna, przerywając swój monolog.



Nie zdążył jeszcze postawić torby, gdy w jego gabinecie pojawiły się Giulia i Livia. Obie poważne i nieco spięte. Stały przed nim jak uczennice. Livia krok z tyłu, Giulia wysunięta na pierwszą linię.

– Chciałyśmy z tobą porozmawiać, ale od dwóch dni nie masz dla nas czasu. Jest sporo spraw organizacyjnych do omówienia.

Nie zdziwił się, że to Giulia zaczęła.

– Przede wszystkim to jest prezent od nas na nową drogę życia. – Livia wręczyła mu torebkę w słoneczniki.

Włożył rękę, wyczuwając znany mu kształt butelki ulubionej wody toaletowej. Nie zdążył jej jednak wyjąć, gdy Giulia zaatakowała znowu.

– Teraz tym bardziej musisz zapanować nad chaosem, bo polegiesz na własne życzenie.

– O co właściwie chodzi? – Domyślał się, jaki jest cel ich wizyty, ale akurat dzisiaj nie miał ochoty ułatwiać im zadania.

– W jakich godzinach mamy pracować? Czy zawsze musimy być obie? Kto prowadzi twój kalendarz? Gdzie jesteś, gdy cię nie ma? Co z twoimi meblami?... – wyliczała Giulia na jednym wydechu.

– Jutro o tym porozmawiamy, dobrze? – Wiedział, że musi się z nimi zmierzyć, ale wszystko może poczekać, przynajmniej do jutra. – Sam muszę się w tym połapać, a za chwilę wychodzę na godzinę i będę niedostępny!

– No właśnie o tym mówię – zaczęła narzekać Giulia, ale posłusznie wycofała się do sekretariatu, skąd słyszał jej groźne grzmienie: – Co mam mówić, kiedy będą pytać...



Tego się nie spodziewała po zwyczajnie rozpoczynającym się dniu, na dodatek po ciężkiej nocy. Miała zwiedzić rzymskie muzeum, a siedziała na ławce i dzieliła się z obcym mężczyzną mandarynkami, które przezornie kupiła rano u Marii. Jej towarzysz okazał się historykiem sztuki, znawcą ognistego baroku i poszukiwaczem cielesności.

– Mam w domu ogromne zdjęcie Porwania, ale nie mogę się powstrzymać, by od czasu do czasu nie wpaść tu i nie pooddychać ich powietrzem. Tę energię można poczuć tylko kilka centymetrów od jej przerażonego spojrzenia.

Uśmiechnęła się, kiwając głową. Jakże miło rozmawiało się z kimś, kto wiedział, czym jest zachwyty. Próbowała dzielić się tym uczuciem z wieloma bliskimi jej osobami, ale zawsze traktowano ją z lekkim przymrużeniem oka. Dopóki mówiła o rzeczach codziennych, była przyjaciółką. Gdy przechodziła na poziom uniesień, stawała się niegroźną wariatką, której nie sposób było nie lubić, ale przecież nikt nie traktuje takich osób poważnie.

– Wpadnij jutro na mój wykład. Będę mówił o Caravaggiu, poznasz inne oblicze barokowego Rzymu. Spodoba ci się. No i może wpleciesz to do swojej rozprawy, gdzieś między wierszami, małym druczkiem. – Uśmiechnął się, szelmowsko mrużąc oczy, jakby sugerował jej coś nie do końca zgodnego z prawem.

Sama nie wiedziała, kiedy opowiedziała mu o stypendium w fundacji i o swoich poszukiwaniach, które prowadziły do samodzielnej rozprawy naukowej. Wyciągnął to z niej, choć wcale nie zamierzała dzielić się swoimi rozterkami badawczymi. W ciszy parku, na ławce, którą przedpołudniowe słońce ogrzewało pomiędzy liści, z dala od warkotu skuterów i klaksonów samochodów łatwo było opowiadać o tym, co ważne dla duszy. A jej towarzysz był świetnym słuchaczem.

– Uciekam – rzucił mniej więcej po godzinie, gdy wiedzieli o sobie na tyle dużo, by przestać myśleć o sobie jak o nieznajomych. – Czekam na ciebie jutro. Powołaj się na profesora Scorzięgo.

I nim się obejrzała, mknął w stronę bramy. Odprowadziła go spojrzeniem do końca alei i ruszyła w swoją stronę. Miała w planach bardziej prozaiczne zajęcia.



Antonio już czekał. Oczywiście nie bezproduktywnie. Wydawał się pochłonięty spożywaniem calzone. Uwielbiał tę potrawę. Twierdził, że zwykła pizza nie ma w sobie żadnych tajemnic, wszystko jest w niej na wierzchu i wyklucza niespodzianki, tymczasem calzone wolno odkrywa swoje wnętrze. Na początek, gdy przebijesz jej chrupiącą wypukłą skorupkę, możesz po zapachu stwierdzić, czy zioła zostały właściwie dobrane, a potem docierasz do farszu, ciepłego i miękkiego... Tak, Antonio mógł godzinami opowiadać o wyższości calzone nad zwykłą pizzą.

– Spóźniłeś się – rzucił, nie podnosząc nawet głowy.

– Tak, ale widzę, że nie próżnowałeś. Mogłeś być sam na sam ze swoją ukochaną.

– Mówiłem, że wykończą cię te dupy lub ich mężowie. Ładny siniak – mruknął, wciąż wpatrzony w talerz.

Jak on to widzi? Mały, niepozorny, chudy jak wiór mimo obżarstwa, nikt nie dałby za niego złamanego grosza. W opinii kobiet zupełnie nieatrakcyjny. Najlepszy student na Sapienza. Laureat wszystkich możliwych nagród. Najlepszy kumpel Andrei. Idealny szef jednej ze służb. Ten człowiek ma szósty zmysł, albo i siódmy.

– Tym razem było to spotkanie z szafą. Chyba powieszę sobie tabliczkę na piersi – powiedział Andrea i powtórzył w myślach, że nigdy więcej nie pozwoli Marcie, by nałożyła mu podkład kryjący.

Od początku dnia już kilkanaście osób spytało go boleściwie o powód guza. Kilkanaście innych wstrzymało się, ale przyglądało mu dyskretnie, tłumacząc sobie w duchu, co mogło się stać.

– A czy przynajmniej osiągnąłeś odmienny stan świadomości? A może to forma samoukarania. Czytałem w pewnej znanej książce o Stworku...

- Znam tę książkę. Latają w niej na miotłach i jest dla dzieci. Rozumiem, że to lektura obowiązkowa w waszej firmie... Dowiedziałeś się czegoś?
- Tak. Mamy tam szklaną kulę i urządzenie do teleportacji. Na razie działa w jedną stronę, możemy spowodować, że ktoś zniknie...
- Opracowano to dawno temu na Sycylii.
- Sycylia, piękna kraina. A wiesz, jaka jest najlepsza calzone na Sycylii?
- Tak, z głową ryby. Ewentualnie konia, na większe przyjęcie. Mów, co wiesz, bo wiem, że wiesz!
- Nicole jest w Tuluzie. Albo ktoś, kto wysłał stamtąd esemes z kawiarenki internetowej. Szklana kula nie kłamie...



Spotkanie z profesorem Scorzim było dla niej tyleż niespodziewane, co wymarzone. Dziś zawdzięczała mu godzinę pełną estetycznych wrażeń, jutro być może pozna kolejne powody, by mogła być mu wdzięczna za to, że zjawił się przy Prozerpinie o tej porze co ona.

– Cześć, piękna – zawołał nieznajomy chłopak na skuterze, zatrzymując się przy krawężniku. – Przejdziesz się ze mną? Moja maszyna jest najlepsza.

Uśmiechnęła się życzliwie, ale machnęła ręką, by jechał dalej. Jej jasne włosy przyciągały uwagę rzymskich podrywaczy, stawiając ją w pierwszym szeregu potencjalnych zdobyczy. Oni lubili dziewczyny inne niż ich koleżanki z podwórka, dlatego jej słowiańska uroda cieszyła się dużym powodzeniem.

– No dobra, to chociaż postawię ci lody, księżniczko. – Chłopak nie dawał za wygraną. – O tam, za rogiem, jest lodziarnia U Giuseppe. To mój wujek. Będziesz mogła wziąć największą porcję. W życiu nie jadłaś takich lodów czekoladowych, jakie robi wujek. No i te pistacje...

– Może przy innej okazji – rzuciła Laura i odgarnęła włosy z twarzy, po czym zaśmiała się do samej siebie.

Uświadomiła sobie bowiem, że bezwiednie zrobiła to, co zazwyczaj tak bardzo podobało jej się u innych kobiet, a jej samej sprawiało pewien problem. Flirtowała z nieznajomym. Jak łatwo było kokietować tego chłopca, o którym nie wiedziała nic poza tym, że za chwilę odjedzie w swoją prywatną siną dal i nigdy więcej go nie spotka.

– Ech, śliczna blondynko. Nawet nie wiesz, jak mi serce krwawi – jęknął i zgodnie z podejrzeniami Laury ruszył skuterem. W ostatniej chwili odwrócił się i krzyknął: – Ale jakby co, pamiętaj: U Giuseppe!

Było coś takiego we włoskim powietrzu, że zaczepki nieznajomych nie budziły w niej strachu. Może dlatego, że uznawali oni prawo do odmowy.

Mogła zamienić kilka zdań, po czym spokojnie wchodziła w tłum, znikając z pola widzenia. Jednego zdążyła się tu jednak nauczyć. Nie patrzyła obcym mężczyznom prosto w oczy, bo oni natychmiast wyczytywali z jej spojrzenia coś, czego absolutnie nie miała na myśli, a co było po drodze ich planom na wspólne spędzenie nocy. Musiały jej wystarczyć przelotne spojrzenia i obserwacje z boku, by nie wzbudzać nadmiernego zainteresowania i nie robić nadziei na więcej. Nawet na tego sympatycznego mężczyznę na Campo popatrzyła tak szybko, że pozostał jej w pamięci głównie jako dotyk. Coś jeszcze w związku z nieznajomym utkwilo jej w głowie, ale nie mogła tego uchwycić.



Zmienił plany. Kiedy wychodził z pracy, zamierzał pojechać jeszcze do Watykanu, by kupić różaniec dla przyjaciółki swojej mamy. Obiecał jej to kilka tygodni temu podczas wizyty w domu, niestety wciąż odkładał to na później. Teraz też tak zrobił. Poczł głód i szybko podjął decyzję o zjedzeniu kolacji w domu. Samodzielne gotowanie uspokajało go i pozwalało mu zebrać myśli. Watykańskie tłumy mogły poczekać, dziś potrzebował zacisza swojej kuchni.

W sklepiku na parterze swojej kamienicy natknął się na Martę.

– Co powiesz na wspólną kolację?

– Jeśli ty ugotujesz.

– To oczywiste, chcę dobrze zjeść. Nie mam ochoty na twoje lokalne potrawy. Co to jest? Kiełbasa wypchana kiszoną kapustą, ziemniakami i świnia?

– Zapomniałeś dodać, że popijamy to piwem i bekamy, zamiast mówić smacznego. Ach ta wasza toskańska pycha...

Przekomarzając się, wrzucali do koszyka produkty na kolację. Andrea poprosił o łososa, dodał kapary i śmietanę, Marta popędziła w stronę regału z winami, ale wróciła z naręczem świec.

– Zrobię nastrój – rozmarzyła się. – Będzie do bólu romantycznie.

– Niepokoi mnie w twojej wypowiedzi słowo „ból”, zwłaszcza po wczorajszym spotkaniu z pewną spódnicą.

Uśmiechnęła się do niego słodko, po czym dorzuciła mu do koszyka najcięższy karton soku pomarańczowego. Gdy zgiął się pod jego ciężarem, odwróciła się i wyszła na dwór. Patrzył, jak kroczy w stronę drzwi.

Ktoś powinien nauczyć ją szacunku dla starszych, przemknęło mu przez głowę, ale w sekundę jego myśli znowu wypełniły się makaronem

w łososiowym sosie. Tym razem jej odpuści.



Nie miała ochoty na spotkanie ze starszymi paniami, których radosna paplanina mogła tylko zepsuć urokliwe zakończenie tego dnia. Cichutko wspięła się po schodach, by przemknąć przez pokój, nawet nie zapalając światła. Usiadła na balkonie i oparła głowę o wysoki fotel.

– Jak cudownie – szepnęła do siebie.

Starsze panie zapewniły jej wszelkie wygody w tym podniebnym raju. Pokoik nie był wprawdzie duży, ale miał wszystko, co Laura ceniła najbardziej. Ogromne okna i balkon obsadzony kwiatami, z którego rozciągał się widok może niepiękny za dnia, lecz urzekająco tajemniczy nocą. Własna łazienka i miniaturowa lodówka zapewniały jej niezależność, ale siostry Manzoni nie wyobrażały sobie, by jadała sama.

– Gdzie ty wędrujesz z tymi zakupami? – krzyknęła Chiara, kiedy pewnego dnia wkrótce po przyjeździe natknęła się na gospodynię.

Bąknęła coś o robieniu kolacji w swoim pokoju, ale już w połowie zdania wiedziała, że jej tłumaczenia nie spotkały się z aprobatą. Chiara wzięła ją za rękę i jak dziecko zaprowadziła do swojej kuchni.

– Czy ty wiesz, że ona chce jeść w pokoju?! – wykrzyknęła do siekającej ziola siostry, załamując ręce.

– Żartujesz?! – Francesca dołączyła do Chiary, wyrażając niezadowolenie. Ale w przeciwieństwie do młodszej siostry nie zamierzała poprzestać na perswazji. – Wykładaj zakupy na stół, zobaczymy, czym zamierzałaś się gościć.

Głos Franceski brzmiał jak nakaz i nie zostawiał miejsca na sprzeciw. Laura poczuła się jak uczennica. Wyłożyła na kuchenny blat wszystkie zakupy, a Francesca obrzuciła je krytycznym spojrzeniem.

– Od jutra jadasz z nami. Od tych dziwnych sucharów nie będziesz mieć

energii, a musisz ją mieć, bo Rzym potrafi wyssać siłę z człowieka.

– Tak, to miasto bywa jak wróżka, która obdarza pięknem, ale kiedy stracisz czujność, zmienia się w wampira pozbawiającego cię krwi – dorzuciła Chiara.

– Jest cudowny, ale zaborczy. Ukarze każdą zdradę, na szczęście potrafi też wynagrodzić miłość.

– Będę mu wierna. – Laura się zaśmiała zadowolona, że inspekcja jej zakupów skończyła się, ustąpiwszy miejsca innym tematom.

Chiara postawiła przed nią talerz z zupą, a Francesca wrzuciła do niej garść świeżo posiekanych ziół.

– Nie masz wyjścia, moja droga, nie masz wyjścia – oznajmiła Francesca. – To miasto nie pozwoli ci odejść. Kiedy wyjeżdżałam stąd jako młoda dziewczyna, byłam pewna, że nigdy nie wrócę. Stefano uwoził mnie w swoje strony, które wówczas wydawały mi się krainą najpiękniejszą z pięknych. Cytrynowe południe oczarowało mnie, ale było miłe tylko do czasu. Po śmierci męża znów stałam się obca, oddzielona od rodziny i znajomych murem ciszy i słońca, które wypala duszę. Oczekiwano ode mnie, że spędzę wdowieństwo na ławce przed domem wraz z innymi wdowami, których życie bezpowrotnie się skończyło. I wtedy powrócił do mnie Rzym, najpierw w snach, potem w marzeniach o powrocie.

– A ponieważ ja właśnie przeszłam na emeryturę, obie z siostrą byłyśmy gotowe na zmiany. Na szczęście Rzym wybaczył nam zdradę, choć ponowne początki tutaj nie należały do łatwych. Musiałyśmy odpokutować tę niewierność. Ale znowu jesteśmy rzymiankami. – Chiara uśmiechnęła się do siostry jak do współnika spisku.



Dobry humor wciąż ich nie opuszczał. Dziwny poranek sprawił, że teraz czuli się w swoim towarzystwie jeszcze swobodniej niż kilka dni wcześniej.

– Na co masz ochotę? – spytał Andrea, chociaż już robiąc zakupy, zaplanował, co będzie gotował.

– Zjem, co ugotujesz – odpowiedziała Marta, zgodnie z jego oczekiwaniami.

– Patrz i ucz się. Pierwsza lekcja za darmo.

Kiwnęła głową i usiadła tak, by widzieć jego kulinarne czary-mary. Pełnym fantazji ruchem owinał się fartuchem, odrzucił nieistniejącą grzywę i podniósł kuchenny nóż jak skalpel.

– To proste – rzucił, wywijając nożem w powietrzu, jakby sposobił się do pojedynku. – Potrzebny jest wędzony łosoś, czosnek, piniolo, kapary. Do tego bazylią, białe wino, śmietanka na sos, sól i pieprz. I jeszcze ktoś, kto ci ugotuje.

– Poczekaj, jeszcze będziesz oblizywać palce po mojej golonce w piwie – wymamrotała Marta i w geście zemsty szybkim ruchem odsunęła deskę z bazylią, przez co jego nóż zawisł w próżni.

Przysunął z powrotem deskę, a jedną gałązkę bazylii położył Marcie na głowie tak, by imitowała grzywkę.

– Do twarzy ci w zieleni – powiedział i włożył jej w usta łyżkę obraną z listków. Uśmiechnął się zadowolony. – A gdy milczysz, jesteś niemal pociągająca, pani karabinier.

Marta była piękną kobietą. Przyciągała uwagę miejscowych mężczyzn, bo nie miała włoskiej urody. Pochodziła z Tyrolu, z Rasun Anterselva, ale ona twierdziła, że z Rasen Antholz. W domu mówiła po niemiecku. Kiedy się urodziła, Tyrol Południowy od dziesięciu lat miał autonomię, a mieszkańcom zagwarantowano prawo rozmawiania w tym języku. Z opowieści rodziców

i dziadków znała historię tego regionu i stosunek władz włoskich do niego.

Jeden z senatorów z Ligi Północnej spytał pewnego razu Andreeę, czy nie wie o jakimś wolnym pokoju do wynajęcia dla jego kuzynki, spokojnej dziewczyny z Północy. Andrea uznał, że na miesiąc może ją przygarnąć do siebie. Ma duże, prawie puste mieszkanie. Gdy otworzył drzwi, w progu stała kobieta w mundurze.

– Marta Tischner, jestem od senatora Kellera, będę tutaj mieszkać – oświadczyła tonem niepozostawiającym wątpliwości co do jej charakteru.

Andrea zlustrował ją spojrzeniem. Na oko 176 wzrostu, pozostałe wymiary 90–66–96 – jak się potem okazało, pomyłki nie przekraczały jednego centymetra. Krótkie ciemne włosy, duże zielone oczy. I ten mundur. Mogła robić wrażenie. Po męsku uścisnęła mu dłoń.

– Który pokój jest mój, gdzie jest łazienka?

– Pokój pierwsze drzwi po lewej, łazienka trzecie.

Kiedy przechodziła korytarzem, dostrzegł jedyną rzecz, która umniejszała jej kobiecość – chodziła na szeroko rozstawionych nogach, po męsku. Wkrótce dowiedział się, że to pozostałość z czasów, gdy trenowała biathlon.

I tak została do dziś, do pierwszej naprawdę wspólnej kolacji.

Wyszedł na taras, gdzie Marta nakryła stół białym obrusem, ustawiła świece i kwiaty. Naprawdę się spisała. Wciągnął powietrze i poczuł odświeżający powiew usypiającego miasta. Lubił jeść na tarasie, zwłaszcza późnym wieczorem, gdy inne balkony wychodzące na patio pustoszały, cichł brzęk sztućców i gwar rozmów. Tyle że już dawno nie pozwalał sobie na taką przyjemność. Ostatnio obrus rozkładała na stole Nicole...

Pojawienie się Marty wyrwało go ze wspomnień. Stała przed nim w zwiewnym wdzianku w stylu dzieci kwiatów, z butelką białego wina w ręku.

– Zabrałaś to jakiejś narkomance w czasie akcji?

– Nie, sama uszyłam. Mam wiele ukrytych talentów. Dorabiam szyciem do swojej pensji. Wiesz, wynajęcie mieszkania w Rzymie dużo kosztuje.

– Na szczęście dzisiaj kolację masz gratis. Zaoszczędzisz na śniadanie.

– Dobry pan, ludzki człowiek. – Kiwała się jak chiński dostojnik, dziękując mu za wielkoduszność.

– Jeszcze chwilę i zmienisz to wino w szampana. – Andrea odebrał Marcie butelkę i posadził ją przy stole.



Tym razem nie było jej dane poleniuchować, bo zanim na dobre otworzyła oczy, rozległ się dźwięk domowego telefonu.

– Kochaniutka, czy mogłabyś szybciućko zejść do kuchni. – Usłyszała Chiare, która z niewiadomych przyczyn mówiła prawie szeptem. – Tylko błagam, na paluszkach, żeby nie usłyszała.

Domyśliła się, że chodzi o Francescę, ale sytuacja nie była ani o cień jaśniejsza. Ubrała się pospiesznie w sportowe spodnie i koszulkę, które służyły jej do porannej gimnastyki, i trzymając w ręku klapki, zbiegła po schodach. W kuchni zastała Chiare, która na jej widok podbiegła i złapawszy ją za koszulkę, zaczęła nerwowo szeptać:

– Ona znowu będzie marudzić. A ja po prostu zapomniałam. Pomóż mi...

Musiała minąć dłuższa chwila, zanim do Laury dotarło, że ma skoczyć do piekarni za rogiem i kupić świeże bułeczki, bo dziś Chiara była odpowiedzialna za przygotowanie śniadania, a Francesca uwielbiała te właśnie bułeczki, żadne inne.

– Tylko pospiesz się, żeby nas nie nakryła. Bardzo cię proszę.

Konspiracja starszej pani wydała się Laurze rozczulająca. Ruszyła do drzwi wyjściowych, skradając się teatralnie, by utwierdzić Chiare w przekonaniu, że nikt się nie dowie o ich tajnym pakcie porannym.

– Jak dobrze, że zdążyłaś – szepnęła Chiara, gdy młoda lokatorka postawiła przed nią torbę z bułkami. – Słyszałam, że Francesca wstała, więc pewnie za chwilę zejdzie.

Laura usiadła przy stole, tworząc iluzję leniwego poranka, który dopiero się rozpoczął. Obserwowała krzątanicę Chiary, spokojnej już, że gniew starszej siostry tym razem jej nie dosięgnie. Choć obie miały za sobą dziesiątki lat samodzielnego życia, z dala od siebie, wciąż zachowywały się tak, jakby nie

spędziły osobno jednego całego dnia.

Laura utrzymywała dobre relacje ze swoim rodzeństwem, rodzonym, przyrodnim i ciotecznym, nigdy jednak nie była z nikim w rodzinie aż tak związana jak siostry Manzoni ze sobą. Za Moniką i Darkiem poszłaby w ogień, ale na co dzień wystarczały im rozmowy przez telefon i spotkania z okazji rodzinnych świąt. Czasami odwiedzała ich bez zapowiedzi, zjadali wspólny obiad, pośmiali się przy kieliszku wina i rozchodzili do swoich spraw.

– Idź mi już stąd! – Opędała się Monika, gdy siostra zaczynała się zwierzać ze swoich jaskółczych niepokojów. – Wpadnij, gdy ci przejdzie.

Obie wiedziały, że to żart, ale wiedziały też, że nigdy nie ruszą razem na podbój świata. Mogą się wspierać z bezpiecznej odległości, myśleć o sobie ciepło i czule, zwykle dni jednak spędzały, zajmując się swoimi sprawami.

– Musimy się w końcu umówić na kawę – powtarzała z kolei Barbara, córka ojca z pierwszego małżeństwa.

Była dziesięć lat starsza od Laury, bardziej od zdobywania świata interesowała ją budowa domu dla syna, który niedawno przyprowadził rodzicom narzeczoną w ciąży. Monikę i Laurę zawsze traktowała z pełną sympatii pobłażliwą wyższością, co nie dawało szans na zawiązanie przyjaźni.

Laura najbardziej serdeczne relacje miała ze swoją rówieśnicą Kaśką, córką ciotki Sabiny. W tych samych momentach przechodziły przez podobne kryzysy życiowe, radziły sobie z podobnymi trudnościami, jakiś czas nawet wzdychały do podobnych mężczyzn. Na szczęście kilka lat temu kuzynka zaczęła gustować w panach przysadzistych i obłych, a to za sprawą Maćka, który zagościł w jej życiu. Kaśka wydawała się trzpiotką, panną z mokrą głową, trudno było za nią nadążyć, nie należało też powierzać jej sekretów, zawsze bowiem przez przypadek coś komuś powiedziała i tajemnica wychodziła na jaw. Ale kiedy Laura wyszła ze szpitala i musiała się zmierzyć z konsekwencjami czynu Krzysztofa, to właśnie Kaśka stała za nią murem i nie pozwalała jej zwątpić.

– To nie ty go uderzyłaś – przekonywała uparcie, gdy tylko Laura zaczynała się zastanawiać, czy rzeczywiście nie jest winna tego zdarzenia, tak jak powtarzała jej to matka Krzysztofa, dzwoniąc z pretensjami i oskarżeniami.

– To tobie należy się współczucie – twierdziła, gdy wspólni znajomi opowiadali, że Krzysztof jest załamany po tym, co się stało.

I tylko ona próbowała ją wyrwać z otępienia, zabierając na koncerty, degustacje potraw i do perfumerii. Reszta rodziny powtarzała, że to przejdzie, a Kaśka przechodziła tę swoistą rekonwalescencję zmysłów razem z Laurą,

zawsze była blisko, choć na swój zwariowany sposób.



Dość często kończył swój urzędowy tydzień w czwartek. Uważał, że z szacunku dla trzech największych religii piątek, sobota i niedziela powinny być wolne. Tak brzmiała wersja oficjalna, a tak naprawdę w piątki na ogół wyjeżdżał na wydziały prawa różnych uczelni z wykładami na temat konstytucji i planowanych zmian. Od lat był ekspertem komisji konstytucyjnej, cenionym mimo młodego wieku i braku tytułów naukowych. Lubił te wyjazdy. Twierdził, że dzięki nim zdobywał wiedzę o tym, czego młodzi ludzie oczekują od najważniejszej ustawy, jak wyobrażają sobie państwo, w którym chcieliby żyć. Zawsze powtarzał, że prawo jest dla ludzi, a nie ludzie dla prawa. Dlatego na swoich wykładach głównie słuchał. Uwielbiał słuchać. Coraz mniej lubił być słuchany.

Tym razem uczelnia w ostatniej chwili odwołała jego zajęcia, z niechęcią wyruszył więc w piątkowy ranek do pracy. Nie chciał jednak tracić weekendu, dlatego podjął decyzję, że jutro o świcie wyruszy do domu, do swojej Toskanii. Spotka się z mamą, pochodzi po trawie, naładuje akumulatory. Musiał tylko wreszcie kupić prezent dla najlepszej przyjaciółki mamy, obiecany różaniec z Watykanu. A czasu miał mało. W porze lunchu wyskoczy do San Pietro.



Księżniczka wyciągnęła się na słońcu, odsłaniając brzuch. Na kilka ulotnych chwil straciła swoją wyniosłość, poddając się rozkoszy ciepłych promieni. Czarna sierść połyskiwała w słońcu, a biała plamka na czubku ogona co chwila podskakiwała radośnie, gdy kocica okazywała światu swoje szczęście. Leniwym ruchom ogona towarzyszyło mrużenie oczu i systematyczne przeciąganie się, by zagarnąć kolejne porcje słońca.

– Ty jesteś w ciąży – odkryła Laura, przypatrując się uważnie dużemu brzuchowi, który wypiętrzył się przed nią na kilka sekund. – Gratuluję, Księżniczko.

Miała ochotę ją pogłaskać, ale kocica, choć dopuściła ją do swojej tajemnicy, wciąż nie dopuściła jej do swojego serca. Laurze pozostał zachwyt z dystansu nad misterium życia, które rozgrywało się na oczach niczego nieświadomych mieszkańców okolicznych kamienic.



– Dzień dobry, potwory – czule powitał sekretarki. – Dzisiaj meblujemy mój pokój.

I czulej niż zwykle ucałował je na powitanie.

– Mieliśmy dobrą noc – walnęła prosto z mostu Giulia, mrużąc oczy w złośliwym uśmiechu.

– Wasz szczęśliwy dzień też kiedyś nadejdzie. Nie traćcie nadziei...

– Obiecanki cacanki – dodała Livia i rzuciła Andrei spojrzenie pracownika służb skarbowych. – Spójrz, Giulio, nie ma nowego siniaka.

– To dlatego taki radosny skowroneczek. – Giulia zaśmiała się i puściła oko do Livii.

Uśmiechnął się do koleżanek. Znali się od dawna i zawsze wspierali, gdy ich drogi krzyżowały się w kolejnych urzędach. Kilka lat temu zaczęli razem zmieniać gabinety, tworząc coraz bardziej zgrany zespół, który szczególnie dobrze radził sobie w sytuacjach, gdy inni bezradnie rozkładali ręce. Zaczęto ich nazywać grupą specjalną, podejrzewając, że mają kontakty z osobami, z którymi należało je mieć. Dziś najbardziej brakowało Andrei ich koleżeńskich przekomarzań i żartów, które ustąpiły miejsca poważniejszym obowiązkom i relacjom. Wiedział, że tak musi być, i cieszył się, że Giulia i Livia to rozumieją, ale nie wzbraniał się, gdy od czasu do czasu powracała atmosfera beztrioskiej zabawy.

– A jeśli chodzi o meble, to od kilku dni masz w gabinecie nowy mebelek. – Julia ruchem rąk nakreśliła kształty Pietra. – Oczywiście teraz też możesz liczyć na jego obecność.

Rzeczywiście, w swoim fotelu Andrea dostrzegł rozpartego Pietra, który z zachwytem przeglądał jakąś prasę plotkarską.

– Znalazłem świetny artykuł! – zawołał na widok gospodarza, nie tracąc

czasu na powitania. – Gwiazdy podpowiadają, jak zabezpieczyć piersi podczas opalania. Genialny, bogato ilustrowany.

– Weź go sobie, może zastosujesz te złote rady do zabezpieczenia głowy. A teraz marsz na kanapę, masz ostatnią szansę.

– Nie żartuj, chyba nie wyrzucisz jej z pokoju?! Ty wiesz, kto z niej korzystał? Ileż koalicji zawarto na niej, ile awansów i podwyżek przyznano. Nie niszczyć historii tej izby!

– Nie niszczyć. Będzie stała w głównym holu przed wejściem do sali obrad niczym zbiorowy wyrzut sumienia.

– A jak ty sobie poradzisz? Przecież te stoły są bardzo twarde.

Andrea nigdy nie komentował tego typu wypowiedzi, nawet gdy wygłaszał je Pietro. Seks w pracy i żarty na ten temat nie bawiły go, co więcej, czuł wówczas narastającą irytację i miał ochotę wyjść. Ponieważ nie mógł sobie na to pozwolić, opanowywał się i zmieniał temat.

Kanapa faktycznie była symbolem tego miejsca. Poprzedni gospodarze tego gabinetu korzystali z niej często i w różnych celach. Na niej podejmowano wszelkie decyzje, od zatrudnienia kandydatki po lepsze warunki odejścia. Było to tak oczywiste, że pozytywna odpowiedź na „proszę spocząć na kanapie” automatycznie oznaczała zgodę na ciąg dalszy.

– A co zrobiłeś z poprzednimi maskaronami z sekretariatu? – Myśli Pietra najwyraźniej wciąż krążyły wokół damsko-męskich tematów wywołanych czułym wspomnieniem dziejów pluszowej kanapy.

– Mogę dać ci namiary do nich, dziewczyny zapiszą ci numer.

Na szczęście Pietro był umówiony na spotkanie z delegacją senatorów z Afryki. Szybko dokończył kawę i z gazetą, która wprawiła go w tak dobry nastrój, wyszedł z pokoju. Andrea mógł wreszcie spokojnie wypić kawę, przeglądając poranną pocztę.



Wpadła do sali wykładowej w ostatniej chwili. Profesor Lorenzo Scorzi cieszył się ogromną popularnością wśród studentów historii sztuki, wystarczyło więc jego nazwisko wysapane w biegu na dowolnym zakręcie korytarza, by każdy wskazał jej właściwy kierunek. Jeszcze nie zaczął wykładu, ale wszyscy już siedzieli, wyczekując jego pierwszych słów.

Laura zobaczyła wolne miejsce w pobliżu drzwi i zaczęła się przesuwać w stronę upatrzonego krzesła. Starła się nie hałasować, ale i tak kilka osób odwróciło się w jej stronę. Na szczęście szybko zniknęła w tłumie siedzących, a profesor rozpoczął monolog. Stał na podwyższeniu i spokojnym, choć potężnie rozbrzmiewającym w auli głosem przytrzymywał uwagę słuchaczy. Miał dar mówienia. Czas płynął, a audytorium pozostawało w niemym zachwycie dla mistrza.

– Był jednym z tych artystów, którzy po natchnieniu schodzili do piekieł, by dopiero w bólu i cierpieniu odnaleźć wiarę i piękno. Zamiast promieniejących wszechpotężnym światłem chórów anielskich są błyski światła, niczym fotograficzny flesz, wyłaniające z ciemności brudne pięty, wychudzone twarze i nędzne życie, w którym pojawiają się całkiem nienędzne uczucia...

Jak urzeczona słuchała opowieści o Caravaggu, jakiego nie znała. Owszem, nieobce jej było jego malarstwo, ale dotychczas dostrzegała w nim tak niewiele, widziała raczej mrok niż wędrujące po płótnach wiązki światła. Niezbyt podobały jej się wykrzywione twarze i chorobliwie drgające spojrzenia, a przecież to w nich jest codzienna świętość, której tak historycznie poszukiwał przez całe życie nieszczęśliwy mężczyzna o talencie równym największym tego świata.

Półtorej godziny minęło niczym mgnienie oka. Profesor zakończył wykład, opowiadając na pożegnanie jakąś anegdotę z życia wydziału, po czym zszedł

do studentów, którzy otoczyli go wianuszkami. Nie chciała się przepychać przez tłum, a ponieważ krąg wielbicieli profesora nie malał, zaczęła dyskretnie wycofywać się z sali.

– A jednak nie przywidziało mi się, że to piękna sąsiadka – usłyszała za plecami. Odwróciła się, przed nią stał Matteo. – Co ty tu porabiasz, dziewczyno?

Bez swojego brata bardzo zyskiwał, jego spojrzenie nabierało wdzięku, a uśmiech nadawał dość surowym rysom chłopięcej miękkości.

– Profesor mnie wczoraj zaprosił.

– Dopiero niedawno przyjechałaś do Rzymu, a już poznałaś profesora? To ja musiałem walczyć jak lew, żeby dostać się na jego seminarium, a ciebie tak po prostu zaprosił.

– Sztuka lubi egzotykę, a w tym mieście jestem trochę egzotyczna. – Poklepała go pocieszająco po ramieniu. – W moim kraju ty miałbyś fory.

Pogrążeni w rozmowie nie zauważyli, że ich rozmowie od dłuższej chwili przysłuchuje się profesor.

– Witaj, miłośniczko sztuki – odezwał się w końcu, a oboje młodzi drgnęli zaskoczeni. Uśmiechnął się zwycięsko, jakby sprawiało mu radość wprawianie ludzi w zakłopotanie. – Matteo, zadziwiasz mnie, chłopcze. Ja przez godzinę zabiegałem o względy tej pięknej damy, a tobie wystarczyło pięć minut, by na jej twarzy pojawił się cudowny uśmiech.

Stała między dwoma mężczyznami, którzy rozpieszczali ją podziwem dla jej urody. Matteo słał porozumiewawcze spojrzenia, profesor zaś puszył się otwarcie, korzystając z przywilejów, jakie dawał mu wiek i pozycja na uczelni.

– Chodźcie do mojego gabinetu. Silvia obiecała, że uruchomi dziś ekspres do kawy, który dostaliśmy w zeszłym miesiącu od profesora Browna. Zobaczymy, czy amerykańska maszyna potrafi zrobić włoską kawę.



W końcu Andrea mógł przejrzeć zawartość szuflad. Giulia i Livia sprzątnęły gabinet, usuwając wszystko to, czego poprzedni minister nie zabrał sam. Biurko zostawiły jednak jemu. W głównej szufladzie odkrył ciężką mosiężną ramkę na zdjęcia, zrobioną chyba na specjalne zamówienie, gdyż jedna jej połówka była pusta, zapewne po wyjętym w pośpiechu zdjęciu, drugą natomiast stanowiło lustro. Coś takiego mógł stworzyć tylko chory, narcystyczny umysł. Umysł jego poprzednika.

Zdjęcia bliskich stanowiły normę w przestrzeniach biurowych. Stały w każdym pokoju, okupowały biurka, biblioteczki i parapety. Uśmiechały się z nich dzieci, żony, mężowie, narzeczeni, a także ulubione koty i psy. Czasem były szybko chowane do szuflady, czasem wymieniane na inne. Andrea nigdy nie ustawił na swoim biurku żadnej ramki, nie wsunął do portfela żadnego zdjęcia. Uważał, że nosząc obrazy bliskich w sercu, jest im bardziej wierny. A przy okazji chronił ich przed wścibskimi oczami biurowych plotkarzy i informatorów.

Spojrzał na trzymaną w dłoni ramkę. Poczul się niezręcznie, widząc swoje odbicie. Nie unikał luster, ale ta ramka budziła w nim niepokój, przywołując na myśl złą drogę, którą podążył jego poprzednik i na którą on też mógł wejść. Gdyby tylko chciał. Ale nie chciał. Bronił tego, co uznawał za słuszne, co za słuszne uznawała jego mama. Pewnie nie wszystkie jego wybory pochwaliliby, ale starał się żyć tak, by spoglądać w jej oczy z przeświadczeniem, że nie sprzeniewierzył się mądrości i nauce, które mu wpoila.



Laura poczuła, jak krew w jej żyłach pulsuje. Nagle świat wokół niej zagęścił się, otoczyły ją nowe osoby. Dotychczas nowe znajomości pojawiały się pojedynczo, teraz znalazła się w centrum innej rzeczywistości. Spokojna praca w fundacji, tak naprawdę będąca tylko swego rodzaju pretekstem do pobierania stypendium, kulinarne rozmowy z siostrami Manzoni i ich przyjaciółmi, pogawędki na Campo de' Fiori – wszystko to dopełniało się przyjemnie, dając poczucie spokoju i bezpieczeństwa, których bardzo potrzebowała. Jednak w ciągu kilku dni wydarzenia przyspieszyły, wypełniając dni Laury kalejdoskopową intensywnością wrażeń.

– Sergio wzdycha do Giovanny, która z kolei nie może przestać myśleć o Giuseppe. To ten blondynek o spojrzeniu mordercy – referował Matteo, kiedy zbliżali się do gabinetu profesora. – Mam pewne podejrzenia, że Giuseppe miałby chętkę na Adalberta, ale może się rozczarować, bo jemu w oko wpadła Lucia.

– Czy nikt tu nie kocha z wzajemnością? – Laura śmiała się, gubiąc się w zawłościach towarzyskich przyszyłych historyków sztuki, którzy nie mogą dojść do ładu ze swoimi uczuciami.

– Ależ kochają, kochają. – Matteo zamachał rękami i nachylił się konspiracyjnie. – Nawet grupowo. Fabrizio kocha Veronique i uwielbia Monicę, a one odwzajemniają jego uczucia, nic sobie nie robiąc z konkurencji.

– A gdzie ty jesteś w tym zamieszaniu? Kogo kochasz?

– Ja... kocham sztukę – wybrnął sprytnie i puścił do niej oko, by nadać swojej wypowiedzi mniej poważny wydźwięk

Jakże sympatycznie rozmawiało się z Matteo, który wziął na siebie rolę cicerone i wypełniał tę misję z ogromnym wdziękiem. Kiedy weszli do gabinetu, przedstawił Laurę każdej osobie, jaka pojawiła się w pobliżu, więc

gdy profesor przystąpił do prezentacji, wszyscy już się znali, choć Laura lepiej orientowała się w miłosnych niż naukowych zawiłościach nowo poznanego towarzystwa.

– Nie próbuj zrozumieć Rzymu. Postaraj się go poczuć – powiedziała Veronique, gdy Laura zwierzyła się z obaw, że to miasto nie otworzy się przed nią, nie pokaże nic ponad swego rodzaju menu turystyczne. – Kiedy tu przyjechałam rok temu, wszystko mnie przerażało. No wiesz, Francja jest taka elegancka i poukładana, a tu same emocje. – Zaśmiała się na wspomnienie swoich pierwszych kontaktów z Rzymem. – Profesor kazał mi brać notatnik i pracować na ulicach. Miałam przesiadywać tam, gdzie gromadzi się największy tłum, żeby poczuć, czym naprawdę jest to wariackie miasto.

– I poczułaś?

– O tak! Najpierw okradli mnie w Koloseum, potem przy Fontannie di Trevi, a w końcu omal nie złamałam nogi na Schodach Hiszpańskich, gdy grupa japońskich turystów próbowała pobić rekord świata w szybkości robienia zdjęć. Ale gdy piłam cappuccino na dachu bazyliki, poczułam, że zaczynam panować nad otaczającą rzeczywistością. Potem było coraz lepiej.

Roześmiana Veronique od razu przypadła Laurze do serca, podobnie Lucia o lekko wystraszonej spojrzeniu i Sergio, który nie mógł oderwać wzroku od ślicznej Giovanny. Reszta na razie pozostawała w cieniu, czekając na swój moment.

Pożegnana z włoską serdecznością Laura postanowiła wzorem Veronique poczuć Rzym w miejscu najbardziej pulsującym. Tam, gdzie wszystko się zaczyna i kończy, nabiera sensu, wyrazistości i przynosi otuchę. Przed wyjściem wszyscy sięgali do ogromnego kosza, który stał w sekretariacie profesora. Laura też wzięła jabłko na drogę i po wielekroć obdarzona rzymskim uśmiechem ruszyła przed siebie.



Spojrzał na zegarek. Jeśli miał zdążyć z prezentem dla pani Vianini, przyjaciółki mamy, musiał to zrobić teraz, bo potem czeka go jeszcze kilka istotnych rozmów.

– Wychodzę na lunch, wracam za godzinę – rzucił, przechodząc przez sekretariat.

Giulia i Livia były pogrążone w przeglądaniu zawartości szafy, do której klucz znalazły dopiero dziś rano na dnie jednej z szuflad. Livia wystawiła tylko rękę na znak, że przyjęła do wiadomości komunikat szefa.

Na szczęście szybko udało mu się dotrzeć w pobliże San Pietro. Trafił chyba na jeden z nielicznych momentów w ciągu dnia, gdy wycieczki szukają odpoczynku w restauracji, a nie kolejnych zabytków. Zbliżając się do placu, poczuł głód. No tak, jemu też by się przydał jakiś posiłek regenerujący. Rozejrzał się za ulicznym sprzedawcą.

– Poproszę z prosciutto.

– Seść euro – wyseplenił czarniawy chłopak.

Andrea podał mu banknot o nominale dziesięciu euro.

– Nie mam wydać. – Sprzedawca w teatralnym geście rozłożył ręce, po czym nachylił się w jego stronę i wyrecytował: – Dam panu dwie. Moja strata, pana zysk.

– Niech będzie. – Andrea machnął ręką, nie chcąc się wdawać w dyskusję z cudzoziemcem, który zapewne udawałby, że nie rozumie.

Stały numer. Taka bułka w innym miejscu kosztowała najwyżej trzy euro, ale tu było zbyt wielu zmęczonych i głodnych turystów, by odpuścić sobie możliwość większego zysku. Pomyślał o absurdzie sytuacji – w Watykanie Arab sprzedaje kanapki z wieprzowiną, a do tego oszukuje i kaleczy piękny język Dantego.

Napełnił butelkę wodą z kranu w ścianie i rozejrzał się za miejscem do siedzenia. Zdecydował się rozgościć pod jedną z kolumn okalających plac. Zdjął marynarkę, buty i skarpetki. Oparł się plecami o kolumnę, stawiając bosc stopy na posadzce. Łagodny chłód od podłóža sprawił, że poczuł, jak ogarnia go fala odprężenia. Przymknął oczy. Odpływał.

Nagle usłyszał podrywające się do lotu gołębic. Zazwyczaj spacerowały spokojnie. Były u siebie, ale musiały tolerować wdzierające się w ich stado sandały pielgrzymów. Od czasu do czasu, gdy ktoś energiczniej wkroczył między ptaki, wlatywały nad plac, okrążały go i wracały na swoje miejsce. W jednym momencie potrafiły wzbić się w górę pomiędzy posągi świętych na fasadzie bazyliki, by po chwili opaść gwałtownie pod nogi ludzi.

Andrea leniwie obserwował ich lot. Dziwne ptaki. Dla czyścicieli ulic największa zmora, dla wierzących – symbol trzeciej osoby Trójcy Świętej, szczególnie w tym miejscu. A dla wierzących czyścicieli ulic? Uznał to pytanie za zbyt poważne w chwili wypoczynku. Gołębic, nie czekając na rozstrzygnięcie problemu, wylądowały na placu obok kolumnady, a wzrok Andrei za nimi.

Wtedy zobaczył drobną postać, dziewczynę z plecakiem, która biegła w jego kierunku. Prawie tańczyła, klucząc między gołębiami tak, aby żadnemu z nich nie zrobić krzywdy. One zaś nie reagowały, nie zerwały się do kolejnego okrążenia. Może były zbyt zmęczone, a może uznały, że z tej strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Była tak blisko, choć bardziej zdawały się ją fascynować ślady stóp niż otaczający świat. Andrea wyciągnął rękę w jej kierunku.

– Dobra pani da grosik potrzebującemu...

Szła ze wzrokiem skierowanym w dół. Zobaczyła jego bosc stopy. Spojrzała wyżej, jasne spodnie, biała koszula, jedwabny krawat w kolorze burgundowym... Zastygła zaskoczona.

– Dzień dobry, pani Lauro, znów mam szczęśliwy dzień.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się lekko, przechylając głowę w lewo.

Widział, że przez ułamek sekundy zastanawia się, kim jest ten mężczyzna, który zna jej imię.

– Pomyślałem, że o tej porze będzie pani głodna, więc kupiłem kanapkę. – Andrea czuł, że ma w tej rozmowie przewagę, i choć nie zamierzał jej wykorzystywać przeciwko tej fruwającej nad placem dziewczynie, nie mógł się oprzeć wprawieniu jej w lekkie zakłopotanie.

– Ale ja... sama nie wiem. Spieszę się... chyba.

– Kocha, to poczeka, nie poczeka, jego strata – wygłosił frazes, który o dziwo w tej chwili zabrzmiał naturalnie. Ponieważ wciąż się wahała, uśmiechnął się szeroko. – Zapraszam panią na prawdziwy rzymski lunch. Jakby pani nie zauważyła, jesteśmy w Rzymie, a tu o tej porze wszyscy jedzą, nie biegają.

– Tak, wiem, ale...

– Nigdzie pani nie porywam. Zarezerwowałem dla pani idealną miejscówkę tu pod kolumną. – Spojrzał jej głęboko w oczy. Widział, że się waha. – Czekam już od rana, niech mi pani nie odmawia. Na bosaka jestem zupełnie niegroźny.

Zaśmiała się swobodnie i rozłożyła ręce na znak poddania się jego namowom.

– W takim wypadku zgoda, ale ucieknę, gdy zacznie pan wkładać buty.

Wskazał jej miejsce obok siebie, a kiedy ostrożnie usiadła, podał kanapkę i szepnął:

– KobiECE buciki też bywają groźne, proszę je zdjąć.

Zrobiła, o co poprosił. Dotknęła stopami ziemi i oparła się plecami o kolumnę. Słyszał, jak bierze głęboki wdech. Nie musiał pytać, widział, że to naprawdę było jej potrzebne.

– Zawsze je pan tutaj drugie śniadanie? – zapytała nagle.

– Tylko dzisiaj, bo chciałem zjeść z panią. Zamówiłem kanapki dla dwojga, przyniosłem wodę prosto z akweduktu. I czekałem.

Podał jej butelkę z wodą. Upiła duży łyk i przez dłuższą chwilę delektowała się jego świeżością. Kątem oka patrzył na jej profil.

– Jadałam już takie kanapki, ale ta jest inna – wymruczała, wbijając się w kolejny kęs kanapki.

– To siła tego miejsca. Tu wszystko ma inny smak. Tam w budynku po prawej na ostatnim piętrze jest okno, z którego przemawiał, na wprost w bazylice jego grób. To chyba dla Polaków miejsce szczególne, taka mała Polska na włoskiej ziemi. Język polski słychać tu częściej niż włoski.

Nie odpowiedziała, ale widział, że powiodła wzrokiem po rozpościerających się przed nimi budynkach Watykanu. Zastanawiała się nad czymś, popijając wodę ze wspólnej butelki. Siedzieli w kojącym milczeniu jak starzy znajomi, którzy porozumiewają się bez słów. Żadnego przymusu zabawnej konwersacji, żadnych zobowiązań intelektualnych. Po prostu ciche

współbiesiadowanie. Spłoszone gołębie wzbiły się ponownie wysoko, podniosła wzrok i śledziła ich niespójny lot ponad kolumnadą.

– Lubi pani gołębie?

– Tak, ale tylko w postaci gołąbków z sosem pomidorowym. – Uśmiechnęła się.

– Myślałem, że gołębie to specjalność Azjatów.

Machnęła ręką, jakby chciała cofnąć swoje słowa.

– Nie zjadamy małych gołębi! Zapomniałam, że to tylko polska specjalność. Gołąbki to mielone mięso z ryżem zawijane w liście kapusty, czasem takiej, którą nazywamy włoską. Do tego sos grzybowy albo pomidorowy.

– Takie greckie dolmada antipasti, tyle że bez liści winogron? – upewnił się.

– Tylko o wiele smaczniejsze – szepnęła niemal konspiracyjnie. – Głęboki zapach, nasycony smak, cudowna sytość. Musi pan kiedyś spróbować.

– Tak, ale w pani towarzystwie.

– W Rzymie może to być trudne, nie zauważyłam polskich restauracji.

– Liczyłem na takie w pani wykonaniu. Mięso i włoską kapustę dostanie pani na każdym targu. – Zrobił głęboki wdech, jakby wachał gotowe gołąbki. – Wierzę w panią.

Spojrzał na zegarek i w ułamku sekundy zrobił się oficjalny.

– Niestety, to musi poczekać, obowiązki wzywają. Przepraszam, że ubieram się przy pani. Tak wyszło – sapnął, zawiązując buty.

– Typowy mężczyzna. Ubiera się po konsumpcji, mówi do widzenia i odchodzi.

– A mógł powiedzieć: zegnaj. Do widzenia daje nadzieję na kolejne spotkanie.

Podał jej rękę, by mogła wstać. Zrobił swój test. Nie wycofał dłoni, tylko ją otworzył, dając Laurze możliwość zabrania swojej. Nie zrobiła tego.

– Andrea Lituano. Andrea.

– Laura Pszczółka. Laura.

– Bardzo dźwięczne nazwisko, ale nie spróbuję go powtórzyć.

– Twoje za to jest lekkie i melodyjne. Moje oznacza pożyteczne pracowite stworzenie płci pięknej, które wytwarza miód. Samce w tym gatunku nie robią nic...

Miała swoją chwilę triumfu. Wolno nachylił się, poznając przy okazji zapach jej perfum. Słodkie, ale niezbyt intensywne. Jakby podszyte letnim wiatrem. Ucałował jej dłoń.

– Uciekam. Nie płosz gołębi, potrafią się zemścić. – Włożył marynarkę, a jej dłoń zamienił na teczkę i zniknął za kolumną.



Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że wciąż jeszcze czuje na swojej dłoni dotyk jego ręki. W pierwszym momencie go nie poznała. Wtedy na Campo przyjrzała mu się szybko, ale daszek straganu ukrywał jego twarz w lekkim półcieniu, dzisiaj siedział przed nią w promieniach słońca, bosy, bez marynarki. Dopiero kiedy zaczął do niej mówić, zobaczyła ten błysk w jego oczach, który przykuł jej uwagę. Popatrzyła na dłoń. Ta sama obrączka i maleńka blizna na małym palcu tuż przy paznokciu. Nie mogła się mylić.

On rozpoznał ją od razu i bawił się swoją przewagą, ona potrzebowała dłuższej chwili, by połączyć Watykan z pomidorami.

– Lepiej późno niż wcale – mruknęła do siebie i pociągnęła kolejny łyk wody z ich wspólnej butelki. Zapomniał czy zostawił, by zastanawiała się, czy zapomniał?

Spędzili ze sobą sympatyczne pół godziny. Wreszcie czegoś się o nim dowiedziała, choć wciąż pozostało wiele niewiadomych. I po raz pierwszy od dawna absolutnie nie przeszkadzało jej to, że pozwolono jej spojrzeć przez dziurkę od klucza, nie mówiąc, co jest za drzwiami.

– No i dobrze – powiedziała do gołębia, który przysiadł u jej stóp. – Skoro chce się bawić w ciuciubabkę, to niech mnie poszuka. I niech lepiej znajdzie.

Przeciągnęła się, przygotowując się do dalszej drogi. Gołąb zerwał się i zaczął krążyć nad jej głową.

– Tylko bez prezentów – ostrzegła go. – Już mi wystarczy szczęścia na dziś.



Lubił szybkie zakupy, ale tym razem pobił rekord. Podeszedł do siostry zakonnej, która pełniła obowiązki sprzedawczyni w watykańskim sklepie z dewocjonaliami.

– Poproszę różaniec z polskiego bursztynu z krucyfiksem takim jak na pastorałe Jana Pawła II.

Zapłacił, ukłonił się i zniknął ze sklepu. Siostra przez chwilę zastanawiała się, czy naprawdę był. Ale na jej dłoni wciąż spoczywały drobne, którymi zapłacił. Podziękowała niebiosom za takiego klienta, prosząc o to, by jak najwięcej jemu podobnych przybywało w te skromne progi. Zazwyczaj atmosfera w sklepie przypominała targ w Marrakeszu. Dziesiątki kobiet pochylały się nad różańcami wystawionymi na sprzedaż i toczyły dyskusje nad kolorem kamieni, ich wielkością i kształtem. Dopasowywały krzyże do koloru ścian, a medaliki do dekoltu. Taki klient jak on dawał nadzieję. Raz jeszcze podziękowała za jego istnienie i wróciła do francuskich turystek, które zastanawiały się nad wielkością obrazka, nie zważając na to, co on przedstawia.

Postanowił w drodze do biura zajrzeć na chwilę do Marii. Trafił na moment, w którym Campo de' Fiori traciło swoją magię. Sprzedawcy spakowali już skrzynki i zdemontowali stragany. Plac zarzucony był kartonami, papierem i resztkami warzyw. Za kilka minut pojawią się tu śmieciarki, ale na razie wszystko wokół wyglądało jak pobojuwisko po zaciętej walce. Nad tymi stertami resztek stał ze spuszczoną głową, kryjąc twarz w kapturze, biedny Giordano i chyba codziennie o tej godzinie palił się ze wstydu. Andrea dostrzegł Marię, jak rozliczała się z właścicielem stoiska, miłym starszym panem, który chyba jako jedyny na targu nie pozerzał jej wzrokiem i nie próbował obłapiać.

- Mario, poczekaj!
- Co tutaj robisz? Targ się już skończył.
- Wiem, ale miałem nadzieję, że cię tu spotkam. Proszę, tu jest moja wizytówka. Rano wyjeżdżam, ale gdy wrócę, koniecznie musimy się spotkać. Mam ważną sprawę do ciebie. Wracam w poniedziałek. Przyszły tydzień mam szalony, ale na pewno znajdę czas – mówił chaotycznie. – Zadzwoń, proszę, w poniedziałek.
- Dobrze, zadzwonię. Coś się stało?
- Jeszcze nic się nie stało, ale może już się staje coś dobrego. – Uśmiechnął się, biorąc ją za ramię. – Dla ciebie też.
- Cmoknął ją w czoło i odszedł, jak zwykle nie odwracając się.
- Panna, jak tak chcesz stać na środku placu, to se wejdź na cokół! – Z zamyślenia wyrwał Marię kierowca śmieciarki, która właśnie wjechała na plac i wciągała do swojego wnętrza wszystko, co znalazło się na jej drodze. – Tu się pracuje. Rusz się, bo cię zgarnę!



Dzień dopiero się rozkręcał, ale ona miała już dość wrażeń. Postanowiła wrócić do domu i odpocząć przed popołudniową drugą rundą. Obiecała siostronom Manzoni, że zrobi zakupy. Stragany na Campo już się zwinęły, ustępując miejsca kawiarniom, musiała więc zajrzeć do pobliskich małych sklepików.

Najpierw odwiedziła sklep mięsny, którego nie miała w planach, bo zamówienie sióstr obejmowało wyłącznie warzywa i sery. Jednak pan Romano miał to coś, co zawsze ją fascynowało i sprawiało, że wracała do niego częściej, niż naprawdę potrzebowała. Był zaprzeczeniem typowego rzeźnika, który zgodnie z powszechnym wyobrażeniem powinien być niedostępny i posępny. Ten uśmiechnięty staruszek miał do swojego asortymentu stosunek niemal ojcowski, z czułością opowiadał o walorach smakowych oferowanego mięsa. Delikatnie brał do ręki kolejne porcje i pieścił, jakby próbował wyczuć zachowane we wnętrzu bicie serca. Zdawało się, że każdy kawałek szeptał mu swoją historię.

– Ja nie sprzedaję byle czego – powtarzał przy każdym cięciu. – Zapamiętaj to, dziewczyno. U mnie nie znajdziesz takich świństw, jakie leżą w dużych sklepach.

Kładł przed Laurą kolejne zawiniątka i, nie odrywając się od pracy, wychwalał wspaniałe życie zwierząt hodowlanych.

Wychowała się na wielkomięjskim blokowisku, gdzie w krzakach gnieździły się wróble, na starannie ogrodzonych trawnikach po deszczu pojawiały się dżdżownice, po chodniku snuły się wyprowadzane na smyczy psy, a na parapetach wygrzewały się koty. Zwierzętom brakowało swobody i przestrzeni, nie były więc częstymi gośćmi na osiedlu. W dzieciństwie z grupą rówieśników urządzali pogrzeby zdeptanym żukom, wysyłali rzeką do

nieba biedronki, które nie przeżyły spotkania z ludźmi, organizowali uroczystości ku pamięci małych żabek w zaniedbanym bajorku za garażami.

O innych zwierzętach dowiedziała się w szkole, ale to, jakie ma zaległości, zrozumiała dopiero wtedy, gdy okazało się, że jako jedyna z klasy nie widziała świni ani krowy. I choć z czasem łączyła kotlety schabowe czy bitki wołowe z konkretnymi zwierzętami, którym je zawdzięczała, to wciąż ich świat ograniczał się do domowych pupili. Rzeźnik Romano w cielakach widział nie martwy kotlet, lecz szczęśliwe cielęce dzieciństwo na zielonych pastwiskach.

– Nie marynuj tego mięsa, nie zabijaj jego smaku dziwaczными przyprawami. Ono samo w sobie smakuje słońcem i wiatrem, nie trzeba nic dodawać – powiedział na zakończenie swojego spektaklu i dorzucił do torby wiązki ziół.
– Co najwyżej świeżych liści i oliwy, dużo oliwy...

Nie zdążyła odejść, gdy do czułego rzeźnika podeszła stała klientka. Na jej widok rozłożył szeroko ramiona i powitał potokiem słów, z których większości Laura nie rozumiała. Znajomość języka pozwalała jej na swobodne porozumiewanie się z Włochami, ale wymagała rozmówców, którzy posługiwali się odmianą zbliżoną do literackiej.

Włożyła wiele wysiłku w to, by włoski przestał być dla niej tajemnicą. Najpierw chodziła na kursy, potem korzystała z pomocy sympatycznej tłumaczki Bożeny, aż w końcu przeszła pod skrzydła mieszkającego w Polsce Włocha, który wtajemniczał ją w mówienie szybko jak karabin, zawieszanie głosu tam, gdzie zrobiłby to rodowity mieszkaniec Półwyspu Apenińskiego, śpiewanie intonacją.

– Jesteś zbyt poprawna – powtarzał zawsze, gdy wypowiadała okrągłe zdania i używała poprawnych końcówek i słów rodem z podręczników akademickich. – Baw się tym językiem, nie bój się popełniać błędów. Zjedz czasami jakąś końcówkę, skróć słowo, pokaż, że nie jesteś automatycznym tłumaczem.

– Staram się – odpowiadała, ale nawet wtedy koncentrowała się na tym, by powiedzieć to z należytą dokładnością.

Choć od czasów szkolnych minęło wiele lat, ona wciąż w głębi duszy była dobrą uczennicą. Zawsze odrabiała lekcje tak, by dostać wysokie oceny. Przykładała się do życia, jakby chciała zasłużyć na nagrodę, ale wciąż nie do końca wiedziała, o jaką stawkę chce grać, co jest jej celem.



Sprzątanie biura zajęło Andrei cały dzień, Livia i Giulia uwijały się, pomagając mu przesuwać meble i usuwać ślady poprzednika. A ponieważ nieźle się przy tym bawili, czas mijał niepostrzeżenie, w końcu zegar w sekretariacie ogłosił koniec pracy.

Wiedział, co musi teraz zrobić. Poranne spotkanie z Martą uświadomiło mu, że wczorajsza kolacja skończyła się dla niej dość boleśnie. Powinien być przy niej, zwłaszcza że był głównym sprawcą jej niedyspozycji.

– Marta, gdzie jesteś? Marta! – zaczął nawoływać od wejścia, w odpowiedzi usłyszał jednak tylko, że coś ciężkiego stuknęło w drzwi od strony jej pokoju. – Mogę wejść?

Wszedł, choć zza drzwi doszło go tylko niewyraźne mruknięcie.

– Co się stało?

– Chcę umrzeć – jęknęła, szczelniej otulając się kołdrą.

– To mija. Jadłś coś?

Pokręciła głową.

Nie miał sumienia prawić jej kazań, skoro sam przyłożył się do jej złego samopoczucia. Zapomniał, że Marta wciąż zachowywała się jak sportowiec, dbała o formę i prawie nie piła. Wczoraj wystarczyło kilka kieliszków wina, by ta dorosła, sprawna kobieta odpłynęła niczym nastolatka, która dopiero zdobywa pierwsze szlify.

– Dużo jogurtu i coś konkretnego, żeby żołądek miał się czym zająć – zarządził.

Przygotował jajecznicę na szynce i kubek mleka z kawą. Podał Marcie do łóżka i patrzył, jak to zjada. Z każdym kęsem wstępowały w nią nowe siły i przy kawie była już całkiem przytomna. Silna góralka, która nie poddaje się bez walki. Odczekał jeszcze chwilę, by rumieńce wróciły na jej policzki,

i zaczął rozmowę.

– Wczoraj wieczorem, kiedy zapytałem cię, dlaczego tak nagle przerwałaś karierę sportową, powiedziałaś coś dziwnego. Pamiętasz?

– Nie – mruknęła, ale jej spojrzenie uciekło niebezpiecznie w bok.

Widział, że kłamie, niemniej postanowił udąć, że w to wierzy, nie kończąc jednak tej rozmowy.

– Powiedziałaś, że najtrudniej wybaczyć samej sobie... Nie mów, jeśli naprawdę nie chcesz, ale może czas, by się trochę wygadać.

Przez długą chwilę milczeli. Andrea nie spuszczał wzroku z twarzy Marty, by nie mogła schować się za maską obojętności. W końcu otuliła się szczerzej kołdrą i zaczęła mówić, błędząc spojrzeniem po kwiatkach na ścianie.

– Zaczęłam ćwiczyć biegi narciarskie w wieku sześciu lat. Bardzo szybko okazało się, że mam talent, i objęłam prowadzenie w swojej grupie wiekowej. Moja mama była świetną trenerką i odkryła, że mam też świetne oko, zaprowadziła mnie więc na strzelnicę i godzinę później wyszłam stamtąd jako biathlonistka. Mając czternaście lat, zostałam mistrzynią Włoch juniorek. Potem były kolejne sukcesy, zaczęłam marzyć o kadrze narodowej, o medalu olimpijskim. Sport był całym moim życiem. Byłam najlepsza, więc spodziewałam się powołania do kadry. Tymczasem powołane zostały dziewczyny, które regularnie ze mną przegrywały. I wtedy po raz pierwszy usłyszałam pytanie: „A byłaś z kim trzeba?” ...

Zamilkła. Andrea zaczął przeczuwać, co za chwilę usłyszy, ale nie przerywał. Wiedział, że Marta musi to z siebie wyrzucić. Cierpliwie czekał, aż w końcu odezwała się ponownie.

– Najpierw był asystent trenera, bo grałam o mniejszą stawkę. To nawet nie było nieprzyjemne, bo był kulturalny i przystojny. Poszłam do niego po zawodach i oczywiście szybko znalazłam się w kadrze. Wygrałam kilka zawodów seniorek, ale nikt mnie nie chciał wysłać na Puchar Świata. Od tego był sekretarz związku. Bardzo chciałam pojechać na te zawody, więc poszłam do niego. Nie był tak przystojny jak asystent, ale na zawody mnie wysłał... W podobny sposób uporałam się z brakiem zainteresowania moją osobą w mediach. Po prostu znalazłam właściwego człowieka i odwiedziłam go w jego letnim domku. Pojawiły się wywiady w gazetach. Zrozumiałam, jak działa ten system, i stałam się jego częścią. Nikt mnie nie zgwałcił. Sama to sobie robiłam, chcąc rozwijać karierę sportową.

Potrzebowała chwili na wyrównanie oddechu.

– Kiedy już znalazłam się w ścisłej kadrze olimpijskiej, podeszła do mnie moja najlepsza koleżanka i powiedziała przy wszystkich: „Gratulacje! Dawanie dupy komu popadnie opłacało się!”. Jezu, jak to bolało! Ale miała rację. Gdyby nie to, że odwiedzałam tych, od których coś zależało, dalej trenowałabym w miejskim klubie. Zrobiła się straszna afera i wyrzucono mnie z kadry. Wiele dziewczyn tak robiło, ale ja sięgnęłam za wysoko i za szybko. I musiałam zostać pokazowo ukarana. Miałam dziewiętnaście lat, nie umiałam robić nic poza bieganiem i strzelaniem. Świat mi się zawalił. I wtedy pewna oficer karabinier, bo formalnie trenowałam w klubie podległym karabinierom, załatwiła mi przeniesienie do Rzymu, do normalnej służby, jak najdalej od domu.

Znowu zrobiła przerwę, obrysowując palcem płatki bawełnianych kwiatów na kołdrze. Zastanawiała się.

– Wiedziałam, że nie robię dobrze, ale wmawiałam sobie, że z każdym z tych mężczyzn coś mnie łączy. Z całych sił starałam się zachować strzępy idealizmu. To pozwalało mi nie oszaleć. Od tamtej pory nie pozwoliłam żadnemu mężczyźnie zbliżyć się do siebie...

Rozumiał, że nie pora na jakikolwiek komentarz. Mógł tylko wysłuchać, co miała mu do powiedzenia, pozwolić wybrzmieć wspomnieniom, z którymi wciąż się nie uporała. Jeszcze przyjdzie czas na prostowanie ścieżek. Gdyby ją spłoszył, na pewno by się wyprowadziła, a tego nie chciał.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Dobrze, że możesz już o tym mówić.

– To dlatego, że mam kaca...

– Teraz musisz się wyspać. Niestety, jutro zjemy śniadanie osobno, bo wyjeżdżam o szóstej rano, ale zostawię ci kanapki na stole.

Cmoknął ją w czoło i wyszedł, a szydercza część jego duszy natychmiast przypomniawszy mu, że to już druga piękna kobieta tego dnia, którą całuje w czoło. Starzeję się, przeszło mu przez głowę.



Obładowana zakupami z trudem weszła do domu. Zamierzała wrzucić do torby tylko trochę warzyw, ale po drodze wstąpiła do kilku sklepów i z każdego z nich wychodziła cięższa o kolejne sprawunki. Nie umiała oprzeć się pokusie i z każdych zakupów wracała z zauważalnym nadbagażem.

– Coś ty znowu przytargała, dziewczyno? – Francesca nie była w najlepszym nastroju, ale jeden rzut oka na pełną torbę wystarczył, by nieco złagodniała. – No tak, jak zwykle za dużo, ale jak zwykle w najlepszym gatunku. Masz dryg do robienia zakupów. Tylko nie próbuj za jednym zamachem przynieść do naszej kuchni całego Rzymu.

– Pan Romano tak zachwalał mięso, a pani Regina dorzuciła mi do pecorino jeszcze jedną scamorzę, że po prostu nie mogłam nie wziąć – tłumaczyła Laura, śmiejąc się ze swojej skłonności do nadmiaru.

– Wiem, wiem, niektórzy tak mają. – Francesca podała jej fartuszek. – Na szczęście w naszej kuchni nic się nie zmarnuje. Pomóż nam dziś w przygotowaniu kolacji. Wieczorem przychodzi nasza kuzynka Adele, ale ma tak nudnego męża, że nie będziemy cię zmuszać do patrzenia w jego oczy, w których nie ma nawet cienia myśli. Nie rozumiem, jak można wyjść za człowieka, który nie ma nic do powiedzenia na żaden temat...

Francesca, wymachując nożem do krojenia mięsa, barwnie opowiadała, jak niegłupia skądinąd Adele zakochała się bez pamięci w robotniku Gustavie i została matką pięciorga dzieci, z których zaledwie dwoje zdradzało jakiegokolwiek oznaki inteligencji.

Chiara kroїła zioła, a Laura zajęła się obieraniem warzyw na zupę. Po chwili głos Franceski zaczął ją opływać, nie przeszkadzając w rozmyślaniach. Przypomniła sobie posiłki w swoim rodzinnym domu. Mama pilnowała, by wszyscy razem siadali do kolacji. Wolno im było w tym czasie rozmawiać

i zartować, nikt nie kazał siedzieć prosto i jeść w milczeniu. Jednak mimo tej swobodnej atmosfery posiłek był tylko posiłkiem. Kobiety w jej rodzinie nie broniły się przed gotowaniem, lecz Laura nie mogła sobie przypomnieć takich chwil jak u sióstr Manzoni.

– Marchewka sama się nie obierze, myślicielko. – Z zamyślenia wyrwał ją głos Franceski, która skończyła relacjonować dzieje kuzynki i jednym rzutem oka ogarnęła sytuację. – Chiara, nasiekałaś tyle ziela, że zamiast minestrone trzeba będzie zrobić zupę ziołową.

Laura powróciła duchem do rzymskiej kuchni starszych pań. Rzeczywiście od dłuższej chwili stała nieruchomo, pogrążona we wspomnieniach. Marchewka uśmiechała się do niej obraną połówką, cierpliwie czekając na ciąg dalszy.

– Kiedy byłam małą dziewczynką – zaczęła rozmarzonym głosem Chiara – nasza mama nie pozwalała mi wchodzić do kuchni. Zazdrościłam Francesce tego, że mogła zniknąć za zielonymi drzwiami, zza których dochodził dźwięk kuchennej krzątaniny. I pamiętam też dzień, gdy zielone drzwi po raz pierwszy uchyliły się przede mną.

– Mama pozwoliła ci wtedy siedzieć i patrzeć, ale po dziesięciu minutach zaczęłaś się kręcić po kuchni i zachowywać tak, jakbyś spędzała w niej każdą wolną chwilę. To był twój świat, choć jeszcze niewiele umiałaś. I wtedy ja ci pozazdrościłam. Miałam ochotę błagać mamę, żeby znowu zabroniła ci przychodzenia do kuchni, żeby wróciły dobre czasy, gdy to ja byłam jej jedyną pomocnicą. Ale ty już tam byłaś...

Chiara pogłaskała Francescę po dłoni i obie spojrzały na siebie z taką miłością, że Laura poczuła ścisk w gardle. Kłóciły się ze sobą o najmniejsze drobiazgi, ale w sprawach naprawdę ważnych pozostawały nad podziw zgodne. Idealnie się dopełniały, czasami tylko nieco za bardzo między nimi iskrzyło.

Francesca wyszła za mąż za Stefano, podobno bardzo miłego człowieka z kiepskim zawodem, ale ze wspaniałym charakterem. Kochała go tak bardzo, że wyjechała za nim na południe kraju. Spędziła przy boku męża kilkadziesiąt lat. Gdy umarł, wróciła do kraju swojej młodości. Wolała być nieco obca w Rzymie niż prawie swoja na południu.

Chiara nigdy nie założyła na palec ślubnej obrączki, chociaż przez pół życia była w nieformalnym związku z Giacomo. Rzecz nie do pomyślenia w jej pokoleniu, ale łatwiejsza do zrozumienia w świecie artystów, a ona

niewątpliwie miała artystyczną duszę. W młodości studiowała malarstwo, potem została konserwatorem dzieł sztuki i wyjechała do Florencji. Giacomo nie umarł, ale w jego życiu pojawiła się inna kobieta, której oddał serce, dlatego Chiara postanowiła wrócić do Rzymu. Swoją melodramatyczną dojrzałość zamieniła w pogodną starość.

Teraz siostry tworzyły całkiem udaną rodzinę mającą oparcie w bliższych i dalszych krewnych. Młodsze pokolenie rozjechało się po całym kraju, ale one wciąż wierzyły, że ich wzorem powrócą kiedyś do swoich gniazd i przyjdzie dzień, gdy wszyscy spotkają się przy cieście czekoladowym według przepisu prababki Elisabetty.



Powoli zbliżał się do domu. Lubił spacer z pociągu, dlatego zawsze odmawiał, gdy ktoś z rodziny proponował, że wyjedzie po niego na stację. Nie miał bagażu, tylko niewielki plecak zarzucony na ramię, a w nim butelkę wody, aparat fotograficzny i oczywiście prezenty. Reszta rzeczy czekała na niego w domu. Choć od wielu lat mieszkał w Rzymie, na tokańskim wzgórzu wciąż miał swój pokój, w którym zawsze witało go okno szeroko otwarte na cyprysową dolinę. Cyprysy bardzo go uspokajały. Bez względu na to, w jakiej części świata je widział, zawsze przypominały mu powroty do domu.

Te, które wystrzeliły przed nim za zakrętem, należały do jego rodziny. Wyznaczały ich terytorium i zapowiadały, że za chwilę będzie u siebie. W Rzymie miał przyjemnie urządzone mieszkanie, ale to tutaj, nieopodal Montepulciano, był jego prawdziwy dom. Uśmiechnął się na widok znajomych zabudowań i wtedy indiańska strzała minęła jego głowę o centymetry, przyklejając się do pergoli.

– Głupi jesteś, wujek jest dobry. Lepiej go związać i niech da okup! – usłyszał z zarośli.

– Wyskakiwać z krzaków, ale już! – Zrobił marsową minę.

– Dzień dobry, wujku. – Marco i Matteo w sekundę stali obok, przekrzykując się nawzajem. – Obserwujemy cię od dawna. Babcia kazała nam na ciebie czekać.

– Ale na pewno nie kazała wam do mnie strzelać. – Pogroził im palcem. – Co wam powtarzam za każdym razem? Nie można strzelać do ludzi. Nigdy!

– To Marco strzelał, mówiłem, że nie wolno, ale nie posłuchał – uprzejmie doniósł drugi z chłopców, za co dostał kuksańca w bok od brata.

– Strzeliłem obok, nie chciałem trafić. – Oczy mówiły co innego.

Podał im rękę. Lubił witać się z nimi jak z dorosłymi. Jego bratankowie,

siedmioletni Marco i starszy o dwa lata Matteo, wyglądali jak bliźniacy. I jednakowo uwielbiali wujka Andreego. Nie byli w tym odosobnieni, lubiły go wszystkie dzieci, a także zwierzęta. Zawsze miał dla nich coś, co rozjaśniało spojrzenia i wywoływało uśmiech. Był dumny z tych chłopców i starał się być dla nich wzorem, zwłaszcza że widział, jak naśladowali go we wszystkim – w ruchach, gestach, słowach. Nawet teraz szli obok tak samo jak on powoli, patrząc w dal.

– A gdzie reszta bandy?

– Luca siedzi w domu i czyta albo jest z dziadkiem w piwnicy. Agnese z mamusią i ciocią Marią pojechały na zakupy. Tatuś z wujkiem Markiem też gdzieś pojechali, a babcia pilnuje dzieci i czeka na ciebie, wujku, nawet nie chciała pojechać z mamą do miasta – przekrzykując się, wymienili prawie wszystkich członków rodziny.

– To ciocia Maria też jest?

– Tak, przyjechała z wujkiem z samego rana, a jutro przyjedzie Paolo z narzeczoną i wujek Silvio.

– A gdzie psy?

– Lupus jest z tatusiem, a Cesare czeka na ciebie z babcią. Wujku, a masz dla nas noktowizory?

– Na razie mam specjalne szpiegowskie latarki. – Wiedział, że to pytanie padnie, zanim jeszcze dotrą do domu.

– Pokaż! Daj!

– Nie, bo strzelaliście do mnie. Jutro, jeśli będziecie grzeczni.

Weszli na wzgórze, a gdy byli już kilkanaście metrów przed domem, chłopcy wyrwali przed siebie, z krzykiem zapowiadając obecność Andrei.

– Babciu, babciu, wujek przyjechał!

– Dzień dobry, mamó. – Objął ją i ucałował w policzki. – Jak się czujesz?

– Nie najgorzej. Wczoraj bolała mnie głowa...

Mama uwielbiała rozczulać się nad sobą. Nie było dnia, żeby ze sobą nie rozmawiali przez telefon, ale i tak musiała powtórzyć historię swojej choroby przy każdej wizycie syna. Odkąd Andrea pamięta, mamę zawsze bolała głowa. Oczywiście nie przeszkadzało jej to w wypełnianiu obowiązków, bo pracować umiała naprawdę ciężko. Kiedy Andrea odkrył, że na świecie istnieją lekarze, zaproponował mamie, by się do nich udała. Nie poszła. Nie miała czasu albo nie wierzyła, że mogą pomóc. Potem odkrył, że jedynie jemu się uskarża, a przecież miał trójkę rodzeństwa.

Po zamieszkaniu w Rzymie zmusił ją do wizyt u najlepszych lekarzy. Walczyła, ale doprowadził do tego, że zbadano ją najdokładniej, jak to było możliwe. Wszyscy specjaliści orzekli nad wyraz zgodnie, że jest absolutnie zdrowa, lecz ona nie przyjęła tego do wiadomości. Głęboko wierzyła, że współczucie zatrzyma przy niej jej ukochane dziecko, choć przecież zawsze był blisko. I tak od lat ona udawała, że ją boli, a on, że jej wierzy i bardzo chce jej pomóc.

Nie była typową włoską matką. Nigdy nie kierowała jego życiem i nie wpływała na wybory, których dokonywał. Akceptowała każdą jego partnerkę i kochała jak córkę. Kiedy w domu pojawiła się inna kobieta, synowa Lucia, żona Giordana, od razu przekazała jej klucze do spiżarni. Teraz była świetną babcią i prababcią, niestety nie dane jej było zostać babcią dzieci Andrei.

– Mamo, podobno Giorgia, narzeczona Paola, jest lekarzem, a skoro jutro przyjeżdżają, to może poprosimy ją o pomoc.

– Nie będziemy jej zawracać głowy, do jutra na pewno mi przejdzie. Dziś jest silny wiatr, to dlatego mnie boli.

Rzeczywiście na ich wzgórzach wiało dosyć często i mama zawsze znajdowała doskonały powód, by zbagatelizować swoje cierpienie.

– A co ci się stało, synku? – zmieniła temat. – Ostatni raz takiego siniaka miałeś, gdy Giordano przyłożył ci za to, że zjadłeś mu tort urodzinowy. I kiedy w końcu zgolisz brodę? Postarza cię.

– Zderzyłem się z szafką, biegnąc rano do łazienki, by się ogolić. Dlatego wciąż jestem nieogolony.

– Zawsze musisz wszystko obrócić w żart. Zupełnie jak ojciec.

– Tak łatwiej przetrwać, mamo. A właściwie, gdzie jest tata?

– Zdenerwował się podczas oglądania meczu i zaczął przeklinać przy dzieciach, więc go wyrzuciłam do ogrodu. Zresztą Luca powiedział, że ten mecz był wczoraj, że dziadek ogląda go po raz drugi i znowu się denerwuje. Serce mu wysiądzie.

– Pójdę się przywitać.

Tata siedział w fotelu na tarasie z tyłu domu. Czytał jakąś grubą księgę. W cieniu fotela leżał pies Cesare, a na rozgrzanym kamieniu po drugiej stronie w pełnym słońcu – kot. Sielanka. Podali sobie ręce bez dodatkowych powitań. Mocny męski uścisk. Dłonie mieli takie same, silne i delikatne zarazem, spracowane, ale starannie wypielęgnowane.

– Ten Stalin to nie był taki głupi człowiek. – Ojciec Andrei nigdy nie bał się

kontrowersyjnych komentarzy. Wygłaszał je odważnie, zawsze patrząc przy tym w oczy drugiemu człowiekowi.

Andrea podejrzewał, że ojciec sprawdzał w ten sposób rozmówców. I mimo że swoich synów znał chwilami lepiej niż oni sami siebie, i tak od czasu do czasu testował ich, jakby upewniając się, że nie zeszli na złą drogę i wciąż są w stanie podołać wyzwaniu.

– Ale dobry też nie był – odparł Andrea.

– Wygrał wojnę, zrobił w konia Amerykanów i Anglików. Ludzie za niego ginęli.

– Ginęli także na jego rozkaz.

– Ale porządek był. Bali się go, nie dyskutowali, nie strajkowali. – Ojciec ze zniecierpliwieniem machnął gazetą, w której pisano o kolejnych strajkach.

Andrea wiedział, że ojca zawsze bolało unikanie pracy, a strajk traktował jak zło, które niczego nie usprawiedliwia. Powtarzał, że więcej można zdziałać pracą niż pokrzykiwaniem.

– Podobno w Gruzji, gdzie się urodził, jest prawie tak ładnie jak u nas. I piją wino. Napijesz się ze mną, synu? Wino w tym roku wyszło dobre. Może ostatni raz. – Objął wzrokiem okoliczne wzgórza.

Ojciec stanowił przeciwieństwo mamy, był zawsze pogodny, pełen energii i siły. Miał siedemdziesiąt pięć lat, ale duszę czterdziestolatka. Niestety, przed kilkunastu laty złamał nogę podczas wypadku na rowerze i choć szybko wrócił do zdrowia, noga nigdy już nie odzyskała pełnej sprawności. Chodził o lasce, co niezmiennie go irytowało. Andrea nieraz widział, jak ojciec podrywa się z krzesła i dopiero ból w nodze przypomina mu o konieczności użycia laski. Twarz ojca wykrzywiał lekki grymas, ale brał laskę, nie walcząc z tą koniecznością. W młodości uprawiał zapasy, mówiono o nim, że ma siłę tura i zwinność jaszczurki. Andrea nie spotkał żadnego człowieka, który wygrałby z ojcem na rękę.

– Co się dzieje, tato?

– Wczoraj zmarł Carlo Pronti, miesiąc temu Giovanni Brunelli. Chodziliśmy do jednej klasy. Jeden na raka, drugi na serce.

– Wiem, będę na pogrzebie. Kilku moich kolegów ze szkoły też nie żyje. Każdy ma swój czas. O co naprawdę chodzi?

Ojciec przez chwilę milczał, wpatrując się we wzgórza.

– Giordano chce wyciąć winnice. Będzie hodować bydło dla Amerykanów, jakieś specjalne mięsne krzyżówki na befsztyki. Podobno więcej pieniędzy,

a mniej roboty i nerwów niż przy winogronach. Pogadaj z nimi.

Ojciec przekazał gospodarstwo Giordano zaraz po wypadku. Uznał, że skoro nie może pracować, to nie może też być właścicielem. Od tego dnia nie skrytykował żadnej decyzji syna, czasami tylko powtarzał, że żyć trzeba tak, by nie krzywdzić innych ludzi. Andrea czuł, że ostatnia decyzja jego brata krzywdzi właśnie ojca.

– Pogadam. A czyj to pomysł?

– Marca. Można dużo zarobić, ale trzeba zainwestować w byki. Wiesz, pieniędzy nie mają, czwórka dzieci, a babcia mówi, że chyba już piątka. Zresztą oni z tobą pogadają.

– Nalej na drugą nóżkę. – Andrea postanowił rozładować atmosferę. Czekając poważna rozmowa z bratem, ale na razie musiał zadbać o lepsze samopoczucie ojca.

– U mnie to już raczej na laskę... – Ojciec zdrową nogą szturchnął psa, a końcem laski kota. – Wstawać, lenie, przyjechał wasz przyjaciel! Dzieci tak rozpieściły kotkę, że je tylko suchą karmę, nic nie łowi, choć tyle gryzoni w domu. Żadnego z niej pożytku i chyba znowu kotna. A Cesare nawet czekać się nie chce.

Ojciec udawał, że nie lubi zwierząt. Ludzi mógł oszukać, lecz zwierzaków nie. Garnęły się do niego, a on zawsze coś podkradł dla nich ze stołu. Andrea nieraz widział, jak ojciec głaszcze za domem zwierzaki, gdy myślał, że nikt nie widzi. Patrzył i się uczył.

– Tak, chyba rodzina nam się powiększy. – Fachowo obejrzał kotkę.

Wyglądała jak małe lwiątko. Powoli wstała z kamienia i jednym susem znalazła się u nóg swojego ulubieńca. Ocierając się, coś mówiła mu w kocim języku. Andrea nie miał wątpliwości, że będą małe kociaki. Po chwili do kocicy dołączył Cesare – mały czarny wielorasowiec o mądrym spojrzeniu już lizał rękę Andrei i próbował wskoczyć mu na kolana. Kotka popatrzyła na jego zachowanie z odrazą i spokojnie odeszła.

– Rozmawiałaś z mamą? Mówiła ci, że dzwoniła Nicole?...



Laura usiadła na Schodach Hiszpańskich i obserwowała, jak ulicą Condotti zbliża się do niej Alessia, z którą umówiła się na obiad. W Warszawie włoska kuzynka wyglądała niezwykle elegancko i efektownie w stroju stewardesy, w dniu wolnym od pracy wybrała sukienkę i sandały, lecz nawet w tym zestawie wyglądała zjawiskowo. Służbowa postawa nie zniknęła po godzinach, więc kroczyła wyprostowana, z podniesioną głową. Nie było mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał.

– Cześć, piękna – powitała ją Laura, szczęśliwa ze spotkania i dumna z takiej kuzynki.

– Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę z tego spotkania. – Alessia roześmiała się, obejmując Laurę.

Stały naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce, dwie trzydziestopięcioletki o radosnych spojrzeniach. Rzymskie słońce skrzyło się na jasnych włosach Polki, łagodnie załamywało na ramionach Włoszki i wypełniało wszystkie zakamarki ich dusz.

– Moja mama przesyła pozdrowienia i nie może się doczekać, kiedy się spotkacie.

Podczas gdy Laura wciąż trzymała w tajemnicy swoje odkrycia, Alessia nie traciła czasu i opowiedziała swojej rodzinie o sympatycznej Polce i jej poszukiwaniach.

Dla Laury największym zaskoczeniem była informacja, że gdy Raffaella opuszczała dziadka Macieja, spodziewała się drugiego dziecka. Nikomu się z tego nie zwierzyła, a może właśnie dlatego wyjechała, nie chcąc powiększać rodziny w smutnym, zimnym kraju. Maciej umierał przekonany, że gdzieś w dalekich Włoszech mieszka jego córka, o istnieniu drugiej nie miał pojęcia.

– Dla ciotki Sabiny to będzie wstrząs. Z trudem przyjęła do wiadomości, że

w ojczyźnie znienawidzonej pierwszej żony ojca mieszka jej przyrodnia siostra. A teraz się dowie, że ma dwie siostry.

– Rozumiem, że Sabina nie darzyła uczuciem poprzedniczki swojej matki, ale nie rozumiem, skąd u niej taka nienawiść. W końcu Raffaella zwolniła miejsce u boku dziadka. – Dla Alessi to właśnie szaleńcza chęć zakopania przeszłości była największym zaskoczeniem, gdy dowiedziała się o istnieniu polskiej rodziny.

– Chyba była zazdrosna o tęsknotę dziadka za pierwszą córką i jej matką. Nie czuła się wystarczająco kochana przez niego...

Po raz pierwszy Laura zderzyła się z bólem ciotki Sabiny, gdy podczas jednej z jej wizyt sąsiad puścił zbyt głośno włoskie przeboje. Ta spokojna, opanowana kobieta wpadła w furję, która zakończyła spotkanie rodzinne. Laura miała wówczas sześć lat i nikt nie chciał jej wytłumaczyć, czego świadkiem tak naprawdę była. Kiedy zmarł dziadek Maciej, mama powiedziała, nie wdając się w szczegóły, żeby przy cioci Sabinie nigdy nie używać pewnych słów. Jednym z nich był „Rzym”. Z czasem mgła wokół tematu stała się mniej tajemnicza, ale zdążyła zainspirować Laurę. Dziewczyna poddała się magii dalekiego kraju, o którym nie wolno było mówić głośno podczas rodzinnych spotkań.

– Czy twoja mama pamięta coś z Polski? Miała pięć lat, kiedy stamtąd wyjechała...

– Pamięta, że w dzieciństwie wołano na nią Krysia, dopiero potem stała się Cristina. Wspomina makaron z truskawkami, wciąż zna kilka polskich wyliczanek. I do dziś bardzo lubi jabłka, zawsze nam powtarza, że w jabłkach kryje się dusza Północy.

– Nie chciała nigdy pojechać do miejsca swojego urodzenia?

– To trochę skomplikowane. Kiedy babcia Raffaella wróciła do Włoch, pradiadek Sanguinetti zrobił wszystko, by temat Polski zniknął. Nie chodziło tylko o jakiegoś ubogiego Polaka, który odebrał mu córkę, lecz o wielką politykę i reputację rodziny. Pradiadek panicznie bał się posądzenia o związki z komunizmem. W jego sferach traktowano to jak zdradę ideałów. Arystokracja nie sympatyzowała z lewicą i z pogardą patrzyła na wszystkich, którzy szli pod czerwonymi sztandarami. Polski zięć, żołnierz komunistycznego wojska, nie pasował do tej rodziny. Dopóki Raffaella mieszkała w Polsce, można było udawać, że nigdy nie istniała, ale po powrocie powstał problem, z którym pradiadek uporał się w jedyny sposób, który przyszedł mu do głowy.

Wywiózł córkę z Rzymu, z dala od swoich wpływowych i możnych przyjaciół.

Zanim urodziła się ciotka Beatrice, babcia Raffaella została zmuszona do poślubienia spokojnego aptekarza o konserwatywnych poglądach, który w żaden sposób nie zagrażał rodzinie. Dziadek Giuseppe Strapponi mieszkał w tokańskim Montepulciano, rodzina Sanguinettich miała nadzieję, że Raffaella zapomni tam o całym świecie i o nieszczęsnym epizodzie z polskim żołnierzem, zostanie porządną aptekarzową i będzie wieść przyzwoite życie na prowincji. Mieli trochę racji, bo przez wiele lat babcia nic nie mówiła o Polsce, nie wracała do swojej młodości, wyłączała telewizor, gdy mówiono o Wałęsie i o upadku komunizmu.

Dopiero niedługo przed śmiercią zaczęła wspominać, uśmiechać się do odległej przeszłości. Opowiadała nam o dziwnym kraju na Północy, w którym mężczyźni piją i kochają na zabój. Zaczęła przypominać mojej mamie różne rzeczy z jej dzieciństwa i właściwie dopiero wtedy mama zaczęła się zastanawiać nad tym, że jest w połowie Polką. Nigdy nie czuła, że przynależy do swojej pierwszej ojczyzny, ale jest jej ciekawa, jest ciębie ciekawa...

– Będę robić za przybysza z kosmosu. – Laura zaśmiała się, choć było jej przyjemnie, że nie została odrzucona przez swoją daleką, tajemniczą ciotkę Krysię.



Andrea z ulgą wsiadł na stacji w Chiusi do pociągu do Rzymu. Dwie godziny jazdy pozwolą mu poukładać w głowie myśli.

Na dworzec odwiózł go Marco, mąż Marii. Szwagier naprawdę starał się, jak mógł, by przekonać go do swojego pomysłu. Przez całą drogę opowiadał o korzyściach płynących z jego wizji. Andrea nie przepadał za nim. Nie dlatego, że zabrał z domu jego jedyną siostrę, małą ukochaną Marię, ale przede wszystkim dlatego, że przez niego rzuciła studia i zrezygnowała z marzeń. Marco wykorzystywał innych bez cienia zażenowania. Zdawał sobie sprawę ze swojej urody i zdolności oczarowywania płci przeciwnej. Umiejętnie podsyczał zainteresowanie. Najpierw poprzestawał na tym, że jest przystojny, potem wspominał o rodzinie, która ma kamienicę w Rzymie, w końcu zdradził, że niedługo przejmie rodzinną posiadłość w Toskanii. Chciał zrobić wrażenie nie tylko na Marii, ale też na jej najbliższych, szczególnie na Andrei.

A on od początku przeczuwał kłopoty. Na nic zdały się jego perswazje, że Marco zainteresował się Marią, gdy się dowiedział, kim jest jej brat. Podobnie jak on uważał Silvio. Jedyne Giordano uległ urokowi przyszłego szwagra. Nic dziwnego, wiele ich łączyło. Obaj mieli fantastyczne pomysły na to, jak żyć na królewskim poziomie bez wysiłku i pracy, ale nie mieli środków na ich sfinansowanie.

Marco zakończył edukację na pierwszym roku, a posiadłość rodowa okazała się zrujnowaną willą pod Chiusi. Szwagier miał wizję świetnie prosperującego pensjonatu dla bogatych gości, niestety, nie podzielał jej żaden z banków. Andrea pomógł i rzeczywiście mieli pieniądze na życie na poziomie, ale to jego siostra gotowała, prała, sprzątała gościom i swojej rodzinie, ślicznym dzieciakom. Marco zaś zabawiał gości, zwłaszcza samotne

panie. Teraz wpadł na pomysł zburzenia dorobku kilku pokoleń rodziny Lituano. Tego było za wiele.

Znowu to samo, pomyślał Andrea, zmęczony nieustającą odpowiedzialnością za innych. Patrzył na cyprysy przemykające za oknem pociągu i analizował rozmowę z ojcem. Czy to się już nigdy nie zmieni?

Nie odmawiał wsparcia, ale z każdym rokiem było mu trudniej. Nie dlatego, że nie był w stanie pomóc, przeciwnie, miał coraz większe możliwości. Tylko coraz częściej czuł, jakby wciąż żył za kogoś innego.

Krajobraz za oknem zmienił się i Andrea wiedział, że zbliża się do Rzymu. Otrząsnął się z zadumy i zaczął myśleć o zobowiązaniach na kolejne dni. Na początek czekały go przygotowania do ślubu Paola, jego pierwszego chrześniaka, syna najstarszego brata, Silvia. Chłopak nie tylko wręczył zaproszenie na ślub, ale poprosił Andreeę na świadka, co w tej rodzinie oznaczało nie tylko przyjemności.

I jeszcze Nicole! Jeśli rozmawiała z mamą, to wie o ślubie i zapewne też dostała zaproszenie.



Nie miała żadnych planów na niedzielę. Zamierzała po prostu powłóczyć się po mieście, może wpaść na Porta Portese. Choć od jej przyjazdu do Rzymu minęło już kilka miesięcy, wciąż z taką samą radością oddawała się nicnierobieniu. Ktoś obserwujący ją z boku mógłby uznać, że marnuje cenny czas stypendium, spędzając całe godziny w cieniu jakiegoś kościoła czy na schodkach w pobliżu fontanny. Dla niej ten bezruch był pełen ruchu. Życie, które toczyło się wokół niej, nadawało jej wewnętrzny rytm, зараżało swoją namiętnością. Po ponad roku ciszy teraz nawet kroki wokół niej były jak taniec, a podrygujące spódnice rzymianek wprawiały ją w radosny nastrój. Nie musiała brać udziału w tym spektaklu, by odczuwać jego energię.

– Zabieramy cię na pizzę – oznajmiła Veronique, stając na progu pokoju, którego Laura nie zdążyła jeszcze opuścić.

Laura podała jej numer telefonu, ale nie adres, zdumiona patrzyła więc na niespodziewanego gościa. Wszystko zrozumiała, gdy zza pleców dziewczyny wyłoniła się uśmiechnięta twarz Mattea. No tak, zdradził jej kryjówkę. Pewnie zresztą niebezinteresownie. Ciekawe, co dostał w zamian? Veronique nie wydawała się pozostawać w sferze jego spojrzeń.

– Jeśli dorzucicie coś zimnego do picia, to idę.

– Umowa stoi. – Jej francuska znajoma ucieszyła się i wparowała do pokoju, zostawiając mężczyznę za drzwiami. – Ubierz się ślicznie. Może spotkamy jakichś włoskich przystojniaków.

– Wydawało mi się, że jesteś zainteresowana Fabriziem. – Laura nie zdradziła, skąd o tym wie, udając, że jest tak spostrzegawcza. – Coś się zmieniło od naszego ostatniego spotkania?

– Skądże, nadal bardzo go lubię. No ale wiesz... gdyby zamiast naukowca trafił się jakiś bankier albo magnat prasowy...

Laura lubiła ten typ kobiet. Sama nigdy nie miała w sobie takiej gotowości na każdą znajomość. Mężczyźni w jej życiu zjawiali się po kolei, z długimi przerwami między poszczególnymi osobnikami. Jakby czekali, aż wyrzuci z siebie resztki poprzednich złudzeń. Jej koleżanki zmieniały męskie ramiona, a ona trwała w przedziwnym zawieszeniu, które było wyczekiwaniem nie tyle na mężczyznę, ile na własną gotowość. Veronique traktowała przedstawiciela płci przeciwnej jak obietnicę przygody i zabawy, Laura szukała kogoś, kto zacznie ich wspólną historię od przyjaźni.

– Włóż ten czerwony drobiazg z wielkim dekoltem i idziemy – zarządziła Veronique. Zmusiła jeszcze Laurę do umalowania ust na czerwono. – Oni mają patrzeć, jak mówisz, a nie słuchać, co mówisz. Na udowodnienie inteligencji przyjdzie czas później. Jeśli nie przyciągniesz uwagi, to o twojej mądrości będzie wiedział jedynie pamiętnik.

Rozmawiając o nieistotnych drobiazgach, dotarli do małej pizzerii, której właściciel przywitał ich jak starych znajomych. Wskazał stolik, nonszalancko strzepując z niego okruchy, podał jedną kartę i nie czekając, aż do niej zajrzą, ogłosił, że poleca specjalność dnia, czyli niedzielną pizzę misto. Wykazali się właściwą postawą i jednogłośnie zachwycili się propozycją, składając zamówienie.

– Bałam się już, że nie przyjdiesz! – krzyknęła nagle Veronique, machając ręką do nadchodzącej Lucii, jednocześnie dorzucając kolejną pizzę do zamówienia. – Co się stało?

– Ciotka Margherita miała znowu atak, musiałam pomóc. – Lucia wyciągała znajomych i usiadła przy stoliku. – Jestem głodna jak rzymska wilczyca. Zjadłabym nawet bliźniaki.

– Nie będzie takiej potrzeby – zauważyła Laura, bo do ich stolika zbliżał się kelner z czterema talerzami, które przechylały się, ale dotarły w całości.

Specjalnością niedzielną okazała się mała pizza o kształcie zbliżonym do kwadratu, na której wypiętrzały się ku słońcu rozmaite warzywa i zioła.

– Chyba czyścili kuchnię na koniec tygodnia – mruknęła Veronique, która lubiła wprawdzie włoską spontaniczność, ale w kwestiach kulinarnych bliższa jej była francuska finezja i estetyka.

– Moja mama lubi tak gotować. Otwiera lodówkę i potem nikt nie wie, co tak naprawdę jest na talerzu – zwierzyła się Laura, z uśmiechem przypominając sobie niektóre domowe wynalazki. – Ale to pachnie zachęcająco.

– No, nie powiesz mi chyba, Veronique, że wolisz obślizgłe ślimaki od naszej apetycznej pizzy. – Matteo niemal czule spojrzął na zapieczone warzywa. – Moja mama gotuje bardzo poprawnie, ale gdy ojciec czasami wpada do kuchni, to, poza bałaganem, robi też świetne eksperymenty. A gdy wszyscy chwalą jego obiad, on spogląda na talerz z niedowierzaniem i powtarza: nie wiedziałem, że potrafię.

Pizza okazała się smaczna, choć nadmiar składników rzeczywiście sprawiał wrażenie dość twórczego podejścia do zapasów szefa kuchni. Gawędzili podczas jedzenia, wymieniając się kulinarnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Laura z zadowoleniem zauważyła, że nie odbiega od normy, że jej doświadczenia obejmują mniej więcej te same stopnie wtajemniczenia co nowych znajomych. Veronique spod Paryża, Lucia z Ankony i Matteo z Rzymu tak jak ona przypalali garnki, podawali niedogotowane ziemniaki lub rozgotowany makaron.

– Miło się z wami rozmawia – stwierdził nagle Matteo – ale mam pewną sprawę do załatwienia. Żegnajcie, międzynarodowe piękności.

Skłonił się dwornie i poszedł, a Veronique, nie czekając nawet, aż zniknie za zakrętem, dołączyła sobie wina i przeszła do natarcia.

– To teraz możemy sobie po babsku pogadać. Lucia, co nowego na froncie?

– No sama widzisz, miło i ciepło, ale w miejscu. Nawet ciotki przyzwoitki nie pomogły.

Dopiero po dłuższej chwili do Laury dotarło, że Lucia jest zainteresowana jej sąsiadem i nie miałaby nic przeciwko bliższej znajomości z nim. Veronique uśmiechnęła się, widząc, jak błysk zrozumienia pojawia się na twarzy Polki.

– Robimy, co możemy, ale on jest odporny na wszelkie działania. W tobie nadzieja. Masz do niego stały dostęp, może weźmiemy go od strony sąsiedzkiej.

Laura już zamierzała wytłumaczyć, że ten stały dostęp ogranicza się do pojedynczych spotkań na schodach, ale powstrzymała się. Może rzeczywiście zjawiała się w ich życiu nieprzypadkowo. Zaczęła chichotać, wyobrażając sobie, jak Francuzka i Polka swatają Włoszkę z Włochem.

– Nie śmieję się, bo to poważna sprawa. – Veronique machnęła ręką, na chwilę zmieniając temat. – A ty, blondynko, spotkałaś jakiegoś interesującego Włocha?

Laura kątem oka zauważyła, że Lucia też podniosła wzrok i z zaciekawieniem spojrzęła na koleżankę. Nie odpuszczają jej, musi coś

powiedzieć. Rzecz w tym, że poza braćmi Zanetti w jej rzymskim życiu nie było innych mężczyzn. Chociaż był jeszcze Andrea.

– Spotkałam – powiedziała zgodnie z prawdą. – Ale to tylko znajomość.

– Od czegoś trzeba zacząć – rzuciła Veronique, wyjadając resztki ciasta z talerza Laury. – Jaki on jest?

Właściwie nie wiedziała, od którego spotkania liczyć ich znajomość, bo co prawda przedwczoraj spotkali się po raz drugi, to po raz pierwszy zachowywali się jak znajomi, a nie bohaterowie telenoweli. Przy pomidorach uwiódł ją dotykiem, ale zmroził nieobecny spojrzeniem. Pozostała na środku targu zawieszona między wyobraźnią a rzeczywistością, zastanawiając się, czego naprawdę była świadkiem. Przy kanapce był bardziej sympatyczny i skory do rozmowy.

– Czyli taki bardziej konsumpcyjny pan – powiedziała wesoło Veronique, a Laura w tym momencie uświadomiła sobie, że myślała na głos. – Zaraz nam pewnie powiesz, że jest jak cukiereczek.

– Raczej jak orzeszek pistacjowy. – Olśniło ją niespodziewanie. – Łupinka niby lekko rozchylona, ale i tak nikt niepowołany nie dostanie się do środka. Chyba bardzo sobie ceni ten swój domek z otwartym oknem. A jeśli kogoś wpuści do środka, to nie wiadomo, czy będzie akurat bardziej słodki, czy słony.

– Szczerze mówiąc, to brzmi mało romantycznie – mruknęła nieco rozczarowana Veronique.

– Romantyczny to on jest pewnie dla tych, które wpuszcza do swojego domku. Dla pozostałych pozostaje zdystansowanym panem smakowitym. – Laura przypomniała sobie jego uśmiech i pocałunek złożony na jej dłoni przy pożegnaniu. Umiał być uroczy, mimo że pozostawał lekko nieobecny.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Lucia westchnęła i uniosła kieliszek. – Za mojego nieśmiałego naukowca i twojego zdystansowanego pana orzeszka.

– To ja dorzucę Fabrizia, żeby zabrał na łódki mnie, a nie Monicę.



W pracy zjawił się około południa, wściekły po rozmowie z Antoniem. Nietrudno było się domyślić, że Antonio miał już wszystkie informacje o Nicole, ale nie przyznał się do tego. Andrea wiedział, że nie dostanie ich za darmo. Miał rację, bo Antonio poprosił o wykonanie kolejnego zadania. Grzecznie, jakby chciał sprawić wrażenie, że jego rozmówca może odmówić. Miało to im obu poprawić samopoczucie, ale choć zazwyczaj łagodziło nieco ciężar sprawy, tym razem tylko jeszcze bardziej poirytowało Andreę. Dlaczego w jego życiu nic nie mogło być proste? Jaki czort prowadził go splątanymi bezdrożami, z których nie było odwrotu?

– Dzień dobry, już jestem. Nie musicie mi robić kawy, piłem – rzucił w drodze do gabinetu.

Nawet nie spojrział w stronę swoich sekretarek, one jednak tym razem nie zamierzały zostawić go w spokoju.

– Dziękujemy, łaskawco, że nas odwiedziłeś – prychnęła Giulia. – Masz dziś ogromne wzięcie, telefony się urywają.

– Przecież uprzedzałem, o której będę. Jestem nawet pięć minut przed czasem. – Był bliski wybuchu.

– Nam mówiłeś, ale zapomniałeś o tym wspomnieć pewnej pani Ponti, która zdawała się mieć jakąś ważną sprawę.

– Nie znam żadnej Ponti – mruknął, przebiegając w myślach swój kalendarz z kontaktami.

– Ale ona zna ciebie – rzuciła Livia. – I to chyba nie najgorzej, wzięwszy pod uwagę upór, z jakim wydzwaniała.

– Kolejna ofiara wykorzystana i porzucona przez nieczułego mężczyznę – dodała Giulia, uśmiechając się słodko. – Tylko skąd miała telefon do pracy? Czyżbyś już tak upadł, że podrywasz na stanowisko?

– Pewnie wizytówka wypadła mu z portfela, a ta spryociuła zachowała ją na gorsze czasy. Teraz ma już wyniki testu i chce go zaprosić na rozmowę o przyszłości... – Sekretarki postanowiły nie odpuszczać naburmuszonemu Andrei.

Musiał przyznać, że ich złośliwa paplanina odsunęła na drugi plan męczące psychicznie spotkanie z Antoniem.

– Jeśli będziecie tak brzydko odzywać się do mężczyzn, to zostaniecie starymi pannami. Skończycie jak te dwa dziwolągi, które tu siedziały przed wami.

– Nie denerwuj się, bo ciśnienie ci skoczy, a w twoim wieku to niebezpieczne. No więc jak, nie znasz tej miłej panny, która bardzo grzecznie o ciebie pytała?

– Maria? – Przypomniał sobie, że dał jej wizytówkę z numerem tylko do pracy.

– Brawo, przynajmniej imię zapamiętałeś. W nagrodę dostaniesz prywatny numer komórki do miłej panienki.

– Dawajcie, paskudy.



Starsze panie powitały ją w korytarzu, gdzie zgodnie wdzięczyły się do ogromnego lustra, przy czym jedna drugiej nieustannie zarzucała brak gustu i stylu. Zbierały się do wyjścia, były umówione z krawcową na kolejną przymiarkę.

– Naprawdę chcesz tak wyjść z domu? – prychnęła Francesca, lustrując Laureę. Jeszcze w progu, niemal zamykając drzwi, rzuciła: – Przynajmniej umaluj usta!

Zrobiła, co kazały. W tym domu można było zaniedbać edukację, ale nie makijaż. Nie było sensu tłumaczyć, że świat w nieumalowanych ustach jest równie interesujący. A może wcale tak nie było? Może w tym szalonym mieście kobiety musiały malować usta, żeby wejść w równorzędny dialog z tym światem, pokazać swój charakter i upór. Dźwięk telefonu dzwoniącego w torebce wyrwał ją z rozmyślań nad szybkim pulsem włoskiego świata.

– Cześć, panno Lauro – rozległ się w słuchawce głos Piotra. – Jak ci tam w słonecznym rajku?

– Jak to w rajku. – Zaśmiała się. – Bosko.

– Zazdroszczę. – Jego głos brzmiał tak promiennie, jakby Piotr stał tuż obok i wraz z nią rozkoszował się włoskim słońcem.

– Nudziłbyś się tutaj okrutnie. – Pamiętała, że zawsze był pierwszy w czytelni naukowej, że godzinami mógł rozprawiać o wyższości jednej idei nad drugą i zapominał o bożym świecie, gdy znajdował równego sobie dyskutanta. – Tu tylko gorące spojrzenia Włochów i oszronione kieliszki z vernaccią.

– Masz rację, nie dla ludzi. – Był w doskonałym nastroju. – A może napiszesz mi coś o tym paskudnym rajku, w którym nie sposób wytrzymać normalnym naukowcom?

– Tęsknisz za staromodnymi listami? – Właściwie nie powinna się dziwić. Piotr zawsze stał trochę na marginesie nowoczesności. – Może jeszcze powiesz, że papier ma być ręcznie zdobiony i perfumowany?

– Perfum nie chcę, ale gdybyś narysowała jakieś serduszko, to moja dusza rozkwitłaby, pożegnawszy raz na zawsze wszelkie z wątpienia...

Pozartowali jeszcze trochę i pożegnali się, obiecując sobie wymianę korespondencji w stylu retro. Laura uśmiechnęła się na wspomnienie Piotra. Nie wiedział, co się stało w jej życiu, ale jako jedyny z niewtajemniczonych dostrzegł zmianę. Siadali, jak niegdyś, na szerokich parapetach i rozmawiali o ponadczasowych ideach, lecz nie dał się zwieść jej błyskotliwym uwagom.

– Jak ci mogę pomóc? – zapytał któregoś dnia między jedną a drugą celną ripostą.

Wytrącił ją z równowagi, którą budowała każdego dnia od nowa, za każdym razem starannie odgradzając się siecią uśmiechów i elokwentnych sformułowań. Niespodziewane pytanie odarło ją z tego wszystkiego. Milczała przez chwilę.

– Po prostu bądź – szepnęła, nie do końca wiedząc, co miała na myśli.

Piotr zrozumiał to po swojemu. Od tamtej pory częściej niż przedtem zapraszał ją do rozmów na parapecie, przy okazji dbając o jej żołądek. Dopiero po kilku miesiącach dostrzegła, że za każdym razem ofiarowywał jej kanapkę z serem topionym i mielonką. Potrzebowała ponad pół roku, by to poczuć. Ten smak już zawsze będzie się jej kojarzył z tym melancholijnym chłopcem w okularach.



Maria obserwowała przechodniów, oczekując nadejścia Andrei z naprzeciwka, tymczasem on podszedł od tyłu i położył rękę na jej ramieniu. Nie przestraszyła się, spokojnie położyła swoją dłoń na jego, jednocześnie wolno się odwracając. Po chwili znalazła się w jego objęciach.

– Jaki taneczny obrót. Długo go trenowałaś?

– No wiesz, my kobiety niektóre rzeczy po prostu mamy we krwi.

– Czyli pewnie też dobrze tańczysz.

– W szkole tańczyłyśmy tylko z dziewczynami, a uczyła nas siostra zakonna. Powiedziała nam kiedyś, że w tańcu należy być tak blisko, by kartka papieru nie wypadła spomiędzy ciał partnerów.

– Teraz kartka by się nie zsunęła...

– Przepraszam. – Odsunęła się speszona.

– Cała przyjemność po mojej stronie, ale może siądziemy przy stoliku. Zagraniczni turyści zrobili nam już wystarczająco dużo zdjęć. Będziemy w albumach z wakacji w Japonii, Kanadzie i Australii.

Usiedli w jednej z licznych kawiarenek w pobliżu Piazza di Spagna.

– Dla pana jak zwykle espresso i deser lodowy, a dla pani? – Powitała ich sympatycznie uśmiechnięta kelnerka.

– To samo, ale lody tylko owocowe, bez czekoladowych. Czy ciebie znają wszystkie młode kobiety w Rzymie?

– Tylko te najładniejsze. Jestem dosyć wybredny.

Nie podjęła gry. Przez chwilę milczała, a on jej w tym nie przeszkadzał, widząc, że zbiera się na odwagę. Wprawdzie spotkali się z innego powodu, ale skoro chciała mu coś powiedzieć, nie zamierzał jej tego utrudniać.

– Znamy się od ponad czterech lat. Kupujesz u mnie systematycznie, zawsze jesteś bardzo miły i uprzejmy. Nigdy nie zrobiłeś nic, aby mnie poderwać,

żadnych tanich komplementów ani obietnic bez pokrycia. I nagle zapraszasz mnie na kolację, flirtujesz, dajesz wizytówkę i zabierasz na kawę. Coś się zmieniło, choć mam wrażenie, że nie na tyle, byś brał mnie na serio pod uwagę. Nic z tego nie rozumiem.

– Obiecuję, że o mnie porozmawiamy następnym razem. Skupmy się na tobie.
– Naprawdę chciał być z nią szczerzy, ale nie tak szybko. Ona musi dojrzeć do prawdy o nim.

Chciał jej przede wszystkim pomóc. Po tym, jak na ostatnim spotkaniu ze ściśniętym gardłem wyszeptała mu na pożegnanie swoją historię, od której zaczął się jej zupełnie nieplanowany pobyt w Rzymie, zrozumiał, że sama nie da sobie z tym rady, a zasługiwała na więcej, niż teraz była w stanie wziąć od życia.

– Opowiedziałem o tym, co cię spotkało, pewnej osobie. To kobieta karabinier. Mam do niej pełne zaufanie w sprawach służbowych. Jeśli się zgodzisz, pomoże ci, ale będziesz musiała wrócić do tego, raz jeszcze wszystko opowiedzieć, złożyć bardzo szczegółowe zeznania. Dasz radę?

– Jeśli mi pomożesz, spróbuję. Na początek chciałabym spotkać się z nią w twojej obecności.

– Dobrze. Ale koniec poważnych tematów. Nadchodzą kalorie. A właściwie ile ważysz?

– To jest tak jak z wiekiem, czyli prawie połowę mniej niż ty...



Dawno nie odwiedzała Campo. Poranne zajęcia w fundacji sprawiły, że robiła zakupy w okolicznych sklepach, zaniehbując swój ulubiony targ. Właściwie nie musiała tu być, ale postanowiła przejść się między straganami i trochę naładować akumulatory przed słonecznie rozpoczynającym się dniem, w którym czekało ją sporo pracy. Na stoisku Marii sprzedawał nieznajomy chłopak o nieprzyjemnym spojrzeniu, jabłka kupiła więc na sąsiednim straganie. Trzymając jeden owoc w dłoni, podeszła do stoiska z ryżem. Zastanawiała się nad kupnem jakiejś mieszanki na risotto. Kusilo ją, by przygotować ryż z lawendą lub innym nieoczywistym dodatkiem.

– Nie kupuj gotowych mieszanek, to dla mięczaków. – Usłyszała za sobą męski głos. – Sama dodaj do ryżu to, co ci w duszy zagra.

Odwróciła się. Przed nią stał Andrea, uśmiechnięty, zadowolony, że udało mu się ją nakryć na oglądaniu towarów dla turystów.

– Spodziewałem się, że zastanę cię w towarzystwie Beppe, który obiera karczochy, albo u signory Secchi, która właśnie zaczyna układać puntarellę. A ty tutaj? Jak jakaś pierwsza lepsza turystka...

– Nie marudź. – Uśmiechnęła się do niego szeroko i wręczyła mu jabłko. – Docień towarzystwo pięknej kobiety, która częstuje cię kawałkiem raję.

Wziął od niej owoc, o kilka sekund przedłużając dotyk. Z każdym spotkaniem wydawała się inna. Za pierwszym razem zaskoczona i spłoszona, w Watykanie dziewczęca, teraz kokietowała go, nie przejmując się otaczającym ich tłumem.

– Nie idziesz przypadkiem w kierunku Piazza Navona? – zapytał po chwili, wciąż jeszcze nie odrywając od niej spojrzenia.

– Pracujesz przy Piazza Navona? Zazdroszczę.

– W pobliżu, tak wyszło. – Wzruszył ramionami. – Plac ładny, ale praca

biurowa, nic szczególnego.

Laura przyjrzała się Andrei uważniej. Nosił się szykownie i elegancko, było jednak w jego ruchach coś, co nie pasowało do zbiurokratyzowanego służbisty. Zamiast spięcia, charakterystycznego dla wszystkich ludzi pracujących wbrew sobie, on iskrzył. Cokolwiek robił, musiał to lubić.

– Nie wmówisz mi, że jesteś nudnym urzędnikiem, który zmusza się do pracy.

– Czyżbyś studiowała psychologię? Wyglądasz mi na miłośniczkę sztuk pięknych.

– Jestem tylko zwykłym menedżerem kultury, który próbuje namawiać możliwych tego świata, by nie skąpili na ratowanie zabytków. Historię sztuki zajmuję się po godzinach, amatorsko i entuzjastycznie. A swoją drogą, na jakiej podstawie wyciągnęłaś swoje wnioski? Przecież nic ci wcześniej o sobie nie powiedziałam.

– Twój wzrok ciągle wędruje po zabytkach. Kiedy napotkasz coś ciekawego, odpływasz. Udajesz, że słuchasz, ale tak naprawdę znikasz w zachwycie.

– Aż tak to widać? Staram się nad tym panować.

– Nie musisz. Zachwyt jest piękny. Gdybyś miała czas i ochotę, mógłbym ci pokazać mistrzostwo świata w uprawianiu światła i cienia.

– Czas mam, a z Ochoty jestem.

– Nie rozumiem...

– Ochota to dzielnica w Warszawie. – Laura się roześmiała. – Obok jest Wola, mamy tam też swoje Włochy.

– Z przyjemnością posłucham o Warszawie, a odwzajemnię się opowieściami o Rzymie. Czy w niedzielę przed południem u stóp Giordana może być? Razem pójdziemy za głosem sztuki.

– Wiesz, jak skusić kobietę. – Rozłożyła bezradnie ramiona na znak, że właściwie nie ma wyboru i decyzja zapadła w chwili, gdy składał jej propozycję.

– A kto powiedział, że kuszenie to tylko wasza specjalność? – Mrugnął do niej, po czym podał jej rękę na pożegnanie. – Dziękuję za wspólny spacer, ale tutaj pracuję.

Spojrzała na tablicę. No tak, pomyślała z przekąsem, nic szczególnego. Tylko Senat Republiki Włoskiej. Rzeczywiście nudna praca biurowa.

– Dzień dobry, panie ministrze – usłyszała, gdy wchodził do budynku.



Andrea miał rację. W jej życiu tak naprawdę liczyły się tylko pojedyncze uniesienia, gdy odkrywała coś niezwykłego. Czasami przedziwny gzyms, innym razem błysk porozumienia w kocim oku, kiedy indziej takie pociągnięcie pędzla na płótnie, które sprawiało, że szkło stawało się naprawdę przezroczyste. Szukała tych zachwyków w każdym elemencie otaczającego ją świata, podążała ich tropem na krańce swojego poznania, wszędzie tam, gdzie istniał cień szansy, by je spotkać. Odwiedzała muzea, zanurzała się w malownicze zaułki, zamyślała się nad kosztami owoców na Campo.

W przedszkolu wychowawczynie nazwała ją sroką, bo ścigała rozbłyski na ścianach i spędzała godziny na obserwowaniu słońca w kałużach. W szkole podstawowej nauczycielka biologii zasugerowała rodzicom, żeby wysłali ją do psychologa, bo normalne dzieci nie przyglądają się tak długo głupiemu chomikowi, który mieszka w klatce na parapecie w pracowni biologicznej.

Z czasem przyzwyczała się do kpiących komentarzy i pełnych politowania spojrzeń, które próbowały jakąś niepoczytalnością wytłumaczyć życie kilka centymetrów nad ziemią. Przestała przejmować się tym, że nawet bliskie osoby traktowały ją z lekkim przymrużeniem oka. Może rzeczywiście z ludźmi żyjącymi od zachwyku do zachwyku trzeba postępować inaczej. Na szczęście nikt nie próbował jej zabrać tych uniesień, pozwolono jej żyć tym dziwnym życiem, które z rzadka spotyka się z rachunkami, ciekącym kranem i rozładowanym akumulatorem.



Ostatnie dwa dni były koszmarnie ciężkie. Praktycznie mieszkał w biurze. Tak było zawsze, gdy odbywały się posiedzenia komisji. Praca na najwyższych obrotach, pełna koncentracja, dziesiątki spotkań, telefonów, konsultacji, ustaleń z rządem, frakcjami, senatorami. Do niedawna mógł swobodnie i dość oficjalnie przekonywać, namawiać do przyjęcia pewnych rozwiązań, do poparcia korzystnych dla jego ugrupowania poprawek. Teraz to się zmieniło. Wiedział, że opozycja będzie go sprawdzać, patrzeć, czy zachowa obiektywizm, czy może ulegnie pokusie i będzie wspierał frakcję, która wyniosła go do władzy. Senatorowie z jego strony politycznej zaś oczekują pełnej dyspozycyjności i popierania wszystkiego, co wyda im się słuszne bądź ważne.

Tak jak przypuszczał, pierwsi zgłosili się Flip i Flap. Gdy ich widział, zastanawiał się, czy nie wprowadzić do konstytucji poprawki, która oprócz ukończonych czterdziestu lat będzie wymagać od kandydatów do senatu określonego wyniku testów na inteligencję. Te przygłupie kreatury napawały go obrzydzeniem. Jeden był kuzynem premiera, drugi, kiedy zaczęła się akcja „Czyste ręce”, podobno umył swoje we łzach tych, których wydał. Zażądali od Andrei zatrudnienia kilku osób na dobrych stanowiskach, oczywiście jako podziękowania za awans.

I jeszcze prośby Antonia. Tak naprawdę jego zakulisowym staraniom zawdzięczał nominację. Najdziwniejszy człowiek, jakiego znał. Wielki patriota, który musiał działać w ukryciu. Nigdy nie otrzyma żadnego medalu, dyplomu ani publicznej pochwały. Poświęcił rodzinę, zaszczyty i stanowiska dla niewdzięcznej pracy na rzecz ojczyzny. Wszyscy go nienawidzili, bo wiedział o nich wszystko, ale nikt nie odważył się odwołać go ze stanowiska. I tak trwał od kilkunastu lat. Trwał i coraz bardziej dziwaczał. Andrea był

jedyną osobą, z którą Antonio utrzymywał prywatne kontakty. Był też jedyną osobą, która się go nie bała. Bo czy można bać się swojego świadka na ślubie? Już na studiach razem chcieli zbawiać świat. Różnili się jedynie co do środków, których zamierzali użyć w tym celu. Antonio uważał, że każda metoda jest dozwolona. I zawsze prosił o to samo: wyjaśniał, że dany dekret nie może być przyjęty bez poprawek, bo jest niekorzystny dla kraju.

– Wiesz, że mówię prawdę. To jest złe rozwiązanie. Uwierz mi, bardzo złe – powtarzał jak mantrę. – Ale i tak ci nie powiem dlaczego. Nie mogę.

I Andrea mu wierzył. Wiele razy przekonał się, że interwencja Antonia ocaliła niejedno przedsięwzięcie. Ale pamiętał też, że niektóre jego zlecenia wymagały zbyt dużych poświęceń. Z powodu jednego z nich odeszła Nicole.

Rozmyślania przerwał sygnał komórki. Na wyświetlaczu przeczytał: Marta.

– Co tam?

– Fajnie, że odebrałaś. Nie widziałam cię od dwóch dni, więc dzwonię.

– Rozumiem, zboczenie zawodowe.

– Nie sprawdzam, czy żyjesz. Martwiłam się, bo nie wiem, czy już zapisałeś mi mieszkanie w testamencie. Jestem pod senatem i kupiłam kanapki. Zaprosisz mnie?

– Zejdę po ciebie...

Czekała na niego bacznie obserwowana przez strażników. Miała na sobie jasną letnią sukienkę w kwiaty i stanęła w strumieniu światła, który prześwieślał tkaninę, wydobywając smukłość jej nóg.

– Musi pani przejść przez bramkę – rzucił strażnik służbista, gdy Andrea pojawił się i przedstawił Martę jako swojego gościa.

– Proszę bardzo, ale i tak już wszystko dokładnie obejrzelście. – Uśmiechnęła się i położyła plecak na taśmie. – Nie mam nic do ukrycia.

Po chwili szli razem do jego biura. Kroczyła dumnie wyprostowana, stukając obcasami o marmurową posadzkę. Andrea miał wrażenie, że bardziej niż zazwyczaj kołysała biodrami. Po drodze do pokoju minęli wielu jego pracowników. Później sekretarki doniosły mu, że większość wzięła Martę za tajemniczą panią Lituano i zachwycała się, jak piękną stanowią parę. Przeszli przez sekretariat. Giulia dyskretnie zmierzyła wzrokiem domniemaną rywalkę.

– Nie będziecie sami – rzuciła tylko, gdy wchodzili do gabinetu.

W fotelu Andrei siedział rozparty Pietro, studiując „La Gazzetta dello Sport”.

– Pozwól, że ci przedstawię... – zaczął Andrea.

Pietro opuścił gazetę i mimo swojej wagi wystrzelił do góry jak z procy. Niestety, zrywając się w kierunku Marty, nie przewidział różnicy wzrostu i wielkości swojego brzucha, w efekcie więc przyłgnął swoim ciałem do Marty, a jego nos znalazł się na wysokości jej biustu. A dokładniej w dekolcie między piersiami.

Andrea z przerażeniem obserwował tę scenkę rodzajową, czekając tylko, kiedy Marta jednym celnym ciosem zwali senatora z nóg. Ona jednak zwinnie odsunęła się, podtrzymując ciało senatorskie przed bezwładnym lotem do przodu.

– Rozumiem, że to taki rytualny sposób powitań między senatorami. Eskimosi pocierają się noskami, a senatorowie brzuskami...

– I do tego inteligentna – mruknął z uznaniem Pietro, doprowadzając się do porządku. – Powinno się ustawowo zakazać nauki dziewczynkom powyżej szkoły powszechnej.

– Też tak myślę, ale ja się z tym urodziłam.

– Lubię złośliwe kobiety. To pani pierwszy tak bliski kontakt z senatorem?

– Znam senatora Kellera.

– Tego starego satyra i kobieciarza. Nie uwierzę, że taka piękna kobieta i on...

– To mój wujek. – Marta była wyraźnie rozbawiona zachowaniem Pietra.

– Przepraszam, jakie nazwisko pani podała, bo nie dosłyszałem? Meller? Keller! Richard Keller, senator z prowincji Bolzen? Źle usłyszałem. To najporządniejszy senator, codziennie razem chodzimy na poranną mszę w kaplicy.

– Dziwne, bo wuj jest protestantem. Ale w sumie wierzy w tego samego Boga...

– Senatorze Pietro, nie pogrążaj się jeszcze bardziej. – Przyglądający się od dłuższej chwili rozmowie Andrea wkroczył do akcji. – Może w końcu przedstawię ci moją przyjaciółkę. Nazywa się Marta Tischner.

– Tak samo jak nasza słynna biathlonistka?

– Nie tak samo, ale ta sama.

– Jak mogłem nie rozpoznać najpiękniejszego oblicza biathlonu! Proszę tu zostać, zaraz wrócę. – I wybiegł w tempie, którego nikt by po nim nie oczekiwał.

Marta uśmiechnęła się zwrócona w stronę drzwi. Podobało jej się tutaj.

– Śmieszny grubasek. Kto to jest?

– Powinnaś go znać, choć z zupełnie innej działalności. To słynny PePe. Pietro Popolo. Niegdyś jeden z najlepszych fotografów sportowych.

– A tak, słyszałam. Mówiono, że jeszcze przed startem wiedział, kto wygra, i robił zdjęcia przyszłym zwycięzcom, by potem mógł pierwszy wysłać je do redakcji po zawodach. Znał podobno wszystkich najważniejszych w sporcie. Widzę, że się lubicie.

– To bardzo porządny człowiek. Zasługuje na swoje imię. Prawdziwy Petrus, solidna skała, na której można wszystko zbudować. I zgodnie z nazwiskiem jest bardzo z ludu i z ludem. A poza tym wspaniale opowiada o sporcie.

Drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł Pietro. Trzymał sporej wielkości zdjęcie w antyramie.

– Patrzcie i podziwiajcie, to jest piękno sportu!

Kobieca twarz na zdjęciu była ujęta z półprofilu. Przypominała dziewczynę z perłą, ale była dziewczyną ze strzelbą. Stop-klatka. Chwila zatrzymana w czasie. Piękna twarz, jak wyrzeźbiona, nieruchoma, oczy utkwione w jakimś punkcie w oddali. Koncentracja, wstrzymany oddech. Nieruchoma i wyłączona ze świata. Wokół jej twarzy wirujące płatki śniegu. Jeden z nich osiadł na jej długich rzęsach, inny krąży między źrenicą oka a szczerbinką karabinu. Za nią w tle wiwatujący tłum. Ona tego nie widzi. Jest w innym wymiarze, pogrążona w swojej modlitwie.

– Oto nasza bohaterka Marta Tischner. Dla mnie nagroda za zdjęcie roku w kategorii sport, a dla pani ostatnie wygrane zawody w Pucharze Świata. Proszę, to prezent.

– Dziękuję, nie wiedziałam, że pan mi je zrobił.

– Pani celowała do tarczy, a ja obiektywem do pani. Takie mieliśmy profesje. A co teraz pani porabia, jeśli wolno spytać?

– Maria jest strzelcem wyborowym i pracuje w służbach mundurowych, więc nie ryzykuj – odpowiedział za nią Andrea.

– To się świetnie składa. Mój syn pierworodny szuka nauczyciela strzelania. Jest adwokatem i wielu jego znajomych to myśliwi. Jeśli nie będzie z nimi strzelać, nie zostanie członkiem ich społeczności. Teraz lepiej, żeby nie strzelał, bo po pierwszym polowaniu mogłaby pozostać grupa jednoosobowa, chyba że i siebie ustrzeliłby przy okazji.

– Nikogo nie uczyłam strzelać.

– To bardzo zdolny chłopak. Co prawda nie taki przystojny jak ojciec, ale niewiele odbiegł od ideału. Andrea może poręczyć, że jestem wypłacalny.

Niech się pani zgodzi.

– Nie mówię „nie”, ale teraz proszę mi wybaczyć, że nie będę kontynuować naszej pogawędki. Chciałam zwiedzić miejsce stanowienia prawa, a powoli kończy mi się przerwa. – Wzięła Andreeę pod rękę i, sterując nim umiejętnie, wyprowadziła na korytarz. – Naprawdę chcę zobaczyć, gdzie pracujesz...



Miała jeszcze ponad godzinę do spotkania z Veronique. Zaplanowały na dzisiaj wspólny makaron i długi babski wypad do sklepów.

– Nie mogę się przyzwycząić do włoskiej mody – narzekała nowa francuska znajoma. – Ty jedna mnie zrozumiesz, bo też nie jesteś stąd. Kiedy oglądam ubrania w sklepach, wydają mi się straszliwie kiczowate i tandetne. Jakieś ściągacze, dekolty, tasiemki, wszystko się ciągnie i świeci. Nie włożyłabym tego za żadne skarby. Z tego kraju pochodzą najwięksi kreatorzy mody, a ich kobiety ubierają się koszmarnie.

– Ale one świetnie w tym wyglądają, więc to my mamy problem – stwierdziła Laura i tym dość ogólnikowym stwierdzeniem obudziła w Veronique francuską damę, która postanowiła udowodnić, że nie istnieją okoliczności uniemożliwiające prawdziwej kobiecie dobrze się ubrać.

W efekcie podjęła wyzwanie, że zrobi tu zakupy na miarę Paryża, choćby miała nic innego nie robić w Rzymie, tylko biegać po sklepach. Laura dała się namówić Veronique na pierwszą wyprawę, ale od razu zarzekła się, że nie zamierza poświęcać na nią całego wolnego czasu.

– Ech, wy Słowianie. – Nagle Veronique wykazała się znajomością Europy Wschodniej. – Pierwsi do smętnych refleksji w świetle księżycy, ale żeby tak wyjść życiu naprzeciw, to już niekoniecznie.

Zanim Laura zdążyła zareagować na tę skądinąd trafną, choć nienależącą do najprzyjemniejszych uwagę, Veronique już machała z daleką ręką, wykrzykując termin i miejsce ich spotkania. Jeszcze tylko ukłoniła się kierowcy taksówki, przed której maskę wbiegła znienacka, zmuszając krewkiego jegomościa do nagłego hamowania, po czym zniknęła w tłumie turystów.

Bieganie po sklepach nigdy nie należało do ulubionych zajęć Laury i dość szybko każdą wizytę w centrum handlowym zmieniała w spacer śladem

czerwonych krawatów, zielonych bluzek czy białych skarpet. Czasami przysiadła w jakimś przejściu i chłoneła pospieszną atmosferę rozmów tych, którzy postanowili wyjaśnić sobie sens zakupu kolejnego telewizora czy następnej sukienki w kolorze bakłazana.

– Witaj, piękna sąsiadko. – Z oddali dobiegł ją znajomy głos.

Musiała minąć dłuższa chwila, zanim przeniosła się z centrum handlowego na rzymskie podwórko, na którym przysiadła, przyglądając się leniwej radości istnienia ciężarnej Księżniczki. Podniosła głowę i dostrzegła nad sobą uśmiechniętą twarz Mattea, którego włosy rozłocły się w promieniach słońca. Wyglądał jak zagubiony na ziemi anioł.

– Widzę, że lubisz naszą Madame.

– Ma na imię Madame?

– Każdy nazywa ją inaczej. Massimo ochrzcił ją mianem Giulietty, ale jemu wszystko w życiu kojarzy się romantycznie. Nie przyjmuje do wiadomości, że to dama, której imię podlotka po prostu uwłacza. Dlatego ja mówię do niej Madame. Moja mama stwierdziła, że jest leniwa jak jej ciotka Giuseppina, więc tak właśnie do niej mówi, gdy w drodze do domu podrzuca jej co smaczniejsze kąski. A pani Carapelli, która nam tu wszystkim trochę gospodarzy i przejęła opiekę nad Madame, woła na nią Serena, bo zawsze zachowuje stoicki spokój i pogodę swojego kociego ducha.

– A na którą wersję reaguje sama zainteresowana?

– Tę, której towarzyszy kurczak. Wszyscy ją rozpieszczamy po cichu, ale oczywiście nikt się do tego nie przyzna, bo nie wypada. Nawet Francesca trochę ją podkarmia, choć chwilę później krzyczy o to na Chiarę.

– Ciekawe, co się stanie z kociętami?

– To co zwykle. Znikną w okolicznych mieszkaniach i domach. Widuję czasami ich czarne pyszczki wśród doniczek, słyszę, jak pomiaukują między sobą z różnych parapetów i balkonów. Ale trzeba będzie już wysterylizować Madame, bo w końcu zabraknie miłośników kociąt.

– Wziąłeś jakiegoś malucha z poprzedniego miotu?

– Massimo porozdawał swoim dziewczynom nasz przydział. Zadowolam się kontaktem z czcigodną kocią mamą. Zresztą lada dzień zniknie w swojej ulubionej piwniczce i będzie oswajać swój koci drobiazg. Uciekam na uczelnię, a ty co dziś porabiasz?

– Mam pewną międzynarodową sprawę do załatwienia. Ale to tajemnica, no wiesz, kwestia honoru – uśmiechnęła się, żegnając się z Matteo przed bramą

domu.

Powoli ruszyła w stronę Schodów Hiszpańskich, bo Veronique postanowiła swoje poszukiwania rozpocząć od serca rzymskiej mody, czyli snobistycznych uliczek w pobliżu via Condotti.



Andrei nie zdziwiła obecność Pietra w jego gabinecie. Tym razem senator wyraźnie czekał na niego, by porozmawiać.

– Wiesz, dlaczego odeszła ze sportu? – zapytał.

– Znam historię Marty. – Andrea nie wiedział, co wie Pietro, dlatego wolał pozostać w sferze ogólników.

– Kiedy zobaczyłem, jak związek tuszuje sprawę i robi z ofiary oskarżoną, nie wytrzymałem. Szczerze mówiąc, Marta była impulsem, który sprawił, że rzuciłem fotografowanie. Chodziło mi to już wcześniej po głowie, ale jej przypadek skłonił mnie do radykalnych działań. Poszedłem wtedy do prezesa federacji i wygarnąłem mu, co o tym myślę. Uśmiechnął się tylko i powiedział, że sama chciała, więc niech teraz nie udaje skrzywdzonej.

– I co, dalej rządzi sportem?

– Nie, kilka lat temu zginął w wypadku. Zimą pojechał w górach prosto na zakręcie i wpadł w przepaść. Policja uznała, że zawiniła jego nieostrożność. Wielu widziało jednak dziwną dziurę w oponie, jakby ślad po kuli, ale kto by trafił tak celnie w koło pędzącego samochodu... Zresztą nikt po nim nie płakał.

– Wracając do Marty, to, proszę, nie żartuj sobie z niej i nie baw się jej kosztem.

– Mówiłem poważnie o tej nauce strzelania, a że przy okazji mój syn jest kawalerem, to kto wie... Niedługo są moje urodziny. Będzie kilka osób, może zajrzałyś z Martą.

– Spróbuję ją namówić.

Andrea zastanawiał się często nad fenomenem Pietra. Ten z pozoru kobieciarz, człowiek, który wiecznie żartował i sprawiał wrażenie nieodpowiedzialnego, w rzeczywistości był przykładnym ojcem rodziny. Właściwie ojcem i matką w jednym. Jego żona zmarła przed kilkunastu laty,

więc to on zajął się wychowaniem dzieci. Kiedy został senatorem, przeniósł rodzinę do Rzymu. Syn zapowiadał się na świetnego adwokata, córka pracowała w telewizji jako dziennikarka modowa. Byli już samodzielni i z własnymi mieszkaniami, niestety bez stałych partnerów. I to właśnie stanowiło główny powód zmartwień Pietra. Postanowił zatroszczyć się o życie rodzinne swoich dorosłych dzieci. Zrobił przegląd kadry we wszystkich biurach senackich i współpracujących z nimi urzędach. Teraz jego wybór padł na Martę.



Zamierzała tylko przejść przez Piazza Navona, ale pusta ławka w samym centrum placu skusiła ją do zrobienia sobie krótkiej przerwy. Lubiła to miejsce, choć zwykle witał ją tu tłum turystów, dla których był to kolejny przystanek w przemarszu przez Rzym. Dostawali kilka minut na odpoczynek i zrobienie zdjęć, rozsiadali się na ławkach i krawężnikach. Zmęczonym wzrokiem podążali od fontanny do fontanny, wciąż jeszcze mając w pamięci słowa przewodnika o wielkim barokowym dziele zdobienia placu, o rywalizacji Borrominiego i Berniniego, o legendzie, zgodnie z którą jedna z rzeźb Fontanny Czterech Rzek odwraca głowę od kościoła, by nie patrzeć na dzieło konkurenta. Ludzie lubią takie smaczki, zapamiętują podobne opowiadki, często nie słysząc słów najważniejszych, że to nieprawda. Kto by się przejmował nudną prawdą w obliczu atrakcyjnego kłamstwa.

Przed kościołem św. Agnieszki zespół ludowy z Meksyku tańczył i śpiewał przeboje ze swojej części świata, żywiołowe i radosne. Po drugiej stronie placu grupa młodych Brytyjczyków dawała popis breakdance'a.

A jednak duch tego miejsca nie umarł, zaśmiała się w duszy Laura. Zanim stanęły barokowe fontanny, znajdował się tu stadion Domicjana, na którym organizowano zawody sportowe, igrzyska dla mas. Pod stopami turystów kryły się resztki tej starożytnej budowli. Może to ich energia sprawia, że plac jest wciąż tłoczny, jak przed wiekami.

– Cześć, szalona rzymianko. – Telefon wyrwał ją z zamyślenia. – Wyobraź sobie, że Bella będzie miała kociaki! Moja mała Bella. Pilnowałam, jak mogłam, ale wiesz... jak się ma kotkę i kawiarnię, to prędzej czy później pod drzwiami pojawi się jakiś kocur. Zaczyna się od miseczki, a potem trzeba dzieci niańczyć...

Beata miała tak radosny głos, że Laura nawet nie próbowała jej przerywać,

szczęśliwa, że przyjaciółka z podwórka wreszcie odzyskała słońce za kolejnym życiowym zakrętem. Po zderzeniu z ciężarówką nogi przestały współpracować z nią, a ona przestała współpracować ze światem. Znajomi i przyjaciele wpadali do niej pojedynczo i grupami, ona jednak milkła, gasła, oddalała się coraz bardziej, choć jej wózek wciąż stał nieruchomo przy oknie na czwartym piętrze. Potem stracili ją z oczu, gdy rodzina wywiozła ją na wieś, ale to właśnie tam Becia odzyskała samą siebie.

– A jak się miewa twoja kawiarnia? Motyleon?

– Oj, kochana, nie jesteś na bieżąco. Barbara przysłała nam z Afryki absolutnie fantastyczne zdjęcia pewnego lwa i jego rodziny. Postanowiliśmy pozwolić odlecieć naszemu motylowi i został Leon. Kawiarnia u lwa Leona. Do tego oczywiście Bella i jej adorator, wszystkie psy Adama, papużki Kaśki i zółw Lidki. Nie liczę pudła pani Koziółkowej i boksera sprzedawcy serów, które wpadają do kawiarni o każdej porze i wylegają się na wystawie. Bułeczki pani Janeczki robią furorę, przyjeżdżają po nie ludzie z całej okolicy. Ruch jak na Marszałkowskiej. W życiu nie czułam się tak szczęśliwa. Gdybym mogła chodzić, to pewnie biegałabym po rynku jak wariatka...

Ani się spostrzegły, jak obie płakały do słuchawki. Jedna z radości, że na zabitej dechami wsi odnalazła sens życia, druga, bo wciąż czuła się jak w przedsionku życia, jak po zdjęciach próbnych, gdy nikt nie dzwoni. Laura bała się, że znowu będzie tak samo. Spotka kilka osób, wzruszy się kilkoma rzeźbami, zje kilka pysznych past, a potem wróci do swoich starych kapci w kratę i będzie się otulać mgłą, aż w końcu świat zniknie jej z pola widzenia.



- Andrea, mogę wejść na chwilę?
- Dziwne pytanie, Livio, przecież tu pracujesz. Dawno cię nie było, jesteś już zdrowa?
- Przyniosłam dziś zwolnienie. Jestem w ciąży. – Wstrzymała oddech, oczekując jego reakcji.

Livia, wiecznie rozgadana, roztrzepotana, niezorganizowana, z nieodłącznym szczerym uśmiechem. Trzydziestodwuletnia kobieta o fizjonomii dziecka, drobna, o niewinnym spojrzeniu przy wyjątkowo dużych oczach. Mistrzyni celnych ripost i złośliwości. Nie znał prawdziwego koloru jej włosów, bo zmieniała go co tydzień. Podobnie jak narzeczonych. Absolwentka prawa na Tor Vergata, która pracowała jako sekretarka. Rzymianka ze starego bogatego rodu. Pracę wybrał jej ojciec i załatwił za pośrednictwem znajomego polityka. Córka w senacie podnosiła jego prestiż, a zarobione pieniądze mogła przeznaczyć na drobne wydatki. Andrea został poproszony o zatrudnienie jej przed czterema laty. Usłyszał tylko, że trzeba ją przyjąć, i to bez dyskusji. Na pocieszenie dorzucano mu, że cały czas się uśmiecha i ciągle gada, więc nie trzeba będzie inwestować w radio. Skoro musiał, to zatrudnił. Nowe radio prezentowało się całkiem okazale, szczególnie że nosiło często bluzki o jeden rozmiar za małe, z niedopinającym się guzikiem na dość obfitym biuście. Livia gustowała także w dolnych częściach garderoby opinających kształtne pośladki. Gdyby miała z dziesięć centymetrów wzrostu więcej...

Idealnie uzupełniała się z Giulią. Ta z kolei pochodziła z ubogiego domu w Reggio di Calabria. Rzym był jej marzeniem, szansą na lepsze życie. Gdy przed sześciu laty Andrea, jeszcze jako szef biura frakcji w parlamencie, poszukiwał dziewczyn do pracy, zgłosiła się bezpośrednio z ulicy, bez koneksji czy referencji. Usłyszała przypadkiem rozmowę dziewczyn na

Uniwersytecie Roma 3 i przyszła na rozmowę, nawet bez CV. Przeciętnej urody, bardzo szczupła, wysoka, o zamyślonej twarzy i skromnie spuszczonej oczach, uwagę przykuwały jej włosy – naturalnie rude, właściwie tycjanowe, była ubrana jak z podręcznika dla profesjonalnych sekretarek, biurowo. Ujęła go szczerością i otwartością, mówiła wprost, jak ważna jest dla niej ta praca, że da jej utrzymanie, bo musi opłacić studia i dołożyć się do czynszu za mały pokój u cioci. Że potrafi pracować, jest odpowiedzialna i zorganizowana i nie ma nikogo w Rzymie, kto mógłby jej pomóc.

Zatrudnił ją jako osobistą sekretarkę. Wolał nie podsyłać jej nikomu innemu, tylko samemu ponieść konsekwencje swojej decyzji. Nigdy nie żałował tego wyboru. Była taka, jak się przedstawiła, pracowita, dokładna, zawsze wszystko robiła na czas. Żadnej wpadki przez tyle lat. Co więcej, czasem broniła innych, biorąc na siebie niedoróbki. Wiedział o tym i udawał, że zwraca jej uwagę lub daje ostrzeżenie. Ona udawała, że się boi i poprawi. Kiedyś przyznała się, że ubranie, w którym przyszła na rozmowę, wypożyczyła na chwilę ze sklepu. Nie miała pieniędzy i uprosiła sprzedawczynię, by mogła zabrać kostium do domu i zapytać chorą mamę o zdanie. Zostawiła w zamian paszport. Przez całą rozmowę starała się, by nie zauważył przypiętych metek. Udawał, że nie zauważył.

Bardzo chciała podziękować Andrei za to, co dla niej zrobił. W każdej formie. Czuł to w jej spojrzeniu i wiedział, że się w nim podkochuje. Miał wiele okazji do odebrania zapłaty. Wiele wspólnych służbowych wyjazdów, czasem z winem do kolacji. Kiedy zobaczyła, że z jakichś powodów przestała dzwonić do niego Nicole, znów liczyła na swoją szansę. Pozwolił jedynie, by zaprosiła go na kolację. Wtedy powiedział jej, że każdy może kochać, ale są różne rodzaje miłości, a w relacjach pracowniczych dopuszczalna jest jedynie miłość ojcowska. I dodał, że dzień, w którym przełożony prześpi się z podwładną, powinien być ostatnim dniem ich wspólnej pracy. I cały czas przytulał ją i całował po ojcowsku na powitanie. Ona zaś niezmiennie krzyczała na niego, by dbał o siebie, jadał regularnie i chodził na badania okresowe. Często przynosiła mu kanapki.

Kiedy dołączyła Livia, Giulia stała się szefową sekretariatów. Kierowała pracą wszystkich zatrudnionych dziewczyn. A z Livią od pierwszej chwili przypadły sobie do gustu. Livia uczyła Giulie czerpania radości z życia, głośnego śmiania się i chodzenia po sklepach, ale też złościwości. Giulia odpłacała się starszej koleżance nauką pracy, odpowiedzialności, przy okazji

również odrobiny skromności i pokory, a nawet tego, że na świecie istnieje cisza. Duet wprost idealny. Także fizycznie, gdyby połączyć je w całość i podzielić na pół, wyszłyby dwie panny niemal idealne.

Dzisiaj Livia wyglądała jak Giulia podczas swojej pierwszej rozmowy o pracę.

– Z kim jesteś w ciąży? – Andrea nie żartował.

– Z Corradem. Był u nas kierowcą. Jesteś pierwszą osobą, która wie o mojej ciąży. I proszę, by tak na razie zostało.

– Dobrze. Dziękuję za zaufanie. Ale przecież przyniosłaś zwolnienie lekarskie. Jeśli kadry się dowiedzą, to tak jakbyś dała ogłoszenie.

– Zwolnienie mam na problemy z kręgosłupem, więc na razie nikt się nie dowie.

– Dlaczego nie na ciążę?

– Bo nie wiem, co mam zrobić...

– Livio, wiem, czego zrobić nie możesz. Musisz zrobić wszystko, aby urodzić zdrowe dziecko. A kiedy powiesz ojcu dziecka?

– Nie wiem, może nigdy. Jeśli urodzę, to stać mnie będzie na wychowanie. Zresztą teraz to jest nawet modne. – Uśmiechnęła się.

– Nie mów „jeśli”, tylko „kiedy”! Jaki jest problem z kierowcą Corradem?

– Jestem w siódmym tygodniu, a o ciąży wiem od kilku dni. Wcześniej myślałam, że mam jakieś zawirowania z powodu pigułek. Okazało się, że były nieskuteczne. Corrado nie pracuje u nas od miesiąca. Wyjechał do Mediolanu, bo dostał tam pracę i ma mieszkanie po rodzicach. Byłam w kadrach, bo chciałam zdobyć telefon do niego. Powiedziałam, że zgubiłam ważne dokumenty i być może zostawiłam je w samochodzie. Podano mi, ale telefon do jego żony. Ma z nim już trójkę dzieci.

– No, to mamy większy problem. Telefon zdobędę i jeśli chcesz, porozmawiam z nim po męsku. Nie mówił wcześniej, że ma rodzinę?

– Nie pytałam, bo to nie miało dla mnie znaczenia. No wiesz, podwoził mnie, wchodził na chwilę i wychodził, bo miał następny kurs. To wyłącznie moja wina, ale myślałam, że panuję nad swoim ciałem.

– A może jednak tam na górze jest ktoś, kto wie, co dla nas lepsze. Nieraz słyszałam, jak mówiłaś, że pora na dziecko. Tylko braku ojca trochę żal. Może jestem staroświecki, ale uważam, że dziecko nie może wychowywać się bez ojca.

– Papa na pewno coś wymyśli. Zawsze chciał mieć wnuka, więc jeśli będzie

syn i dziedzic nazwiska... – Livia odzyskiwała humor i formę.

– No widzisz, wszyscy ci pomożemy. A jak z pracą, dasz radę?

– Boję się, że nie. Kobiety w mojej rodzinie bardzo źle znoszą ciążę. Dlatego musisz pomyśleć o kimś na zastępstwo. Widzisz, mówię, jakbym już podjęła decyzję, że urodzę.

– Bo tylko taka wchodzi w grę i wiesz o tym doskonale. Gdybyś myślała inaczej, nie byłoby tej rozmowy. A zastąpić cię będzie trudno. Każda inna będzie pracowała więcej...

– Dziękuję, potrafisz podtrzymać na duchu kobietę brzemienną.

– Mów raczej: w błogosławionym stanie, to brzmi lepiej. To co, możemy powiedzieć cioci Giulii?

– Tak, poproszę ją.

Giulia weszła do gabinetu z podejrzliwym wyrazem twarzy. Długie rozmowy w cztery oczy należały do rzadkości.

– Co tak spiskujecie? Pewnie przeciwko mnie?

– Niezupełnie, mamy ci do przekazania wielką radość. Będziemy mieć dziecko. Livia jest w ciąży...

– Gratuluję wam – powiedziała gwałtownie, zbyt gwałtownie.

– Giulio, Giulio... nie ja z Livią, tylko my – biuro! Przecież jesteśmy jedną wielką rodziną, a ja jestem jak wasz ojciec! Cholera, skoro tak, to będę dziadkiem...

– Tak się cieszę. – Giulia ucałowała Livię i Andreę. – Chyba się rozpłaczę ze szczęścia. – Już płakała.

– Nie płacz, potem ci powiem, jak to się robi. – Livia odzyskała formę.

– A co z pracą? Będziesz na zwolnieniu? – Giulia też już była sobą.

– Giulio, twój profesjonalizm cię kiedyś zabije. Już o tym pomyślałem. Chyba mam pasującą do ciebie kandydatkę. A teraz uczcijmy to sokiem winogronowym. Giulio, poproszę trzy kieliszki do czerwonego wina...



Veronique miała rację. Można było w Rzymie znaleźć coś, co nie miało cekinów i marszczeń, lecz wymagało to wytrwałości. Po prawie trzech godzinach postanowiły zrobić sobie przerwę. Laura miała cichą nadzieję, że makaron pozbawi Francuzkę zakupowego entuzjazmu i następne sklepy pozostaną nieodkrytą ziemią obiecaną.

– Swoją drogą nie spodziewałam się po tobie takiej odwagi. – Veronique się zaśmiała. – Czerwone sandały są boskie, ale jestem pod wrażeniem, że się na nie zdecydowałaś. Są prawie obsceniczne w tej swojej nagości, składają się właściwie tylko z obcasa. I to jakiego!

Gdyby nie wcześniejsza rozmowa z Beatą, Laura zapewne nie zdecydowałaby się na zakup butów, które nie mogły pozostać niezauważone. Kiedy ocierała łzy na ławce na Piazza Navona, a przed oczami stanął jej szary budynek w szarym kraju, z granatowymi kapciami w kratkę w przedpokoju, poczuła, że musi coś zrobić, by nie oszaleć. I w związku z tym zaszalała, kupując sobie buty, których obcas wyglądał jak splątane konary drzewa oliwnego. Pojedyncze gałązki przechodziły w paski opinające stopę od góry. Czła się w tych butach, jakby ktoś trzymał jej stopy w namiętym uścisku. Bardzo erotyczne doznanie.

– W Warszawie postawię te buty na regale i będę na nie patrzeć w smutne zimowe wieczory – zażartowała, popijając prosecco.

– Musisz w nich chodzić, zadawać szyku.

– Nie byłaś w Polsce. Kupiłam kiedyś w Portugalii bluzeczkę składającą się z samych rzemyków, potem z Grecji przywiozłam sukienkę na ramiączkach tak cienkich, że trudno zauważyć ich obecność. Obie rzeczy wiszą w szafie i czekają na gwałtowną zmianę klimatu. Ciągłe wydaje mi się, że jest za zimno, żeby włożyć coś, czego właściwie nie ma.

- No przecież to nie Syberia, miewacie upały.
- Ja mam Syberię w mózgu. – Laura zaśmiała się, choć ta konstatacja raczej nie poprawiła jej humoru. – Ciągle mi zimno. Nawet w upale myślę o tym, że zaraz się ochłodzi. Nie wychodzę z domu bez swetra, tak na wszelki wypadek. Komfort cieplny jest dla mnie kategorią czysto teoretyczną.
- A tutaj nie marzniesz?
- Po tygodniu pobytu tutaj przestałam zabierać ze sobą wszędzie sweter z długimi rękawami... A tak swoją drogą, co ciebie tutaj przywiało? – Laura postanowiła zmienić temat. – Zabrakło ci sztuki w Paryżu?
- Miałam kiedyś narzeczonego z Włoch. Paolo był cudowny, głupiotki, ale tak zapatrzony we mnie, że nie sposób było nie czuć się królową w jego obecności, postanowiłam więc sprawdzić, czy inni Włosi też tacy są... A tak na serio, trudno w Paryżu pisać o rzymskich starożytnościach, a mnie od zawsze ciągnęło do włoskich kamieni. Jestem archeologiem, mogę długo i namiętnie opowiadać o tym, co się kryje pod posadzkami Rzymu. Znam to wszystko z książek, w życiu trzeba jednak czasami osobiście dotrzeć do źródeł. No wiesz, żywa woda, źródło, które pozwala odzyskać wzrok i zdrowie, zapewnia wieczną młodość... W przedszkolu nie opowiadali wam bajek o magicznym źródelku?
- Jednomyślnie zgadzały się, że Rzym całkiem dobrze nadawał się na źródło życia.



Laura czekała na niego za plecami Giordana. Nie rozglądała się, więc mógł spokojnie podejść, nie będąc obserwowanym. Wykorzystał tę chwilę, by się jej przyjrzeć. Potem może mieć z tym problem. Poprzednio miała na sobie coś pomarańczowego, dziś wybrała stonowany błękit. Nie przepadał za tym kolorem, ale musiał przyznać, że było jej do twarzy w chłodnej poświacie, która wydobywała słowiańską niedosłowność. Gdy od jego kroków poderwały się gołębice, podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Dzień dobry, cóż za punktualność. – Podał jej rękę na powitanie.

– Mieszkam tak blisko, że grzechem byłoby się spóźnić. – Odwzajemniła uścisk, starając się dopasować do jego siły.

– Ja wprawdzie nie mieszkam tak blisko jak ty, ale zgadzam się, że grzechem byłoby się spóźnić na spotkanie. To co, skoro nie chcemy grzeszyć, zapraszam do kościoła.

– Prowadź. – Ujęła go miękko pod ramię, tłumacząc: – Przynajmniej nie zgubię cię w tłumie.

Nie zamierzał protestować. Szybko dotarli do kościoła Francuzów.

– Pani Lauro, tutaj rozpoczynamy naszą podróż przez historię i sztukę, po prostu przez Rzym.

Pchnął drzwi i weszli do przedsionka. Ogarnęły ich mrok i chłód, mocno kontrastujące z rozgrzaną i rozświetloną ulicą. Było to jak przejście do innego świata, nierealnego wymiaru, w którym dziś spotyka się z wczoraj. Stare grube mury świątyni nie tylko przynosiły ulgę ciału spragnionemu chłodu, lecz także skutecznie odgradzały od gwaru i hałasu rzymskiej ulicy. Otuliła ich cisza tak głęboka, że aż pod sklepienia poszybowały ich oddechy i mrugnięcia, a nawet delikatny odgłos koralików różańca przesuwanych w dłoniach starszej kobiety siedzącej w pobliżu ołtarza. Pod wpływem

chłodnego powiewu Laura splótła ramiona, by zachować resztki ciepła, ale przez to potknęła się o stopień. Andrea podtrzymał ją, wziął za rękę i przeszli do jednej z bocznych kaplic po lewej stronie kościoła.

W niedzielę kościół odwiedzało mniej turystów, mogli więc w spokoju kontemplować jego piękno i panującą tu atmosferę. Najciszej, jak umiał, Andrea wrzucił monetę, by rozświetlić spotkanie ze świętym Mateuszem. Rozbłysnęły przed nimi trzy sceny z życia człowieka, który zdobył się na odwagę zaufania tak bardzo, że odbierało mu to życie w całym dotychczasowym wymiarze. Z lewej strony kaplicy, z Powołania św. Mateusza, wystrzelił w ich stronę promień światła ukazujący na obrazie tylko to, co naprawdę ważne. Żadnych zbędnych detali, rozprasających błyskotek. Nawet pieniądze, główny cel życia przed, matowieją, by nie odciągać uwagi od pewnej dłoni, która zwiastuje życie po. Mateusz jeszcze pomiędzy, jeszcze wątpi, nie dowierza. Trzeba podjąć decyzję...

Laura знаła te obrazy, ale wszystko, co zdołała wcześniej zobaczyć i wyczytać, było niczym w zetknięciu z nimi teraz, gdy u jej boku stał Andrea. Cicho sączył jej do ucha opowieść o Mateuszu i Chrystusie, o człowieczeństwie i świętości, o mroku i trudzie podążania za światłością. Laura czuła się tak, jakby tuż za jej plecami przystanął właśnie Caravaggio i przeprowadzał ją przez sacrum i profanum tej opowieści i swojego życia.

– Chyba bardzo lubisz Caravaggia – powiedziała, gdy wyszli z chłodnego mroku na hałaśliwy i rozświetlony plac.

– Cenię go jako artystę, nieszczególnie lubię jako człowieka.

– Miał dosyć barwne życie jak na tamte czasy. – Uśmiechnęła się, gdy świetliste promienie osiadły na jej ramionach, przypominając, że świat ma także swoje blaski. – Trochę... niepokładane.

– Żył chyba zbyt intensywnie. I z dala od norm, które moglibyśmy polecić naszym dzieciom. Trzeba przyznać, że buntował się całkiem odważnie. Zabójca, uciekinier, awanturnik. Jego akta byłyby całkiem spore. Przepraszam, ale to moje skrzywienie zawodowe...

– Każdy zawód ma swoje skrzywienia. Ja dla odmiany wszędzie widzę pieniądze, których jacyś mądrzy ludzie nie szczędzili na tworzenie wielkiej sztuki, dzięki czemu dziś mogę przeżywać prywatne, zupełnie niezawodowe uniesienia.

Po wyjściu z kościoła nie wzięła go pod ramię jak na początku spaceru, więc teraz musieli uważać, by napierający z przeciwka tłum nie rozdzielił ich. Laura

uśmiechnęła się.

– W Warszawie odnoszę wrażenie, że idę z ludźmi w tym samym kierunku, czasami aż do znudzenia. Tu w Rzymie zawsze jestem w przeciwnym kierunku. Jakby to miasto wymuszało na mnie reakcję na siebie, prowokowało do działania i chciało sprawdzić, na jak wiele mnie stać.

Nigdy nie patrzył w ten sposób na miejsca, w których żył. Jedne wywoływały w nim lepsze emocje niż inne, ale tłumaczył to sobie towarzystwem ludzi. Ta blondwłosa cudzoziemka miała oryginalne podejście do niektórych spraw, ale w przeciwieństwie do wielu otaczających go kobiet miała swoją wizję świata. Musiał przyznać, że dość intrygująca.

– Nie jesteś głodna? – zapytał, widząc, że jej wzrok podejrzanie długo zatrzymał się na smakowicie pachnących kwadratach pizzy, wystawionych w witrynie jednego z barów, by kusiły przechodniów.

– Powoli zacznę o tym myśleć, ale jeszcze nie jestem gotowa na obiad.

– W takim razie pójdziemy teraz do Santa Maria del Popolo, a potem coś zjemy...

Spojrzała na niego kątem oka. Zorganizowany i kontrolujący sytuację. Nawet gdy kroczył obok, trzymając z lekką nonszalancją rękę w kieszeni, był przede wszystkim jej przewodnikiem. W kościele przyglądał się jej, gdy podziwiała obrazy, teraz sprawdzał, jak zorganizować resztę ich spaceru. Była mu wdzięczna za troskę, ale czuła się trochę skrępowana tym, że nie może się odwzajemnić, przyjmując rolę partnerki w tej wędrówce, a nie tylko zagubionej w obcym mieście cudzoziemki.

– Lubisz Włochów? – zapytał nagle, przywracając ją rzeczywistości.

– A zasługują na lubienie? – Uśmiechnęła się zaczepnie, przekrzywiwszy głowę w bok.

Z twarzy Laury zniknęły zaduma i nieobecność, a pojawiła się kokieteria, którą Andrea dostrzegł na placu św. Piotra, gdy jedli kanapki. Wszystkie wersje tej dziewczyny budziły sympatię, a ich współistnienie wydawało się naprawdę kuszące. Zwolnił nieco kroku.

– Lubimy być lubiani, ale nie zabiegamy o to ponad miarę.

– Słynne włoskie samouwielbienie. – Prowokowała go nadal, przeskakując przez kamienny stopień.

Znalazła się krok przed nim i obróciła przodem. Przez chwilę spoglądali na siebie, po raz pierwszy tak otwarcie.

– Świat was lubi, to bezdyskusyjne, ale czy zasługujecie na to? – Droczyła

się z nim, jednak patrzyła już mniej figlarnie. Zmrużyła oczy i czekała na odpowiedź, a on zastanawiał się, czy żart jej nie zniechęci, a powaga nie spłoszy.

– Jesteśmy różni – mruknął wymijająco. – Wielu koncentruje się na wygodzie i przyjemnościach. Do trzydziestki mieszkają u mamy, bawią się, szaleją. Potem też żyją szybko i szaleńczo. Uwodzą, rozkochują, omamniają...

– Niewierni, niedojrzali, nieodpowiedzialni – wyliczała na palcach. – Słowem, porzućmy wszelką nadzieję.

– Ależ ty jesteś niecierpliwa. Opisałem statystycznego rzymianina przed czterdziestką, ale są jeszcze inni Włosi.

– Tak?

– Ja na przykład jestem po czterdziestce i pochodzę z Toskanii...

– Pierwszy promyk nadziei. – Skłoniła się przed nim, naśladowując średniowieczną damę, która wita swojego rycerza. – I w ten oto sposób, zabawiając się lekką jak piórko konwersacją, zdobyliśmy kolejny cel naszej dzisiejszej wędrówki.

– Wydusiłaś ze mnie zeznania obciążające moich współbraci i nazywasz to lekką konwersacją?

Nie odpowiedziała, kierując się w stronę Santa Maria del Popolo, kościoła tych wszystkich, którzy weszli do Rzymu przez bramę położoną obok.

Andrea doskonale pamiętał chwilę, kiedy on sam przekraczał ją po raz pierwszy. Właśnie przyjechał na studia. Nie znając miasta, pomylił drogę na odległą stację i nieświadom wielowiekowej tradycji przeszedł przez bramę del Popolo. Jego poprzednicy wkraczali tu z nadzieją na lepsze życie. On sądził, że jego pobyt w Rzymie jest chwilowy. Miał tylko skończyć studia, a po nich jako prawnik wrócić do swojej małej ojczyzny. Stał wtedy na placu, oszołomiony jego wielkością, zadziwiony bliźniaczymi kościołami naprzeciwko, zaskoczony pulsującym rytmem tego dziwnego miasta. Klakson samochodu zmusił go do zejścia na bok i wtedy zobaczył kolejny kościół.

Biała fasada projektu Berniniego robiła wrażenie, a kamienne stopnie prowadzące ku ciemnozielonym drzwiom zachęcały do wejścia. U siebie zawsze zaczynał dzień od chwili skupienia i wyciszenia. Postanowił i tamten dzień przywitać w kościele. Wszedł po skupienie, a znalazł uniesienie, które cały czas potrafił przywołać w pamięci. Minęło dwadzieścia pięć lat, a on wciąż czuł mistyczne porażenie, gdy w ostatniej z kaplic na jednym z bocznych obrazów zobaczył dzieła mistrza. To była prawdziwa miłość od pierwszego

wejrzenia. Ilekroć tam potem wracał, odnajdywał w sobie energię pierwszego spotkania. Już nie tak spontaniczną i olśniewającą, ale nadal potężną.

Podprowadził Laurę do obrazów, a sam usiadł ławkę dalej, by nie pozbawiać siebie ani jej intymności tego przeżycia. Chciał, jak zawsze, spojrzeć na instynktowną delikatność konia, który nie chce skrzywdzić człowieka leżącego blisko jego kopyt. Oto Szaweł być może właśnie w tym momencie pojmujący, że miłość jest silniejsza niż miecz. A na sąsiednim płótnie Piotr, który za chwilę umrze między niebem a ziemią, jak ten, któremu służył.

Andrea lubił oglądać obrazy swojego mistrza w samotności, ale czasami przyprowadzał na te spotkania innych ludzi. Sprawdzał ich, szczególnie kobiety. Uważał, że warta uwagi jest tylko ta, która reaguje na sztukę podobnie jak on, równie silnie i dogłębnie. W innych sprawach mogą różnić się całkowicie, ale w obu połówkach musi być taka sama wrażliwość na piękno. Gdy któraś z kobiet stawała mu się bliższa, prowokował niby przypadkowe spaceru w pobliżu ważnych miejsc, zapraszał na krótką kontemplację i obserwował. Uświadomił sobie, że nigdy nie odbył takiej przechadzki z Martą, Marią ani Julią. Laurę natomiast zabrał po kilku dniach znajomości.

– To co, masz już dość? – spytał, gdy ponownie znaleźli się na placu.

– Podobno piękno należy dawkować, ale ja jestem zwolenniczką teorii, że trzeba zobaczyć jak najwięcej, a potem spokojnie to trawić, łącząc wrażenia zapamiętane i przeżyte...

– Skoro tak, panno nienasycona, to ruszamy dalej.

Wziął ją za rękę i powiodł schodami na wzgórze Pincio, do najwspanialszego parku rzymskiego, gdzie wśród kilkuset drzew piniowych kryją się rzeźby Berniniego i fontanny Fontany. Widząc, że Laura ma lekką zadyszkę, doprowadził ją do ławeczki przy murze, skąd rozpościerał się jeden z najładniejszych widoków na Watykan i Rzym.

– Oj, kiepsko z kondycją, a droga daleka. Musimy coś zaradzić. Masz przy sobie prawo jazdy?

– Prawo jazdy?

– Taki dokument, który uprawnia do prowadzenia samochodu...

– Wiem, co to jest, złośliwcze. W moim dalekim kraju mamy samochody i nawet nimi jeździmy. Po co ci moje prawo jazdy? Czyżbyśmy przekroczyli dozwoloną prędkość na schodach?!

– Zaufaj mi. Czekaaj, napawaj się widokiem i odpoczywaj.

– Nie jestem zmęczona, po prostu moje buty nie były przygotowane na tak długi spacer...

Nie słuchał jej tłumaczeń, tylko z dokumentem w dłoni zniknął za rogiem. Nie mógł nie skorzystać z okazji i obejrzał zdjęcie, z którego uśmiechała się dyskretnie. Imię się zgadza, nazwiska nie mógł przeczytać, bo nie znał niektórych liter. Za tydzień kończy trzydzieści pięć lat. Ważna wiadomość, którą trzeba wykorzystać.

Przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Wciąż była zmarzniętą dziewczyną z Północy, która histerycznie przechwytywała wszystkie promienie słoneczne, jakby chciała je zmagazynować w sobie na czas długich wieczorów, gdy za oknem będzie szaleć zimowy wiatr. Podczas gdy jej włoscy znajomi i sąsiedzi chronili się w cieniu, ona wychodziła na place, szła środkiem ulic, przesiadywała na nasłonecznionych schodkach i ławeczkach. Schowana za bezpieczną barierą kremu z filtrem, korzystała z każdej nadarzającej się okazji, by wchłonąć przez skórę choćby najmniejszą porcję ciepła.

Pojawił się przed nią tak nagle, jak chwilę wcześniej zniknął. Podjechał na czterokołowym rowerze z wygodnymi miejscami do siedzenia, kierownicą i klasycznym napędem pedałowym.

– Takim pojazdem chyba jeszcze nie byłaś wieziona...

Ogrody były jednym z ulubionych miejsc Andrei w Rzymie. Potrzebował zieleni, która uspokajała jego myśli i dawała mu namiastkę Toskanii. Dlatego wybrał mieszkanie w dzielnicy Monte Sacro, gdzie domy ukrywały się na wzgórzach w cieniu drzew piniowych. Kiedy miał dłuższą przerwę w pracy, przychodził właśnie do parku Borghese. Tu odpoczywał, ale i stawiał czoło wyzwaniom, podejmował najtrudniejsze decyzje. Cisza, której nie byli w stanie zakłócić nawet przemykający do galerii turyści, pomagała mu odnajdować właściwe drogi.

Teraz przemierzał park głównymi uliczkami i opowiadał Laurze o mijanych miejscach. Zatrzymał się przed wejściem głównym, dzwoniąc przy tym, jakby chciał obwieścić całemu światu, że oto pojawił się u jego stóp.

– Proszę pana, tu jest zakaz parkowania. – Elegancka pani w wieku pobalzakowskim z uśmiechem pogroziła im palcem.

– Ale ten pan też tu zaparkował. – Andrea wskazał na wielką limuzynę i jej właściciela.

– Ja jestem tu służbowo. Przyjechałem służbowym samochodem na oficjalną

wizytę. – Mężczyzna w garniturze włączył się do zabawy.

– Ja też jestem tu oficjalnie z gościem specjalnym, a do tego mam pojazd ekologiczny. – Andrea nie pozostawał dłużny

Zeskoczył z roweru i podał rękę Laurze, pomagając jej wysiąść.

– Pozwólcie, że dokonam prezentacji. – Skłonił się wszystkim zebranym. – Giulietta, dyrektor tej galerii, Fabio, chwilowo minister kultury Włoch, a wraz ze mną przybyła z dalekiego kraju Laura, przyszła minister kultury Polski. Jest tu incognito, nie chcemy rozgłosu, tylko w spokoju obejrzyć galerię.

Andrea przywitał się serdecznie z Giuliettą i Fabiem. Widać było, że znają się od dawna. Laura obserwowała scenę zaskoczona, mając dziwną pewność, że choć wszyscy przekomarzali się i żartowali, to naprawdę miała do czynienia z dyrektorką i ministrem. Jej cicerone nie był jednak zwykłym urzędnikiem, a na pewnym szczeblu władzy wszyscy łączą się ponad głowami śmiertelników.

– Nasza galeria stoi przed panią otworem, można dotykać wszystkiego, nawet Plutona. – Giulietta z uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie.

– Liczę na zacieśnienie stosunków między naszymi krajami. – Fabio z wdziękiem ucałował dłoń Laury. – Byłem niedawno w Polsce, pod ziemią. Mieliśmy spotkanie UNESCO w Wieliczce. Polska to piękny kraj, głównie za sprawą Polek. Proszę, to moja wizytówka. Uciekam, Giulietta właśnie mnie odprowadzała.

– A ja zapraszam was do siebie. Porozmawiamy przy kawie.

Gdy po dwóch godzinach opuszczali budynek, Laura wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W torebce miała wizytówkę ministra, a w ręku dokument podpisany przez dyrektora muzeum, upoważniający ją do bezpłatnego, nieograniczonego wstępu do wszystkich placówek Gallerii Borghese w celu prowadzenia badań naukowych. Będzie mogła do woli rozkoszować się swoimi ukochanymi rzeźbami...

– Dziękuję.

– Poznałem cię tylko z moimi znajomymi. Przecież nie jesteś w Rzymie na wakacjach, masz zadania do wykonania. A teraz pójdźmy za ciosem. Z wielkich muzeów został nam jeszcze Watykan.

– Litości, nie mam siły. Może następnym razem, proszę.

– W porządku, tylko zadzwonię i nas umówię. Przepraszam na chwilę.

Andrea sięgnął po telefon, po chwili usłyszała, że rozmawia z kimś bardzo przyjacielsko.

– Jak słyszę, mam już plany na wtorek.

– Mamy plany. Oczywiście jeśli masz czas i chcesz, żebym ci towarzyszył. Abyś nie miała wątpliwości, że warto, zapraszam na solidny obiad.

Zaprowadził ją do niewielkiej trattorii z dala od turystycznych traktów i rozwrzeszczanych grup. Pozwoliła, by podjął decyzję i zamówił obiad również dla niej. Czuł się tu jak ryba w wodzie, a swobodne pogawędki z szefem kuchni utwierdziły ją w przekonaniu, by nie eksperymentować z pięknie brzmiącymi nazwami w karcie dań, ale zdać się na miejscowy gust. zaproponował rigatoni all'amatriciana. Po chwili na talerzu przed nią piętrzył się makaron z sosem pomidorowym, boczkiem i owczym serem pecorino. Potem mogła się delektować pieczenią cielęcą, a jednocześnie dyskretnie podjadać z jęgo talerza halibuta z ziemniakami.

Pomiędzy kolejnymi daniami gawędzili o oglądanych wcześniej dziełach. Pozwolił jej mówić, a ona bez oporów dzieliła się swoimi spostrzeżeniami. Gestykulowała, z trudem panując nad siłą swoich przeżyć. Z przyjemnością słuchał jej nabrzmiałych od emocji słów, za którymi stały prawdziwe uniesienia. Niestety, czekała go jeszcze dzisiaj wizyta bratanka, przyszłego pana młodego, z narzeczoną. Miał być przecież ich świadkiem, musieli ustalić pewne rzeczy.

– Chciałbym ci pokazać trochę ładnych miejsc z dala od centrum Rzymu.

– To może za tydzień w sobotę?

– No, to jesteśmy umówieni. Szczegóły omówimy we wtorek w Watykanie. Pamiętaj, o dziewiętnastej. Niestety musisz zakryć ramiona i kolana.

Odprowadził ją niemal pod sam dom. Na pożegnanie objął delikatnie w talii i z przyjemnością zauważył, że jej ciało odpowiedziało lekkim, niemal niezauważalnym wtuleniem się w niego.

Pilnowała się, ale przez ułamki sekund podczas ich dzisiejszego spotkania uchylała drzwi do swojego wnętrza. Na przykład wtedy, gdy śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu i podnosiła lekko ramiona, gdy mrużyła oczy, by skupić się na jakimś fragmencie rzeczywistości, czy właśnie teraz, gdy pozwoliła mu poczuć ciepło swojego ciała.

Były to maleńkie przebliski prawdy o Laurze, którą chciał poznać. Nachylił się, by pocałować ją na do widzenia w policzek, ale zmienił zdanie i lekko musnął jej usta. Wystarczyło, by stwierdzić, że są delikatne. Uśmiechnęła się zaskoczona i delikatnie odsunęła się od niego.

– Do zobaczenia pojutrze, mój błyskooki cicerone.

Odwzajemnił uśmiech i odszedł.

Miała nadzieję, że się nie odwróci, zobaczyłby bowiem, jak zastygła w miejscu ich pożegnania, wpatrzona w jego cień na murze, wciąż odurzona tkliwością chwili, która właśnie przemijała. Oddalał się miękko, a ona próbowała zatrzymać na wargach podmuch wiatru, którym ją pożegnał. Imponował jej wiedzą i pasją, ale największe wrażenie robiły na niej momenty, gdy pozwalał na bliskość przez dotyk, uśmiech lub spojrzenie. Musiała uważnie wypatrywać, aby nie przeoczyć tych ułamków sekund, gdy tracił czujność i był naprawdę sobą. Tak jak teraz, gdy pożegnał się z nieoczekiwaną i migotliwie krótką poufałością.



Wracał do domu powoli, jakby się bał, że zbyt szybkim krokiem rozproszy nastrój leniwej niedzieli, jaką spędził z Laurą. Zdziwiła go. Spodziewał się wprawdzie, że będzie aktywnie uczestniczyła w ich spacerze, ale sądził raczej, iż podąży za jego słowami, odwzajemniając się swoją opinią. Tymczasem w najważniejszych momentach milczała, koncentrując się tak bardzo, jakby od jednego spojrzenia na płótno zależał cały świat. Nie oglądała dzieła, stawała się nim. Widział wahanie, gdy patrzyła na twarz świętego Mateusza w chwili powołania, drżenie ramion, kiedy skierowała wzrok na jego męczeńskie umieranie, niedowierzenie i smutek w ostatnich chwilach Piotra. On odbierał mistycyzm sceny, ona dzieliła emocje z uczestniczącymi w niej ludźmi. Po kobietach mógł się spodziewać silnych reakcji, ale wszystkie te, które przyprowadził tam przed Laurą, odczuwały albo zachwyt, albo przerażenie estetyczne, Laura zaś wniknęła w dusze osób na płótnach. Chciałby kiedyś porozmawiać z nią o tym, na razie musi zdać się na swoją obserwację i towarzyszenie jej w tym podążaniu za emocjami. Pojutrze to właśnie przy nim będzie odkrywać największą świętość, a on będzie tego świadkiem.



Weszła do domu z nadzieją, że siostry Manzoni odpoczywają w swoich pokojach, ale zrobiła zaledwie kilka kroków w stronę schodów, gdy w przedpokoju pojawiła się Chiara.

– Jak dobrze, że cię widzę, moja droga. – Złożyła dłonie na piersiach, jakby nie mogła opanować oddechu. – Właśnie dzisiaj odkryłam, że nasza mała przyjaciółka została mamą.

Przez dłuższą chwilę Laura zastanawiała się, która wspólna znajoma jej i starszych pań była ostatnio w ciąży, ale żadna z typowanych przez nią kobiet nie pasowała. Nie miała możliwości, by zadać pytanie, które dyskretnie naprowadziłoby ją na właściwy trop, gdyż Chiara nie ustawała w radosnej paplaninie.

– Nie wiem, kiedy to się stało, ale raczej niedawno, bo jeszcze nikomu nie pokazuje swoich maleństw. Jak zwykle chowa je przed nami, ale pani Carapelli twierdzi, że zniknęła już jakiś czas temu, więc pewnie wkrótce zacznie wychodzić ze swojej tajemnej pieczary. – Siostra Manzoni roześmiała się dumna ze swojego porównania, a Laura wreszcie skojarzyła, o jaką przyjaciółkę chodzi gospodyni.

Rzeczywiście od kilku dni nie widziała Księżniczki, ale wcześniej kocica też nie zawsze wygrzewała się na swoim ulubionym murku, więc jej nieobecność nie wydała się jej niepokojąca.

– Przegapiłam to, co najważniejsze – powiedziała i westchnęła żałośnie, a Chiara poklepała ją po ramieniu.

– One zawsze robią to z zaskoczenia. Kiedyś o mało nie zapadłam na bezsenność, tak próbowałam złapać ją na gorącym uczynku, a ona się wymknęła, gdy na chwilę pobiegłam do toalety. Wie, co robi.

– Gdzie teraz jest? Może trzeba jej pomóc? – Laura знаła koty jedynie

z rzadkich wizyt w domach kilku swoich koleżanek, więc ich prawdziwa natura była dla niej zagadką.

– Najlepiej pomożemy, nie wtrącając się teraz w jej życie. Gdy wylize i odkarmi maluchy, sama do nas wyjdzie. Elena ustaliła już z Enrikiem z masarni, no wiesz, takim tłuściutkim blondynkiem, że będzie jej zostawiał najdelikatniejsze mięso, żeby mogła nim rozpieścić kocięta. Mamy w tym praktykę, krzywda im się nie stanie. Masz ochotę na lemoniadę? – Zmieniła nagle temat.

Nie czekając na odpowiedź, Chiara wzięła Laurę pod rękę i wciągnęła do kuchni.

Następna godzina upłynęła Laurze na pogawędkach ze starszą panią, która zyskawszy w lokatorce wdzięcznego słuchacza, postanowiła zdradzić kilka pikantnych szczegółów z życia swojej siostry.

– Ten jej Stefano był pięknym mężczyzną. – Rozmarzyła się na wspomnienie młodych lat. – Nigdy jej tego nie powiem, żeby mnie tym swoim szczęściem w oczy nie kłuła, ale był piękny bez dwóch zdań. Wysoki jak na Sycylijsczyka, choć znacznie niższy od mojego Giacomina, tylko że mój był z Florencji, więc nic dziwnego. No ale ja nie o tym...

Zamilkła, wspominając zapewne Giacomina z Florencji, po chwili jednak otrząsnęła się i powróciła do drobnych siostrzanych niełojalności.

– Stefano miał taki śmieszny zwyczaj, że gdy tylko w pobliżu Franceski pojawiał się jakiś mężczyzna, natychmiast brał ją za rękę. Nie prężył się, nie wysyłał groźnych spojrzeń ani ostrzegawczych pomruków, tylko trzymał ją za rękę. Ile ja bym dała, żeby ktoś w ten sposób ogłaszał światu, że do niego należę. Ale gdy się pokłócili, to cały świat też o tym wiedział. Oj, byli ogniści.

Chiara zachichotała i zaczęła przytaczać rozmaite historyjki z życia tej temperamentnej pary. Z każdą minutą jej opowieść robiła się jednak coraz bardziej chaotyczna, zdania rwały się, by nie powracać do początku. W końcu po jej policzku popłynęła łza.

– Boże, jak ja im zazdrościłam tego okazywania uczuć na dobre i złe. Nawet kiedy Francesca wychodziła z domu zapłakana po awanturze ze Stefano, uważałam ją za szczęściarę. Iskrzyło między nimi, bo zależało im na sobie tak naprawdę, w głębi serca i duszy. Ja nigdy nie byłam tą najważniejszą kobietą, o którą trzeba walczyć, której trzeba dzień po dniu udowadniać miłość, tego samego oczekując w zamian. Dla Giacomina stanowiłam raczej artystyczne

dopełnienie jego poukładanej, uporządkowanej żony. Ze mną rozmawiał o sztuce, ale to ją przytulał, gdy zmęczony wracał z pracy. Miałam być zwiewnym motylem, a nie partnerką na zaspane poranki i zmęczone wieczory... No tak, miało być o Francesce, a ja tu o sobie niepotrzebnie gadam. – Machnęła ręką i zaczęła zbierać szklanki ze stołu. – Idź spać, moja droga, bo jutro pewnie masz męczący dzień. Dobranoc.



Andrea był przez wielu bliższych i dalszych znajomych podejrzewany o pracoholizm. Musiał przyznać, że nieustannie dostarczał obserwatorom swojego życia dowodów, iż faktycznie praca jest dla niego priorytetem, a całą resztę usunął na bok. Nie miał do kogo wracać, więc nie wracał. W biurze można go było spotkać o najdziwniejszych porach, a współpracownicy przyzwyczaili się, że zawsze odbierał telefony i był gotów prowadzić rozmowy na tematy służbowe. Nie chciał wszystkim tłumaczyć, dlaczego tak się dzieje, bo sam nie do końca to wiedział. Po prostu był w stałej gotowości. Ceniono go za to, choć pewnie i bez tego miałyby poparcie tych wszystkich, którym zawdzięczał niedawny awans.

Czasami zastanawiał się, jak by to było, gdyby nagle się zbuntował i odmówił spotkania o wyznaczonej porze albo nie odebrał telefonu od kogoś, kto ma wpływ na rozwój wydarzeń. Czasami był bliski podjęcia takiej próby, ale odzywały się w nim pragmatyzm i przeświadczenie, że każdy bunt powinien mieć sens, sam z siebie jest dziecinadą, która prowadzi donikąd. Nie protestował więc, mając w głębi duszy nadzieję, że nadejdzie moment, gdy znajdzie się wystarczające uzasadnienie takiego aktu oporu.

– Jesteś dopiero na trzecim miejscu. – Giulia zaśmiała się, stawiając przed nim filiżankę z kawą. – Twoje notowania spadły.

– Jakiś konkurs? O co?

– O ojcostwo. Wszyscy zachodzą w głowę, kto jest ojcem dziecka Livii.

– Rozumiem, że nasza mama ogłosiła światu swój stan błogosławiony.

Poniedziałkowy poranek zapowiadał się wyjątkowo leniwie. Telefony milczały, politycy dochodzili do siebie po imprezowym weekendzie, a pracownicy snuli się po korytarzach w poszukiwaniu zajęć pozorowanych. Andrea nie musiał martwić się o właściwy przepływ informacji

i rozplanowanie obowiązków, po prostu poświęcił się biurowym ploteczkom, znajdując w nich niemal taką przyjemność jak jego koleżanki z pracy.

– Kto mnie wyprzedza? – zapytał konspiracyjnie.

Odpowiedział mu tylko śmiech Giulii, która postanowiła potrzymać go w niepewności, ale nie wytrzymała długo, bo już po chwili wiedział, że absolutnym faworytem jest kochaś z Genui, jak nazywały go wszystkie kobiety w kancelarii. Roberto, najmłodszy z senatorów, biznesmen z Genui, niedawno odzyskał wolność małżeńską, ale już wcześniej wykazywał ogromne zainteresowanie płcią przeciwną. Swój ranking podbojów uaktualniał mniej więcej raz w tygodniu. Zawsze działał tak samo, obiecywał trwałe związki, mówił o głębszym uczuciu i przeznaczeniu, ale najpierw sugerował znajomość bez zobowiązań. Po kilku randkach dochodził do wniosku, że czas ruszyć dalej, i zmieniał obiekt zainteresowań. Choć wszystkie pracownice znały ten schemat, wiele z nich ulegało, mając nadzieję, że to właśnie one zostaną na stałe. Jak dotąd żadnej się nie udało. Andrea musiał przyznać, że w pierwszej chwili i on podejrzewał Roberta o ciążę Livii.

– A oto zdobywca drugiego miejsca! – zawołała Giulia na widok wchodzącego do biura senatora Pietra.

– Pietro?! – Andrea nie mógł uwierzyć, że przegrał właśnie z nim.

– Jam ci to we własnej osobie. – Gość uderzył się w pierś. – Co się stało? Tak bardzo się zmieniłem od piątku?

Andrea trwał w swego rodzaju szoku pourazowym. Przegrana z Pietrem oznaczała, że jego możliwości oceniono niżej niż tego korpulentnego, starzejącego się byłego fotografa, który w słowach świntuszył tak chętnie, jak niechętnie potem przechodził do czynów. Wszyscy wiedzieli, że PePe to niegroźny gawędziarz.

– Ktoś wspominał o drugim miejscu. – Pietro był w swoim żywiole. Spojrzał na Giulie. – W jakiej konkurencji?

– Rozwojowej – wyjaśniła z teatralnym przekąsem sekretarka, a ułamek sekundy później mrugnęła do senatora i zaproponowała kawę. – Na cappuccino już trochę za późno, ale mogę zrobić dla zdobywcy drugiego miejsca pyszne espresso, a jak się ładnie uśmiechnie, to nawet dorzucę corretto.

– Dla ciebie, dziewczyno, wszystko. – PePe uśmiechnął się do niej, a kiedy wyszła, usiadł naprzeciwko Andrei. – Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Andrea cenił dyskrecję, nie zdradził więc wszystkich szczegółów dość

skomplikowanej sytuacji Livii. Przybliżył problem tylko pobieżnie, by Pietro zorientował się, w czym biurowe wieści przypisały mu tak aktywny udział.

Livia odwiedziła ich niedawno. Była w świetnej formie. Rodzice przyjęli z godnością i radością nowinę, że zostaną dziadkami. Nie przeszkadzał im brak ojca. Liczyli jedynie, że był urodziwy i spłodził potomka płci męskiej, dzięki któremu nazwisko nie zaginie.

Pietro oburzył się nieco, że dowiaduje się o dziecku ostatni, ale świadomość zwycięstwa nad Andreą zdecydowanie poprawiła mu humor.

– No widzisz, przystojniaku, nie zawsze wystarcza tajemnicze i pochmurne spojrzenie. Kobiety lubią, gdy jest wesoło. – Po czym, jakby na dowód swojej tezy, zaśmiał się i poklepał Andreę po ramieniu. – À propos... pamiętasz o moich urodzinach? Przyjdź z tą piękną Martą, muszę ją lepiej poznać. Ta dziewczyna ma charakter.



Alessia dotrzymała słowa i przysłała Laurze zeskanowane zdjęcia rodzinne. Na pierwszym była Raffaella. Z daty na zdjęciu wynikało, że zrobiono je kilka miesięcy po wyjeździe z Polski. Pewnie taką właśnie zapamiętał ją dziadek Maciej. Laurę ogarnęło wzruszenie, gdy wpatrywała się w twarz kobiety, która do śmierci wypełniała jego myśli i serce. Była tak inna od Stasi, która zajęła jej miejsce. Laura zaczęła rozumieć, dlaczego druga żona nigdy nie stała się równie ważna jak Włoszka. Babcia Stasia nie była brzydka, ale brakowało jej błysku w oku, uśmiechu, zalotności, wszystkiego, co sprawiało, że nawet przeciętna kobieta staje się królową czyjś serca. Raffaella miała to wszystko, ze zdjęcia patrzyła na Laurę kobieta pełna pasji, uroku, świadoma swojej kobiecości.

– Wiesz, że mam na drugie imię Raffaella? – rzuciła ze śmiechem Alessia podczas ich ostatniego spotkania. – Podobno zaraz po moim narodzeniu ciotka Beatrice powiedziała, że mam w sobie to, co babcia Raffa, ten sam rodzaj bezczelności w oku.

Rzeczywiście, kobieta na zdjęciu była pewna siebie. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej porzuciła męża, wyszła za mąż za mężczyznę, którego wybrała jej rodzina, urodziła drugą córkę. Jeszcze nie do końca doszła do siebie po porodzie, jej ciało nadal było zbyt zaokrąglone, ale w jej spojrzeniu wciąż była siła.

– Kochała swojego nowego męża? – Laura zastanawiała się, czy jej życie ułożyło się lepiej niż Macieja.

– To była pogodna miłość dwojga przyjaciół. On nigdy nie oczekiwał od niej wyznań, ona nigdy nie dała mu odczuć, że był wyjściem ratunkowym dla wpływowej rodziny. Była mu wdzięczna za to, że zapewnił jej bezpieczny dom, z dala od apodyktycznego ojca, w zamian zaakceptowała jego przyjaciół,

słabości i upodobania kulinarne. Przyjęcia u niej były słynne na całe Montepulciano i okolicę, doskonale gotowała. Ciotka Beatrice ma to po niej, na jej profesorskie obiadki z różnych okazji jest zawsze więcej chętnych niż miejsc... Ja niestety nie odziedziczyłam po babci talentu do gotowania.

Aptekarz Giuseppe Strapponi wyglądał dość pociesznie, daleko mu było do zbójckiego uroku młodego żołnierza z Polski. Na rodzinnym zdjęciu stoi obok Raffaelli i jej dwóch córek, którym ofiarował swoje nazwisko i troskę o dobre wychowanie. Już wtedy miał lekką nadwagę, z wiekiem ten nadmiar jeszcze się powiększył i na jednym z ostatnich zdjęć Giuseppe był już całkiem okrągły.

Dziadek Maciej do śmierci był szczupły, ale z wiekiem pochyłał się coraz bardziej i jego smukłe ciało zbliżało się do ziemi. Przypominał Laurze zasuszony konar w lesie. Ciekawe, czy gdyby stał na tym zdjęciu zamiast aptekarza, wszyscy też byłiby tak pogodni...



Wiadomość od Antonia otrzymał tuż przed wejściem do biura. Wiedział, że za drzwiami czeka na niego kilku niezwykle ważnych panów o stalowych spojrzeniach, od których decyzji zależeć może powodzenie jednego z jego politycznych przedsięwzięć. Mimo to bez wahania zawrócił, by spotkać się z przyjacielem.

– Jesteś chory? – zapytał, dostrzegając na kawiarnianym stoliku wyłącznie szklanekę wody.

– Chcę być zdrowy. Spójrz na mnie, nie widzisz różnicy?

– Poza tym, że masz znowu kilka włosów mniej? Chyba przytyłeś. Wiem, jesteś w ciąży!

– Tak, z twoją Livią. – Musiał dać znać Andrei, że nic się przed nim nie ukryje. W innych okolicznościach Andrea być może podjąłby grę, ale teraz nie był w nastroju. Czekał na informację, a nie na popisy, który z nich ma większą władzę. – Oczyszczam ciało i duszę.

Antonio wypiął się dumnie, ale gdy jedyną reakcją Andrei był nieobecny uśmiech, poddał się i wręczył mu kartkę.

– To do niej do pracy – powiedział i chciał coś jeszcze dorzucić, ale Andrea odszedł bez pożegnania.

Potem zadzwoni i wylewnie mu podziękuje, przy okazji przypominając, że zapłacił za tę informację więcej, niż należało, ale teraz musiał być sam.



Nie spodziewała się telefonu od Lucii, a tym bardziej zaproszenia na kawę. Widziały się zaledwie kilka razy, i to głównie za sprawą Veronique. Pewnie chodziło o Mattea, który wciąż nie mógł się zdecydować, na czym mu w życiu zależy.

Pierwsza kawa i pierwsze ciastko zniknęły w okamgnieniu. Kelner zmusił je do złożenia kolejnego zamówienia. Wcześniej krążył wokół stolika, prychając na widok okruszków na talerzykach, a gdy pośrednie metody zawiodły, przystąpił do otwartego ataku.

– W Polsce nazwałabym go bezczelnym i nachalnym, ale tutaj wydaje się po prostu skuteczny. – Laura się zaśmiała.

– U nas na Południu nie podszedłby, nawet gdybyśmy były gotowe do złożenia zamówienia. Mój kuzyn jest kelnerem. Własnej rodziny nie chce mu się obsługiwać, a co dopiero obcych. Zresztą wkrótce będę mogła sprawdzić, czy przez rok coś mu się nie zmieniło.

– Wracasz do domu?

– Tylko na chwilę. Resztę lata spędzę w Rzymie, prowadząc kurs włoskiego dla cudzoziemców. Gdyby nie ta praca, musiałabym przesiedzieć w domu całe wakacje. Mama znowu będzie próbowała swatać mnie z Giorgiem, ojciec przypomni sobie, że kiedy miałam pięć lat, obiecałam mu, że będę rybakiem, i zacznie mnie wyciągać na nielegalne łowiska. Bracia nie są mną zainteresowani, ale bratowe bez wątplenia odreagują na mnie swoją zazdrość i na każdym kroku będą podkreślać, że skończę jako muzealna stara panna. Łatwo nie będzie...

Śmiech Lucii zdawał się zaprzeczać jej słowom. Laura pamiętała marudzenie swoich koleżanek ze studiów, gdy musiały wracać do domu na święta i wakacje. One naprawdę nie chciały mieć nic wspólnego ze swoją

naburmuszoną rodziną, tymczasem Lucia w głębi duszy cieszyła się na łowienie z ojcem i opędzanie się od swatów matki oraz jej licznych przyjaciółek, które uważały, że w Rzymie brakuje pełnokrwistych, prawdziwych mężczyzn.

– Giorgio? – Laura była ciekawa, kim jest idealny mężczyzna z Południa.

– Syn kierownika poczty, który ma ciągoty do dziwnych interesów. Jeśli lokalna prasa wspomina o upadku jakiejś firmy, to albo należała ona do Giorgia, albo z nim współpracowała. Gdyby dopuścili go do kierowania portem, to Ankona straciłaby dostęp do morza. Ale moja mama i sąsiadki widzą tylko jego czarujące uśmiechy, którymi kupuje sobie kolejnych łatwowiernych. Uczciwie muszę przyznać, że im się nie dziwię. Wyobraź sobie faceta, który uśmiecha się jak hollywoodzki gwiazdor, do tego ma cudną opaleniznę, dyskretne blond pasemka na włosach i ciuchy, jakby stale był na luksusowym urlopie. Brak inteligencji wychodzi dopiero rano.

– Chcesz powiedzieć, że wy...

– Niestety, wykazuję większą niż moje koleżanki wrażliwość na ślady intelektu. Skończyło się na romantycznym spacerze, ale Giorgio podobno za każdym razem, gdy spotyka moją mamę, powtarza, że gdybym tylko zechciała, to on bardzo chętnie. No i stąd te jej nieustające próby przekonania mnie, że najpiękniejszy chłopak w Ankonie jest w zasięgu mojej ręki.

Kelner podał pucharki z lodami. Delektując się mroźną słodyczą, Laura przypomniała sobie Andrzeja. Był podobny do Giorgia, jego uśmiech przyspieszał tętno, a swoboda bycia wywoływała tęsknotę za lepszym życiem. Umiał sprawić, że świat stawał się piękniejszy. Kiedy zaproponował Laurze bliższą znajomość, wydawało się jej, że dotknęła szczęścia. I przez chwilę rzeczywiście tak było, romantycznie, słodko, wśród zachwytów i westchnień. Półtora miesiąca później po raz pierwszy spojrzął na nią tak, jakby jej nie było, a gdy po pół roku szukania miejsca w jego życiu odkryła, że od dawna jej tam nie ma, i zdecydowała się odejść, usłyszała, że sypiał z nią z litości, bo wyglądała tak, jakby nikt inny jej nie chciał. Co nie przeszkodziło mu jeszcze przez kilka tygodni próbować się z nią widywać. Gdy przestała być na własność, znowu stała się warta zachodu.

– Matteo nie obiecuje ciągłych zachwytów, ale jego nieobecność, gdy zamyśla się nad jakimś problemem badawczym, jest bardziej uczciwa niż wyreżyserowana wieczna gotowość złotych chłopców. – Lucia jakby podążała za myślami Laury. – Pewnie nie byłabym dla niego najważniejsza,

przegrywałabym z jego rozważaniami, ale w tych chwilach, gdy byłby ze mną, byłby ze mną naprawdę.

– Chciałabym spotkać kiedyś mężczyznę, który byłby ze mną naprawdę – wyszeptała Laura. Każdy z jej poprzednich partnerów był z nią z jakichś sobie znanych powodów, nigdy jednak dla niej samej i dla radości bycia we dwoje.



Przez całą naradę Andrea wpatrywał się w kartkę, którą wręczył mu Antonio. Znał już na pamięć zapisany na niej numer, ale spokoju nie dawało mu nazwisko – Nicole Menuisier. Nie mogła zmienić nazwiska, wciąż była jego żoną. Dopiero po powrocie do gabinetu przypomniał sobie, że uwielbiała gry słowne i wymyślanie pseudonimów. Nabrał pewności, że schowała się za przybranym nazwiskiem, gdy okazało się, iż po francusku znaczy ono „stolarz”. Wymyśliła sobie nową tożsamość artystyczną. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze w książce telefonicznej numer telefonu. Pod podanym przez Antonia numerem znajdowało się Atelier de Menuiserie Nicole w Tuluzie. Stolarska Nicole. To dlatego nie mógł jej sam odnaleźć. Przed kim się ukrywała?

Poprosił Giulię, by nie łączyła do niego nikogo. Czekał na ten moment ponad tysiąc trzysta pięćdziesiąt dni. Od rozmowy dzieliło go już tylko kilka cyfr na klawiaturze aparatu. Wszystkie układane wcześniej scenariusze, setki wariantów godnych szachowego mistrza, tysiące kombinacji... wszystko uleciało gdzieś w ułamku sekundy, pozostawiając jedynie pustkę w głowie. Ale wiedział, że nic go nie powstrzyma. Nie teraz, gdy wiedział, gdzie ona jest.

– Dzień dobry, pracownia Nicole, w czym mogę pomóc? – spytał uprzejmie niezbyt męski głos, a w tle słychać było gwar wielu osób dyskutujących o czymś żarliwie.

– Dzień dobry, chciałem mówić z Nicole.

– A z kim mam przyjemność? – Głos stawał się coraz mniej męski, szczególnie gdy padło słowo „przyjemność”.

– Andrea Lituano. – Nie zamierzał tłumaczyć się przed obcą osobą. Jeśli Nicole zechce z nim rozmawiać, żadne dodatkowe informacje nie są potrzebne.

– Sprawdzę, czy pani prezes może rozmawiać. Proszę chwilę poczekać.

W słuchawce zabrzmiał Vivaldi. To musiała być ta Nicole. Tylko ona mogła zmieniać ustawienia muzyki na poszczególne pory roku zgodnie z utworami Vivaldiego.

– Andrea, to ty? – spytała po włosku.

– A niby kogo się spodziewałaś, mojego stryja? Fajną masz sekretarkę, ma taki męski głos...

– To część związku partnerskiego jednego z moich kreślarzy, ale naprawdę nie wiem, kto tam odgrywa jaką rolę, a nie wypada pytać. Wiesz, poprawność polityczna...

– No tak, wolność, równość, braterstwo, ze szczególnym naciskiem na to ostatnie.

– Mam gratulować czy współczuć nowego stanowiska? Dużo pracy?

– Robota kocha tych, którzy ją kochają. Nie narzekam na brak zajęć.

– Ale znajdziesz czas na ślub Paola?

– To mój chrześniak, jestem przecież świadkiem. Ty mam nadzieję też będziesz.

– Tak, przyjadę. Powinnam być w piątek w nocy. Co kupujemy na prezent?

– Spytałem, co chcą. Odpowiedzieli wprost, że pieniądze. Mamy zatem problem z głowy. Ale możesz im dorzucić od siebie tradycyjnie obrazek. Na pewno masz w pracowni jakąś małą grafikę. Panna młoda jest lekarzem, więc może być martwa natura...

– Dobry pomysł, pogrzebię w śmieciach. Przepraszam cię, ale muszę kończyć. To do piątku. Fajnie, że zadzwoniłeś. Pa, pa.

Takiej rozmowy nie było w żadnym ćwiczonym przez niego wariancie. Rozmawiali ze sobą, używając liczby mnogiej. Jakby wciąż byli razem i nie słyszeli się zaledwie kilka godzin. Spokojnie ustalili szczegóły prezentu. Żadnych emocji, ani tych złych, ani dobrych. Nicole jak zwykle uciekała od problemu, a on jak zwykle jej nie gonił. Ale teraz jej nie odpuści.



Wracała do domu spacerem. Po porannym ciastku, lodach i trzech szklankach koktajlu nie tylko owocowego czuła się w obowiązku wobec swojego ciała, by zrzucić kalorie. Nie miała wprawdzie obsesji na punkcie żywieniowej matematyki, ale dziś czuła przesyt.

– Chiara poszła już do siebie odpocząć po pracowitym dniu, a ja mam ochotę na jakąś przekąskę przed snem. Potowarzyszysz mi?

– Z przyjemnością.

Wiele wskazywało na to, że wieczorne spotkania z siostrami Manzoni miały szansę stać się stałym elementem jej pobytu w Rzymie. Śniadania przebiegały leniwie, w atmosferze jawności, wieczory natomiast zaczynały odkrywać przed nią sekrety i przeżycia obu pań.

Francesca postawiła na stole koszyk z chlebem, oliwę i pomidory.

– Kiedyś Chiara przez rok mieszkała w Paryżu. Prowadziła jakieś badania dla swojego muzeum. Pojechaliśmy tam ze Stefano w romantyczną podróż. Jego od razu rozbolało kolano i cały nasz pobyt przesiedział w knajpkach z dala od centrum, zresztą błyskawicznie zaprzyjaźnił się z miejscowymi. Niby nic nie rozumiał po francusku, ale razem oglądali mecze, dyskutowali o nich, głównie machając rękami, dolewali sobie wina i w ogóle świetnie się bawili. Gdy zrozumiałam, że nasza podróż nie będzie romantyczna, zaczęłam zwiedzać miasto z Chiarą. Pokazywała mi to, co trzeba tam zobaczyć, a potem spacerowałyśmy po targowiskach, zaglądałyśmy do kuchni, próbowałyśmy tego, co gotują. I wiesz co, moja złota, nic się nie równa z włoskim chlebem z oliwą. Francuzi wymyślają takie cuda, że czasami strach jeść, jeśli się człowiek najpierw nie przeżegna. Ale w tym nie ma słońca, tego naszego smaku, który wnika do duszy. Po ich jedzeniu człowiek po prostu przestaje być głodny, a po naszym zaczyna być szczęśliwy. Spróbuj.

Podąa Laurze sporządzoną w trakcie swojej opowieści bruschettę. Jedzona przy świecy nie smakowała może słońcem, ale rzeczywiście miała głębię niemożliwą do wydobycia, gdy chleb jest wyrazisty, jak na przykład w Polsce. Ten właściwie nie miał smaku, ale cudownie uwypukłał smak i aromat złotej oliwy, które tylko pozornie są silne i niezależne, tracą bowiem, gdy napotkają inną intensywność. Dlatego w Polsce tak ciężko było Laurze docenić grę oliwnych półtonów, gdy spod jej aksamitu wyzierał pszeniczny i słonawy smak chleba.

– Idź już do łóżka, moja panno. Jutro pewnie masz pracowity dzień. – Francesca wręczyła jej na drogę jeszcze jedną bruschettę, nieco mniejszą niż poprzednia. – Tylko nie nakrusz na schodach, bo Chiara rano zobaczy i pomyśli, że ci pozwoliłam. Muszę dbać o reputację.

Starsza pani uśmiechnęła się i otuliwszy się szlafrokiem, poczłapała do swojego pokoju, a Laura cicho zaczęła się wdrapywać po schodach, pilnując, by nie zostawić na trasie swojej wędrówki najmniejszego choćby śladu wynoszenia jedzenia z kuchni.



Spodziewał się, że rozmowa z Nicole przywróci wspomnienia. Czekał na ten moment, niecierpliwiąc się, gdy Antonio przeciągał wykonanie jego prośby. Chwilami przyglądał się sobie ze zdziwieniem, jakby nie mógł zrozumieć, co go tak gna ku tej prawdzie. Przez tyle lat trwał w zawieszeniu, myśląc o tym wprawdzie dość często, ale nigdy z tak silnym pragnieniem, by zmienić tę sytuację. Dziś zrobił ten krok, ale wcale nie czuł się o krok bliżej do jakiegokolwiek rozwiązania. Ona była wciąż taka sama, on już dawno nie był taki sam. Teraz musi czekać cierpliwie. Jedyne, co mógł robić w tym czasie dobrego, to nie planować. Wbrew sobie po prostu zdać się na to, co przyniesie spotkanie z jego szaloną, piękną Nicole.



Umówili się przy pierwszych kolumnach po prawej stronie placu św. Piotra. Laura przysłała punktualnie ubrana w ciemny żakiet i ciemną sukienkę za kolano, w ręku miała malutką torebkę i koronkową chustę. Była wyraźnie przejęta wizytą. Nie wiedziała, kto będzie tym tajemniczym człowiekiem, który wprowadzi ją za mury Watykanu.

– Ruszamy, mój cicerone.

– Ruszamy, Lauro.

Podeszli do schodów pilnowanych przez dwóch żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej. Gdy Andrea informował ich, z kim są umówieni, na schodach pojawił się uśmiechnięty jegomość. Strażnicy na jego widok wyprostowali się jak struna.

– Witaj, przyjacielu. – Padli sobie w ramiona. Był niższy od Andrei i miał lekką nadwagę; widać było ze sposobu powitania, że są sobie bardzo bliscy. – Wprowadzę was, ale musicie mimo wszystko przejść przez bramkę. Względy bezpieczeństwa, rozumiecie, tu są bardzo ważne osoby.

– Oczywiście. Jak będziesz tyć w takim tempie, to spokojnie zasłonisz je swoim ciałem. – Andrea posłał kuksańca w brzuch przyjaciela.

– A ty zgoliłbyś w końcu brodę, bo przypominasz pewnego znanego terrorystę. – Tamten w rewanżu pociągając brodkę Andrei, sprawdził, czy nie jest przyklejona. Wyglądali jak para dokuczających sobie dzieciaków. – A może poznasz mnie z gościem specjalnym?

– Laura Pszczółka, witam pana... – Głos zamarł jej w gardle, dopiero teraz dostrzegła koloratkę pod szyją gospodarza. – Przepraszam ojca, szczęść Boże.

– Nie szkodzi, wszak jestem mężczyzną, chociaż Pan jest tylko jeden. – Uniósł wzrok ku niebu, puszczając jednocześnie oko do Laury. – Powiadasz, dziecko, Pszczółka – powtórzył bezbłędnie. – Kocham Polskę, pierogi, kapustę

z grzybami i grochem, karpia.

Ostatnie zdanie wygłosił po polsku.

– Ksiądz mówi po polsku?!

– Przez wiele lat to był drugi język urzędowy w Watykanie, a ja dwa lata studiowałem w Lublinie na KUL-u. Gdyby tylko zimy były cieplejsze, to zostałem tam na stałe.

– Może przejdziecie na jakiś cywilizowany i zrozumiały język. – Andrea wyraźnie chciał poznać treść rozmowy.

– Rozmawiamy o tobie, ostrzegłem Laure, żeby uważała. Powiedziałem, że wiem dużo, ale obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi...

– Ja też wiem dużo na twój temat, grubasie. Lauro, z tym jegomościem znamy się ponad czterdzieści lat i w tym samym czasie robiliśmy po raz pierwszy różne rzeczy w życiu. Nie zawsze był księdzem, a dziś jest prawie biskupem. Trochę nieokrzesany, nawet ci się nie przedstawił. To jest Domenico Brunelli, prałat, najlepszy człowiek, jakiego znam. Możesz mu zaufać.

– Andrea też ma swoje zalety i w sumie dobre serce. To co chcesz zobaczyć, bo Andreę zostawimy przy Caravaggiach...

– Chcę zobaczyć jak najwięcej, ale głównie Kaplicę Sykstyńską, no i Pietę.

– Słuszny wybór. Ruszajmy.

Domenico poprowadził ich przez puste wąskie korytarze, nie te, którymi przechodzą zwiedzający, ale drogą na skróty. Zeszli ciemnymi schodami w dół i gdy otworzył ciężkie drzwi, ich wzrok padł wprost na Sąd Ostateczny. Byli na miejscu.

W kaplicy nie było zwiedzających, nikt nie stał z głową zadartą ku górze. Ale nie byli sami, kilka osób z ekipy sprzątajacej krzątało się po pomieszczeniu. W miejscu, gdzie wybiera się następcę świętego Piotra, gdzie przedstawiciele różnych wyznań i niewierzący podziwiają jeden z cudów tego świata i poszukują odpowiedzi na pytanie o sens, przebywają ludzie, którzy poszukują zabrudzeń na posadzce, nie zwracając uwagi na otaczające ich piękno. Domenico podszedł do strażnika muzealnego nadzorującego prace porządkowe i coś do niego zagadnął. W efekcie sprzątacze zniknęli, dwaj z nich jednak powrócili z dziwnymi urządzeniami. Były to konstrukcje przypominające fotel dentystyczny na płozach.

– Moi drodzy, to wynalazek naszych hojnych sponsorów z Japonii. Ułóżcie się wygodnie i podziwiajcie sklepienie mistrza. A ponieważ to ze dwadzieścia metrów nad wami, na wyposażeniu macie specjalne lornetki. Pół godziny wam

wystarczy? Ja pójdę z nadzorcą na kawę. – Schylił się do Laury i dodał po polsku: – Możesz robić zdjęcia, tylko bez flesza oczywiście.

– Co tam szeptał do ciebie nasz wielebny? – Andreę wyraźnie zżerała ciekawość.

– Powiedział mi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Uśmiechnęła się z lekko złośliwą satysfakcją.

– Popatrz lepiej na los kobiet potępionych, chyba jest ich tam więcej niż mężczyzn...

Andrea często zaglądał do kaplicy, korzystając z uprzejmości Domenica. Znał cały fresk na pamięć, rozmieszczenie postaci, ich imiona i symbolikę. Ale za każdym razem zetknięcie z tym arcydziełem zmuszało go do dokonania rachunku sumienia. Centralna postać Chrystusa z uniesioną ręką bardziej przypominała antyczne bóstwo ciskające gromy niż tego, który mówił, że błogosławieni cisi, miłosierni... Najbardziej poruszały go postaci w dolnej części fresku, jakby artysta celowo umieścił je najbliżej widzów, by każdy je dostrzegł. Na ich oczach odbywała się walka między niebem a piekłem. Tu na ziemi. Niektórzy jej uczestnicy się poddali, o innych wciąż toczy się bój, a w ich obronie stają anioły. Może dostrzegły jakieś dobre czyny w życiu tych nieszczęśników...

Laura i Andrea przeszli na środek kaplicy i usadowili się na fotelach. Okazały się idealne do oglądania sklepienia: półleżąca pozycja, głowa wygodnie podparta, lornetka. Mogli podziwiać historię stworzenia świata w wizji Michała Anioła. Andrea najbardziej lubił początek, oddzielenie światłości od ciemności, dobra od zła, Stworzyciel dzielący świat na pół. Pierwszy fresk, najważniejszy, bo stanowiący początek, był zaniedbywany i pomijany w przewodnikach.

Andrea jeszcze chwilę delectował się obrazem, a potem zostawił Laurę samą. Musiał porozmawiać z Domenikiem.

– Był u mnie w niedzielę Paolo z narzeczoną. Młodym bardzo zależy, żebyś to ty udzielił im ślubu. Nie wiem dlaczego...

– Chyba mam dobrą rękę. Naprawdę, większość par pobłogosławionych przeze mnie żyje długo i szczęśliwie.

– Od każdej reguły są wyjątki.

– A u ciebie bez zmian? – Domenico popatrzył Andrei głęboko w oczy.

– Wiesz pewnie, że spotkamy się na ślubie. Nicole też została zaproszona.

– Nie miałeś z nią żadnego kontaktu?

- Nie. Mieszka w Tuluzie i zerwała kontakt ze swoją rodziną.
- A kim jest dla ciebie Laura? – Przyjaciel zmienił ton głosu, znów był księdzem.
- Drogi ojczy, powiadam ci, że w moich stosunkach z Laurą nie zaszło jeszcze nic, z czego musiałbym się spowiadać. Poznałem ją niedawno, to miła dziewczyna. Pokazałem jej trochę miasta, ale ją interesują wyłącznie dzieła sztuki. Sam widzisz, jak pożera wzrokiem sklepienie. To co, udzielisz ślubu?
- Z przyjemnością, przy okazji odwiedzę rodziców. Ostatnio niestety mam tutaj tyle pracy, że do domu wpadam tylko, by odprawić mszę pogrzebową za kogoś z rodziny. Ślub to teraz rzadkość, większość wybiera życie w mniej formalnych związkach.
- Nie narzekaj, w mojej rodzinie jest jeszcze kilka osób wolnych. Nie damy ci umrzeć z głodu, a przy okazji zadośćuczynisz czwartemu przykazaniu...
- Dziękuję za troskę o moje zbawienie, ale już czas, byśmy poszli do twojej pożeraczki sztuki.

Laura była tak wpatrzona w sklepienie, że nie zauważyła, kiedy została sama. Niechętnie opuszczała kaplicę i dopiero zapewnienie, że to nie jest jej ostatnia wizyta w tym miejscu i że skarby watykańskie są liczniejsze, spowodowało, że ruszyła szybciej. Poza tym Domenico przypominał, że czeka Pieta.

Doprowadził ich do wnętrza bazyliki bez wychodzenia na zewnątrz. Stwierdził jedynie konspiracyjnie, aby nie uczyli się tej drogi na pamięć, bo to specjalne przejście papieża, który korzysta z niego, gdy chce niepostrzeżenie udać się do grobów swoich poprzedników albo obejrzeć Pietę.

W kaplicy panował półmrok, jednak samo dzieło było rozjaśnione światłem, które potęgowało piękno rzeźby. Laura straciła poczucie czasu. Wpatrzona w twarz Maryi nie zauważyła, kiedy Domenico dyskretnie dał znak do wyjścia. Najwyraźniej jego też obowiązywały zasady. Zapewnił Laurę, że drzwi Watykanu, poza tymi świętymi, stoją przed nią otworem. I powrócił za mury.

Andrea widział, że oczy Laury stały się szkliste i że musi jeszcze kilka razy przeżyć to, co widziała, by mogła o tym rozmawiać. Dlatego zaproponował szybką kolację w knajpce na terenie dawnego getta, za murem ciągnącym się w kierunku Zamku św. Anioła.

Gdy usiedli przy stoliku, jej pierwsze pytanie – przypuszczał, że tak będzie – dotyczyło jego znajomości z Domenikiem.

- Znamy się, że tak powiem, od poczęcia – powiedział.
- Czyjego poczęcia?
- Domenica, jestem od niego starszy o całe trzy miesiące. Ja urodziłem się w pierwszy dzień wiosny, a on w pierwszy dzień lata. Nasze rodziny mieszkają obok siebie od blisko trzystu lat i jak zapewniają starsi, cały czas żyją w przyjaźni. Mój tata jest chrzestnym Domenica, a jego ojciec moim... O, jest kelner, co zamawiamy?
- A co pan poleca? – Laura zwróciła się do sympatycznego blond młodzieńca, który wyglądał na rasowego nordyka szukającego włoskiego słońca lub zarobku.
- Dla pani tagliatelle z grzybami, naprawdę pyszne, borowiki jak w Polsce – wypalił po polsku do zaskoczonej Laury.
- Czy mam wypisane na twarzy, skąd jestem?
- Nie, ale byłem kiedyś pani uczniem. Uczyła mnie pani polskiego w szkole podstawowej na Ochocie. Ja trochę się zmieniłem od tego czasu, ale pani nic. Jak zawsze urocza. – Pobyt w Rzymie już zmienił jej ucznia w uwodziciela. Schylił się i ucałował jej dłoń. – U pani nawet dwójki łatwiej było przyjmować. I miała pani rację, nie wyrósł ze mnie polonista...
- Dawny uczeń chciał kontynuować swoje popisy, ignorując Andreę, ale ten zwrócił na siebie uwagę, stukając głośno w kieliszek.
- A panu proponuję makaron penne z kurczakiem i brokułami w pysznym sosie serowym.
- Niech będzie, i poprosimy białe wino – kontynuowała zamówienie Laura.
- Wino sam wybiorę, na koszt firmy, po starej znajomości.
- Interesujące, to może już sobie pójdę! – odezwał się wreszcie Andrea.
- Dlaczego?
- Najpierw rozmawiasz z moim przyjacielem księdzem, a ja nie wiem o czym! Teraz obcałowuje twoją dłoń, nie zważając na moją obecność, jakiś młodzieniec i o czymś szepczecie, a ja znów nie wiem o czym. Strach pomyśleć, co będzie dalej.
- To, jak się okazało, mój dawny uczeń, zapamiętał mnie.
- Ciekawe stosunki łączą nauczycielki z uczniami w tej waszej Polsce. A był wtedy pełnoletni? Powiesz mi, co będę jadł?
- Nie wiem, co podadzą, ale wiem, co zamówiłam. Po starej znajomości dostaniemy wino gratis. A z tym uczniem nie utrzymywałam żadnych stosunków, to była podstawówka. Wiesz, był miły, prawił komplementy.

Polskie kobiety lubią komplementy. Ale wróćmy do Domenica. To ile lat się znacie?

– Już wiesz, ponad czterdzieści. Wiele rzeczy zrobiliśmy po raz pierwszy razem. Pierwszy papieros, łyk wina, poznawanie kobiet. Wszystkie etapy szkoły w jednej ławce. To naprawdę porządny człowiek. Nigdy nie stanął przeciwko mnie, ale potrafi mi wytknąć wszystko bez ogródek, gdy trzeba. Ma też wady, nie potrafi gotować...

Mimo wielu prób Laurze nie udało się nic więcej wydobyć z Andrei. Jeszcze nie wiedziała, że mówił tylko to, co chciał i kiedy chciał. Nieustannie się kontrolował i to on zdobywał informację. Umiejętnie odchodził od tematu tajemnicy, jakie łączyły rodziny Lituano i Brunellich.

Kolacja okazała się naprawdę pyszna, podobnie wino Chardonnay Santagostino. Andrea nie pozwolił zapłacić Laurze i zostawił duży napiwek jej dawnemu uczniowi, który bez skrupowania przekazał Laurze swoją wizytówkę, wyrażając nadzieję na rychłe spotkanie.

Na pożegnanie Andrea uścisnął jedynie jej dłoń, udając lekko obrazonego. Poprosił, by była na placu Weneckim pod balkonem Mussoliniego w sobotę o dziewiątej rano. Zazaczył, że czeka ich dłuższe zwiedzanie, więc powinna się odpowiednio przygotować.



Rozstali się niedaleko jej domu, ale postanowiła nie wracać jeszcze do sióstr Manzoni, które ostatnio nad wyraz zgodnie pożyły jej towarzystwa podczas wieczornych posiłków. Lubiła sekretne pogawędki ze starszymi paniami, ale dziś nie miała na nie ochoty. Zbyt wiele w niej było emocji, by dopełniać je szeptami Franceski czy Chiary. Wciąż przed oczami miała pełną cudownej harmonii i cierpienia twarz Madonny, matki, której przyszło przeżyć śmierć swojego syna. Cóż z tego, że od niezwykłego poczęcia był naznaczony tą śmiercią, że do tej chwili mogła się przygotowywać przez długie trzydzieści trzy lata, że od początku wiedziała. Wyższy sens dotrze do niej później, teraz trzyma na kolanach zwłoki syna, dorosłego chłopca, którego urodziła i wychowała, obdarzając ziemską miłością matki.

Laurę zawsze irytowała bezosobowość Madonn na obrazach wielkich mistrzów, jakby świadomość, że trzymają w ramionach Zbawiciela, miała im odbierać uczucia. Szukała w ich twarzach i gestach śladu relacji łączącej matkę i syna. Podążała tropem czułości i wzruszenia, radości i bólu, buntu i rezygnacji, ale takiej, która nie zakłada mistycznej nieobecności. I zapamiętywała je, jak niemal zaborcze przytulenie dziecka na obrazie Rafaela czy zadumaną czułość u Sodomy. I teraz ta młoda kobieta Michała Anioła, która nie rozpacza i nie załamuje rąk, w jakiś sposób pogodzona z tym, co się stało. Pograżona w zadumie. Może próbuje to zrozumieć, wytłumaczyć swojemu człowieczemu sercu, że boskość wymaga wyrzeczeń. Ofiarowała swojego syna, ofiarowała swoje macierzyństwo. Czy będzie jeszcze umiała być człowiekiem?

Laura nie przepadała za rzeźbami Michała Anioła, ale Madonna z Piety przełamywała jego nieobecność emocjonalną, czyniąc go wreszcie prawdziwym, a nie tylko doskonałym.

– Witaj, słodka – zamruczało jej za uchem, gdy po raz kolejny przywoływała w pamięci delikatną twarz Matki Boskiej. – Stęskniłem się za tobą.

Teraz już była pewna, że autorem pomruków jest Massimo. Stał za nią w pozie zwycięzcy i spoglądał jak na kolejną ofiarę. Musiała przyznać, że bycie zwierzyną przy nim nabierało smaku, chociaż zazwyczaj starała się być przynajmniej współmyśliwym.

– Cześć, kochasiu. – Poprawiła mu kosmyk opadający na czoło tak, jakby jego celem było wywoływanie u kobiet tego na poły pieszczotliwego gestu. – Do domu czy wręcz przeciwnie?

– I do domu, i przeciwnie. – Błysnął uśmiechem i przyciągnął ją do siebie. – Muszę zabrać z domu płytę, a potem wyruszam w piękną podróż po mieście, jakiego nie znasz i nigdy nie poznasz.

– A dlaczego nie poznam? – zapytała zaczepnie, bo choć w wielu sferach życia akceptowała swoją niemoc poznawczą, to nie lubiła, by ją jej narzucano.

– Ty jesteś jasna, pełna uroku i subtelna, a jam ciemny potwór z mrocznej krainy, nieczuły i rozpustny. Ciebie oświetla błysk Berniniego, mnie na pokuszenie wodzi Caravaggio.

– No, jestem pod wrażeniem! – Spojrzała na niego z podziwem.

– Nie dziw się, w końcu jestem bratem historyka sztuki. Nie sposób się czegoś od niego jednak nie nauczyć. – Zaśmiał się, uwalniając ją z uchwytu. – Poza tym szukanie ideału piękna wymaga odrobiny okrziesania. Z wiekiem robię się coraz bardziej wytworny i uczony, a gdy się spotkamy na emeryturze, oczaruję cię znajomością polskich mistrzów.

– Trzymam cię za słowo. A pozostając w temacie sztuki, zdradź mi kilka pikantnych szczegółów z życia swojego natchnionego brata. Czy on w ogóle ma takie na swoim koncie?

– Mogłem się tego spodziewać. Te najmądrzejsze zawsze uciekały do niego. – Złapał się dramatycznym gestem za serce, podkreślając miłosny zawód, po czym nadzwyczaj chętnie zaczął się dzielić swoją wiedzą na temat brata.

Laura szybko zorientowała się, że chociaż Massimo co chwila żartował sobie z Mattea, tak naprawdę uwielbiał starszego brata. Imponował mu wiedzą i spokojem, nieustannie zadziwiał tym, jak pięknie i konsekwentnie żył, jak właściwe były jego wybory.

– Tylko z kobietami sobie nie radzi. – Massimo westchnął. – Wzdycha do niego pół świata, a on ciągle czeka na jakiś bliżej nieokreślony ideał. Caterina krążyła wokół niego pół roku, zanim ją dostrzegł, ale zrezygnowała, gdy po raz

kolejny umówił się z nią na randkę w muzeum. Potem była śliczna Barbara, studentka filozofii. Nic nie rozumiałem z tego, co mówi, ale z jakim wdziękiem rozważała problemy na poziomie ontologii i inne takie. Była jak przemądrzała sikorka, którą by się chciało złapać i nie wypuszczać. Gadali z Matteo tak długo, że w końcu sikorkę porwał jakiś inny ptaszek. Fajna była też Monica, ciasteczko do schrupania. Malutka, okrągłutka i zawsze wesoła. Chyba była dla niego za wesoła, bo przestali się spotykać.

– Jak myślisz, czego on szuka w kobietach?

– Moja piękna, ja sam nie do końca wiem, czego szukam, a cóż dopiero mój zwariowany brat. Moim zdaniem jemu potrzebna jest silna kobieta, która dorówna mu intelektem i zmusi do okazywania uczuć, bo dobrowolnie to ten domowy naukowiec nic z siebie nie wydusi.

– A ciebie do czego trzeba zmuszać? – Laura postanowiła ostatecznie metry wspólnego spaceru poświęcić już tylko młodszemu z braci Zanetti.

– Ty wiesz, jak udręczyć mężczyznę. – Massimo chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. – Nie lubię karczochów, ale na szczęście nikt mnie nie zmusza do ich jedzenia. Nie przepadam za filmami, w których nie ma akcji, ale i tu rodzina wykazuje zrozumienie i wyklucza mnie z oglądania starych dreszczowców bez dreszczy. Może cię to zaskoczy, ale nie cierpię kobiet, które tylko wyglądają, i nikt, absolutnie nikt nie zmusi mnie do spotkania się z nimi...

W życiu Massima nie było miejsca na przymus, ani z zewnątrz, ani od środka. Ten chłopak płynął szczęśliwie, nie zmagając się z silniejszymi falami. Było mu dobrze i przyjemnie. Właściwie ona też mogłaby tak płynąć, podążając raz obraną drogą nauczycielską, a jednak od czasu do czasu musiała podłączyć się do prądu, który wywracał jej życie do góry nogami. Nawet nie usiłowała z tym walczyć, bo choć wokół niej panował zamęt, w głębi duszy lubiła te intymne rewolucje, gdy wszystko znowu zaczynało smakować i pachnieć.

– Do niczego nie trzeba mnie zmuszać – skonkludował Massimo, dumnie wypinając pierś. – Jestem idealny.

– I dalej taki bądź. – Pocałowała go na pożegnanie w policzek, po raz kolejny poprawiając niesforny kosmyk.

Uświadomiła sobie, że chce, by tacy nieskomplikowani chłopcy pojawiali się w jej pobliżu, czyniąc życie bardziej radosnym.



Punktualnie o dziewiętnastej dzwonek domofonu wyrwał go z kuchni. Andrea chciał uprzedzić Martę i dobiec pierwszy do słuchawki, jednak lokatorka była szybsza.

– Tak, mieszka tu, proszę. Ostatnie piętro – rzuciła Marta i wcisnęła przycisk domofonu.

– Jaka szybka, nigdy wcześniej nie można się było doprosić, żebyś kogoś wpuściła.

– Bo wcześniej to byli doręczyciele albo kurierzy do ciebie, a dzisiaj jest prawdziwy gość, i to głównie do mnie. Poza tym masz ręce w mięsie i nie chciałam, żebyś pobrudził swój cenny sprzęt!

– Dziękuję za troskę o czystość mojego sprzętu, ale zapewniam, że sam o to dbam...

Dalsze przekomarzanie się przerwało pukanie do drzwi. Tym razem też szybsza była Marta.

– Dobry wieczór, nazywam się Maria Ponti. Byłam umówiona z Andrea.

– Zapraszam. – Gestem ręki Marta zaprosiła gościa do środka. – Tak naprawdę to ze mną byłaś umówiona. Jestem Marta.

Uśmiechnęły się do siebie. Andrea stał z rękami w górze jak chirurg przed operacją.

– Przepraszam, że nie otworzyłem, ale mam brudne ręce. Gotuję, dla was też.

– Wybaczę, gdy spróbuję. A to dodatek. – Maria przywitała Andree pocałunkiem i wręczyła mu wino.

Wziął je, zostawiając tłuste plamy na butelce. Będzie musiał wyjąć karafkę, nie wypada nalewać szlachetnego trunku z butelki oblepionej mięsem.

– Pogadajcie sobie w salonie, a ja dokończę gotowanie i zjemy w jadalni.

Zostawił kobiety i wycofał się do kuchni. Nie spodziewał się, że Maria od

razu opowie Marcie całą swoją skomplikowaną historię z czasów sycylijskich, ale musi przyzwycząić się do myśli, że trzeba to opowiedzieć. Niech się lepiej poznają. Na zwierzenia przyjdzie czas.



Massimo doprowadził ją przed drzwi, po czym pognął do swojego bezstresowego świata wolnego od problemów trudniejszych niż wybór trasy wieczornego spaceru z przyjaciółmi. Laurze nie pozostało nic innego, jak zanurzyć się w mroku korytarza. Nie zapalała światła, żeby starsze panie nie zauważyły jej powrotu. Uwielbiała ich pozytywną energię i zamiłowanie do dobrego smaku, czasami jednak potrzebowała skończyć dzień w ciszy, bez pogaduszek nad bruschettą. Wspięła się na poddasze, nie budząc domu żadnym, najcichszym nawet szmerem.

Wieczór był cudownie ciepły, postanowiła więc przed snem poprzyglądać się miastu z balkonu. Księżyc nad Rzymem uśmiechał się całą swoją pełnią, a światła na dole wypełniały mrok połyskującą niedosłownością. W Warszawie też nie brakowało świetlnych dróg wyrysowujących nocną mapę miasta, lecz tutaj łatwiej je było podziwiać, bo chłód nie zaganiał do środka. A na balkonie sióstr Manzoni kontemplowanie przebiegało nad wyraz miło.

– Znalazłam rozwiązanie twojego problemu – ogłosiła Alessia kilka miesięcy temu, gdy okazało się, że przed Laurą pojawiła się szansa na stypendium w Rzymie. – Zamiast wynajmować na pół roku pokój przy jakiejś obcej rodzinie, wprowadzisz się do ciotek mojego narzeczonego. Bernardo przypomniał mi, że ciotka Francesca razem ze swoją siostrą mają dużą kamienicę przy Campo de' Fiori, którą wynajmują, same zresztą też tam mieszkają. Już się dowiadywaliśmy, ciotki mają wolny pokój i chętnie powitają w swojej kamienicy kogoś z dalekich stron. No wiesz, starsze panie trochę się nudzą i są żądne wrażeń, a Polka w ich domu to atrakcja...

Kiedy Alessia złożyła Laurze tę propozycję, były po krótkim spotkaniu w Warszawie, a także po wielu telefonach i mejlach, mimo to wciąż nie znały się zbyt dobrze. Laurę zaskoczyła otwartość nowo odkrytej kuzynki. Nikt

w rodzinie Raffaelli nie wiedział, jakie są prawdziwe intencje Laury, czy nie próbuje na przykład uszczknąć coś dla siebie z rodzinnego majątku. Oszustów i naciągaczy nie brakowało, a mizerna postura i niewinne spojrzenie nie dawały gwarancji jej dobrej woli.

– Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna – powtarzała bez końca Laura, a Alessia tylko się śmiała.

– Daj spokój. Trzeba sobie pomagać.

Na lotnisko wyjechał po nią Bernardo, który wbrew powadze swojego imienia okazał się bardzo sympatycznym, zrelaksowanym mężczyzną. Miał ponad czterdzieści lat, na jego skroniach pojawiły się już pierwsze srebrne nitki, ale kiedy się promiennie uśmiechał, wiek przestawał być zauważalny.

– Witaj, rodzinno mojej przyszłej rodziny – zażartował na powitanie, a potem przez całą drogę do miasta opowiadał o Alessi.

Laura próbowała dowiedzieć się czegoś o jego ciotkach, u których miała zamieszkać, ale tu Bernardo nie okazał się pomocny.

– Ech, cioteczki moje... – westchnął teatralnie. – Są kochane, choć potrafią człowieka zagłaskać na śmierć. Włos z głowy ci u nich nie spadnie, to pewne. Alessia bardzo je lubi, no ale Alessia lubi wszystkich...

I znów popłynęła opowieść o narzeczonej. Laurze pozostało spokojne oczekiwanie na spotkanie z Francescą i Chiarą. Bernardo wyczuł ją na powitanie, wniósł walizkę Laury na poddasze i ulotnił się po angielsku, wymawiając się licznymi obowiązkami. Laura została w salonie starszych pań pełna obaw o ciąg dalszy tej znajomości i jej pobytu. Sama miała liczne ciotki i nie z każdą wytrzymałyby pół roku pod jednym dachem.

– Tak się cieszymy, że z nami jesteś... – siostry Manzoni jedna przez drugą zapewniały o swojej radości.

Zanim Laura się obejrzała, jadła z nimi makaron i popijała wino, które starsze panie dostały od pana Guida z Toskanii, słynącego z uwielbienia dla dojrzałych win i niedojrzałych kochanek.

– No, ta jego najmłodsza panna to ledwo z pieluch wyrosła – marudziła groźniej wyglądająca Francesca.

– Ale wino robi doskonałe. – Chiarze zupełnie nie przeszkadzało życie prywatne winiarza.

Pobyt zapowiada się co najmniej ciekawie, przemknęło Laurze przez myśl, gdy w radosnej paplaninie sióstr splatały się opowieści o winnych i niewinnych poczynaniach pana Guida.

Kolejne miesiące potwierdziły tę pierwszą myśl. Francesca i Chiara okazały się bardzo barwnymi gospodyniami, a mieszkanie z nimi było jedną z najlepszych rzeczy, jaka przydarzyła się Laurze w życiu.



– Dziękuję za pyszny obiad. – Maria wytarła talerz skórką chleba, żeby ani kropla sosu się nie zmarnowała.

– To tylko cielęcina w pomidorach, ale cieszę się, że ci smakowało.

– Andrea świetnie gotuje, a dzisiaj zrobił nawet deser. Smakowite to było. – Marta oparła głowę na ramieniu Andrei. – Dziękuję, mistrzu.

– Podziękujesz po wszystkim – mruknął Andrea, wstając od stołu.

– Będę już uciekać, zasiedziałam się. – Maria też podniosła się z krzesła. – Wyjdziemy razem, Marta?

– Nie, ja tu mieszkam.

Andrea obserwował tę osobliwą scenę. Kobiety mierzyły się wzrokiem pełnym pytań. Przed chwilą śmiały się do siebie i szczebiotały jak najlepsze przyjaciółki, a teraz w ciszy były rywalkami. W głosie Marty można było usłyszeć cień triumfu. Żadna z nich nie przejawiała dotąd wobec niego takiego zainteresowania. Teraz jednocześnie obie. Powinno mu schlebiać, że dwie młode piękne kobiety zapały do niego uczuciem. Ale to nie był właściwy moment na delektowanie się swoimi sukcesami.

– Mario Magdaleno, odprowadzę cię z przyjemnością. A Marta w tym czasie pozmywa po kolacji. Musi być zgodnie z Pismem: Marta usługiwała, gdy Maria zajęła się rozmową...

– Ty mi z takimi przykładami nie wyskakuj. Pozmywam w podziękowaniu za dobrą kolację, a nie dlatego, że pan każe. Tylko nie hałasuj, gdy wrócisz, i nie obudź mnie. Dzisiaj muszę się wypaść.

Wyszli na ciemną już ulicę. Maria zrobiła krok w stronę przystanku znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

– Możemy się kawałek przespacerować? – Andrea lekko pociągnął ją za ramię, by nie przechodziła przez ulicę. – Mam ci do powiedzenia kilka

ważnych rzeczy.

– Marta nie jest twoją żoną – bez wstępu przeszła do sedna. – Wiem, jak wygląda twoja żona.

– Słucham? Znasz ją?!

– Nie znam, ale wiele razy mi się śniła. Mówiłam ci, że jestem trochę czarownicą. – Zaśmiała się krótko, po czym spoważniała. – Od dziecka miewam różne dziwne sny. Śnię ludzi i wydarzenia z przyszłości, które się potem zdarzają. Niestety, nie śniłam nigdy swojej przyszłości...

– A moją?

– Może, nie wiem, to tylko sny. Od kilku lat, długo zanim poznałam ciebie, śniła mi się pewna kobieta. Stała przy sztaludze i coś rysowała. Myślałam, że mnie. Patrzyła ciągle w moim kierunku i nigdy się nie uśmiechała. Miała śniadą twarz, krótkie czarne włosy i olbrzymie ciemne oczy. Zawsze nosiła czarny golf. Bałam się jej wzroku. Kiedy kończyła rysować, zabierała płótno i wychodziła. A ja się budziłam. Kiedyś we śnie znalazłam się w jej pracowni sama. Widziałam, że obraz jest na sztaludze, i podeszłam, żeby go zobaczyć. To nie był mój portret, tylko jakiegoś mężczyzny. Siedział uśmiechnięty w fotelu, w którym zazwyczaj ja siadałam w tym śnie. Zaczęłam się wpatrywać w jego twarz i wtedy podeszła. Uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy i szepnęła: to dobry człowiek, to mój mąż... Następnego dnia zobaczyłam na targu tego mężczyznę. To byłeś ty. W dodatku wiedziałeś, że jestem z Sycylii. Zmroziło mnie. Jakiś obłąd...

– Teraz rozumiem, dlaczego wtedy zaniemówiłaś. A myślałem, że wpadłem ci w oko.

– Wcale nie. – Uśmiechnęła się. – Potem miałam ciebie na żywo, a sny zniknęły. I teraz wróciły. Znow ją widzę. Jest uśmiechnięta, ma jasne włosy i nosi jasne ubrania. Siedzimy na tarasie, ona pije kawę i ciągle mówi, opowiada o tobie.

– Chyba zacznę się ciebie bać...

Przez chwilę szli w milczeniu. Maria wzięła Andreę pod ramię i kroczyli niespiesznie. Świat wygaszał się z wolna, wystawy przybladły, tu i ówdzie nawet lampy uliczne traciły na sile, ogłaszając nadejście nocy. Było bardzo spokojnie.

– Kim jest dla ciebie Marta? Powiedziała, że z tobą mieszka.

– Nie mieszka ze mną, tylko wynajmuje u mnie pokój. Wiesz już, że nie jest moją żoną, nie jest też moją kochanką. – Nie chciał się bawić z Marią

w niedopowiedzenia. – Znam ją równie długo jak ciebie. Poza tym z nas dwojga Marta raczej wybrałaby ciebie...

– Chyba żartujesz?

– Miała trudną młodość i mężczyźni źle jej się kojarzą. Może kiedyś sama ci opowie. W każdym razie u niej przeszło to w niechęć do płci przeciwnej.

– Na moje kobiece oko ona coś do ciebie czuje.

– To ma problem.

– Dlatego że masz żonę?

Pierwszy raz pytanie o żonę zadała mu kobieta. Wcześniej słyszał je od kolegów z pracy czy senatorów przed różnymi spotkaniami, na które przychodził sam. Albo gdy siedział do nocy w pracy. Miał przygotowany cały zestaw nieprawdziwych odpowiedzi. Teraz postanowił powiedzieć prawdę, przynajmniej jej część.

– Tak, mam żonę, ma na imię Nicole i jest Francuzką. Podobno mieszka w Tuluzie. Kiedyś wyglądała tak, jak ją opisałaś. Jak wygląda dziś, nie wiem. Nie widziałem jej prawie cztery lata. Wtedy powiedziała, że wszystko skończone, i wyprowadziła się. Wzięła tylko samochód i trochę rzeczy na drogę, reszta została i czeka na nią w zamkniętym pokoju. Za miesiąc minie dwadzieścia lat od naszego ślubu. Nie mamy rozwodu, bo nigdy nie złożyliśmy wniosku w sądzie.

– Chcesz, żeby wróciła?

– Nie wiem, ale na pewno chcę się z nią spotkać i porozmawiać. Chcę po prostu wiedzieć, na czym stoję... – Po chwili milczenia postanowił zmienić temat. W końcu miał sprawę do załatwienia. – A ty jakie masz plany na przyszłość? Czy targ jest twoim przeznaczeniem?

– Dlaczego pytasz?

– Moja sekretarka zaszła w ciążę i szukam nowej.

– Kusząca propozycja. Ta ciąża... Muszę to przemyśleć.

Ponieważ widział, że Maria jest zmęczona, zatrzymał taksówkę, którą podjechali do jej domu. Odprowadził ją do mieszkania. Odmówił, gdy zaprosiła do środka. Wiedział, że przekroczenie progu miałoby wymiar więcej niż symboliczny. Wolał pożegnać się pod drzwiami. Przytulił ją mocno na pożegnanie, udając, że nie czuje, jak jej ciało zaprasza go bez słów.

Marta czekała w salonie, siedziała na sofie w szlafroku z kieliszkiem wina i oglądała telewizję. Na stoliku stała butelka i drugi pusty kieliszek. Gdy wszedł, nie pytając, napełniła drugi kieliszek i mu go podała.

– Miałaś spać.
– Nie mogłam zasnąć i pomyślałam, że wypiję wino, to zawsze pomaga.
– Z dwóch kieliszków naraz...
– No dobrze, czekałam na ciebie, chciałam pogadać o Marii...
– Odpowiadam, Maria nie jest ani moją żoną, ani kochanką. To wszystko. To teraz spać.

– Coś ty taki drażliwy? Nie interesuje mnie twoje życie erotyczne, a właściwie jego brak. Chciałam tylko podziękować za miłą kolację i spytać o formę pomocy Marii. Może pomyślałeś, że jestem o nią zazdrosna? Jaki pewny siebie!

– Widziałem, jak się złośliwie uśmiechałaś, kiedy mówiłaś, że mieszkasz ze mną.

– No wiesz, gdybyś spotkał jakąś kobietę i ona chciałaby z tobą zamieszkać, to kazałaby mi się wyprowadzić. Tak więc, kochany, martwiłam się wyłącznie we własnym interesie.

Uwielbiał, gdy ukrywała uczucia i zaczynała udawać. Byli w tym podobni do siebie. Odpowiadała mu ta gra.

– Tak też powiedziałem Marii, bo pytała, czy to wypada, by odbijała ci faceta, skoro jej pomagasz. Wyjaśniłem, że w ogóle cię nie pociągam...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Zaczęła go całować.

– Czy wiesz, czego chcesz? – zapytał.

– Tak, chcę się po raz pierwszy w życiu kochać z mężczyzną nie dla osiągnięcia celu, tylko dla przyjemności.

– Dobrze, ale jutro się wyprowadzisz...

W tym momencie całe powietrze jakby zeszło z Marty. Usiadła zgarbiona, z opuszczoną głową, wygięła usta w podkówkę.

– Przepraszam...

Usiadł obok niej, objął ramieniem, przez chwilę kołysali się razem.

– Dokończ wino i idź spać. – Nie chciał nic komentować.

Po chwili usłyszał szum prysznica, a potem nastąpiła kojąca cisza.

Wydarzenia dzisiejszego dnia, a szczególnie wieczoru, zmęczyły go tak, że nie mógł zasnąć. Odprawił dziś z kwitkiem dwie młode i piękne kobiety. Obie miał w ramionach, obie chętnie poszłyby z nim dużo dalej. Dawno nie był z żadną kobietą, a dziś przepuścił dwie okazje. Czyżby faktycznie zaczynał się starzeć? A może zmądrzał?

Zaczął robić rachunek sumienia, wspominać kobiety z przeszłości. Było ich

wiele, dziś nie pamiętał już ani ich twarzy, ani imion. Kiedy porzucił swoją wieś i zamieszkał w akademiku w Rzymie, kochał się z wieloma kobietami. Nie odpuszczał żadnej, a tych były całe korytarze. To był zły czas, ale Andrea uważał, że każde doświadczenie jest potrzebne i że najlepiej uczyć się na własnych błędach; a popełnił ich wtedy naprawdę dużo. Nie chciał się angażować. Nie chciał i nie potrafił, przeszłość była zbyt silna. Zawsze stawiał sprawę uczciwie, ale szybko zobaczył, że kobiety są inaczej skonstruowane. Po seksie pojawiało się u nich uczucie. Wtedy je zostawiał, porzucał bez słowa.

Aż do Nicole. Od początku traktował ją inaczej, pozwolił, by się w nim zakochała, a potem go pokochała. I wtedy stwierdził, że jest gotowy odwzajemnić jej uczucie. Zrobił jednak wielki błąd, nie wprowadził jej w swoją przeszłość. Myślał, że w wieku dwudziestu pięciu lat można narodzić się na nowo. Demony z przeszłości wracały i wpływały na jego życiowe decyzje. A potem zaczął popełniać kolejne błędy.

Dalsze myślenie przerwała Marta.

– Mogę spać dziś z tobą, tylko spać?

– Włóż, tylko rączki na kołdrę i nie chrap. To mój przywilej...

Błyskawicznie wskoczyła pod kołdrę, grzecznie ubrana w piżamę w owieczki. Przytuliła się do niego i zasnęli w jednej chwili.



Piotr ją zaskoczył. Kiedy obiecywał, że napisze do niej wkrótce staromodny, tradycyjny list, myślała, że żartuje, a teraz trzymała w dłoni kopertę z pięknym tłoczeniem, w niej trzy kartki zapisane drobnym pochylonym pismem. Naprawdę się postarał.

Relacjonował jej zajęcia na uczelni, narzekał na studentów, którzy nie przykładają się do nauki, przeplatał to wszystko anegdotami z życia wydziału. Wspomnił nawet o nowym romansie, jaki przydarzył się profesorowi i świeżo przyjętej doktorantce. Oboje bardzo starali się ukryć porywy namiętności, ale wszyscy doskonale wiedzieli, co się wydarzyło, i spekulowali, jak długo jeszcze będzie się wydarzać. O ile bowiem doktorantka Iza zapewne miała plany dalekosiężne, ocierające się o rodzinną stabilizację, o tyle profesor Przygódzki był człowiekiem lubiącym przygody i swoim urokiem obdarzał wiele przyszłych, przeszłych i obecnych doktorantek. Stabilizację rodzinną już miał i w żaden sposób nie przeszkadzała mu ona wieść życie swobodne i radosne.

Laurze udało się uniknąć jego zainteresowania wyłącznie dlatego, że gdy pojawiła się na uczelni, profesor był właśnie w rozkwitającym związku z panią z biblioteki wydziałowej, a kiedy bibliotekarkę spowiła zasłona zapomnienia, Laura już szybowiała ku innym celom.

– Pani Laurko, jakżeż nam brakuje pani na uczelnianych korytarzach – zaczepił ją kiedyś, gdy spotkali się w rektoracie. – Szkoda, że pożegnała nas pani po tak krótkim czasie. Tyle rozmów nieodbytych, tyle myśli niewypowiedzianych...

Znała te jego rozmowy i myśli.

Gdyby zaraz po studiach zaczęła pracę na uczelni, na pewno łatwiej by się tam odnalazła, bez problemu przyjęłaby hierarchię i proceduralną sztywność

tego miejsca. Ona jednak najpierw zakosztowała życia w innych światach, a dopiero potem pojawiła się w środowisku nauki jako dobrze zapowiadająca się asystentka. Szybko zorientowała się, że uniwersytecki gorset jej nie odpowiada, i po roku zrezygnowała z etatu ku zdumieniu wszystkich, z rodziną na czele. Postanowiła nadal pisać doktorat, ale z myślą wyłącznie o realizowaniu pasji, nie poświęceniu się karierze naukowej.

– Czyś ty już zupełnie rozminęła się z rozumem?! – zapytała Monika, gdy Laura na jakimś spotkaniu rodzinnym ogłosiła, że właśnie zostawiła obiecującą pracę na uczelni i zamierza zacząć karierę w muzealnictwie. – Mogłaś być szanowanym wykładowcą, a będziesz pilnowała obrazków przed ciekawskimi turystami. Świetny wybór, jestem pod wrażeniem!

– Przede wszystkim pozostaję w kręgu swoich zainteresowań kulturą...

– Tak jakbyś przestała być kierowcą Formuły 1 i zaczęła pracować w myjni, w końcu to też praca przy samochodach. – Darek nawet nie próbował wysłuchać, co miała do powiedzenia.

– Ile razy jeszcze zamierzasz zmieniać pracę? – Monika była coraz bardziej poirytowana. – Nie podobało ci się bycie nauczycielką, zostawiłaś porządną robotę w wydziale kultury w urzędzie miejskim, teraz nie chcesz mieć nic wspólnego z najlepszą uczelnią w mieście. Ludzie daliby się zabić za taką pracę.

– Córcia, co ci do głowy przyszło? – Rodzice patrzyli na nią, nic nie rozumiejąc. Byli pewni, że uczelnia jest spełnieniem jej marzeń. Może być blisko ksiązek, nie musi zrywać się bladym świtem i gnać do pracy na złamanie karku, nawiązała przyjaźnie.

– Przyszło mi do głowy, że chcę być szczęśliwa. – Laura zaczęła tracić cierpliwość. Dlaczego nikt nie daje jej prawa do decyzji nieoczywistych? Ciągłe tylko gadanie o ambicji, pozycji i kasie. – Nie będę pilnować obrazków, siostró! Będę o nich pisać, będę pomagać je eksponować i przywracać światu. Masz rację, nie zarobię dużo, ale będę blisko tego, co kocham. Może wieczorami będę musiała dorabiać, pisząc głupie teksty do głupich gazet, ale będę szła spać z przekonaniem, że rano znów stanę naprzeciwko jakiegoś obrazu i będę mogła zagłębić się w świat krótkich, szybkich pociągnięć pędzla...

W rzeczywistości jej praca w muzeum nieco różniła się od ideału, zamiast śledzić pociągnięcia pędzla, musiała bowiem śledzić przepływ pieniędzy i pozyskiwać nowych sponsorów. Ale nie broniono jej dostępu do zbiorów,

w wolnym czasie mogła przesiadywać w archiwum i rozmawiać z kuratorami wystaw. Była naprawdę blisko swojego centrum świata. Po dwóch latach właśnie dzięki pracy w muzeum udało jej się dostać stypendium na półroczny pobyt w Rzymie. Żadna z poprzednich prac nie dałaby jej tej szansy. Rodzina zacisnęła zęby i zaakceptowała dziwny sposób na życie Laury. Nawet nie przypominano jej podczas spotkań, że kolega z wydziału kultury awansował i występuje w lokalnej telewizji, znajomi z uczelni mają już wyznaczone terminy obrony swoich doktoratów, a ona wciąż stoi przed tymi swoimi obrazkami.



Tylko w sobotnie przedpołudnia Andrea korzystał w Rzymie z samochodu, bo tylko wtedy bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym mógł poruszać się po ulicach miasta. Zasadniczo był człowiekiem spokojnym i niewiele widziało jego wybuchy gniewu, a przekleństw unikał nawet podczas kibicowania. Ale istniał też drugi Andrea – kierowca. Może dlatego rzadko siadał za kółkiem. Jeździł pewnie, zgodnie z przepisami, rzecz jasna tymi, które uważał za zasadne, do wściekłości doprowadzała go jednak bezmyślna i niebezpieczna jazda niektórych kierowców. Trąbił wtedy, wygrażał, pokrzykiwał. Nicole stwierdziła kiedyś, że za kierownicą odreagowuje wszystko, co na co dzień chowa w najciemniejszych zakamarkach duszy.

Uważał, że jedynym usprawiedliwionym donosem do służb mundurowych jest donos na niebezpiecznego kierowcę. Sam także dzwonił na numer policyjny, gdy widział kogoś, kto kieruje samochodem po pijanemu. Raz musiał z tego powodu skorzystać z pomocy swojego tajnego przyjaciela. Kiedyś był świadkiem niebezpiecznej jazdy młodzieńca w sportowym samochodzie, który o mało nie potracił pieszych na pasach. Dogonił go na następnych światłach, wyciągnął z samochodu, zatrzasnął drzwi, a kluczyki wyrzucił do kanału ściekowego. Okazało się, że chłopak był synem bardzo wpływowego ministra, a samosąd nie obowiązuje we włoskim prawie. Na szczęście dzięki wpływom Antonia sprawę udało się załatwić polubownie.

Dzisiaj jednak Andrea zamierzał być kierowcą wyjątkowo opanowanym i spokojnym. Nie chciał zrazić do siebie Laury.

Wstał wcześniej, a mimo to był wypoczęty. Na pewno sił dodawała mu perspektywa wyjazdu, ale i bliskość Marty w jego łóżku. Dziwne, odkąd spali przytuleni do siebie, noc mijała mu dobrze, nie miał ciężkich snów. Marta też zaczęła się więcej uśmiechać. W żartach podejrzewał ją, że wieczorem dodaje

mu do wina jakieś środki nasenne, a potem, kiedy on twardo śpi, wykorzystuje go seksualnie. Dlatego on budzi się wyspany, a ona zadowolona. Odpowiadała z uśmiechem, że w służbach mają takie środki, których nikt nie wykryje.

W bardzo krótkim czasie nastąpiła ogromna zmiana w nich obojgu. Wcześniej, mimo że mieszkali w jednym mieszkaniu, pilnowali dystansu. Nagle za sprawą niejakiej Anny przekroczyli magiczną odległość kontaktu na wyciągnięcie ręki. Wpuścili siebie nawzajem do swoich przestrzeni osobistych zarezerwowanych dla bliskich przyjaciół.

Wypoczęty Andrea zdołał nawet przed spotkaniem pojechać do myjni. Ponieważ wiedział, że trudno będzie znaleźć miejsce do parkowania, podjechał na plac w ostatniej chwili. Gdy stał na światłach, widział rozglądającą się Laurę. Obserwowała ludzi wysiadających z autobusu, wypatrując swojego przewodnika. Zatrzymał się obok niej i jak przystało na podrywacza, zatrąbił. Przy okazji chciał sprawdzić jej reakcję. Zareagowała, spojrzała w kierunku samochodu. Uchylił szybę.

– Może podwieźć? Mam miejsce – rzucił zmienionym głosem.

– Dziękuję, mam już kierowcę! – patrzyła w jego kierunku, ale nie widziała twarzy.

– Tak, wiem, właśnie nadjechał. Zapraszam.

Dopiero teraz go rozpoznała, ale do samochodu zbliżyła się powoli. Wsiadła.

– Dzień dobry, zapnij pasy i usiądź wygodnie. Daleka droga przed nami...

– Dzień dobry. Nie spodziewałam się ciebie w samochodzie. Nic nie mówiłeś o wyjeździe.

– Nie mówiłem, że nie będziemy jechać. Powiedziałem, że zabieram cię na dłuższe zwiedzanie, i uprzedzałem, żebyś zabrała niezbędne rzeczy na taką podróż.

Po raz pierwszy widział ją w dzinsach. Ślicznie i apetycznie opinały jej pośladki. Do tego jasne buty sportowe, koszulka na ramiączkach podkreślająca górne atuty jej kobiecego ciała, mały plecak i przewieszona przez rękę bluzka do zakrycia ramion na wypadek wizyty w kościele. Była świetnie przygotowana na całodziennie zwiedzanie miasta.

– Gdzie twoja broda?

– Pożegnałem ją rano i poszła w siną dal.

– To dokąd mnie zabierasz, porywaczu?

– To niespodzianka, wywozę cię do miejsca, gdzie dla nas Włochów

wszystko się zaczęło...

Błyskawicznie przejechali nieprzejezdne zazwyczaj miasto i znaleźli się na obwodnicy Rzymu. Laura z niepokojem, ale i zaciekawieniem obserwowała mijane kolejno zjazdy. Nie mogła zgadnąć celu podróży. Skoro wybrali autostradę, zapowiadał się dłuższy wyjazd. Dziwił ją jednak strój Andrei – sandały, krótkie spodenki do kolan, koszulka polo, szeroki uśmiech na twarzy i radosne spojrzenie. Dotychczas zawsze widywała go w garniturze lub eleganckich spodniach i koszuli. W dodatku z niewielką bródką. Co on kombinuje? Kobięca ciekawość zwyciężyła.

– Jesteś dzisiaj inny. To na pewno ty?

– Uwierz mi, to ciągle ja, Andrea Lituano. Nie wierzysz, dotknij...

– Całkiem sympatyczne jest to twoje drugie oblicze.

– Tylko całkiem sympatyczne? Mało! W zanadrzu mam jeszcze kilka oblicz! Wszystko w swoim czasie.

– Czekam z niecierpliwością. W dodatku już ci mówiłam, że polskie kobiety są od słuchania, a nie od prawienia komplementów. Jeszcze mi nic miłego nie powiedziałaś, tylko dopominasz się zachwyków nad sobą.

– Wyglądasz bardzo smakowicie, a Levi Strauss byłby dumny, gdyby widział, jak wiele radości daje mężczyznom jego wynalazek. Naprawdę trudno mi oderwać od ciebie wzrok, ale niestety prowadzę i w trosce o twoje piękne ciało muszę się skupić na obserwowaniu drogi. A ręce muszę trzymać na kierownicy. W takich momentach człowiek zazdrości owadom dodatkowych par rąk i oczu...

– Wystarczy, wiem, że wy Włosi jesteście mocni w gębie. – Uśmiechnęła się do niego promiennie, niemniej ze złośliwym błyskiem w oku, po czym zmieniła temat. – Myślałam, że lubisz swoją pracę, ale dziś widzę, że w wersji nieoficjalnej jesteś znacznie szczęśliwszy.

– Bo lubię ją, ale czas po pracy, a szczególnie to, co czeka nas dzisiaj, lubię bardziej. Tak, to tygryski lubią najbardziej...

– Brzmi coraz bardziej kusząco, ale właściwie co nas czeka? I dokąd jedziemy?

– Już ci mówiłem, że do źródła. W dodatku straciłaś czujność, zagadując mnie, i przegapiłaś zjazd, więc teraz nie wiesz, dokąd jedziemy.

Pokazała mu język i zrobiła obrażoną minę, odwracając się w kierunku okna w poszukiwaniu wskazówek. Po chwili jej ciekawość została zaspokojona, kierunkowskazy nie pozostawiały złudzeń. Siena, Firenze.

- Czyli uprowadzasz mnie do Toskanii?
- W rzeczy samej, przecież mówiłem, że jedziemy tam, gdzie się wszystko zaczęło. Byłaś tu kiedyś?
- Nie, ale zawsze chciałam, a od niedawna jeszcze bardziej...
- Na pewno nie będziesz rozczarowana.
- Znasz dobrze Toskanię?
- Trochę, czasami tutaj bywam. Zaczniemy od Sieny, ale to jeszcze z godzinę jazdy. Pojedziemy tam autostradą, a wrócimy drogami lokalnymi, żebyś mogła zobaczyć to, co najpiękniejsze.
- Prowadź więc na Sienę, wodzu. A po drodze opowiesz mi, jak zostałeś ministrem?

Zaskoczyła go tym pytaniem, nikt wcześniej nie zadał mu go wprost. Oczywiście miał przygotowanych wiele wersji swojego życiorysu, w zależności od oczekiwań rozmówcy. Osobom, o których wiedział, że w jego życiu będą tylko krótkim epizodem, podawał wersje zdecydowanie odbiegające od prawdy, przecież nigdy go nie sprawdzą. Zawsze jednak należało zachować ostrożność, nie powiedzieć zbyt wiele. Dla Laury wybrał wersję prawdziwą, ale z niewielką ilością konkretów. Z niedomówieniami, lecz bez przekłamań.

– Trzeba zacząć bardzo wcześnie. Najpierw zostaje się ministrantem i wtedy człowiek uczy się służyć. Potem uczy się, uczy, uczy, zdobywa wykształcenie, zaczyna pracować, pracuje, pracuje i na końcu zostaje ministrem. Takie są zasady ogólne. A! Jeszcze trzeba znać tego, kto powołuje ministra.

– A ja pytałam o twój konkretny przypadek! Dzisiaj nie uda ci się mnie tak łatwo zbyć.

– Dobrze. Mój dziadek był organistą w kościele, przychodziłem do niego codziennie rano na mszę, słuchałem, jak gra, w końcu zacząłem służyć...

– A potem pewnie poszedłeś do szkoły.

– Nie potem, przedtem...

– A gdzie była ta szkoła?

– Tu i tam. Pierwsza to była mała wiejska szkółka, taka, gdzie wszyscy się znali i gdzie siedziałem w jednej ławce z Domenikiem. Mieściła się niedaleko kościoła mojego dziadka. Potem była szkoła średnia w większym miasteczku, a potem liceum humanistyczne w dużym mieście. I cały czas z Domenikiem w jednej ławce. Ale nie patrz tak na mnie, nic więcej nas nie łączyło...

– Nic przecież nie mówię!

– Później w końcu rozstaliśmy się i ruszyłem na studia prawnicze do Rzymu. Tam spotkałem kilku fajnych ludzi. Byliśmy młodzi, pełni energii, ideałów. Chcieliśmy zmieniać świat. Odkryłem w sobie powołanie, postanowiłem zostać adwokatem i bronić innych ludzi.

– Szlachetne i dobrze płatne zajęcie. Dlaczego ci nie wyszło?

– Wyszło, jestem formalnie adwokatem. Mam potrzebne papiery, ale zarzuciłem praktykę.

– Zmienny jak kobieta...

– Nie do końca zmienny. Po studiach dzięki mojemu promotorowi zacząłem praktykę u jednego z najlepszych rzymskich adwokatów, Vincenza Canellego. To niesamowity człowiek, świetny prawnik. Nauczył mnie wszystkiego. Potem w naszej polityce nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi. Może coś słyszałaś o tym i w Polsce, akcja „Czyste ręce”, wielu ważnych polityków poszło siedzieć. Cały system partyjny upadł. Państwo potrzebowało nowych ludzi w polityce. I zapytano mojego adwokata, czy nie zechciałby zostać senatorem. Zgodził się, bo to zgodny i dobry człowiek. A potem został szefem komisji, która miała napisać nową konstytucję. Zabrał mnie do siebie do senatu i zostałem tam do dzisiaj.

– Ważna persona z ciebie, panie ministrze. Jesteś zadowolony z tego, co robisz?

– Teraz mniej. To jest tak naprawdę najwyższe stanowisko w administracji. Kierowanie molochem urzędniczym. Masa problemów z ludźmi, których trzeba czasem po prostu zwolnić, wszechobecna biurokracja, która wszystko blokuje... Wcześniej miałem swój mały cyrk. Zespół, w którym panowała niemal rodzinna atmosfera. Wspólne wypadki na wino po pracy, wyjazdy. Fajnie było...

– Widzę, że szykuje się rewolucja?

– Raczej ewolucja. A właściwie zmiana ról. Zaczynamy drugi odcinek rozmowy z ciekawym człowiekiem. Jak Laura znalazła się na targu pod pomnikiem Giordana?

Zastanawiała się, co mu powiedzieć. Istniało wiele wersji tej historii. Stypendium było wyłumaczeniem najbardziej oczywistym, ale też tak powierzchownym, że aż nieuczciwym. Chciała powiedzieć więcej, nie miała tylko pewności, jak daleko może się zapuścić w swoich opowieściach, by Andrea nie poczuł, że ma do czynienia z osobą, która zgubiła sens. Mimo że nieustannie go szukała, zmieniając ścieżki i myśląc tropy, wcale nie czuła się

zagubiona. Z każdym odkryciem coraz bardziej umacniała się w przekonaniu, że chociaż żyje według nieco innych norm niż jej znajomi, jest jej z tym dobrze.

– Przyjechałam na stypendium. Jedna z fundacji dała mi szansę, żebym przez pół roku pomagała im i jednocześnie prowadziła badania do swojej pracy doktorskiej. Zawsze chciałam pobyc tu trochę dłużej niż kilka dni jako turystka.

– A skąd w ogóle zainteresowanie Włochami?

– Miałam dwadzieścia lat, gdy przez przypadek wpadł mi w ręce swego rodzaju pamiętnik z podróży „W Alpach i za Alpami” pewnej zapomnianej polskiej pisarki. Przeczytałam go, a potem zapragnęłam zobaczyć kraj, który tak wyraziście, choć przyznaję, że i nieco manierycznie, opisywała autorka. Kilka lat później stałam w Sorrento z jej książką i czytałam opis miasteczka, które mimo upływu lat wciąż było takie jak w książce. To było mistyczne przeżycie. – Laura postanowiła nie mówić na razie o Raffaelli i skomplikowanych emocjach narosłych wokół wydarzeń sprzed lat. Nie wątpiła, że przyjąłby to ze zrozumieniem, ale nie była jeszcze gotowa, zwłaszcza że karty tej historii dopiero otwierały się na jej oczach.

– Masz dużą rodzinę? – zapytał Andrea, jakby czytając w jej myślach.

Z trudem powstrzymała się przed powiedzeniem, że tak naprawdę nie zna całej swojej rodziny.

– Raczej nie. W naszej rodzinie każdy ma siostrę lub brata, więc przy świątecznym stole spotyka się gromadka sympatyczna, acz niewielka, zaledwie kilkanaście osób. Oczywiście dalszych krewnych jest więcej, ale nie wszyscy utrzymujemy ze sobą kontakty.

– Tęsknisz za bliskimi, będąc tak daleko od domu?

– Oczywiście, że tęsknię.

– Nie masz poczucia, że coś tracisz, będąc tutaj? Oni tam pewnie właśnie jedzą babeczki twojej mamy.

– Wolę tęsknić, niż żałować, że pozwoliłam światu zostawić mnie w tyle. A poza tym chyba lubię być porywana przez sympatycznych ministrów, którzy znajdują się na sztuce i kuchni. – Uśmiechnęła się przekornie.

Wiedział, że uciekła od tematu. Nie wątpił, że mówi prawdę, zastanawiał się jednak, jak dalece jest ona dokładna. Podała wersję oficjalną czy dorzuciła coś tylko dla niego. A może właśnie z jego powodu coś obcięła. W jej historii nie pojawił się żaden mężczyzna. Czyżby nie było kogo wspominać? On

również pominął kobiety swojego życia, choć niewątpliwie było o czym mówić. Nie powiedział, że Rzym był ucieczką od świata, który kochał, a który zadał mu wielki ból. Nie powiedział, że czuje się tutaj źle. Że praca jest jego ucieczką od pustego mieszkania, które traktuje jak hotel. Że jego życie towarzyskie ogranicza się do wyjść na wino raz na dwa miesiące, a na co dzień do rozmów z kwiatami, które pozostały po Nicole. Że wybrał awans, bo miał dość pociągania za sznurki w drugim szeregu, manipulowania ludźmi i ich działaniami. Że miał dość pracy dla Antonia...

Z każdym spotkaniem coraz mocniej czuł, że zależy mu na kontakcie z tą miłą dziewczyną z dalekiej Polski. Był coraz bardziej pewny tego, że kiedyś wyjawii jej znacznie więcej szczegółów.

Giulia powiedziała ostatnio, że zmienił się na lepsze, że jest taki fajny, jak był kiedyś, gdy się poznali, że kobiety to czują. Faktycznie coś w tym było. Marta i Maria były tego przykładem. Czy zmienił się mimowolnie, gdy pojawiła się Laura? Pociągała go, ale bał się ją stracić, zanim mógłby ją zyskać. Za dużo strat już przeżył. Dlatego postępował ostrożnie, prawdę o sobie dawkował powoli, celowo przemilczał niektóre fakty.

Dzisiaj jednak robił rzecz szaloną. Bez uprzedzenia zabierał tę dziewczynę w nieznane. Ryzykował. Przypomniał sobie wiersz, który kiedyś pokazała mu Nicole, jakiegoś rosyjskiego poety, o tym, że aby kogoś naprawdę poznać, należy zaryzykować i zabrać go wysoko na szczyt w góry i obserwować jego reakcję. Zobaczyć, czy patrzy i czuje podobnie. Nie zabierał Laury na szczyt góry, ale w miejsca dla niego ważne.

Wjechał do Sieny. Zbliżało się południe, ale miasto było wyludnione, zapewne za sprawą deszczu, który padał jeszcze przed chwilą. Teraz wiatr przepędzał chmury nad Florencję i świeciło piękne słońce.

– Witam w średniowieczu. – Andrea ukłonem i ruchem ręką dopełnił zaproszenia.

– Nie wiem, czy mam odpowiednie do tej epoki odzienie?

– Właściwie powinnaś włożyć spódnicę do kostek, ale może jakoś przemknijemy niezauważeni. Chociaż przy twojej urodzie to niemożliwe...

– Dziękuję i za to. – Odpowiedziała ukłonem. – Prowadź, pójdę za tobą.

I poprowadził. Widać było, że doskonale orientuje się w mieście, nie tylko pod względem topografii, ale i jego historii. Wiódł ją siecią zaułków, zakamarków i wewnętrznych dziedzińców tworzących bajeczny labirynt otoczony wysokimi ceglanyimi budynkami w kolorze, który trafił do malarstwa

jako odrębna barwa – podpalana siena. Opowiedział Laurze historię miasta od legendarnego założenia przez syna Remusa, co potwierdzały liczne przedstawienia wilczycy, niczym w Rzymie, przez czasy etruskie, do średniowiecza, gdy toczyło z Florencją walkę o przywództwo. Wieki średnie ukształtowały Sienę taką, jaką widzieli ją dzisiaj razem.

– A teraz idziemy na kawę do najlepszej w mieście cukierni. Poczujesz, jak smakuje najlepsza kawa na świecie i pyszne ciasteczka. – Zaprosił ją do Caffé Nannini i zaserwował kilka różnych rodzajów ciasteczek. – Musisz poznać smak serca Italii.

– Przecież to są tysiące kalorii, przez tydzień ich nie spalę.

– Spokojnie, znam kilka przyjemnych sposobów na spalanie, więc jedz ciasteczka i pozwól, bym pomógł ci je spalić!

– Mógłbyś to łaskawie rozwinąć?

– Dotychczas zajmowaliśmy się tym pięknym miastem od dołu, a teraz proponuję chwile uniesień.

– Dużo się dowiedziałam. Ale po co ja w ogóle pytam? Skoro dałam się uprowadzić, to i na wspólne przyjemności powinnam się zgodzić.

Andrea wyprowadził Laurę na ulicę. Po chwili weszli na otoczony budynkami olbrzymi plac łagodnie opadający w dół, gdzie w niebo wystrzeliwała ogromna wieża. Andrea nie pozwolił Laurze na dokładne zwiedzenie placu, bo od razu pociągnął ją na dziedziniec, na którym znajdowało się wejście do wieży. Trafili idealnie, udało im się dołączyć do grupy, która już wchodziła na schody. Jeszcze nie zdołali wyregulować tętna po spacerze po płaskim terenie, a zaczęli wspinać się. Po ponad pięciuset stopniach osiągnęli w końcu szczyt. Andrea poratował Laurę wodą, gdy opuściły ją siły i stała w pobliżu dzwonu, z trudem łapiąc oddech.

– I to ma być ten przyjemny sposób pozbycia się kalorii?! Stokrotnie dziękuję, ale wypisuję się z następnych ciasteczek!

– Przyjemność dopiero przed tobą. To, co piękne, nie przychodzi łatwo. Wypij łyk wody, policz do dziesięciu i spójrz w dół. Pod twoimi stopami najpiękniejsze miasto Włoch.

Miał rację. Daleko pod nimi rozpościerała się płatanina wąskich uliczek. Odnosiło się wrażenie, jakby patrzyło się na ogromny plan miasta w jakiejś starodawnej księdze. Ale to nie był plan, lecz prawdziwe miasto przeniesione w całości do czasów współczesnych. Cienkie linie uliczek dochodziły do grubszych kresek, do trzech szerokich ulic, a te zbiegały się w jednym miejscu.

Andrea wyjaśnił, że właśnie stoją na szczycie Torre del Mangia, a pod nimi znajduje się il Campo, wspaniały plac z czasów średniowiecza, serce miasta, serce świata, który przeminął. Plac o kształcie wachlarza albo gigantycznej muszli. Plac jak olbrzymi amfiteatr, monumentalna scena, na której rozgrywała się historia miasta.

Dopiero z tej wysokości widać było, że czerwień placu dzieli na równe części kilka białych linii. Pozostałość po czasach, gdy rodziła się demokracja i plac podzielono na dziewięć równych części, aby każdą z nich oddać we władanie jednemu z członków rady miejskiej i zapobiec wewnętrznym walkom, gdy wróg czekał za murami miasta... Andrea opowiadał zasłuchanej Laurze o tym, jak dwa miasta spierały się o przywództwo nie tylko politycznie, ale i zbrojnie, jak, pustosząc kasę miejską, toczyły nieustanną wojnę. Wojnę, w której wszelkie chwytaki były dozwolone, włącznie z użyciem broni biologicznej, czyli zatrutowaniem źródeł wody w mieście przeciwnika. Niestety, Siena była skazana na przegraną. Po średniowiecznej Sienie nastął czas renesansowej Florencji. Na szczęście zwycięzcom wystarczała satysfakcja moralna i nie zniszczyli wspaniałości poprzedniej epoki, dzięki czemu możemy teraz stać na wieży i je podziwiać.

– Warto było się trochę pomęczyć – powiedziała z radością w oczach Laura.
– Chociaż w połowie schodów myślałam, że umrę. Widok jest niesamowity!

– Obiecałem przyjemności, a w tej kwestii zawsze dotrzymuję słowa. Plac będzie wyglądać naprawdę niezwykle drugiego lipca i szesnastego sierpnia. Wtedy odbywa się tu najważniejsze wydarzenie w mieście, konny wyścig Palio. Wyobraź sobie konie pędzące po tym ceglany dziedzińcu wśród powiewających flag, z jeźdźcami siedzącymi na oklep. Ludzie czekają na to cały rok.

– Przemyślę. Może dam się zaprosić...
– Pomyśl, pomyśl. Naprawdę warto. No, to czas na pozostałe niespodzianki!
– Widzę jeszcze kilka wysokich budynków...
– Owszem, mam jednak niespodziankę innego typu. Wydaje mi się, że dzisiaj jest twoje święto. Lauro, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. A to mała próbka pracy mistrzów sienneńskich, wszak to miasto należało do rzemieślników. – Wręczył zaskoczonej Laurze niewielki pakunek i delikatnie pocałował ją w policzek.

– Skąd wiedziałeś?
– A tu masz drugi prezent. – Podał małą kopertę. – To nieco wyjaśni.

Laura rozpakowała pierwszą paczuszkę, był w niej szklany wisiołek, przezroczysta łożka, w której tańczyły radosne smugi w kolorze błękitu i złota. Od razu zapięła rzemyk na szyi i nakryła szkiełko dłonią.

– Dziękuję, jest śliczny. – Odwzajemniła pocałunek w policzek. – Pasuje mi do oczu i włosów.

– Wiem. – Uśmiechnął się, delikatnie przesuwając kroplę na środek jej dekoltu.

– A ten drugi wygląda jak karta kredytowa. – Laura badała z uśmiechem kopertę, zanim ją otworzyła. – O, moje prawo jazdy, zupełnie zapomniałam, że nie oddałeś mi go wtedy w parku. I twoja wizytówka. Dziękuję za numer telefonu. Rozumiem, że mam skorzystać z niego tylko w ostateczności.

– Dzwon, gdy tylko będziesz w potrzebie! Każdej potrzebie...

– Kiedyś skorzystam.

– A teraz, panno Lauro, pora spadać na dół. Nasz czas na górze był limitowany i właśnie dobiegł końca. Teraz proponuję spotkanie z tym, co widziałas z góry.

Newton miał rację z grawitacją, w dół naprawdę jest łatwiej. Szybko pokonali sto metrów i znaleźli się przy wyjściu. Zwiedzili wewnętrzny dziedziniec Palazzo Pubblico i wyszli na plac. Po krótkim spacerze stanęli przed wspaniałą katedrą, której fasadę ozdobili co prawda dwiętnastowieczni mistrzowie z Wenecji, ale kształt pozostał niezmienny od trzynastego wieku.

Potem poszli do muzeum katedralnego, by zachwycić się najwspanialszym przykładem malarstwa średniowiecza, Maestà Duccia. Jakże inne było to dzieło od tych, którymi zachwycali się w Rzymie. Stworzone, by ludziom w innej epoce ukazać wielkość Boga. Na jednej wielkiej ilustracji i ponad pięćdziesięciu małych mistrz przedstawił historię świata i jego świętych. Smutno wyglądało kilka pustych ram po obrazach, które ktoś nierozważnie sprzedał bogatym kolekcjonerom z oceanu, ze świata, który, gdy dzieło powstawało, zamieszkały był przez bizona i polujących na nie myśliwych, niemających pojęcia, że kiedyś zostaną nazwani Indianami.

Z muzeum weszli bezpośrednio na kolejną wysoką budowlę, jedyną ścianę, jaka została z nowej nawy katedry. Miała być częścią największego kościoła na świecie, przypieczętowaniem dominacji Sieny, jednak po raz kolejny okazało się, że człowiek nie powinien wywyższać się ponad miarę.

Ostatnim etapem ich wędrówki była Santa Maria della Scala, dzisiaj

wspaniałe muzeum, a przez dziewięć wieków szpital dla ubogich. Wtedy oczy Laury powiedziały dość.

– Zwiedzanie ma swoje granice i nie wszystko naraz – wyznała otwarcie.

–W porządku, ponieważ spaliłaś poranne kalorie, a nawet trochę więcej, to teraz zabieram cię na prawdziwy tokański obiad.

– Zgadzasz się z tobą w pełni, jestem już nieco głodna i zmachana. A daleko jeszcze?

– Tylko do samochodu, trochę widoczków i będziemy na miejscu.

Ruszyli w kierunku samochodu, po drodze wstępując do kawiarni na kawę przy barze. Andrea wykorzystał postój na dyskretne wysłanie esemesa. Tym razem nie wrócili na autostradę, lecz pojechali lokalną drogą. Laura mogła dzięki temu rozkoszować się widokami tokańskich pagórków. Milczała wpatrzona w dal, cały czas bawiąc się szklanym wisiorkiem.

– Myślałam, że jedziemy do tego miasteczka na wzgórzu – zainteresowała się, gdy skręcił w jeszcze bardziej lokalną drogę, a miasteczko zniknęło z oczu.

– Tam też dotrzemy, podają tam dobre wino. A teraz prawdziwe jedzenie.

– Już zaczęłam się bać, że wywieziesz mnie do lasu i wykorzystasz podstępnie...

– Nie bój się. Tu nie ma lasów, są tylko gaje i winnice.

Faktycznie znaleźli się w miejscu, które stanowiło kwintesencję Toskanii. Kręta droga prowadziła między malowniczymi pagórkami, na których od południowej strony rosły ustawione w równych rzędach drzewa oliwne lub krzewy winorośli. Od północy, gdzie słońca było mniej, zieleń się zubożyła. Na dole zaś wylegiwało się leniwie bydło. Tylko ludzi nie było widać. Co prawda widzieli kilka domków na szczytach wzgórz ukrytych w cieniu wyniosłych pini lub otoczonych szpalerami cyprysów dających cień, ale z kominów nie unosiła się nawet cienka strużka dymu. Chyba wszyscy mieszkańcy, jeśli tacy tu byli, zapadli w popołudniowy sen, by przeczekać słońce. Andrea wjechał w szpaler cyprysów, który wyznaczał drogę i początkowo łagodnie wspinał się w górę.

– Tu naprawdę jest pięknie.

– A już się bałam, że zechcesz być oryginalna. Nie ma sensu.

– To miejsce kojarzy mi się z ukrytą przed wzrokiem ciekawskich krainą, w której mieszkają miłujące pokój i wygodę sympatyczne niziołki. Małe, acz komfortowe norki, a wokół wszechogarniająca zieleń i pagórki zamykające

przestrzeń tak, by nie straciła bezpiecznego uroku.

– Rzeczywiście, życie tutaj wygląda podobnie. Lubimy dobrze i dużo zjeść, popić dobrym trunkiem, zapatrzyć się na piękno otaczającego nas świata. Tylko ziela fajkowego nie palimy i nie mamy owłosionych stóp.

– A szkoda – powiedziała Laura i się zaśmiała. – Kudłate jest miłutkie...

Zatrzymali się przed domem, więc rozmowa musiała poczekać. Andrea zaparkował i wysiadł z samochodu, by otworzyć drzwi Laurze.

– Jesteśmy na miejscu. Domek, w którym zjemy, nazywany jest białym albo wichrowym. Zresztą wkrótce sama zobaczysz dlaczego.

Budynek był olbrzymi, piętrowy i nietypowo otynkowany na biało, otoczony dużą ilością drzew.

– Dziwna ta restauracja, nie ma żadnego szyldu, żadnych reklam po drodze...

– To, co dobre, nie potrzebuje reklamy. To jest jadłodajnia tylko dla wtajemniczonych, dla specjalnych gości.

Dalszą rozmowę przerwało włączenie się do akcji rozszczękanego psa i krzyki dwóch chłopców.

– Wujek, jest już wujek z panią!

– Gdzie ty mnie przywiozłeś?

– Na porządny obiad do swojego domu...

Nie było czasu na wyjaśnienia, gdyż do bratanków Andrei dołączyli niczym komitet powitalny jego ojciec i brat, za nimi zaś kroczył zaciekawiony kot. Dzieciaki z zainteresowaniem obserwowwały nowego gościa, szepcząc coś do siebie na ucho. Wszystkich zaskoczył kot, który podszedł do Laury i zaczął się ocierać o jej nogi.

– Przywożę wam głodnego gościa z dalekiego kraju. To jest Laura prosto z Polski i ostrzegam, że mówi doskonale po włosku, więc ostrożnie z komentarzami.

– Komentarze mogą być tylko pochlebne. Jestem Giuseppe, ojciec tego nicponia. Pewnie przywiózł cię tu bez uprzedzenia. Zawsze tak robił i mimo siwej głowy nie wyrósł z tego. Zapraszam do środka.

– A ja jestem Giordano. Jak widzisz, młodszy brat, te dwa urwisy to połowa z mojego potomstwa, tego legalnego oczywiście. – Puścił oko do Laury, podając jej rękę. – Marco, Matteo, przywitajcie się. Jesteście proste chłopaki ze wsi, ale trochę kultury macie.

– Dzień dobry pani, czekamy od rana, już naszykowaliśmy drewna na ruszt...

– Przepraszam za zamieszanie, ale nic nie wiedziałam o przyjeździe.

Zostałam właściwie uprowadzona. Ale widzę, że wszyscy poza mną byli wtajemniczeni w spisek. – Laura próbowała się uśmiechnąć.

– Nie wszyscy. – Giuseppe podszedł do Laury i pocałował ją w rękę. – Mama Andrei o niczym nie wie. Gdyby wiedziała, to z nerwów dostałaby wczoraj zawału. A tak dowie się dopiero teraz...

Orszak ruszył w kierunku wejścia do domu, na czele dzieciaki, dziwnie grzeczne, za nimi Laura z kotem na rękach, obok Andrei, którego nie opuszczał pies, z tyłu zaś powoli, wspierając się na lasce, głowa rodu. Musieli obejść budynek dookoła, gdyż wejście znajdowało się dokładnie po przeciwnej stronie od miejsca, w którym zaparkowali samochód. Laura mogła więc dokładnie przyjrzeć się ojcowiźnie Andrei.

Dom wkomponowany był w naturalne nachylenie terenu, częściowo wkopany w zbocze. Dolna część zbudowana była z dużych ciosanych kamieni, prawdopodobnie z któregoś z okolicznych kamieniołomów. Sądząc po głębokości osadzenia niewielkich okien, ściany były w tym miejscu wyjątkowo grube. Nad kamienną częścią znajdowały się dwa poziomy mieszkalne. Ta część pokryta była idealnie gładkim i białym tynkiem. Tak więc faktycznie był to biały dom. Okna były tutaj większe i zaopatrzone w ciężkie drewniane okiennice w kolorze ceglonym. Po wysypanej żwirem ścieżce zeszli nieco niżej i okazało się, że dom od tej strony ma trzy poziomy, bo piwnica była całkowicie odsłonięta. Tutaj do budynku doklejona była nowsza część, rodzaj werandy, przez którą wchodziło się do środka. Dach werandy stanowił jednocześnie taras, zapewne z wyjściem z salonu.

Całe otoczenie było bardzo zadbane. Na Laurze największe wrażenie zrobiły niewielkie rabaty schodzące kaskadowo w dół, zabezpieczone kamiennymi murkami. Dochodził z nich cudowny zapach ziół. Ojciec Andrei, widząc zainteresowanie gościa, szybko wyjaśnił, że to są właśnie zapachy Toskanii – tymianek, rozmaryn i szalwia.

Tutaj też Laura zrozumiała, skąd wzięła się druga nazwa domu – wichrowy. W tym miejscu przenikliwie wiało, mimo że na drzewie wawrzynu nie poruszał się żaden liść. Andrea szepnął jej na ucho, że ten wiatr wieje z samego nieba, by dać ludziom nieco ochłody i że czują go tylko ci, którzy są dobrzy i prawi.

Na czoło pochodu wybiegł Cesare i radosnym szczekaniem obwieścił przybycie gości. Jak echo odpowiedział mu z oddali mocny i basowy głos Lupusa zapowiadający silnego i mądrego psa wartownika.

We wnętrzu domu objął ich przyjemny chłód. Grubość murów robiła swoje, stanowiła najzdrowszą klimatyzację. Z dużego przedpokoju wąskie schody prowadziły na górę, gdzie znajdowały się drzwi do kilku pomieszczeń. Jedne z nich były otwarte i pokazywały wnętrze kuchni, z której dobiegał gwar, rozmowy nie przerwało nawet wejście gości. Przy olbrzymim kuchennym stole siedziały trzy pokolenia kobiet rodziny Lituano i lepiły pierożki. Sztuka przekazywana z pokolenia na pokolenie. Sprawne ręce babci błyskawicznie, niczym automat, nakładały farsz do wnętrza niewielkich tortellini i w okamgnieniu zawijały ciasto. Dorównywały im palce córki i synowej, w rezultacie prawie cała powierzchnia stołu pokryta była ich urobkiem. W końcu stołu, męcząc się przeokrutnie, w swoich niewielkich paluszkach próbowały stworzyć własne dzieła dwie kilkuletnie dziewczynki.

– Dzień dobry paniom, dobrze trafiliśmy, bo jesteśmy bardzo głodni. Przywiozłem na obiad zbląkaną wędrowniczkę z Polski. Czy dostanie kilka pierożków? – Andrea podszedł do mamy i ucałował ją w czoło.

– Kto? Co? – Mama Andrei istotnie była na granicy zawału. – Znów nic nie powiedziałaś. Nie jestem przygotowana. Na obiad na razie ugotowałam tylko flaki, jak chciałeś...

– Dzień dobry, ja też jestem zaskoczona. Andrea mnie nie uprzedził. – Laura próbowała zachować spokój. – Przepraszam za zamieszanie.

– Dziecko, to nie twoja wina. Zawsze lubił robić takie niespodzianki. Gdy był na studiach, co dwa tygodnie na sobotę kogoś przywoził. Wtedy byłam zawsze przygotowana, ale myślałam, że z tego wyrósł. Dawno nikogo nie przywoził bez zapowiedzi. Widać, że się już nie zmieni, jak ojciec. – Mama Andrei tylko machnęła ręką i wstała, by wytrzeć obie dłonie w ścierkę. – Ugotowałybyśmy coś dobrego, a on kazał zrobić flaki. Flaki dla gościa...

– Ale ja bardzo lubię flaki. Znamy je w Polsce...

Andrea wkroczył do akcji.

– Mamo, to jest Laura, moja znajoma z Polski. Przyjechała do Włoch służbowo, bo pisze pracę naukową o naszym pięknym kraju. Postanowiłem zrobić jej niespodziankę i pokazać trochę prawdziwych Włoch. Dlatego cię nie uprzedziłem. A to jest Maria, moja najmłodsza siostra, jedyna zresztą. To jej córeczka Oriana. To moja bratowa Lucia i jej najmłodsze potomstwo, czyli Agnese.

– Usiądź z nami do lepienia tortellini. – Maria ruchem ręki zaprosiła Laurę do stołu.

– Nie, dziecko – zaprotestowała mama Andrei – odpocznij sobie. My tu dokończymy...

– Babciu, wujek obiecał, że zrobimy steki. Już wyczyściliśmy ruszt – odezwał się Matteo.

– Ale przecież nie naszykowałam mięsa. – Starsza pani wyraźnie nie dawała za wygraną.

– Podjadę do rzeźnika i odbiorę. Wszystko jest zamówione, niczym się nie przejmuj – wyjaśnił Andrea. – A Laurą zajmie się Luca.

– Tak, widzę, że jestem tu niepotrzebna...

– Mamo, jesteś potrzebna, jesteś. A gdzie Luca?

– Jestem tu, stryju. Dzień dobry.

W drzwiach stał młodzieniec, który wyglądał jak wspomnienie Andrei sprzed trzydziestu lat. Wysoki, o podobnych rysach twarzy, czarnych włosach, przenikliwym spojrzeniu i czarującym uśmiechu. Stanowił zapewne obiekt westchnień wszystkich swoich rówieśniczek.

– Dzień dobry, stryj poprosił, bym się panią zaopiekował. – Wyciągnął rękę do Laury. – Zaprowadzę panią do pokoju.

Laura podążyła za Lucą na najwyższe piętro. W pokoju czekali młodsi bracia Luki, wyraźnie nią zaciekawieni. Przez okno zobaczyła odjeżdżającego Andree.

– Wie pani, zawsze bardzo chciałem pojechać do Polski i jadę po wakacjach na dwa tygodnie.

– Na wycieczkę?

– On jedzie na pielgrzymkę, wujek zapłacił. Bo Luca tak jak wujek chce być księdzem... – odpowiedzi udzielił uczynny młodszy brat.

– Macie wujka księdza?

– Nie, to wujek Andrea miał być księdzem, ale nie został, bo chciał się ożenić. Tylko ta dziewczyna, którą kochał, umarła. To była siostra wujka Domenica, tego księdza. Mieszkała tu blisko. A teraz wujek pojechał do niej na cmentarz. Zawsze tam jeździ, do niej i do dziadka. A potem wujek wyjechał do Rzymu i się ożenił. Ale ta żona wyjechała. I teraz wujek przyjeżdża sam. Ale dziś przyjechał z panią. Czy pani wyjdzie za mąż za wujka? – Marco i Matteo zasypali Laurę masą informacji, których się nie spodziewała. W ten sposób dzięki dzieciom poznała wiele sekretów tajemniczego Andrei...

– Wynoście się stąd, natychmiast. Nie można opowiadać o innych. – Luca wyrzucił rodzeństwo za drzwi. – Przepraszam za nich.

– Nie szkodzi. Znam waszego wujka od niedawna, pomaga mi w zdobywaniu materiałów do mojej pracy. Czyli jedziesz do Polski?

– To prezent od wujka na urodziny. Jadę na wycieczkę po wszystkich sanktuariach maryjnych w Polsce...

– Dwa tygodnie nie wystarczą na wszystkie. Gdzie dokładnie będziesz?

Wzięła program pielgrzymki do ręki i uważnie studiowała. Wiedziała, że musi dobrze wypaść. Luca wyglądał na bardzo inteligentnego chłopaka i na pewno znalazł już wiele informacji w internecie, nie chciała się powtarzać. Poza tym spodziewała się, że bratanek opowie Andrei, czego się dowiedział od Laury, tym bardziej więc musiała się postarać. Tak pochłono ją opowiadanie o Polsce, że nie słyszała, kiedy wrócił Andrea, pojawili się też nowi goście.

Rozmowę przerwali niezastąpieni bracia Luki. Tym razem towarzyszył im trzeci urwis, który zza ich pleców obserwował Laurę.

– A ciebie, kawalerze, jeszcze nie znam. – Wyciągnęła rękę do chłopczyka.

– Dzień dobry, mam na imię Andrea, tak jak mój padrino. Moja mama ma na imię Maria i jest siostrą wujka Andrei. Babcia prosi na obiad, ale jest bardzo zdenerwowana, bo nie wie, czy będzie pani smakowało. – Kolejny chrześniak Andrei okazał się równie rozmowny i otwarty jak reszta rodziny.

– Na pewno będzie smakowało, bo babcia gotuje najlepiej na świecie.

Wychwalając kuchnię babci, sprowadzili Laurę do jadalni. Był to duży pokój połączony szerokimi podwójnymi drzwiami z kuchnią. Centralne miejsce zajmował olbrzymi drewniany stół, dookoła stało kilkanaście krzeseł. Nad stołem wisiał ciężki kuty żyrandol, na ścianach – dwa obrazy ze świętymi i jakiś kościół. Wszystkie meble i przedmioty w jadalni wyglądały na stare, ale widać było, że wciąż służyły gospodarzom. Tak jak ich przodkom. Nawet leżący za szybą stary korkociąg, dziadek do orzechów i mała praska do oliwek. Ten dom żył. Sprawne oko Laury odkryło, że w rogu żyją pająki, kurz też znalazł tu swoje miejsce, a białe ściany stanowiły dla dzieci idealne miejsce do pierwszych zajęć z malarstwa jaskiniowego. Na zimnej podłodze wylegiwał się pies. Kotka wybrała kuchnię.

– Usiądź tutaj obok mnie. – Ojciec Andrei wskazał Laurze miejsce po swojej prawej stronie. – Może przy okazji i ja dostanę lepszą porcję.

– Słyszałam, że pana żona świetnie gotuje.

– Gotuje, ale nie pozwala mi jeść. Widzisz, jak schudłem! Babcia wylicza mi kalorie, chce, żebym został królikiem. Nie daje mi już mięsa, ale dzisiaj przy

gościu nie będzie na mnie krzyżeć. A przed obiadem na dobry apetyt spróbuj mojego napoju z winogron. – Mrugnął porozumiewawczo i wyciągnął spod stołu ciemną butelkę.

– Babciu, babciu, dziadek częstuje panią alkoholem... – dzieciaki oznajmiły wszystkim kolejną wiadomość.

– Nie mówcie babci, bo nie dam wam więcej lirów.

– Dziadku, lirów już nie ma, daj nam euro!

– Dam wam kijem. Powiedzcie babci, że czekamy na jedzenie. Pani jest głodna. – A do Laury po cichu dodał: – To wypijmy na zdrowie.

Ojciec Andrei zobaczył, że wzrok Laury błądzi po drewnianych splotach na stole.

– To stół mojego dziadka, sam go zrobił. Był stolarzem i robił meble do kościołów, nie tylko tutejszych, ale nawet w Sienie. Kiedyś jakiś ksiądz chciał, żeby dziadek zrobił coś do Florencji. Ale dziadek nie zrobił. Nie lubił tamtych. Podobny stół dziadek robił dla jakiegoś biskupa, a ponieważ zostało mu trochę drewna, to drugi wykonał dla siebie. To jest prawdziwe drewno, nie jakieś malowane. Drzewo oliwne, orzech i cedr. Widzisz, stół ma ponad sto lat, a jak wygląda.

– Jest naprawdę piękny i bardzo duży.

– Zawsze nas Lituano było dużo w domu. Przy tym stole jest dwadzieścia miejsc i czasem nie wystarcza dla wszystkich. Ale dla ciebie się znajdzie...

Stuknęli się kieliszkami. Wypił do dna jednym łykiem, Laura nie chciała być gorsza. Napój okazał się grappą własnej produkcji, wyjątkowo mocną. Próbowała się uśmiechnąć, chociaż miała wrażenie, że procenty wypalają jej dziurę w przełyku. Trzymała się dzielnie i wydmuchała fachowo powietrze po wypiciu. Nauczył ją tego przed laty Algirdas, zwany przez wszystkich Olgierdem, kolega ze studiów, któremu wpadła w oko. Kiedy pokazywał jej, jak korzystać z życia, nie sądziła, że jego nauki przydadzą się wiele lat później, gdy będzie gotowa z nich skorzystać.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kobiet i Luki. Wnosili przygotowane naprędce przystawki. Bruschetty z pomidorami na słynnym tokańskim chlebie, posypane ziołami wprost z przydomowego ogródka. Cudowny aromat wypełnił całą jadalnię. Do tego półmisek z szynką, mortadellą, bekonem i salami, na drugim plastry surowej cielęciny z gorgonzolą i prażonymi pistacjami z octem balsamicznym. Siostra Andrei doniosła zapiekane bakłazany z sosem pomidorowym, parmezanem i mozzarellą. Laura myślała, że

to cały obiad, a to wciąż były przystawki.

Rodzina zasiadła przy stole, a po chwili przyszedł Andrea z bratem. Towarzyszył im młody mężczyzna i podobny do niego kilkunastoletni chłopak.

– Jestem Marco, zięć w tej rodzinie. – Pocałował Laurę w policzek.

Bił od niego tak silny zapach perfum, że Laurę zakręciło w nosie, mało nie kichnęła. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i podobne spodnie. Reszty dopełniały delikatne wypielęgnowane dłonie i mocno nażelowane włosy. Z daleka było widać, że to nie ciężka praca wypełnia jego życie.

– Miło mi, Laura, niespodziewany gość w tej rodzinie. – Skierowała spojrzenie na chłopca. – A ty jesteś?

– Mam na imię Carlo – speszony poszedł na koniec stołu, gdzie siedziała reszta dzieciaków.

– To jeszcze nie cała rodzina – wyjaśnił Giuseppe. – Brakuje najstarszego syna z rodziną, może wieczorem zajrzy. Drugi w kolejności jest Andrea, potem Giordano z żoną Lucią i dziećmi Luca, Matteo, Marco i Agnese. A najmłodsza to Maria z mężem Marco, ich dzieci to Carlo, Andrea i Oriana. To moja żona, babcia Maria, a ja jestem Giuseppe. To znasz już wszystkich. Wieczorem cię przepytam.

– Nie przejmuj się dziadkiem, spytaj o wiek wnuków, a nie odpowie – wtrąciła babcia.

– A jeszcze pies Cesare i kotka – dodała Agnese. – Ale ona nie ma imienia. One też tu są.

– Gdy przyjedzie Andrea, nie można ich z domu wypędzić – poskarżyła się babcia. – Nie pozwala.

Zwierzaki podniosły głowy, jakby rozumiały, że o nich mowa.

– Postaram się zapamiętać.

– Zapamiętasz po jedzeniu. – Andrea przypomniał wszystkim, po co zasiedli przy stole. – Teraz jemy i pijemy.

Była zaskoczona, że nie usiadł obok niej. Zajął miejsce przy chłopcach i zajął się rozmową z nimi. Laurę oddał swojemu tacie i Luce. Obaj zasypywali ją pytaniami. Musiała opowiedzieć historię swojej rodziny, swoją historię i terażniejszość. Ponieważ pan domu dbał, by jej kieliszek za długo nie pozostawał pusty, a ona była spragniona, szybko rozwiązał jej się język. Pochłonięta rozmową, nie zauważyła, gdy na stole pojawiła się waza z flakami. Okazało się, że nie ma to prawie nic wspólnego z potrawą znaną jej z ojczyzny. Przypominały raczej gęsty sos pomidorowy o subtelnym zapachu

białego wina, w którym wyczuła mięso wołowe, szynkę i parmezan. Smakowały wyśmienicie.

Po obiedzie nie miała siły wstać od stołu. Dużo zjadła i wypła, dało o sobie znać także zmęczenie po podróży. Z radością przyjęła informację, że nastął czas poobiedniej sjesty i powinna się zdrzemnąć. Tym razem do pokoju odprowadził ją Andrea. Obiecał pobudkę, gdy pod rusztem będzie odpowiednia temperatura do smażenia bistecca alla fiorentina, i szybko wyszedł.

Gdy została sama, zaczęła się zastanawiać, gdzie jest i co właściwie tu robi. Andrea, jakiego znała, wyglądał na statecznego i poukładanego wysokiego urzędnika państwowego z Rzymu, a nie na kogoś, kto bez zapowiedzi potrafi porwać kobietę i zawieźć do swojego domu w Toskanii. Dotychczas porywał ją jedynie do kościołów, galerii i muzeów. Chociaż ten błysk w oku i uśmiech w kącikach ust... Niewątpliwie to był inny Andrea, domowy, zwariowany i zarazem wyciszony. Chyba ten prawdziwy. Przywiózł ją tutaj, przedstawił swojej rodzinie, a potem właściwie opuścił, z rzadka tylko posyłając jakieś spojrzenie w jej stronę.

Nie bawiła się źle, czuła się doskonale wśród jego bliskich, ale brakowało jej jego osoby. Wiedziała, że tutaj nie będą mieli czasu, by rozmawiać na tematy, które były im bliskie w Rzymie, nie oczekiwała zresztą tego, dostrzegając odmienność miejsca, miała jednak nadzieję, że będzie przy niej, gdy ona odda duszę tej krainie.

Korzystając z chwili samotności, obejrzała dokładnie pokój. W przeciwieństwie do kuchni czy jadalni urządzone go bardzo nowocześnie. Połączenie małej sypialni z pracownią. A może była to czyjaś pracownia z miejscem do odpoczynku? W rogu stało łóżko w prostej ramie z jasnego drewna, obok olbrzymi stół z ruchomym blatem jak z pracowni kreślarskich, pod częścią stołu specjalna szafka z płaskimi szufladami – zapewne na dzieła, które powstawały na stole. Dalej regał z książkami w kilku językach, głównie francuskim, wszystkie na temat rysunku. Z pokoju prowadziło bezpośrednie wejście do niewielkiej łazienki. Artysta, który zajmował kiedyś ten pokój, miał zapewnione wszystkie wygody. Na ścianach wisiało kilka niewielkich grafik.

Laura siadła na brzegu łóżka i pytanie, co ja tutaj robię, znów powróciło. Dzięki bratankom Andrei dowiedziała się, że chciał być księdzem, że jest żonaty, ale jego żona gdzieś wyjechała. Teraz przywiózł ją do swojego domu

i przedstawił całej rodzinie... Dalsze rozmyślania przerwał sen. Zmęczenie i grappa zrobiły swoje. Nie wiedząc kiedy, opadła na łóżko i twardo zasnęła.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Do środka zajrzał Luca.

– Pani Lauro, dziadek zaprasza na dół na kolację.

– Na kolację? Przecież dopiero był obiad!

– Spała pani ponad cztery godziny, jest już wieczór.

– Niemożliwe...

Gdy po chwili wyszła z pokoju, na korytarzu czekały na nią Oriana i Agnese. Zaprowadziły ją na miejsce. Dom opuściły innym wyjściem, przez taras do ogrodu. Za drzewkami owocowymi w cieniu wielkiej sosny znajdowała się altana. Przy olbrzymim palenisku kręciło się kilka osób – wśród nich dostrzegła Andreę. Niewielka grupa siedziała na ławach przy zbitym z desek stole.

– O, jesteś śpiochu. – Andrea powitał Laurę z uśmiechem. – Bałem się, że napój taty zupełnie cię powalił. A to ostatni moment na steki, już doszły.

– Przepraszam, ale spało mi się jak w domu.

– To dobrze, moje dziecko – włączyła się mama Andrei. – Ale z dziadkiem nie pij więcej.

– Teraz spróbujesz czegoś innego. Siadaj obok mnie. – Tata Andrei wskazał miejsce obok siebie. – Do mięsa będzie prawdziwe tokańskie wino – mówiąc to, wskazał na kilka pękatych butelek owiniętych w słomiane koszyczki.

Laura siadła na wskazanym przez głowę rodu miejscu i dopiero teraz zobaczyła, że stół zastawiony jest jak na wielką ucztę. Były kolejne przystawki, ciasta, a także dużo owoców, w tym jej ulubione melony. Pojawiły się nowe osoby. Szybko została przedstawiona Paolo oraz jego narzeczonej, a także młodszej siostrze Cecylii. Nie zdążyła jednak z nimi porozmawiać, gdyż Andrea wziął ją za rękę i zaprowadził do rusztu w altanie.

– Z mojego rodzeństwa nie znasz jeszcze najstarszego. Pozwól, to jest Silvio. Pierworodny.

– Miło mi, jesteś trzecią Laurą z Polski, którą poznałem. – Brat Andrei mocno uścisnął jej rękę. – Ale jesteś od nich ładniejsza.

– Dziękuję. Imię Laura nie jest w Polsce bardzo popularne, gdzie poznałeś moje imienniczki?

– Pracowały ze mną. To studentki, które dorabiały na wakacjach. Pewnie już poznałaś wszystkich Lituano? I tak nie zapamiętasz całej naszej rodziny. Żonie Giovanniego ja i Andrea myliliśmy się kilka miesięcy! Tacy jesteśmy

podobni...

Laura przyjrzała się im obu dokładnie. Podobni? Silvio jako jedyny z rodziny nie mógł pochwalić się bujnym owłosieniem. Był niemal łysy, nieco niższy od Andrei i miał okazały brzuszek. Wyglądał dużo starzej od brata, miał spracowane dłonie, które wskazywały, że zarabiał na życie ciężką pracą fizyczną.

Miała nadzieję, że zapamięta trzy pokolenia rodziny Lituano – rodziców, trzech synów i córkę oraz ich dziewięcioro dzieci. Teraz próbowała przypisać wszystkim właściwe imiona. Senior właśnie zbliżył się do rusztu wraz z dużym psem, zwabił ich zapewne niesamowity zapach mięsa. Na wszelki wypadek Laura delikatnie się przesunęła, zasłaniając się przed zwierzęciem Andrea. Lubiła wszelkie stworzenia, ale ten pies był naprawdę duży.

– Nie bój się, to Lupus, strażnik posiadłości. Straszy wielkością, ale jest bardzo łagodny. – Pies chyba zrozumiał, o czym jest mowa, bo polizał rękę Laury, a następnie wsunął pod nią swój wielki łeb w oczekiwaniu na pieszczoty. – Jego też musisz poznać. Przecież sama mówiłaś niedawno, że kudłate jest milutkie.

Zauważyła błysk w oku Andrei. Miał świetną pamięć i lubił wykorzystywać ją przeciwko swoim ofiarom. Musiała jednak przyznać, że robił to z wdziękiem, więc nie sposób było gniewać się na niego za te drobne złośliwości.

– Zabierz psa od mięsa. – Do akcji wkroczyła mama Andrei. – Widzisz, że pani się boi. No tak, kot jest na stole przy dziewczynkach, a Cesare objada chłopców.

– Nie boję się Lupusa, trochę mnie tylko zaskoczył. – Laura pogłaskała psa po zarośniętym łbie. – To bardzo sympatyczne stworzenie.

– Widzisz matka, pani Laura zna się na charakterach.

– Wiem, że to dobry pies, bo go znam od małego. Przywieźli go Andrea z Nicole... Czy mięso nie jest już dobre?

Laura zaczęła szybko łączyć strzępy informacji. To pewnie Nicole była tą żoną, o której wyjeździe wspominali chłopcy. Przed pojawieniem się tutaj Laura wiedziała tylko tyle, że w życiu Andrei jest jakaś kobieta, która włożyła mu obrączkę na palec. Nigdy o niej nie wspominał, a ponieważ ich spotkania nie wykraczały poza rozmowy o sztuce i jedzeniu, nie miała odwagi zadawać mu pytań dotyczących jego prywatności. Chciała wiedzieć więcej, ale czuła, że osobowość Andrei, która tak jej się podobała, wymagała tej niewiedzy.

Dalsze rozmyślania i rozmarzenia przerwał Giuseppe.

- Bo widzisz, dziecko, w befsztykach najważniejszy jest węgiel.
- Myślałam, że odpowiednie mięso...
- Mięso też. Najlepiej z naszych byczków, toskańskich, a nie amerykańskich.
- Spojrzenie padło na najmłodszego z synów. – Ale widzisz, jak położysz na zbyt ciepły albo zbyt zimny ogień, to nic z niego nie wyjdzie. Duże kawałki drewna zapalamy na ruszcie z godzinę wcześniej i spokojnie czekamy, aż się opalą. Kiedy znikną płomienie, a drewno pokryje się białym popiołem, to znak, że można kłaść mięso. Bo widzisz, mięso musi być bardzo grube, na dwa palce. Trzeba je wcześniej zamarynować w oliwie i ziołach. I jak już się zrobi ten biały węgiel, to kładziemy mięso. Wtedy żar szybko zapieka mięso od dołu i nie wypływają z niego soki. Wypijamy powoli kieliszek wina i przekładamy mięso na drugą stronę. Wypijamy powoli drugi kieliszek wina i mięso jest gotowe. Tak jak teraz... Siadaj, dziecko, obok mnie przy stole, poczekamy, aż nas nakarmią, a ja cię napoję domowym winem.
- Dziękuję, ale dziś wypiałam już swoją normę.
- Musisz poczuć smak mięsa, a bez wina nie da rady, trzymaj. – Wręczył jej olbrzymi kielich pełen rubinowego płynu.

Laura wiedziała, że opór nie ma sensu. Przyjęła kielich i siadła obok Giuseppe. Po drugiej stronie usiadł Luca. Andrea podał im solidne porcje mięsa, a następnie sam zasiadł nieco dalej obok narzeczonych. Zaczęła się uczta, najbardziej niesamowita, w jakiej Laura uczestniczyła w życiu...



Rano obudził ją lekki ból głowy. Nie była pewna, czy pamięta wszystko z poprzedniego wieczoru, ale poczuła wyjątkowy spokój i radość. W domu panowała cisza, wszyscy poszli do kościoła lub rozpiezchli się po gospodarstwie. W kuchni zastała tylko Andreę i jego mamę. Została nakarmiona, wypła cappuccino.

– Idziemy – zdecydował Andrea. – Chcę ci jeszcze pokazać kilka pięknych miejsc, a czas płynie nieubłaganie.

Domyśliła się, że pierwszym celem ich podróży jest biały kościół, który zobaczyła przez okno. Na miejsce poprowadziła ich dróżka wydeptana przez pokolenia rodziny Lituano. Potem poszli do miasteczka, które widziała z okna w domu Andrei. Kamienne, pełne ludzi i pięknych miejsc.

– Witaj w Montepulciano.

Zabrakło jej oddechu. Nigdy wcześniej nie wymienił nazwy tego miasta, nie miała pojęcia, że to wzgórze, te domy i kościoły to właśnie Montepulciano. To samo, w którym mieszkała Raffaella, w którym jej mąż Giuseppe prowadził aptekę i w którym do dziś mieszka starsza córka Cristina. Może minęła ją właśnie, a może spotkają się za następnym zakrętem, nieświadome, kim są i co je łączy. Nie wspominała Andrei o Macieju i Raffaelli, ta historia wciąż jeszcze nie była gotowa do opowiedzenia.

Laura nie sądziła, że właśnie dzięki Andrei zbliży się jeszcze bardziej do swojej rodziny, że będzie szła tymi samymi uliczkami, którymi po wielekroć chadzała pierwsza żona Macieja. Dreszcz emocji przebiegł jej po plecach i przez resztę spaceru nie potrafiła się skupić na słowach Andrei, który opowiadał jej historię mijanych miejsc. Ciekawe, czy Andrea zna Cristinę, a może znał jej ojczyma, spokojnego aptekarza Strapponiego. Która to ich apteka? Może ta na rogu, a może ta, którą minęli przed chwilą?



Na pamiątkę pobytu w mieście, które spowodowało, że uśmiech nie zniknął jej z twarzy, otrzymała od Andrei butelkę wina Nobile di Montepulciano. Przed powrotem do Rzymu wpadli jeszcze do domu Andrei, zjedli delikatny rosół z leponymy wczoraj pierożkami, a rodzice Andrei obdarowali Laure prezentami. Tata zaopatrzył ją w trunki własnej produkcji, mama zaś w dżemy z pomarańczy i śliwek z własnego ogrodu, a także zapas tortellini na tydzień. Szum klimatyzacji, delikatna muzyka i wydarzenia ostatniej doby spowodowały, że po chwili zasnęła i spała jak niemowlę do samego Rzymu.

Andrea zaparkował w pobliżu senatu i odprowadził ją pod drzwi kamienicy. Nie zaproponował następnego spotkania. Podał jej rękę na pożegnanie, oddał torbę ze smakołykami i po prostu odszedł. Została sama na chodniku, odprowadzając go wzrokiem, aż zniknął za rogiem. Nie odwrócił się. Odchodził inaczej, dziwnie wolno, lekko pochylony, zamyślony. Pozwolił jej zajrzeć do swojego świata, po czym odsunął się, zasłaniając sobą wszystko, o czego istnieniu już wiedziała. Znowu był ministrem, który lubi czasami porozmawiać o sztuce i sam wyznacza czas i miejsce tych rozmów.



Andrea długo dobijał się do drzwi swojego mieszkania zdziwiony, że Marta nie otwiera. Powinna być w domu, umawiali się na wspólną kolację, tymczasem w jej komórce od razu włączała się poczta głosowa. Na szczęście udało mu się znaleźć klucze, chociaż na początku podejrzewał, że zostawił je przed wyjazdem na stole.

W środku znalazł na patelni w kuchni jeszcze ciepły makaron z grzybami, a na stole otwartą butelkę wina i kartkę: „Muszę wyjść na akcję. Przepraszam, smacznego. Twoja...”, zamiast podpisu przebite strzałą serce, jakie rysowało się w szkole. Potrawę zjadł ze smakiem. Gdy tylko chciała, Marta potrafiła gotować.

Właściwie ucieszyła go jej nieobecność. Nie potrzebował teraz radosnej paplaniny, chciał być sam. Po długiej kąpieli zaległ na łóżku. Jeszcze raz odczytał esemes, który przyszedł, gdy dojeżdżał do Rzymu. „Andrea, cieszę się, że się spotkamy, że zadzwoniłeś. Nata”. Dostał go w chwili, w której wpatrywał się w uśmiechającą się przez sen Laurę. Laurę, z którą naprawdę miło spędził ostatnią dobę. Laurę, do której obecności w swoim życiu powoli zaczynał się przyzwyczajać. Dzieci nie odstępowały jej na krok, Luca mówił tylko o niej, tata powtarzał, że jest wspaniałą kobietą, a mama dała Laurze na drogę najlepsze konfitury. I nawet kotka go zdradziła dla niej.

Przypomniał sobie chwilę, gdy długo nie wracała i wszedł do jej pokoju. Zobaczył ją prawie nagą na łóżku, śpiącą. Wziął ją na ręce, by położyć pod kołdrę. Otworzyła swoje wielkie błękitne oczy, spojrzała na niego i przytuliła się do jego ręki, znów odpływając w sen. Popatrzył jeszcze chwilę na jej ciało, idealnie proporcjonalne piersi i wcięcie w talii... Uwolnił się z jej uścisku. Przykrył Laurę kołdrą, zasłonił okno i wyszedł.

To jeszcze nie jest czas na nowy związek. Musiał odpowiedzieć sam sobie,

czy chce, by Nicole do niego wróciła. Czuł, że coś jeszcze się wydarzy między nim a Nicole. Czuł, że wciąż zależy mu na niej. I ten esemes od niej, że cieszy się na ich spotkanie już wkrótce. Użyła formy Nata, którą tak lubił. Mówił tak do niej na samym początku ich znajomości, gdy wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że tym razem mu się uda.



Na szczęście siostry Manzoni nie usłyszały, jak wchodziła, mogła więc spokojnie udać się do swojego pokoju. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej potrzebowała samotności i ciszy. Rzym wydawał się zupełnie inny po dwóch dniach spędzonych w rodzinnych stronach Andrei. Tamta noc była czarna, ta rozbłyskiwała światłem. Tam słyszało się szum wiatru za oknem, tu śmiechy zabłąkanych mieszkańców. Tamto powietrze pachniało zielenią, to pyłem osiadłym na murach.

Siedziała na balkonie i próbowała ogarnąć to wszystko, co kilka chwil temu właśnie się skończyło. Nie było to jednak łatwe. Andrea sprawiał wrażenie człowieka, który nad wszystkim panuje, któremu nic nie wymknie się spod kontroli. Ich rozmowy były inteligentne i z każdym spotkaniem błyskotliwsze, jakby Andrea na coraz więcej pozwalał sobie i swojej rozmówczyni. Dogadywali się bez słów, zaskakiwali tymi samymi skojarzeniami, dopowiadali swoje myśli. Coraz częściej pozwalali sobie na dygresje, zaniehbując Caravaggia i jego kompanów.

– Lubisz wujka Andreę? – zapytał ją wprost Matteo, jeden z jego bratanków, gdy odpoczywała wczoraj w ogrodzie, z dala od reszty domowników.

– Lubię – odpowiedziała szczerze, choć nie wiedziała, co mały ma na myśli.

– A jak bardzo? – Maluch stał przed nią z niewinną miną, ale w jego oczach tlił się ten sam zbójecki błysk, który tak podobał się jej u Andrei. Siedziała przed małym Lituano i zastanawiała się, co ma mu odpowiedzieć. Postanowił jej pomóc, na swój sposób. – No wiesz, byliście już na randce, takiej prawdziwej.

– A skąd wiesz, jak wyglądają prawdziwe randki? – Zrobiła unik.

– Przecież jestem już duży. – Popatrzył na nią z wyższością. – A Marta, no wiesz, taka chuda z warkoczem, to sama do mnie przyszła i zapytała, czy chcę

z nią siedzieć w kościele.

– Masz szczęście – powiedziała z powagą.

– Matteo, Matteo! – usłyszeli krzyki Marca, który szukał brata.

– Tylko nic mu nie mów – wyszeptał Matteo, kładąc palec na ustach. – Bo on też chciałby z nią siedzieć w kościele.

Laura pokiwała głową i również położyła palec na ustach.

– O czym rozmawiacie? – Marco nie mógł sobie darować, że brat rozmawiał z nową panią, kiedy jemu mama kazała iść do domu i się przebrać, bo poplamiał koszulkę. Tata by się tym nie przejął, ale mama zawsze sprawdzała, czy ma czyste ręce, a na jego koszulce nie ma plam. No i akurat teraz musiała coś znaleźć.

– Pani lubi wujka – odpowiedział od razu Matteo.

– To fajnie. – Marco zapomniał o przebieraniu się. – A przyjedzie tu pani jeszcze?

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą Laura. – Bardzo bym chciała.

– To my porozmawiamy z wujkiem – zawołali chłopcy i pobiegli do swoich spraw.

Wtedy pożegnała ich ze śmiechem, teraz nie było jej już tak radośnie. Andrea sprzed weekendu był intrygujący, imponował jej wiedzą i obyciem. Przeczuwała też silne uczucia, choć nie miała wątpliwości, że ten mężczyzna całe lata pracował nad ich ukrywaniem.

Kiedy zobaczyła go w domu rodzinnym, zyskała pewność, że są takie chwile, kiedy on czuje, a nie tylko postrzega i analizuje. W Rzymie uśmiechał się do niej uprzejmie. Gdy posyłał jej uśmiech przy rodzinnym stole, był szczęśliwy. Patrzyła, jak całuje swoją matkę w policzek, dyskutuje z ojcem, prowadzi wielogłosowe rozmowy ze wszystkimi dziećmi i niepomny surowych spojrzeń rodziców podrzuca domowym zwierzątkom co smakowitsze kąski. Cudownie było patrzeć, jak rozkwita w otoczeniu najbliższych.

A potem znowu zmienił się w ministra i pożegnał ją chłodno, jakby chciał, by zapomniała o jego domowym szczęściu.



Obudził go szum wody. Wydawało mu się, że za oknem przechodzi kolejna ulewa. Dopiero po chwili skojarzył, że dźwięk dobiega z łazienki. Wkrótce szum ustał, a w sypialni pojawiła się Marta w szlafroku. Miała opuchniętą twarz i przekrwione oczy. Wpuścił ją pod kołdrę, poczuł, że cała drży. Przytulił ją i w tej samej chwili opuściły go resztki snu. Nigdy jeszcze nie czuł tak zimnego ludzkiego ciała. Była lodowata.

– O Boże, Marta, co się stało?!

– Wszystko...

Zaczął ją rozmasowywać, po kilku minutach uspokoiła się i nieco ogrzała. Wtedy opowiedziała, co się stało. Pierwszy raz mówiła o swojej pracy.

Od kilku miesięcy do policji docierały sygnały o coraz młodszych dzieciakach uzależnionych od narkotyków. Wtedy powołano specjalną tajną grupę, która zaczęła obserwować szkoły. Marta też znalazła się w tej grupie. Była młoda, miała dobry kontakt z dziećmi i szybko zaczęła zdobywać ich zaufanie, szczególnie dziewczynek. Żadne z dzieci nie chciało przyznać się, skąd to mają. Przyglądano się wszystkim obcym osobom, które wchodziły do szkół, potem skoncentrowano się na nauczycielach. Długi czas bez rezultatu.

I właśnie wczoraj wieczorem, gdy kończyła przygotowania do wspólnej kolacji z Andrea, gdy pierwszy raz sama coś ugotowała, kupiła wino, włożyła nową sukienkę, kolczyki, użyła perfum, które specjalnie kupiła na tę okazję, bo słyszała kiedyś, że Andrea je lubi, zadzwonił domofon. Dowiedziała się, że namierzyli dilerę.

Podjechali pod kamienicę w pobliżu szkoły. Praktycznie po drugiej stronie płotu. Nie kojarzyła tego budynku na liście podejrzanych adresów. W radiowozie dowiedziała się, że mieszkanie należy do wicedyrektora, który jako jedyny w szkole był wtajemniczony w jej misję. Przystojny, młody,

ulubieniec dzieci. Wyważyli drzwi do mieszkania na ostatnim piętrze. Kiedy wpadli do środka, nawet najtwardsi funkcjonariusze nie mogli się opanować. W kilku pokojach dwunasto-, trzynastoletnie dziewczynki, które znała ze szkoły, współżyły z dorosłymi mężczyznami. W jednym z pokoi odkryli wicedyrektora, który wszystko nagrywał. Okazało się, że dzieci były pod tak silnym wpływem narkotyków, że nie miały świadomości, co się z nimi dzieje. Wszystkie zostały zabrane do szpitala.

Odtworzyła nagranie na kamerze. Nie wytrzymała. Nigdy nie widziała takich okropieństw, zwymiotowała. Kiedy wróciła z kamerą do pokoju, w którym trzymano zakutego w kajdankach dyrektora, ten się do niej bezczelnie uśmiechnął i powiedział, że one tego chciały i w przeciwieństwie do niej wiedzą, co to orgazm. Kiedy dodał, że ładnie pachnie i ma fajne kolczyki, ale jest za stara dla niego i widać, że nie tylko dla niego, uderzyła go pięścią w twarz. Gdy spadł z krzesła, zaczęła go kopać, celując głównie w krocze i w twarz. Zanim koledzy ją odciągnęli, był już nieprzytomny. Odebrali jej broń i odwieźli do mieszkania. Jutro musi się zgłosić u komendanta. Na pewno straci pracę, może nawet trafić do więzienia.

W mieszkaniu zobaczyła, że ma na rękach jego krew. Musiała ją zmyć. Musiała zmyć z siebie wszystko, całą przeszłość. Weszła pod lodowaty prysznic, płynęła po niej zimna woda i jej łyzy. Te dziewczynki też zostały wykorzystane. Ktoś zdobył ich zaufanie i uzależnił od siebie. Zaczął na nich zarabiać, sprzedawał narkotyki, zmuszał do seksu, szantażował. Wiedziała, że łamie prawo, że tak nie wolno, ale kopała dalej. Kopała w nim wszystkich działaczy, trenerów i menedżerów, z którymi spała. Uderzała nie na oślep, ale precyzyjnie w wybrane miejsca – w jego śliczną twarz, by ją oszpecić raz na zawsze, by był naznaczony. I kopała w krocze, by nigdy już nie mógł zrobić niczego żadnej kobiecie...

Gdy skończyła, wtuliła się mocno w Andreę, jakby się bała, że ją odepchnie. Znała doskonale jego poglądy, wiedziała, że jest przeciwnikiem wszelkiej przemocy, a samosądów w szczególności.

– Porozmawiamy później. – To był cały jego komentarz. Nie odsunął jej jednak, przeciwnie, objął jeszcze mocniej, a palcami zaczął rozgarniać jej włosy.

Przez chwilę był adwokatem, a ona jego klientką. Adwokat ma obowiązek bronić nawet najgorszego zbrodniarza. Przypomniał sobie jedną z pierwszych rozmów ze swoim patronem – advocatus to ktoś wezwany na pomoc. Ma



Wprawdzie wieczór spowił już Rzym, ale było jeszcze za wcześnie, by pospacerować. Laura nie mogła usiedzieć w domu. Tyle wrażeń i emocji wypełniło ją przez ostatnie dwa dni, że szukała sposobu, by to wszystko sobie poukładać. A najlepsze na to było wyjście z domu. Potrzebowała zanurzyć się w tłum, usiąść przy fontannie, poobserwować światła latarni odbijające się w wodzie, posłuchać szumu rozmów.

Nie spodziewała się wyjazdu z Andream do jego rodziny i domu na wichrowym wzgórzu ani spaceru po Montepulciano, być może tuż obok swojej rodziny, tego niezwykłego splotu okoliczności, który zaskakująco połączył ją z Andream, choć on nie miał jeszcze o tym pojęcia.

– Zrobi nam pani zdjęcie z osiołkiem? – Młoda para Azjatów postanowiła się sfotografować na tle malowidła na ścianie kamienicy przy trasie spacerowej nad Tybrem.

Odkryła tego osiołka podczas jednej z pierwszych rzymskich przechadzek i natychmiast dołączyła do swojej kolekcji. Przed wyjazdem obiecała Jaškowi, synowi Moniki, że sfotografuje dla niego ciekawe przejawy działalności artystycznej na rzymskich murach.

– Tylko wiesz, ciotka, żadne tam „Roma górą” czy „Lazio zwycięży”. To ma być sztuka, sama wiesz najlepiej.

– Caravaggia to ja ci na murach raczej nie znajdę.

– A kto go tam wie. Facet był szalony, może pewnej nocy po zabawach z jakąś rzymską ladacznicą ze szczęścia naskrobał coś na ścianie. – Siostrzeniec wykazywał się zaskakującą wiedzą na temat wielkich artystów, choć nikt by go o to nie podejrzewał. – Albo podczas ucieczki po kolejnej bójce zostawił na murze krwawy odcisk swojej genialnej dłoni...

Kiedy Jasiek wpadał do domu, zachowywał się jak przeciąg w wesołym

miasteczku. Uruchamiał wszystkie możliwe sprzęty, co pięć minut zmieniał muzykę, miksował koktajle kawowe i herbaciane, z każdym prowadził rozmowę na inny temat. Dom zamieniał się w karuzelę. Jasiek miał dwadzieścia lat i od roku studiował psychologię. Chłopak z dreadami, grający w kapeli i działający w grupie grafficiarzy bez granic niezbyt podobał się profesorom psychologii, ale wyśmienicie zdawał wszystkie egzaminy, trudno było mu więc zabronić studiowania.

– Jakim ty będziesz wzorem dla swoich pacjentów? – utyskiwała Monika, próbując namówić syna przynajmniej do obcięcia włosów i porzucenia ubrań stylizowanych na amerykański slums.

– On ma być skuteczny, a nie wzorowy. – Mąż Moniki zawsze stawał w obronie syna.

Nic dziwnego, Wojtek był trenerem rugby, a w przeszłości pracował z trudną młodzieżą w dzielnicowym ośrodku sportowym. To od niego Jasiek przejął zamiłowanie do życia na granicy, obaj wiedzieli jednak, że nie wolno jej przekroczyć.

Laura lubiła mroczne poczucie humoru siostrzeńca, zgodę na każdą dziwność w świecie i chęć zjedzenia wszystkich słodczych świata. Przy pudełku z ciastkami duży Jan zamieniał się w małego Jasia z blond lokami.

W poszukiwaniu najlepszych malunków naściennych przejechała pół Rzymu. Wyłapywała nowe tropy w internecie, po czym sprawdzała je na żywo. Rozczarowały ją artystyczne próbki w dzielnicy Quadraro, zachwyciły murale przy viale di Tor Marancia, te ostatnie tym bardziej, że w pobliżu przebiegała aleja Caravaggia, co całkiem zgrabnie połączyło się z żartami Jaśka. Rozbawił ją też papieski Superman w pobliżu Watykanu.

– No to jak, zrobi nam pani zdjęcie? – Azjatycka para zaczynała tracić cierpliwość.

Laura ocknęła się i uśmiechnęła przepaszająco. Spełniła ich prośbę, a kiedy młodzi ludzie odeszli, spojrzała na osiołka.

Z daleka wyglądał jak poważny Pegaz, z bliska jednak okazało się, że to nie rączy rumak, ale sympatyczny, zadowolony z siebie osiołek z błękitnymi skrzydłami. Jasiek doceni historię związaną z tym obrazkiem, Laurze przede wszystkim spodobał się główny bohater. Sama czasami czuła się jak ten nadtybrzański Pegaz. W wolnych chwilach prostowała skrzydła, przygotowując się do lotu, czyściła piórka i snuła marzenia, pewna, że niedługo wzbije się wysoko. Tymczasem wszyscy wokół widzieli w niej tylko

sympatycznego osiołka, przeznaczonego do codziennej pracy, którego ciągnie do zupełnie nieosiołkowych zajęć wbrew naturze i przyzwoitości. I choć w rzeczywistości na pewno nikt nie oceniał jej surowo, czuła pobłażliwe spojrzenia, gdy spod kurtki wystawały niebieskie piórka skrzydeł. Ot, taki osiołek z duszą Pegaza.



Miał wrażenie, że źle ustawił budzik w telefonie. Niemożliwe, by noc już minęła, za szybko. Niestety, musiał wstać, akurat dzisiaj nie mógł sobie pozwolić na spóźnienie. Umówił się z Marią jeszcze przed pracą, chciał, by weszła z nim przed wszystkimi pracownikami.

Czekała na niego. Razem weszli do cichego pustego budynku, musiał nawet osobiście pobrać klucze do swojego gabinetu i sekretariatu. Powoli prowadził ją korytarzami, opowiadając o strukturze tej szacownej instytucji. Wczesna pora spowodowała, że ich spacer pozostał prawie niezauważony, nie tak jak wizyta Marty. Zresztą każda z tych kobiet zachowywała się zupełnie inaczej. Marta głośnym stukaniem obcasami, trzymaniem Andrei mocno pod rękę starała się pokazać, że jest panią sytuacji. Maria chłonęła każde słowo Andrei w ciszy, szła prawie na palcach.

– Na kawę poczekamy, aż przyjdą dziewczyny, nie będę im odbierać pracy. To jest mój sekretariat. Tu będziesz pracować, a ja obok. Będę bardzo blisko, pamiętaj o tym. – Wziął obie jej dłonie w swoje i mocno uścisnął. – Będzie dobrze, zobaczysz.

Dalszą rozmowę przerwał śmiech na korytarzu. Mógł należeć tylko do Livii. Po chwili drzwi sekretariatu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadły obie jego asystentki.

– Patrz, jakie przebiegłe, wiedziały, że będziesz, to przyszły do pracy przed czasem.

– Zawsze tak jesteśmy, szefie! – Giulia z uśmiechem zaskłutowała, podkreślając gotowość do pracy.

– Ja nie przyszłam do pracy, tylko poznać twoją nową ofiarę. I przyniosłam zwolnienie. – Livia uśmiechnęła się do Marii. – Kojarzę cię, chyba z targu na Campo.

– Tak, dorabiałam tam przez całe studia.

– No, to teraz czekam na trzy kawy dla nas i herbatkę ziołową dla mamy. – Andrea postanowił przenieść rozmowę ze środka sekretariatu do wygodniejszej części gościnnej. – A przy kawie porozmawiamy o pracy.

Jego obawy o to, czy dziewczyny będą potrafiły się ze sobą dogadać, okazały się całkowicie nietrafione. Giulia na początku była trochę spięta, czy nowa koleżanka z pracy nie będzie bliżej szefa niż ona, kiedy jednak dowiedziała się, że Maria jest z Sycylii i ich domy dzieli tylko cieśnina, wszelkie bariery opadły. Spokojny już Andrea zostawił je same i udał się na spotkanie z Antoniem. Gdy po godzinie wrócił do biura, w sekretariacie szczebiotały trzy panny, plotkując o wszystkim, jakby znały się od lat. Dopiero około południa Maria wyszła razem z Livią, a Andrea mógł porozmawiać w cztery oczy z Giulią. Wy tłumaczył jej, że Maria jest dobrą i porządną dziewczyną po przejściach i na pewno nadaje się do pracy w jego sekretariacie. Poza tym Giulia zawsze będzie kierować biurem, tu nic się nie zmieni.

Od początku miał duży sentyment do Giulii. Była chyba jedyną kobietą, przed którą nie potrafił grać, której nie okłamywał. Jedyną, która poznała osobiście Nicole i wiedziała, że Nicole zniknęła nagle z jego życia. Dostała też zaszczytu wizyty w jego rzymskim mieszkaniu. Mieszkaniu, które, tak jak on sam, stanowiło zamkniętą przed wszystkimi fortecę. Andrea nie zapraszał do niego nikogo z pracy, chociaż wielu próbowało się wprosić na kolację. Kiedy jednak skręcił nogę w kostce i nie mógł chodzić do pracy, poprosił Giulie, by przywoziła dokumenty do podpisu.

Gdy pierwszy raz tam weszła, poraziły ją ogrom i bogactwo. Wydawało się jej, że każdy z obrazów jest wart więcej niż jej kalabryjski domek. Widział jej zaskoczenie. Zrozumiała, że nie chciał chwalić się swoim majątkiem. Na pierwszy rzut oka było widać, że z pensji urzędnika nikt nie mógł tak się dorobić. Od czasu akcji „Czyste ręce” już samo takie podejrzenie rzucone na kogoś mogło skończyć jego karierę. Giulia domyśliła się, że jest to przyczyna izolacji Andrei, niechęć przed tłumaczeniem się, obawa przed podejrzeniami. Uchylił rąbka tajemnicy. Opowiedział, że to mieszkanie należało kiedyś do jego przyjaciela, jego patrona i promotora, senatora Canellego, który w testamencie zapisał swoje rzymskie mieszkanie wraz z wyposażeniem właśnie jemu. Wcześniej mieszkał z Nicole w wynajętym mieszkaniu. Gdy otrzymał spadek, musiał wziąć kredyt na zapłatę podatku spadkowego. Nie

chciał każdemu opowiadać tej historii. Dla Giulii zrobił wyjątek. Potem dał jej klucze do mieszkania, gdy wyjechał na urlop do domu, a Marta zniknęła na kolejne szkolenie. Nie odebrał tych kluczy do teraz.

Najbliżej ze sobą byli, gdy na służbowym wyjeździe do Wiednia przez przypadek przydzielono im pokój dla nowożeńców z wielkim łóżem. Byli tak spięci, że mimo zmęczenia żadne nie zasnęło przez całą noc. Gdy potem przez cały dzień równo i systematycznie ziewali, większość uważała, że ich niewyspanie miało inne przyczyny. Giulia żałowała, że niestety nie trafili z diagnozą.

– Czy mamy coś do omówienia? – Głos Andrei wyrwał ją z marzeń.

– Tak, mamy całkiem sporo. W wakacje tradycyjnie prowadzimy ożywioną turystykę parlamentarną. Musisz zatwierdzić wyjazdy pracowników na robocze wizyty w kilku parlamentach w Europie i nie tylko.

– Rozumiem, że chętnych nie brakuje!

– Tak, szczególnie na wyjazdy do Aten czy na Lazurowe Wybrzeże. Ale na przykład do Wilna nikt nie chce jechać.

– Do Wilna, powiadasz? A kiedy i po co?

– Dwudniowa konferencja o wspieraniu demokracji na Białorusi przez parlamenty europejskie. Za dwa tygodnie. Mamy dwa miejsca.

– To lecę. Wpisz mnie i siebie.

– Nie mogę, wyjeżdżam wtedy do domu. Dałeś mi dwa dni wolnego.

– Szkoda, znów dałaś mi kosza... Polecę więc sam. Tylko zamów mi bilet powrotny przez Warszawę. I zostanę tam na jedną noc, więc zarezerwuj mi hotel. Nie musi być z łóżkiem małżeńskim, bo będę sam. – Puścił do niej oko, wyjął z ręki papiery i zniknął w swoim gabinecie.

Giulia siedziała nieruchomo. Dlaczego jej najmłodszy brat musi mieć właśnie wtedy pierwszą komunię?



Kiedy Laura umawiała się z Alessią na kawę, nie spodziewała się, że przyprowdzi ona ze sobą Sofię, swoją siostrę cioteczną, córkę ciotki Beatrice. Rozmawiały o niej ostatnio, Alessia wspominała, że Sofia mieszka w Rzymie, ale mówiła też, że wyjechała do Kolumbii, ojczyzny swojego męża Pedra. A teraz stały przed Laurą obie, tak różne od siebie, że trudno je było podejrzewać o pokrewieństwo.

– Cześć, Pszczółko – powiedziała Sofia najczystszą polszczyzną, obejmując Laurę, jakby się znały od dzieciństwa.

– Znasz polski?

– Tylko trochę. No wiesz, dopiero od niedawna wiem, że miałam polskiego dziadka. Dużo się nie nauczyłam, ale umiem się przywitać, pożegnać, przedstawić i poprosić o pierogi. – Zaśmiała się.

– To jest mistrzyni języków obcych, więc niedługo będzie umiała znacznie więcej – wtrąciła Alessia. – Zna siedem języków obcych, ósmy nie robi jej różnicy.

– Gdybym ja miała taki dar do języków. – Laura westchnęła, pomna długich lat spędzonych na nauce angielskiego i włoskiego. Na kolejne zabrakłoby jej życia.

– Z lingwistką nie wygrasz...

Okazało się, że Sofia jest tłumaczką, pracuje dla rządu. Podczas spotkań międzynarodowych dba o zrozumienie włosko-grecko-hiszpańsko-francuskie.

– Najbardziej lubię hiszpański.

– Też bym lubiła, gdybym miała takiego męża. – Alessia przewróciła oczami, wzdychając. – Pedro jest absolutnie boski, prawdziwy latynoski macho.

– Macho nad książkami. – Sofia skrzywiła się, ale od razu wyciągnęła telefon i pokazała Laurze zdjęcia męża.

Rzeczywiście był bardzo atrakcyjny, choć zupełnie nie w typie latynoskiego kochanka z telenoweli. Miał rozmarzone spojrzenie i bardzo radosny, niemal dziecięcy uśmiech.

– Też jest tłumaczem – pospieszyła z wyjaśnieniami Alessia. – Ale woli książki niż ludzi. Nie dałabym rady zastanawiać się przez pięć godzin, jak powinno brzmieć jedno zdanie, a on bez przerwy siedzi nad tymi swoimi tłumaczeniami i myśli...

Sofia okazała się równie gadatliwa jak Alessia, ale miała w sobie więcej łagodności. Alessia wyglądała jak typowa Włoszka, miała zdecydowaną urodę, wyraziste rysy, ciemne włosy i ciemną oprawę oczu. Sofia wydawała się mniej dosłowna, z dużo jaśniejszymi włosami i urodą nieco słowiańską, miękka i subtelna. Chociaż była dwa lata starsza od Alessi, to właśnie córka Cristiny wyglądała starzej.

– Czy wam nie przeszkadza to, że wasza historia rodzinna trochę się ostatnio zmieniła? Pojawiła się jakaś dziwna Polka i opowiada niestworzone rzeczy o tajemniczym dziadku. – Laura obracała wszystko w żart, lecz dziwił ją radosny spokój obu kuzynek. Naprawdę wydawały się zadowolone z istnienia dziadka z Polski.

– Każdy marzy o jakiejś rodzinnej tajemnicy, a nam się trafiła całkiem dobra, międzynarodowa.

– Gdyby babcia żyła, byłoby pewnie trochę niezręcznie, ale ani ona, ani dziadek Giuseppe, ani dziadek Maciej nic już w tej sprawie nie powiedzą. Zostaje tylko mgła niedopowiedzenia, urok przygody.

– A wiecie, że byłam ostatnio w waszym gnieździe rodzinnym? Może nawet przechodziłam obok rodzinnej apteki...

Pominięła szczegóły związane z Andream, wspomniała tylko, że towarzyszył jej pewien Toskańczyk z okolicy. I że do ostatniej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, że piękne miasteczko, do którego jechała, to Montepulciano. Dopiero gdy usłyszała tę nazwę, wszystkie wątki połączyły się ze sobą. Przypomniała sobie opowieści Alessi o dziadku Giuseppe, który prowadził aptekę, o Cristinie, która przejęła rodzinny interes, i o Raffaelli, która w ostatnich latach życia lubiła przesiadywać przed wejściem do apteki, skupiając wokół siebie życie towarzyskie w tej części miasteczka. Dla niektórych mieszkańców wciąż była lokalną atrakcją, panną Sanguinetti z Rzymu, która przywiozła do Montepulciano modę na czerwone szpilki, kolorowe apaszki i eleganckie wiklinowe koszyki na zakupy. Wiele kobiet

przejęło jej zwyczaje, a gotowane przez Raffaellę potrawy były skrupulatnie spisywane i odtwarzane przez miejscowe gospodynie w zaciszu ich domów.

– To niesamowite uczucie iść uliczkami obcego miasta i mieć świadomość, że za którąś firanką może się kryć część twojej rodziny. Chciałam zajrzeć do każdej apteki i sprawdzić, czy za ladą nie stoi Cristina...

Śmiała się z tego, ale wciąż pamiętała dreszcz podniecenia, gdy uświadomiła sobie, gdzie jest. Z jednej strony chciała się cieszyć bliskością Andrei, z drugiej strony gnało ją po mieście w poszukiwaniu aptek. Wygrał Andrea, ale ciekawość tego miejsca pozostała w niej jak zasiane ziarno.

– Zabierzemy cię tam i pokażemy krainę naszej młodości, zwłaszcza mojej, bo Sofię ciotka Beatrice wywiozła do Florencji i wracały tylko na wakacje.

– Do apteki też zajrzesz. Łatwo ją znaleźć, choć trzeba wiedzieć, gdzie szukać. – Sofia nachyliła się konspiracyjnie w stronę Laury. – A tak swoją drogą, kuzyneczko, co to za Toskańczyk cię oprowadzał po miasteczku?



Marta wpadła niemal z drzwiami do salonu. Na jej twarzy gościł uśmiech od ucha do ucha. Dziwnie wyglądał w połączeniu z mundurem karabiniera.

– Jak to załatwiłeś?!

Nie czekając na odpowiedź, wskoczyła Andrei na kolana i pocałowała go namiętnie w usta, które otworzył, by coś powiedzieć

– Co załatwiłem? – Odsunął ją stanowczo.

– Nie wylali mnie z roboty! Dziękuję ci, słoneczko... – Próbowała kontynuować podziękowania, całując go po całej twarzy.

– Chwilunia, słoneczko. – Wstał razem z nią z fotela i posadził na sofie. – Opowiadaj po ludzku, a potem ja przemówię.

– Dobrze, dobrze, już mówię. Na komendzie koledzy od rana mnie pocieszali i powtarzali, że wstawią się za mną, a jeśli będzie trzeba, załatwią robotę w firmie detektywistycznej. A potem wezwał mnie szef. Kiedy weszłam, zapytał, co ja tu robię, mając takie znajomości. Nie miałam pojęcia, o czym on mówi. Wtedy przyznał, że dzwonił osobiście sam komendant główny i powiedział, że to nie moja wina, tylko wypadek przy pracy. I nie poniosę żadnych konsekwencji. Nawet żadnego postępowania dyscyplinarnego czy wyjaśnień. Nic. Nie wiem, co zrobiłeś, ale dziękuję ci. Uratowałeś mi życie. – Podniecenie przeszło we wzruszenie i ze łzami w oczach ruszyła w kierunku Andrei.

– Usiądź i posłuchaj mnie uważnie. – Andrea wstał z fotela i zaczął krążyć w milczeniu po pokoju. Nie miał przygotowanej wcześniej mowy na tę okazję. Sam był chyba zaskoczony szybkością i zakresem interwencji Antonia. – To był ostatni raz, kiedy ci pomogłem w tego typu sprawie. Nie toleruję takiego zachowania. Żadnej wendetty, żadnego samosądu. Zapamiętaj to raz na zawsze!

– Pomogłeś, a teraz mnie dobijasz...

– Wiesz, że rzadko kogoś oceniam. Wkurzyło mnie to, że próbujesz porównywać swoją sytuację sprzed lat z tymi dziewczynkami. Ty dokonałaś wyboru. Byłaś już kobietą, która tak bardzo pragnęła realizacji swoich marzeń, że weszła w mroczny system. Tak, system chory i zły, tak, ktoś cię wykorzystał, ale ty sama nie wyszłaś z tego kręgu, nawet kiedy dorosłaś. Nie porównuj się z tymi dziećmi, które nie były świadome zagrożenia ze strony swojego nauczyciela, a potem nie były niczego świadome, bo zostały odurzone narkotykami. Marto, pomogłem ci, bo ten facet zasłużył na karę, i uznałem, że w trybie przyspieszonym wykonałaś wyrok. Wyrok za zło, które wyrządził tym dziewczynkom. Ale proszę, nie mów więcej, że ukarałaś go za to, co spotkało ciebie, bo zacznę żałować, że ci pomogłem...

– Już żałuję...

– Nie przerywaj mi, proszę. Sam trenowałem i chyba rozumiem, czym dla ciebie był sport. Całym światem, za który byłaś gotowa oddać wszystko. I oddałaś więcej, niż myślisz. Oddałaś szansę nauczenia się miłości. Kiedy inni zakochiwali się i flirtowali z rówieśnikami, ty uprawiałaś seks z facetami, którzy odpłacali się ułatwianiem ci kariery. Wiesz, jak się to nazywa. A potem bałaś się miłości z innymi mężczyznami, więc uciekłaś w kobiety, kompletnie bez sensu. Wystarczy, żebyśmy się zbliżyli do siebie, i nagle twoje zainteresowanie kobietami znika... – Zamilkł, bo zorientował się, że od kilku minut krzyczy na Martę.

– Dziękuję, że byłeś taki szczery.

– Proszę, ale nie polecam się na przyszłość.

– A może jednak, chyba za rzadko pozwalasz, by wypłynęło z ciebie to, co masz w środku. Jak dalej będziesz tak wszystko tłumić, w końcu wybuchniesz jak Wezuwiusz!

– To uważaj, bo skończysz jak Pompeje. Zgłodniałem przez ciebie. Chodź do kuchni, zrobimy coś razem do zjedzenia. Może cię czegoś nauczę.

– Kupiłam wino...

Po raz pierwszy gotowali coś wspólnie. Wcześniej zdarzyło się, że Andrea gotował, a Marta siedziała w kuchni i towarzyszyła mu w rozmowie, teraz razem stali przy garnkach i szykowali kolację. Prostą pastę z kurczakiem i warzywami na oleju sezamowym. Potem, gdy po wypiciu wina Marta twardo usnęła objęta jego ramieniem, Andrea uświadomił sobie, że ostatni raz gotował coś razem z Nicole. Potem z żadną inną kobietą. Marta była pierwsza.

Tak jak pierwsza pojawiła się w jego łóżku, ich dawnym łóżku. Miała rację, że tłumi w sobie uczucia. Tłumił i przed Nicole. Dusił złe emocje, a zamiast rozmawiać, uciekał w przygodne romanse i przelotny seks z obcymi kobietami. Marta miała rację z tym wulkanem, tylko że Nicole nie doczekała wybuchu. Miała dość życia w wyziewach, które poprzedzały wybuch i zatrzuwały atmosferę. Wyjechała.

Rano okazało się, że Marta musi jednak ponieść pewne konsekwencje swojego czynu. Szef wysłał ją na zaległy od dwóch lat urlop. Wytłumaczył, że sprawa jest znana w jednostce i lepiej, by na jakiś czas zniknęła z pracy. Ludzie zapomną i przestaną pytać. Andrea liczył, że Marta w końcu pojedzie do domu w swoje Alpy na dłużej. Wiedział, że nie była tam od przyjazdu do Rzymu. Nigdy, nawet w święta. Obiecała, że wyjedzie, ale dopiero gdy udzieli kilku lekcji synowi senatora Pietra, a poza tym zamierza udać się na kilka dni na Sycylię, bo obiecała pomóc Marii.



Zasadniczo nie była miłośniczką starożytności, ale wzruszało ją następstwo kolejnych stuleci, drugie życie ruin. Godzinami mogła siedzieć wśród połamanych kolumn i gładzić rozgrzany kamień ze świadomością tego, że przed nią były tu setki pokoleń, miliony rąk takich jak jej, odzianych w stroje ze swoich epok. Może siedziała tu jakaś cesarzowa, gdy mąż planował kolejne wojny, może hrabina podczas Grand Tour, a może jej służąca, ciekawa świata i snująca marzenia o lepszym życiu.

Pamiętała swoje pierwsze spotkanie z historią Włoch. Wybrała się na wycieczkę po najważniejszych włoskich miastach. Zaczęli od Florencji.

– Nie wiem, czy zdają sobie państwo sprawę z tego, że dokładnie po tych kamieniach stapał Dante – powiedziała przewodniczka, gdy opuścili autokar i weszli w labirynt uliczek. – Tu przeszłość trwa...

Większość wycieczki podśmiewała się ze starości kamieni, jakaś elegantka narzekała na nierówną powierzchnię, jakiś mądrała zrobił wykład o wyższości kostki Bauma nad resztą nawierzchni. Laura poczuła się jednak jak rażona piorunem. Wydawało jej się, że świat wokół niej zamienił się w karuzelę.

– To się nazywa syndrom Stendhala. – Przewodniczka zaśmiała się, gdy wieczorem w hotelu Laura opowiedziała jej o swoim zachwycie nad faktem, że idzie po śladach Dantego. – Pomieszanie zmysłów z nadmiaru wrażeń historycznych i kulturalnych. Na pocieszenie powiem pani, że zasadniczo z tego się nie wyrasta i ten zachwyt ma pani tutaj pewny jak w banku.

Minęło kilka lat, pomieszanie zmysłów nie miało już tak spektakularnego efektu, ale wciąż towarzyszyło jej w podróżach. Nawet teraz, gdy szła ulicami Rzymu, a zza rogu wyłaniał się fragment starożytnego łuku czy muru, przyspieszała, by czym prędzej mu się przyjrzeć. Niektóre ruiny dało się dotknąć, choćby ukradkiem, inne można było jedynie oglądać.

– Jeśli ktoś wątpi w spotkanie natury i kultury, to miejsce zdecydowanie powinno go przekonać, że wszystko jest możliwe. – Starsza kobieta stanęła obok Laury przy barierce wokół wykopaliska na Largo di Torre Argentina.

Zwykły plac, jakich wiele w Rzymie, szum samochodów, tramwaje, sklepy, a w centrum historia zamieszkiwana przez koty. Ruiny czterech antycznych świątyń i ponad setka kotów. W Polsce ruiną jest dom sprzed wieku, a zwierzęta zamyka się w domach i wywiesza kartki o zakazie wstępu wszędzie, gdzie tylko wyobraźnia podpowie, a tu dziś i przedwczoraj żyją sobie zgodnie w promieniach słońca. Laura знаła te koty na kolumnach z rzymskich kalendarzy, teraz patrzyła bezpośrednio w oczy kocim miłośnikom starożytności. Jakiś rudzielec mył się na kamieniu, na murku kilka metrów dalej przeciągała się starsza trikolorka, a biały maluch próbował upolować kawałek rzeźby. Gdzieś tu wieki temu upadł Juliusz Cezar, zdradzony przez Brutusa, żadnemu kotu jednak to nie przeszkadzało, Laurze również. Była absolutnie pewna, że wszystko jest jak trzeba. Ruiny nie wybuchały demonicznie jak u Piranesiego, natura nie próbowała zniszczyć cywilizacji, miłośnicy antyku nie chodzili wokół placu z transparentem, że nie godzi się wpuszczać zwierząt do miejsc usakralizowanych przeszłością. Świat był zgodny i spokojny.

Uśmiechnęła się i poszła do pobliskiej księgarni, by poszukać kalendarza z rzymskimi kotami.



– Zaczyna się tu robić coraz ciekawiej. – Giulia weszła do gabinetu Andrei bez pukania. – Twój ulubiony senator zapowiedział, że będzie za kilka minut, bo podobno sprawa nie może czekać. Od rana wydzwania niejaki Calanetti i twierdzi, że może ci pomóc. Nie byłam jednak w stanie wydobyć od niego choćby szczegółu na potwierdzenie tej tezy. Sekretarka ministra Giurasiego przekazuje, że jej szef bardzo pragnie cię zobaczyć w Ministerstwie Sprawiedliwości...

– To niech sam zadzwoni – mruknął Andrea, pochylony nad dokumentami. – Wiedział, jak wykręcić mój numer, kiedy trzeba było załatwić pracę dla kuzynki spod Faenzy, to niech teraz nie wyręcza się sekretarką.

– Nie przerywaj mi. – Giulia próbowała być groźna, ale oczy jej się śmiały. – Na dodatek Maria gdzieś zniknęła, a w sekretariacie czeka twój bratanek Giuseppe. Wszystkimi nie dam rady się zająć.

– Oszaleć z wami można. – Andrea zamknął teczkę z dokumentami. – Dawać mi tu tego młodzieńca. A gdy Maria się pojawi, to ma się zameldować. Od razu.

Jemu też nie wyszło dzisiaj bycie groźnym, zwłaszcza że informacja o wizycie bratanka od razu poprawiła mu humor.

– Dzień dobry, wujku. – Giuseppe miał prawie trzydzieści lat, a chwilami wciąż zachowywał się jak mały chłopiec postawiony przed wymagającym nauczycielem. Prawie stanął na baczność na widok Andrei w wielkim gabinecie. – Tata mnie przysyła w związku ze ślubem Paola...

Nigdy tu nie był, więc czuł się trochę onieśmielony. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że wujek jest kimś bardzo ważnym, ale dopiero teraz, kiedy zobaczył go w tym pałacu, wśród eleganckich kobiet i pewnych siebie mężczyzn w drogich garniturach, zrozumiał, dlaczego w domu nigdy nie

dyskutuje się z tym, co powie wujek. Jego zdanie było zazwyczaj ostateczne. Tylko ciocia Maria umiała go obłaskawić, kiedy miała ochotę zrobić coś wbrew jego nakazom, i udawało się też to czasami babci. Wszyscy pozostali po prostu słuchali wujka Andrei. Zdarzało się, że po cichu robili swoje, ale nigdy otwarcie się nie przeciwstawiali. Wujek przymykał na to oko, ale jednej rzeczy nie wybaczał: gdy ktoś nie dotrzymał danego słowa. Wtedy przestawał być wujkiem i stawał się ministrem.

Giuseppe raz stanął przed obliczem naprawdę zagniewanego Andrei. Obiecał ojcu, że pomoże mu przez tydzień w warsztacie, bo niespodziewanie pojawiło się dużo klientów, a potem bez słowa wyjechał na kilka dni z kolegami. Wujek wynajął pomocnika i zapłacił za niego, a potem kazał Giuseppe zwrócić pieniądze. Kara finansowa była dotkliwa, ale najbardziej zabolalo spojrzenie wujka. Nie musiał nic mówić. Giuseppe i tak wiedział, że zawiódł jego zaufanie.

Pukanie do drzwi przerwało rozmowę.

– Przepraszam, że mnie nie było, ale musiałam iść do sekretarza Casaroli. – Maria wsunęła się do gabinetu i stanęła ze spuszczoną głową. Giulia musiała ją niezłe nastraszyć.

– Następnym razem po prostu mów, gdzie idziesz. Poznaj kolejnego Lituano. To mój bratanek.

Maria podniosła wzrok i dygnęła jak pensjonarka. To akurat nie zdziwiło Andrei, wciąż jeszcze była trochę nieufna wobec ludzi pojawiających się w tym gmachu. Ale że Giuseppe zapłonił się jak panienka? Stali naprzeciwko siebie jak greckie kolumny, bez słowa. Andrea uśmiechnął się w duchu, przydałaby im się w rodzinie taka piękna Sycylijka.

– Powiedz ojcu, że wszystko załatwię. – Jego głos wyrwał młodych z otępienia. – Zobaczymy się za kilka dni na ślubie. A teraz Maria odprowadzi cię do wyjścia. Tylko wróć jeszcze dzisiaj, kobieto zbłąkana...



Dzień w fundacji minął błyskawicznie. Laura ani się spostrzegła, jak wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia.

– Uciekaj stąd, bo zawyżasz normę – poleciła Ornella, opiekunka wszystkich stażystów i stypendystów.

Znana była z trzymania dyscypliny w zespole, ale pilnowała, by nikomu nie stała się krzywda i by nikt nie pracował więcej niż reszta. Miała silnie wpojone poczucie sprawiedliwości, co zawdzięczała ojcu, sędziemu, który zasłynął z surowych wyroków wobec przekupnych urzędników. Swego czasu był gwiazdą akcji „Czyste ręce”, potem jednak sprawa przycichła i władze nie oczekiwały już tak surowych wyroków, ale ojciec Ornelli pozostał nieugięty. Odsunięto go więc od spraw wymagających większej elastyczności politycznej.

– Dostał ostrzeżenie, a kiedy mimo wszystko nie poddał się naciskom, przesunięto go na bardziej odpowiedzialny odcinek działań, czyli na głuchą prowincję – opowiadała Ornella. – Dzięki temu przez kilka lat mieszkałam w pięknej okolicy, z dala od wszystkiego, co ważne.

– Coś ci z tego zostało – żartowała Laura. – Masz dobre podejście do ludzi z dalekich stron...

Wygoniona z biurka Laura odkryła, że dzień pięknie się rozwinął, otulając świat słońcem. Grzechem byłby powrót do domu, postanowiła więc przejść się na Zatybrze, gdzie niedawno odkryła na wystawie jednego z małych sklepików precudnej urody żabę w krawacie. Jej przyjaciółka Zośka od lat zbierała żaby, traktując je jak dawanie sobie szansy na spotkanie księcia.

– No wiesz, jak się cmoknie sto żab, to może chociaż jedna zmieni się w królewicza na białym koniu. – Śmiała się za każdym razem, gdy rozmawiała o jej kolekcji. – Nawet z Salamanki przywiozłam żabę, która ma zapewnić

wyjście za mąż, ale na razie ani księcia, ani ślubu. Może powinnam zacząć kolekcjonować resoraki. Zajmują mniej miejsca niż te moje stwory zielone, a każdy facet da się na nie złapać.

– I chciałybyś mieć potem takiego chłopca na dywanie, który myśli tylko o tym, czy autko dojedzie do końca pokoju?

– Sama już nie wiem, czego bym chciała. Coraz częściej mam wrażenie, że odwracam głowę nie w tę stronę. Ciągnie mnie do bogatych, a chodzę z biednymi. Podobają mi się mądrzy, a spotykam się z idiotami. Co ja mam w sobie takiego, że przyciągam nie tych, których powinnam?

– Tych fajnych przejęła konkurencja – powtarzała Laura, choć w głębi duszy wiedziała, że to nie do końca prawda.

Rzeczywiście przyciągały mężczyzn ze skazą. Olgierd był piękny i namiętny, ale od kobiety oczekiwał wyłącznie seksu i dobrego obiadu, irytował się, gdy chciała z nim dyskutować o życiu. Bartek nie umiał podjąć żadnej decyzji sam, osaczał ją pytaniami i niepewnością, zaczęła czuć się jak jego matka, a nie partnerka. Krzysztof rozwiązywał trudne sytuacje krzykiem i pięścią.

– A może ci bogaci i mądrzy są gorsi niż ci nasi? No wiesz, dentyści sadyści, profesorzy psychopaci, adwokaci zabójcy, mroczny świat wielkiej finansjery, orgie, pejczy i zamknięte pokoje na strychu. Kto ich tam wie...

– Powinnaś pisać książki. – Zośka otworzyła drugie wino. – Ale podoba mi się twój sposób myślenia. Zapalę świeczkę w intencji moich głupoli, bo mnie tylko denerwują, a nie mordują.

Spiły się wtedy do nieprzytomności. To był jedyny raz w życiu Laury, gdy urwał jej się film. Rano miała jakieś przebłyski, pamiętała, jak klęczały obie nad toaletą, jak w kuchni robiły drinki z wódki i wszystkiego, co było w lodówce, nie pominęły chyba nawet musztardy i keczupu. Zośka odsypiała do wieczora, Laura poszła do pracy, choć to był najtrudniejszy dzień w jej życiu. Potraktowały ten wieczór jak eksperyment na żywym organizmie i przysięgły sobie, że nigdy więcej nie wyjdą poza jedną butelkę wina.

– Psychopaci lubią kobiety nadużywające. Są niewiarygodne jako świadkowie w sądzie... – przyznały zgodnie.

Laura uśmiechała się do siebie na wspomnienie wieczoru z Zośką. Chociaż zrobiły to ze dwa lata temu, wnioski płynące z ich pijackiej przygody pozostawały aktualne. Zośka wciąż całowała żaby, a Laura dryfowała po swojej kałuży, udając, że świat kończy się na najbliższym krawężniku.

Gdy płaciła za żabę, zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, Pszczółko – usłyszała głos Andrei. Całkiem ładnie zmięczał polskie głoski. – Masz jakieś plany na popołudnie?

– Żadnych.

– A może masz ochotę na spacer? Nie będziemy nic zwiedzać, tylko kawa i spacer.

– Biorę żabę i lecę.

– Żabę? – Trudno, żeby zrozumiał. Obiecała, że wyjaśni mu na miejscu.

Umówili się przy Panteonie. Wydostanie się z Zatybrza zajęło jej dłuższą chwilę. Czekał już na nią, gdy wpadła na plac.

– Zaprosiłem cię na leniwy spacer, nie na biegi przełajowe.

Pocałowała go na powitanie w policzek. Stała jeszcze przez chwilę bardzo blisko, próbując wyrównać oddech. Poczwała jego zapach, perfumy z najwyższej półki, choć nie była w stanie zgadnąć jakie. Mogłaby iść za nim jak arabska żona, byle tylko owiewał ją ten męski, zmysłowy zapach.

– Zabieram cię na kawę – zdecydował Andrea. – Jedną z dwóch dzisiaj.

– Jesteś świetnie zorganizowany, skoro wiesz, ile kaw wypijemy. Po drodze spacer, trzy skręty w prawo, dwa w lewo, jedno przejście przez ulicę i dwie minuty stania na światłach. O której mam grzecznie pożegnać się i zniknąć? – Oddech wrócił do normy, mogła podjąć rozmowę.

– Po drugiej kawie.

– Dobry pan, napoi, przewietrzy, może nawet drogę do domu wskaże...

Przekomarzając się, weszli do pobliskiej kawiarni Tazza d'Oro, niemal naprzeciwko Panteonu. Przechodziła obok niej wiele razy, kiedyś nawet wpadła tu na kawę, ale nie pamiętała, by coś ją urzekło. Tłum turystów, ciasno przy barze, kolejka do toalety. Ale wewnątrz szlachetne, trochę staromodne.

– Pij uważnie. – Andrea przytrzymał jej filiżankę z espresso, by nie wypięła za szybko. – I zapamiętaj ten smak.

Postanowiła o nic nie pytać. Całą uwagę skupiła na smaku, próbowała poczuć wszystkie niuanse i subtelności. Kawa jak kawa, przemknęło jej przez głowę, ale nic nie powiedziała. O coś w tej zabawie chodziło, nie zepsuje jej brakiem kawowego wyrobienia.

– Idziemy. – Swoje espresso Andrea wypił jednym haustem.

Prowadził ją wąskimi uliczkami, pokazywał piękne okna i urokliwe podwórka skryte za ogromnymi kutymi bramami, za które nie należało zaglądać. Szli powoli, po raz pierwszy bez wyraźnego celu. Andrea zatrzymywał się przy antykwariatach, wskazywał Laurze najpiękniejsze

książkowe starocie, opowiadał o tych, których poszukuje od lat i nigdzie nie może dostać.

– Moja znajoma powiedziała kiedyś, że nie wzięłaby do ręki książki, którą czytał ktoś inny. – Laura pamiętała przerażenie w oczach Lidki, która zorientowała się, że w biblioteczkę Laury znajdują się też książki antykwaryczne. – Jej zdaniem takie książki śmierdzą cudzym życiem.

– Jakie to niehigieniczne. – Zaśmiał się, wciągając Laurę do maleńkiego antykwariatu. – Chodź, pogrzezemy trochę brakiem higieny.

Namówił ją na zakup pięknego albumu z rycinami przedstawiającymi dziewiętnastowieczny Rzym. Niechętnie wyszli na zewnątrz.

– Uwielbiam czytać niedzisiejsze książki. – Laura ścisnęła album jak skarb. – W Polsce po drugiej wojnie światowej działo się mnóstwo złych rzeczy, ale pilnowano, by każda książka była porządnie przetłumaczona i starannie zredagowana. Można się nie zgadzać z ówczesnym systemem politycznym, ale czytanie książek z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych to prawdziwa przyjemność. Dzisiaj zdarza mi się przerwać czytanie jakiejś powieści, bo jest w niej tyle błędów językowych, że ciśnienie mi się podnosi ze złości. No ale jeśli zdarzają się wydawcy, którzy uważają, że skoro Word podkreśla błędy, to redaktor nie jest już potrzebny...

– Język jest dla ciebie taki ważny? Przecież to tylko forma...

– W łachmanach nawet książkę jest żebrakiem – zaperzyła się Laura. – Kocham piękne pisanie i mówienie. Język polski jest piekielnie trudny, ale niezwykle piękny. Daje ogromne pole do popisu, otwiera się na poezję i zabawę... Zresztą z włoskim też można się nieźle bawić.

Opowiedziała Andrei o swoich eksperymentach ze słownikiem. Otwierała go na dowolnej stronie, wybierała najładniej brzmiące słowo i sprawdzała, co znaczy.

– Nie wiem, na czym to polega, ale im ładniejsze słowo, tym dziwniejsze znaczenie. Zakochałam się w słowie muffa i pewnie trwałabym w tej miłości do dziś, gdyby się nie okazało, że oznacza pleśń. Albo ileo, czyli jelito kręte, ernia – przepuklina, gotta – podagra... Mogę długo wymieniać.

Wydawało jej się, że popatrzył na nią jak na kosmitę, ale po chwili milczenia sam zaczął opowiadać.

– A mnie się zawsze podobały słówka wulkaniczne. Zanim jeszcze dowiedziałem się, co znaczą, już mnie ciągnęło do takich słów jak fumarola, mofeta, solfatara.

– Bóg wulkanu się w tobie odzywa.

– Ktoś mi niedawno powiedział, że jestem jak Wezuwiusz. Może rzeczywiście mam w sobie coś wulkanicznego...

Ani się spostrzegła, jak stali przed Sant'Eustachio il Caffè. Niewielki lokal był szczelnie wypełniony ludźmi, po zapłaceniu za dwie kawy musieli przeciskać się do baru, gdzie młody człowiek z szybkością błyskawicy realizował kolejne zamówienia. Większość klientów wypijała swoje espresso jednym łykiem i zwalniała miejsce przy ladzie. Ale Andrea przytrzymał filiżankę Laury.

– Przypomnij sobie tamtą kawę, jej smak, zapach, konsystencję. A teraz spróbuj tej. Powoli.

Kawa z Tazza d'Oro wydawała się delikatniejsza w porównaniu z kawą z Sant'Eustachio, ale Laura nie odważyłaby się na dalej idące wnioski. Obie były mocne i pachnące.

– Która bardziej ci smakuje?

– Pierwsza.

Skrzywił się nieznacznie, jakby oczekiwał innej odpowiedzi.

– Właśnie wzięłaś udział w odwiecznym sporze rzymskich miłośników kawy o to, która kawa jest lepsza, ze Złotej Filiżanki czy ze Świętego Eustachia. Ja wolę tę kawę, ty zapisałaś się do drużyny przeciwnej. – Uśmiechnął się, zbierając się do wyjścia.

– No, to mam przechlapane.

– Każdy ma prawo dokonać w Rzymie własnego wyboru. Zresztą i tak najlepsza jest zawsze kawa w zaprzyjaźnionym barze.

Podeszli pod gmach senatu. Chociaż powoli zmierzchało, Andrea musiał jeszcze popracować.

– Nie zobaczymy się przez kilka dni, bo jutro jadę do domu na ślub i wesele bratanka. Mam jednak nadzieję, że potem znowu dasz się namówić na jakąś rzymską przygodę.

– Z panem ministrem zawsze. – Poprawiła mu krawat, pogłaskała po policzku na pożegnanie. – A teraz idź, rządz i nie dziel.



Właściwie nie musiał iść do pracy o tej porze, Giulia wysłała mu dokumenty mejlem. Nie był jednak pewien, co zastanie w domu, w jakim nastroju będzie Marta. Odkąd poszła na przymusowy urlop, wszędzie było jej pełno. Próbowwała się odwdziaczyć Andrei za pomoc, przygotowywała mu śniadania, gotowała kolacje, nawet wzięła się do generalnego sprzątanía, choć nigdy jej tego nawet nie zasugerował. I bez przerwy gadała, jakby cisza była przejawem niewdzięczności. Andrea wiedział, że za kilka dni Marta wyjedzie i ochłonie, postanowił więc nie robić rewolucji, nic nie tłumaczyć i niczego nie zmieniać. Jakoś to wytrzyma.

Cisza w budynku była kojąca. Tylko wielki zegar wystukiwał kolejne półgodziny, które mijały Andrei w pracy. Było już za późno na kolejną kawę, do herbaty nigdy się nie przekonał, za bardzo przypominała mu ziółka na niestrawność. Nalał sobie całą szklanekę wody mineralnej, swojej ulubionej, lekko gazowanej. Przymknął oczy.

Był zrelaksowany po spotkaniu z Laurą. Przyjemnie słuchało się jej pełnych zapału opowieści o książkach i pięknie brzmiących słowach. Rozbawiła go jej powaga w smakowaniu kawy. Gotów był się założyć, że nie widziała większej różnicy między obiema wypitymi kawami, ale z namaszczaniem podchodziła do każdego łyku, jakby od tego zależała jej reputacja. Była w niej jakaś pociągająca nieoczywistość.

Wszystkie kobiety w jego życiu miały w sobie coś niezwykłego, na bezbarwne nie zwracał uwagi. Nijakie łatwiej byłoby pożegnać, ale on nigdy nie wybierał łatwych dróg. Przypomniął sobie pierwsze pożegnanie. Po śmierci Carli zawałiło się całe jego życie. Ta, którą kochał pierwszą miłością, odeszła. Umarła ta, dla której porzucił Boga, opuścił seminarium. Nie docierały do niego słowa przyjaciela Domenica, który przecież stracił siostrę.

Uciekł do Rzymu, do innego życia. Pełnego alkoholu, kobiet, zapomnianych nocy.

Na szczęście Domenico nigdy go nie opuścił. Zaczął studia w Watykanie i cały czas go odwiedzał. Znał duszę Andrei, wiedział, że odrodzenie może nastąpić przez piękno, przez sztukę, którą obaj tak bardzo kochali. Przypomniawszy mu zachwyty nad obrazami w kościele w Montepulciano, gdy byli dziećmi, potem nad Ducciem, w końcu nad Caravagiem. Podrzucił kiedyś Andrei biografię mistrza. I chyba właśnie nad lekturą tej książki nastąpiła pierwsza przemiana. Andrea czytał o kimś, kto znalazł się między światłością a ciemnością, kto też zszedł z drogi, ale zobaczył jasny punkt. Domenico poszedł za ciosem i namówił przyjaciela na kurs rysunku.

Andrea trafił na wyjątkową nauczycielkę. Miała go uczyć rysowania piękna, a tymczasem sama była uosobieniem piękna. Bardzo szczupła i wysoka, miała na sobie czarną tunikę z dzianiny. Oko Andrei dostrzegło bujne piersi i to, że nie nosiła stanika. Nieco speszony, podniósł wzrok i spotkał się z jej oczami. Nigdy takich nie widział. Duże i ciemne, w ciemnej oprawie. Jednocześnie melancholijne i zapraszające do szaleństwa. Nie mógł oderwać spojrzenia.

– Jestem Nicole... – rzuciła rozbawiona jego skupieniem.

Oczy zawdzięczała babce Algierce. Była trzy lata młodsza od Andrei. Słabo mówiła po włosku, więc po kilku lekcjach zaproponowała, że za prywatne lekcje włoskiego będzie mu udzielać prywatnych lekcji rysunku. Spotykali się prawie rok, ucząc się siebie nawzajem. Każde z nich chciało tych spotkań, ale bało się uczucia. Każde z innych powodów. On obiecał sobie, że nigdy już nie będzie kochać, bo kocha się tylko raz. Ona nie chciała kochać, bo nie wierzyła w miłość. W niewiele rzeczy wierzyła.

Ostatnią noc przed jej wyjazdem na wakacje do ojczystej Francji, do Nicei, spędzili na włóczeniu się po Rzymie. Ustalili, że jeśli coś ma z tego być, to spotkają się za dziewięćdziesiąt dziewięć dni w miejscu, w którym się rozstali, i o tej samej godzinie. Przez ten czas nie będą się ze sobą kontaktować. Sto dni później szukali mieszkania. Wynajęli dwupokojowe, niedaleko Termini, nie razem, tylko na spółkę. Każde miało swój pokój i częściowo swoje życie. Po roku wiedział, że kocha i jest kochany. Wtedy przywiózł Nicole do domu. Była zaskoczona i zachwycona tym, co zobaczyła. W nocy słyszał, że płacze. Nigdy nie spytał dlaczego. Rano przy śniadaniu stanęła przed rodzicami Andrei i poprosiła o jego rękę. Chciał jechać do Nicei do jej rodziców. Stwierdziła, że to zbyteczne.

Ślub odbył się dwa miesiące później, w pierwszą sobotę sierpnia. Swoich teściów poznał dopiero rankiem tego dnia. Państwo de Brie, stara francuska arystokracja. Wtedy zrozumiał, dlaczego jego oświadczyzny nie miałyby sensu. Zdaniem przyszłej teściowej był nieodpowiednią partią. Włoch ze wsi. Ciekawe, co ona teraz myśli. Pani de Brie nie znała słowa po włosku ani w żadnym innym języku poza własnym, przecież to inni powinni uczyć się francuskiego. Zresztą nawet gdyby znała, i tak nie byłaby zainteresowana rozmową. Co innego teść. Był projektantem samochodów i nawet pracował w Turynie, znał włoski i zaraził najstarszą córkę miłością do sztuki. Zakochał się w Montepulciano.

Wesele było jednym z największych wydarzeń w ich wsi, szczególnie zapamiętano siostry panny młodej, Veronique i Catherine, równie piękne jak ona. Pod wpływem wina i radosnej atmosfery wyrwały się całkowicie spod wpływów matki, zatraciły w tańcu, jak się potem okazało, dosyć skutecznie. Veronique urodziła dziewięć miesięcy po ślubie ślicznego chłopczyka. Ojciec pozostał nieznany. To wydarzenie ostatecznie pogrzebało szanse na ocieplenie kontaktów między madame de Brie a Andream.

Dość szybko zaczął utrzymywać bliższe stosunki z innymi kobietami. Tłumaczył sobie, że to nic złego, że robi to tylko dla sportu i zdrowia psychicznego. Przecież stanowili z Nicole idealne małżeństwo. Nigdy jej nie zanieczyścił. Innym kobietom nie pozwolił zbliżyć się do siebie uczuciowo. Zrywał znajomości, gdy zaczynało chodzić o coś więcej niż seks. A potem musiał kogoś związać uczuciowo i sprawdzić. Takie miał zadanie, zadanie dla dobra innych. Kiedy tamta kobieta zorientowała się, że pocałunki i miłosne zaklęcia były tylko grą, z zemsty powiedziała wszystko Nicole. Tak Andrea myśli, bo gdy wrócił do mieszkania, nie było w nim Nicole. Klucze zostawiła u dozorczyni.



Zasiedziała się na podwórku przed domem. Sąsiadki sióstr Manzoni często wyglądały przez okno, prowadziły ożywione rozmowy z balkonów, czasami w ciągu dnia przysiadły na ławeczce, jednak z nadejściem zmierzchu chowały się w zaciszu swoich sypialń. Wtedy pojawiała się Laura, która lubiła przed wejściem na swoje poddasze posiedzieć trochę na zewnątrz, a ponieważ wieczory były teraz naprawdę ciepłe, chwilami zatracala się w tym siedzeniu. W Polsce brakowało jej takich ciepłych, niemal upalnych wieczorów, które kontynuowały urok letniego dnia.

– Cześć, sąsiadko – wyszeptał Matteo, nachylając się dyskretnie, by nie zmącić ciszy. – Rozmawiałem wczoraj z profesorem. Był pod wrażeniem twojego tekstu. Wprowadziłaś go w tak dobry nastrój, że bez trudu zaliczyłem swoje wystąpienie.

Laura uświadomiła sobie, że wczoraj seminarzyści profesora Scorziiego rozliczali się ze swoich osiągnięć przed rozpoczęciem przerwy wakacyjnej. Ona była zwolniona z tego obowiązku, gdyż uczestniczyła w seminarium na innych zasadach niż reszta studentów. Sama sobie narzuciła pewną dyscyplinę i przedstawiła profesorowi własną, bardzo indywidualną wizję postrzegania Caravaggia, w czym duży udział miał Andrea. Ucieszyła się, że profesorowi spodobał się jej sposób widzenia mroków i blasków wielkiego buntownika.

– Jak wam poszło?

– Wszystkim dobrze. Veronique trochę plotła, ale jej dekolt sprawił, że profesor patrzył, nie słuchał. Za to Lucia mówiła i mówiła. Mieliśmy problem, żeby jej przerwać. Ambitna dziewczyna.

– I ładna. – Laura nie mogła się powstrzymać, przypominając sobie westchnienia koleżanki.

– To fakt. – Wydawało jej się, że w oczach Mattea dostrzegła zamglonie.

Trwało to jednak ułamek sekundy, już po chwili patrzył na nią przejrzyście i z charakterystycznym dla siebie dystansem. – W niedzielę organizujemy małe spotkanie towarzyskie na dobry początek wakacji. Wpadniesz?

– Chętnie. – Uśmiechnęła się.

Nagle ciszę wieczoru przerwało głośne miauknięcie, potem drugie i trzecie. Pierwsze, eleganckie, pochodziło od dorosłego kota, reszta to były spazmatyczne okrzyki kociąt, które próbowały ogłosić światu swoje istnienie. Laura i Matteo bez słowa podeszli w stronę, skąd dochodziły kocie rozmowy. W wielkim koszu, do którego ktoś wrzucił dwa stare koce, leżała Księżniczka i jej cztery maluchy.

– Tym razem nie zaszalała z ojcem, wybrała podobnego. – Luca zaśmiał się cicho. Rzeczywiście wszystkie kocięta były czarno-białe, w różnych proporcjach, ale konsekwentnie dwubarwne. – Poprzednio urodziła rudzielce, a jeszcze wcześniej cały miot był szary. Albo się zestarzała i zaprzestała ekstremalnych przygód, albo postanowiła zadbać o czystość gatunkową.

– Boże, jakie one są słodkie. – Laura miała ochotę wziąć je wszystkie na ręce, ale Matteo ją powstrzymał.

Miał rację, to nie był właściwy moment, zdecydowanie za wcześnie. Teraz należały tylko do swojej mamy, świat mógł co najwyżej popatrzeć. Jedno kocię spojrzało na niespodziewanych gości. Całe czarne z białą plamką na pyszczku wyglądało zadziornie, jak mały rozbójnik z podbitym okiem. Miauknęło, polizało łapkę i wtuliło się w mamę, która sprawdziła, czy cały drobiazg jest na swoim miejscu, i też zamknęła oczy. Laura i Matteo odsunęli się, by nie zakłócać spokoju kociej rodziny. W ciszy przepełnionej radością pierwszego spotkania z kociętami rozeszli się do domów.

Na górze Laura włączyła radio i cały pokój wypełnił się drapieżnym głosem Gianni Nannini. Trudno było pozostać obojętnym wobec jej chrypki. To był kawał dobrej muzyki, ale po przesłuchaniu dwóch piosenek miało się ochotę przełączyć na szum drzew lub plusk strumyka. Włosi w ogóle mają coś z tą chrypką, uważała Laura, wszyscy śpiewają szorstko, przy czym kobiety zazwyczaj za ostro, a mężczyźni jakoś tak mało charakternie. Przyzwyczajona była do czystych, dźwięcznych głosów polskich, a we Włoszech wszystko zdawało się chropowate.

Na początku drażniła ją włoska muzyka współczesna, wszystko wydawało się podobne. Kiedy jednak zaczęła przyglądać się uważniej temu, co dzieje się na włoskich scenach, odkryła kilku interesujących piosenkarzy. Chętnie

słuchała Neka, lubiła się pobujać, gdy śpiewał Neffa czy Jovanotti. Wśród śpiewających kobiet wypatrzyła Ninę Zilli, Irene Grandi i Emmę. Lepiej znała muzykę włoską niż polską, mogła jednym tchem wymienić kilkudziesięciu wykonawców włoskich, a z polskich wciąż pozostawała w kręgu lat dawno minionych.

– Ile można tego słuchać – marudziła Monika, gdy wpadała z wizytą do Laury, a w powietrzu niezmiennie unosiły się włoskie melodie. – Czy ktoś ci już powiedział, że istnieje życie poza Italią?

– Coś ktoś wspominał, ale nie ma na to dowodów – odburkiwała urazona krytyką. I pogłasniała muzykę.



Spało mu się tak dobrze, że nie usłyszał budzika. Chciał wyjechać z Rzymu, zanim wszyscy kierowcy wyruszą na ulice, i przemknąć niezauważenie przez śpiące jeszcze miasto. Stał jednak w sznurze samochodów, które również próbowały opuścić miasto. Włączył radio. J-Ax i Elio śpiewali właśnie o blokowaniu obwodnicy. Muzyka zupełnie nie w jego guście, ale wycucie chwili idealne, wysłuchał więc do końca, dopiero potem wrzucił płytę Ludovica Einaudiego i odpłynął zanurzony w niezwykłych dźwiękach tego wykonawcy. Przestał zwracać uwagę na inne samochody, odprężył się i nie spoglądał co minutę na zegarek, jakby sprawdzanie upływu czasu miało zmniejszyć korki.

Cieszył się na ślub bratanka. Każdy zasługuje na szczęście, a Paolo nawet bardziej niż wielu jego rówieśników. Jego ojciec Silvio był najstarszym synem, nigdy jednak nie chciał przejąć gospodarstwa po rodzicach, jak nakazywała tradycja. Jego pociągało miasto i technika. Próbował wymyślać urządzenia ułatwiające życie. Niektóre jego wynalazki, jak maszyna do zbioru oliwek, leżały gdzieś w garażu. Zamiast studiów wybrał wojsko, trafił do jednostki pod Florencją. Tam poznał Vittorię, córkę właściciela dużego warsztatu samochodowego. Pobrali się, gdy tylko Silvio skończył służbę. Po niespełna roku urodził im się pierwszy syn, Giuseppe, cztery lata później Paolo i w końcu oczko w głowie tatusia, córka Cecilia.

Warsztat przynosił dobry i stały dochód, Silvio miał rękę do wszelkich urządzeń technicznych i nie narzekał na brak klientów. W dodatku dopisywało im szczęście. Kiedy okazało się, że w pobliżu warsztatu będzie zjazd z nowej obwodnicy Florencji i droga na lotnisko, Silvio zainwestował w małą stację paliw i niewielki bar. Trafił w dziesiątkę, bar szybko zmienił się w motel.

I wtedy Vittoria zaczęła chorować. Nie pomogło leczenie w najlepszych

i najdroższych klinikach. Po roku został sam z trójką dzieci, Cecilia miała siedem lat. Wydzierzawił motel, a pieniądze z najmu przeznaczał na naukę dzieci. Sam wrócił do ciężkiej pracy w warsztacie. Teraz Paolo się żenił, a Cecilia po wakacjach szła na studia w Rzymie. Na grafikę, jak jej matka chrzestna.

Przed domem stał już samochód Nicole, Andrea zaparkował obok. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie, dzieci zapewne bawiły się z tyłu, a w domu dorośli zaczęli przygotowania do ślubu.

– Kiedy Nicole przyjechała? – zapytał mamę, gdy przywitał się ze wszystkimi domownikami zgromadzonymi na dole.

– Dzisiaj po północy, była zmęczona, więc niech się wyspi – do rozmowy włączyła się siostra Andrei. – Rozmawialiśmy o jedzeniu na wesele. Tata nie chce cateringu.

– Nie chcę! Tyle bab w domu, a jedzenie będą robić obcy. Wstydl!

Mama upierała się przy swoim. Gości miała być ponad setka, nie licząc dzieci. Samej rodziny pary młodej naliczyli ponad sześćdziesiąt osób, do tego przyjaciele i sąsiedzi. Nie miała dość siły, by zarządzić tak wielkie gotowanie, część krewnych przyjedzie w ostatniej chwili, niewielka z nich będzie pomoc. Zamówione jedzenie to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Andrea postanowił zostawić sprzeczących się rodziców i przywitać się z Nicole. Wolał, aby ich pierwsze spotkanie po latach nastąpiło bez świadków. Ruszył z walizką do sypialni na górze. Do pokoju, który kiedyś był jego pokojem, potem ich wspólnym, a teraz znów tylko jego. Zaskoczył go mrok. Nicole spała jak zwykle na boku w pozycji embrionalnej, bez poduszki, całkowicie przykryta kołdrą. Przypomniał sobie, ile czasu zajęło im znalezienie wspólnej pozycji, w której mogliby spać razem. On zawsze spał wyprostowany, na plecach, wysoko na poduszce, spokojnie, niemal bez ruchu przez całą noc. Bracia śmiali się, że wygląda, jakby leżał w trumnie. Nie spał z kobietami, tylko chodził z nimi do łóżka. Dopiero przy Nicole uczył się bycia z inną osobą również podczas snu.

Poruszyła się, chyba jego wejście było zbyt głośne.

– To ty? – zapytała.

– To ja. Nie chciałem cię obudzić. – Podszedł do łóżka.

– Już wstaję. – Odrzuciła kołdrę.

Faktycznie miała jasne włosy, była platynową blondynką. Sięgnęła po okulary na szafce, nowoczesne, wąskie szkła w fioletowej oprawie. Zawsze

była na bieżąco z modą, ale nigdy nie nosiła okularów.

– Zmieniłaś się.

– Mam nadzieję. A ty wcale, żadnego komplementu na powitanie.

– Zawsze świetnie wyglądasz, a teraz ten blond. Ale sypiasz wciąż nago... Cieszę się, że cię widzę. Naprawdę. – Objął ją w talii jak dawniej i zastanawiał się, czy pocałować.

– Też czekałam na ten ślub. – Ona się nie zastanawiała, pocałowała go. – Zaczekaj chwilę, zejdziemy razem na dół. Zateśniłam za kawą, tutaj smakuje inaczej.

Nicole należała do nielicznych kobiet, które potrafiły w pięć minut ubrać się i zrobić makijaż. Kilkoma pociągnięciami kredki i szminki podkreślała w swojej twarzy to, co najbardziej przyciągało wzrok innych. Nie zmieniła się pod tym względem. Andrea ledwie zdążył wypakować swoje rzeczy, a ona już stała obok gotowa. Miała na sobie krótką spódniczkę w niewielkie maki. Nie wyglądała na swoje czterdzieści dwa lata.

Andrea wziął ją pod rękę i razem zeszli po schodach. Na dole powitała ich Cecilia.

– Cześć, ciociu, dzień dobry, wujku, właśnie przyjechaliśmy. Wiecie, że przyjęli mnie na akademię?

– Wiem, gratuluję, mama mi powiedziała dzisiaj w nocy. – Nicole serdecznie wyściskała chrześnicę. – Dam ci w prezencie pierwsze sztalugi. Mam w bagażniku. Też je kiedyś dostałam.

– Dziękuję.

Nie było długiego śniadania, była raczej burza mózgów i dzielenie zadań pomiędzy poszczególnych członków rodziny przy szybkiej porannej kawie. Niczym w biurze, a nie w starym tokańskim domu. Pracy było naprawdę dużo, każdy chciał pomóc, niestety większość zgłaszała się do tego samego. Nad sytuacją zapanował dopiero Andrea, w końcu był ministrem i zarządzał naprawdę dużą instytucją.

Zdecydował, że Giordano i Silvio przywiozą stoły na uroczystość, a on z ojcem sprawdzą potrawy w firmie cateringowej. Miał nadzieję, że dzięki degustacji głowa rodu zmieni swoje podejście do zamawianego jedzenia. Kobiety w domu miały zająć się przygotowaniem ciast. Pan młody dopinał ostatnie szczegóły w kościele, u fryzjera i fotografa. Nicole i Cecilia miały przyozdobić stoły. Wszyscy w rodzinie pamiętali, jak Nicole przystroiła ogród na własne wesele. Połączyła nowoczesność z tradycją Toskanii, przez lata

wiele wiejskich wesel w okolicy próbowało nieudolnie naśladować jej dzieło. Dzisiaj miała do pomocy Cecilie. Efekt powinien być oszałamiający.

Cały dzień w obejściu Lituano trwała nerwowa krzątania przy akompaniamencie stukania młotków, świdrującego dźwięku wiertarek i napomnień głowy rodu, by nie uszkodzić żadnego drzewa w sadzie. Nawet zwierzaki domowe wyczuły atmosferę i przezornie zniknęły wszystkim z oczu. Tą częścią prac dowodził Silvio jako najbardziej utalentowany technicznie w rodzinie. Sprawdzał, czy stoły stoją idealnie równo, siadał na każdej z ław, by potwierdzić stabilność oparcia, a młotkiem dobijał kołki, do których przywiązane były linki podtrzymujące namiot. Zrobił to tak dokładnie, że gdyby nawet nagle zaczął wiać scirocco, namiot na pewno oparłby się jego porywom.

Na szczęście ojciec Andrei wrócił z wizyty w firmie cateringowej w doskonałym nastroju. Uznał, że potrawy są prawie jak domowe. Wpływ na tę opinię miała niewątpliwie menedżerka firmy i nalewka firmowa, którą ugościła starszego pana. W ramach degustacji senior Lituano wywalczył jeszcze dania na obiad dla całej rodziny. Nie wiedział, że już wcześniej wliczone były w cenę, a Andrea nie zamierzał wyprowadzać ojca z błędu.

Gdy słońce zaczęło mocno przygrzewać, wszyscy postanowili zrobić sobie przerwę i coś zjeść. Ponieważ obiad jedli przy stołach przygotowanych na wesele, wszystkim udzielił się podniosły i radosny nastrój. Ojciec Andrei zaczął wspominać własny ślub i ucztę po nim, na którą zabito trzy woły, a goście trzeźwili przez kilka dni. Do kościoła jechali powozem ciągniętym przez białe konie, a trąbki przygrywały im tak głośno, że zagłuszały dzwony w kościele. Babcia skwitowała jedynie, że starszemu panu od ciepła i wieku coś na mózg padło, ale wersję z winem i końmi podtrzymała. Żałowała, że teraz z kościoła młodzi nie będą wracać powozem, tylko w zakrytym samochodzie. Konie by się znalazły, a i powóz gdzieś jeszcze jest na wsi, chyba w starej szopie Carlettich. Dałoby się to zorganizować, ale młodzi wolą samochody...



Spóźniła się tylko chwilę, ale Maria Elena powitała ją tak lodowatym spojrzeniem, że od razu stanęła na baczność przy swoim stanowisku do gotowania.

– Giancarlo będzie później – zaczęła bez powitań i wstępnych czułości. – Dzisiaj ostatnie zajęcia w szkole. Umiecie już, albo przynajmniej wydaje się wam, że umiecie, zrobić saltimbocę, arrabiatę, amatricianę, karczochoy, flaki i jeszcze kilka innych dań. Jeśli nie zapomnicie, czego was tu nauczyliśmy, będziecie umieli przygotować całkiem porządny rzymski posiłek. Dziś zrobimy gnocchi alla romana, zapiekane kluseczki z semoliny. Proste, choć nie da się ich przygotować bez poświęcenia im odpowiedniej uwagi, więc nie chichotać po kątach, tylko patrzeć i się uczyć. Będziecie potrzebowali semoliny, mleka, parmezanu, żółtek i masła...

Bez słowa obserwowali, jak Maria Elena ściera parmezan, oddziela żółtka od białek, podgrzewa mleko z masłem, a potem cieniutką strużką dodaje semolinę.

– Mieszać, cały czas mieszać. – Groźnie popatrzyła na wszystkich, jakby z góry wiedziała, że zapomną o mieszaniu. Potem zdjęła garnek z ognia, dodała żółtka i parmezan, dokładnie wymieszała i odstawiła na bok. – Moje się studzi, a teraz wy zabierajcie się do roboty. Szybko, nie zapomnijcie o fartuchach i opaskach na włosy. Kuchnia to nie plac zabaw.

Grzecznie wyjęli wszystkie produkty i zaczęli mieszać, w ciszy i skupieniu. Jak na ostatnią lekcję atmosfera była dość wisielcza. Zdążyli się wszyscy dobrze poznać, przeżyli niejedną katastrofę kulinarną i śmiechem pokrywali przedziwne smaki, które udało im się przez przypadek osiągnąć. Polubili się i dobrze im się razem pracowało w swobodnej atmosferze. Teraz czuli się jak na egzaminie.

– Witajcie, moi drodzy kursanci. – Giancarlo wpadł z hukiem do sali, a wraz z nim pojawiło się słońce.

Maria Elena sapnęła gniewnie. Zapewne miała nadzieję doprowadzić te zajęcia do końca w dyscyplinie, a teraz znowu zapanuje chaos. Będą się zachowywać jak dzieci, a nie jak kucharze. Zaczną wkładać palce do garnków, dosypywać dziwne przyprawy, zachwycać się tym, jak świetnie gotują. Skaranie boskie! Czy Giancarlo nie mógłby się zająć poważnym gotowaniem, zamiast niańczyć tę zagraniczną zbieraninę?

– Widzę, że mama przeprowadziła was już przez początek naszego dzisiejszego spotkania. Gnocchi alla romana w dawnych czasach jadano w czwartki, ale my możemy zrobić wyłom w tej tradycji i zjeść je w sobotę, zwłaszcza że to nasze ostatnie spotkanie, a więc okazja jest ku temu odpowiednia. Jeśli poświęcicie trochę czasu tej potrawie, zachwyci was delikatnością wewnątrz i chrupkością na zewnątrz. To dowód na to, że prosta kuchnia potrafi być niezwykle smaczna. Nie naśladujcie francuskich kucharzy, którzy robią zakupy na jeden obiad jak na cały miesiąc, bo muszą dodać trzydzieści składników, żeby danie imponowało wyrefinowaniem. We Włoszech im mniej, tym lepiej. Trzy dobre składniki zrobią wam obiad znacznie lepiej niż cały sklep kolonialny. Odrzucamy komplikacje, wybieramy prostotę!

Jego ręce oczywiście znowu wystrzeliły do góry, a głos wypełnił się natchnieniem. Matka syknęła, ale Giancarlo poszybował już na wyżyny kulinarnego uniesienia.

– Nie dajcie się fast food, ale nie ulegajcie też kulinarnym dziwactwom, skomplikowanym wynalazkom jak z laboratorium. Radość gotowania tkwi w tradycji, w smakach, które są przekazywane przez pokolenia...

Maria Elena trzasnęła pokrywką, więc jej syn na chwilę zszedł na ziemię. Szybko pokazał wszystkim, co trzeba zrobić z przygotowaną wcześniej masą, jak wyciąć z niej piękne talarki i je zapiec, otrzymując pyszne danie.

– Wyglądają skromnie, ale smakują niebiańsko. – Giancarlo znów zaczął się unosić.

Jedli ze smakiem, dziwiąc się, że tak proste danie może dawać tyle radości. Dużo się nauczyli podczas kursu, a przede wszystkim dużo spróbowali. Nawet jeśli nie będą mistrzami gotowania, otarli się o prawdziwe smaki włoskiej kuchni. Laurze najbardziej smakowała carbonara, Erika wciąż nie mogła wyjść z podziwu nad saltimbocą, kotlecikami cielecymi z szynką i szalwią,

a Jenny i Elisabeth przeżywały przygotowanie i jedzenie flaczków, które brzmiały fatalnie, wyglądały średnio, a smakowały doskonale. Julio i Alejandra opanowali do perfekcji obieranie karczochów, które w ich wydaniu, z miętą, były naprawdę niebiańskie. Laura lubiła jeść karczochy przygotowane przez innych, jej samej nie leżały w rękę, nie potrafiła ich obrać i przyprawić. Zdecydowanie wolała bakłażany, pomidory, cukinie i całą resztę warzyw pachnących słońcem.

– A ponieważ są to nasze ostatnie zajęcia... – Giancarlo przerwał im rozmowy o rzymskiej kuchni – ...chciałbym obdarować was prezentami, dzięki którym nie zapomnicie ani o mnie, ani o rzymskim gotowaniu. Pozostaniecie w moim sercu, a ja bardzo pragnąłbym pozostać w waszych. – Głos mu się załamał, więc odchrząknął i zajrzał do swojego magicznego kosza z prezentami.

Julio i Alejandra dostali dwa identyczne fartuszki do kuchni, żeby mogli razem gotować. Erika ucieszyła się z pięknej buteleczki na oliwę i przykazania, by w swoim dalekim kraju nie zapomniła o smaku oliwy, bo to w niej kryje się słońce. Anna w końcu się uśmiechnęła, gdy Giancarlo wręczył jej piękne lazurowe łyżki do sałatek, a Jenny i Elisabeth oszalały ze szczęścia z powodu talerzyków na przystawki. Lu dostała notes na przepisy, a Annalisa zabawny obrazek z uczującymi zwierzętami.

– A dla ciebie, droga Polko z daleka, mam figurkę pewnego niezwykłego świętego. Sprawdziłem nawet, jak się nazywa po polsku, ale nie umiem tego przeczytać. – Zaśmiał się i pokazał kartkę z napisem „Wawrzyniec”. – San Lorenzo jest patronem kucharzy i piekarzy, a to za sprawą swojej tragicznej śmierci w ogniu. Upiekli go na ruszcie, a on jeszcze kazał się przewrócić na drugi bok, bo ten mu się już zrumienił. Niezwykły człowiek. Dzielny, mężny, uparty. I dbał o ludzi. Bądź też wytrwała, nie tylko w gotowaniu. I uważaj na ogień...

Wszyscy się zaśmiali, ostatnie słowa Giancarla nie dotyczyły tylko męczeńskiej śmierci patrona, ale i smażenia kotletów cielęcych, kiedy Laura przez roztargnienie włożyła rękę w ogień i resztę lekcji spędziła z ręką w misce z lodem.

Mistrz włożył sporo wysiłku w przygotowanie prezentów, przekazywał je wszystkim z osobistym przesłaniem. Każdemu dał coś, co było z nim związane. Annalisa opowiadała o swoim psie, Lu ciągle szukała kartki, żeby zapisać przepis, Bułgarka Anna lubiła biżuterię w kolorach morza. Dary Giancarla

były doskonale dopasowane. Laure prezent wzruszył z jeszcze jednego powodu. Nie wiedziała, czy kucharz skojarzył jej imię ze świętym, ale wyszło mu to pięknie. I Laura, i Lorenzo pochodzą od lauru, podobnie jak Wawrzyniec od wawrzynu, czyli właśnie lauru. Figurka świętego była więc darem ważnym po wielokroć. San Lorenzo miał ją chronić od niebezpieczeństw, opiekować się nią, gdy wkraczała do kuchni, popychać ją w stronę zwycięstw, wszak wieniec laurowy zakładano na głowy tylko najlepszym.

Pożegnali się jak przyjaciele, powymieniali adresami, obiecując sobie utrzymanie kontaktu. Laura wracała do domu, ściskając w kieszeni małą figurkę wielkiego świętego. Jej własnego świętego, jakkolwiek obrazoburczo by to zabrzmiało.



Po posiłku pod nadzorem Silvia zostało zamontowane oświetlenie w namiotach nad stołami oraz w samym ogrodzie, a dziewczyny zamaskowały wszelkie elektryczne kable i kabelki kwiatami, zmieniając je w przepiękne girlandy. Gdy zapadły ciemności, przeprowadzono próbę. Wyszła imponująco. Brakowało jedynie orkiestry na podeście i gości za stołami.

Przed północą kobiety i dzieci zdecydowały się iść spać, żeby wypocząć przed ważnym dniem. Pozostali tylko mężczyźni, którzy spontanicznie zorganizowali szybki wieczór kawalerski, aby tradycji stało się zadość. Podając sobie butelkę wina z ręki do ręki, próbowali przekonać Paola do zmiany decyzji. Gdy ten pozostał przy swoim zamiarze, stwierdzili, że szkoda nocy i jak przystało na porządnych pantoflarzy powinni wracać do kobiet, które na nich czekają.

Andrea pokręcił się jeszcze trochę po ogrodzie. Odwiedził swoje koniki w stajni, podrażnił się z psami, które wyrwał z głębokiego snu, po czym skierował się do sypialni. Wziął szybki prysznic, by nie budzić reszty domowników. Nicole nie spała jeszcze, czytała. Zrzucił szlafrok i wszedł do niej pod prześcieradło...

– Ciągłe bierzesz zimny prysznic i nie używasz ręcznika – mruknęła, przytulając się do niego.

– Nie tylko ty nie zmieniasz swoich przyzwyczajeń. – Objął ramieniem jej nagie ciało.

Leżeli w łóżku, przytuleni, jakby ostatnich lat w ogóle nie było. Ostatni raz chyba tak beztrąsko wtuleni w siebie byli właśnie tutaj, w jego domu. To była ostatnia próba ratowania ich małżeństwa podjęta przez mamę Andrei. Postanowiła tradycyjnie na rocznicę ich ślubu zamówić w kościele mszę. Andrea nigdy do końca nie był pewien, czy jego mama lubiła Nicole, bo była

żoną jej ukochanego syna, czy też było to uczucie płynące z głębi serca. Na pewno zależało jej, aby trwali w związku. Przez te wszystkie lata Nicole wrosła mocno w rodzinę Lituano.

Na pewno drażnił ich nieco wybuchowy i bardzo zmienny charakter Nicole, ale skoro Andrea twierdził, że jest artystką, a artyści tak mają, to nie dyskutowali. Czasami buntowali się, gdy dokonywała artystycznych rewolucji w ich domu, ale także ulegali. Pierwszą i największą był pomysł otynkowania domu i pomalowania ścian na biało. Z trudem na to przystali, a potem byli zachwyceni bielą ścian kontrastującą z czerwienią dachu i zielenią pobliskich pinii i cyprysów. Wtedy jej zaufano, uznano, że może rzeczywiście jako artystka widzi więcej i dalej.

Andrea i Nicole znów byli w tym samym łóżku ze sobą, a jutro w tym samym kościele, w którym brali ślub, miała się odbyć msza, potem uroczysty obiad. Tylko w innej intencji, o pomyślność innego związku.

– Chcesz mnie uśpić. – Głos Nicole wyrwał Andreę z zamyślenia.

Dopiero teraz skojarzył, że cały czas delikatnie dmuchał jej za uchem. Był to najlepszy sposób, by zapadła w sen. Zawsze miała kłopoty z zasypianiem, ale delikatny oddech Andrei był na to najlepszym lekarstwem.

– Nie, tak sobie dmucham, klimatyzuję.

– Piłeś!

– Piłem, wszyscy piliśmy, przecież to ostatni wieczór wolności Paola.

– Ach, ta wasza męska wolność. I co dobry wujek doradził w tej sprawie? Wujek kocha wolność...

– A było tak miło...

– Dlaczego było, dalej jest. Tęskniłam za tym dmuchaniem...

– Nicole, czy będziemy wciąż udawać, że nic się nie wydarzyło, że obudziliśmy się z zimowego snu po tysiącu trzystu pięćdziesięciu dniach?

– Nie, już nigdy nie będę udawać. Powiedziałam uczciwie, że brakowało mi twojego oddechu na karku przed zaśnięciem. To jedna z najmilszych rzeczy, jakie kojarzą mi się z tobą. I przez te cztery lata starałam się zapomnieć wszystkie niemiłe.

– Czyli bilans jest dodatni.

– Teraz tak. Dlatego chcę dać ci rozwód...



Nie otwierała oczu, żeby resztki snu nie rozproszyły się, zanim wszystko zapamięta. Obudziła się wewnętrznie rozgorączkowana, mimo że miniony dzień zakończył się kojącą ciszą. Zaraz po lekcji gotowania z Giancarlem wróciła do swojego podniebnego pokoju, postawiła osobistego świętego na szafce nocnej, by zawsze był w zasięgu wzroku, a potem czytała powieść, jakąś pogodną historię o miłości. Zasypiała ukojona dobrym dniem. A teraz czuła niepokój lub podniecenie, nie umiała tego nazwać. Pod przymkniętymi powiekami przesuwały się sceny ze snu, który chyba wciąż trwał.

Była w jakimś wielkim domu, między pokojami przechadzali się jej znajomi i krewni. Mnóstwo znanych twarzy, niektóre bez imion, inne z zapomnianych przeszłości, jacyś koledzy ze szkoły, przyjaciółki babci z kółka różańcowego, nauczycielka historii i zezowata woźna, Zbyszek, który w szóstej klasie przez przypadek popełnił samobójstwo, pani Róża z sąsiedniej klatki, rozdająca wszystkim dzieciom cukierki własnej roboty, a w kącie Janusz, niezdara, piętnaście lat później mistrz świata w scrabble. Tyle tych pokoi.

– Zamieszaj bigos – przypomina Darek i ucieka, bo przecież wszyscy wiedzą, że nie cierpi bigosu.

– Proszę pani, a Krzysiek się bije! – Biegną za nią trzy szczerbate dziewczynki, jedna z nich to chyba Małgosia, córka sąsiadki.

– Paczka dla pani. – Tylko dlaczego listonosz ma twarz jej dyrektora muzeum? – Proszę tu pokwitować.

– Specjalnie dałaś nam wybrakowane puzzle. – Zośka i Monika prawie skończyły układankę. Zajmuje całą podłogę w jednym z pokoi: Laura w pięknej sukience, obok niej jakiś mężczyzna, w miejscu twarzy dziura; że też akurat tam musiało zabraknąć kawałków.

– Idź już do szkoły, nie możesz się spóźnić na klasówkę. – Ciotka Sabina

pakuje jej do torby kanapki z kotлетem schabowym.

Pokój za pokojem, bez końca. Gdziekolwiek skręci, nowe drzwi i żadne nie prowadzą na zewnątrz. Czuje, jak jej nogi odmawiają posłuszeństwa, pragnie już tylko usiąść.

Za niebieskimi drzwiami pokój z wielkim obrazem na ścianie. Odpoczynek podczas ucieczki do Egiptu Caravaggia, najpiękniejsza Madonna z Dzieciątkiem, jaką Laura kiedykolwiek w życiu widziała. Siada przy stole i zaczyna układać obraz z małych szklanych kostek. Mozaika jest bardziej złota niż płótno, ale precudna twarz Madonny wciąż pozostaje piękna, choć Laurze kilka razy pomyliły się kostki. Wokół półki z książkami, setki pięknie wydanych starych ksiąg, jakaś kobieta w żółtym szalu przemyka między regałami. Wreszcie spokój. Z każdą kostką mozaiki większa jasność, wszystko staje się złociste...

W końcu postanowiła otworzyć oczy, nie można w nieskończoność przedłużać nocy. Pokoje zniknęły, a senna złocistość przeszła w słoneczny poranek. Z zewnątrz dochodził trzask otwieranych okiennic i klaksony samochodów. Pora zacząć rzymski dzień po długiej nocnej wędrówce przez tysiące pokoi.



Andrea z przerażeniem spojrział na zegarek, dochodziła dziewiąta. Niemożliwe, by tak długo spał. Chociaż kiedy wspomniał wydarzenia ostatniej nocy, niczego nie mógł wykluczyć. Popatrzył na Nicole, która ciągle spała, uśmiechając się przez sen. Coś było w stwierdzeniu, że po dobrym seksie w nocy rano kobieta promienieje. Musiał ją jednak zbudzić.

– Nicole, wstawaj, śpiochu. Pobudka.

– Zapomniałeś już, jak się budzi księżniczki? – Spojrzała na niego spod półprzymkniętych oczu.

– Niech ci będzie. – Pocałował ją lekko w policzek.

– Po takiej nocy spodziewałam się czegoś więcej...

– Nie ma czasu, wstajemy, bo pojedą do ślubu bez nas.

Niechętnie opuściła łóżko i ruszyła w kierunku łazienki. Andrea wciąż jeszcze się zastanawiał, czy ostatnia noc wydarzyła się naprawdę. Chyba jednak tak.

Gdy zeszli na dół, w kuchni powitały ich dziwne uśmiechy obecnych.

– To się nazywa wejście w odpowiednim momencie. – Andrea usiadł przy stole. – Widzę, że wszyscy na nas czekają.

– Długo czekają. Zapomniałeś, wujku, że dzisiaj mój ślub – Paolo nieśmiało zaznaczył, kto jest w tym dniu najważniejszy.

– A ciocia zapomniała, że musimy jeszcze ustroić stoły i samochód pary młodej – wsparła brata Cecilia.

– Ciocia i wujek niczego nie zapomnieli, wszystko jest pod pełną kontrolą. Nie widzieliśmy się długo i musieliśmy porozmawiać, a wy zapomnieliście o gościnności. Gdzie jest poranne cappuccino? – Andrea przeszedł do ofensywy.

– Proszę. – Postawili przed nimi parujące kubki kawy. – I jeszcze

dostaniecie kawałek ciasta na wzmocnienie.

Kiedy dopijali kawę, przed dom zajechał pierwszy samochód. To rodzina jednego z wujków Andrei ze strony mamy, wkrótce po nich nadjechali dalsi kuzynostwo. Rodzinna tradycja nakazywała, by z panem młodym jechał do kościoła jak największy orszak, dlatego spotykali się przed uroczystością. Poza tym wiele osób miało ze sobą kontakt tylko przy okazji wesel lub pogrzebów, więc przybywali odpowiednio wcześniej, żeby porozmawiać.

Dzisiaj rozmowy i zainteresowanie skupiały się nie tylko tradycyjnie na parze młodej, lecz także na Andrei i Nicole. W rodzinie nie dało się ukryć, że ich małżeństwo praktycznie się rozpadło, ale wszyscy wiedzieli, że formalnego rozwodu nie mają. Obecność ich obojga na weselu zaskoczyła wielu krewnych. Przy tym wyglądali na całkiem zgodny związek.

O ich nocnych ustaleniach Andrea nie powiedział nikomu. Nie wypada w dniu czyjegoś ślubu oznajmiać wszystkim, że właśnie w nocy podjęli wspólnie decyzję o rozwodzie i że chcą go przeprowadzić jak najszybciej. Dla nich samych ta decyzja była wciąż dużym szokiem, chyba tak dużym, że uczcili ją w oryginalny, acz miły sposób. Zamierzali jednak dotrzymać danej obietnicy i w spokoju powiedzieć sobie uczciwie o tym wszystkim, co nagromadziło się przez lata w ich związku. Zostawili sobie tę rozmowę na Rzym, gdy Marta wyjedzie na urlop i będą sami.



Wyszła z domu za wcześnie. Z Veronique, Lucią i Lucą miała się spotkać późnym popołudniem, a było dopiero po obiedzie. Przysiadła na Piazza Navona i obserwowała sprzedawców grafik i obrazów. Zawsze fascynowali ją ludzie, którzy potrafili zarabiać na życie swoją twórczością. Zazdrościła im, niezmiennie szukając takiej formy wypowiedzenia siebie, by i jej także udało się wejść w ten świat. Niestety, jak dotąd najlepiej wychodziło jej zachwywanie się dorobkiem innych.

– Witaj, piękna. – Mężczyzna w szarym płaszczu podszedł do sprzedającej swoje obrazy młodej malarki.

Uśmiechnęła się do niego, ale jednocześnie próbowała go odgonić.

– Nie przeszkadzaj mi, Marciano, próbuję zarobić na chleb.

Pocałował ją w kark, jednocześnie przesuwał dłoń po jej piersi gestem posiadacza.

– Idę do Giuseppe, mamy sprawę do obgadania.

– Znowu wrócisz w środku nocy i będziesz mi zawracał głowę opowieściami o tym, coście wymyślili z tym darmozjadem.

– Obiecuję, że jeśli zacznę ci zawracać głowę, to absolutnie nie po to, żeby coś ci opowiadać – wymruczał, starając się wsunąć jej rękę pod bluzkę.

Dała mu kuksańca i odwróciła się w stronę sztalugi, udając niezainteresowaną. Ale gdy mężczyzna zaczął odchodzić, pogwizdując wesoło, patrzyła za nim, aż zniknął wśród turystów.

Wróciła do swojego obrazka, na którym próbowała zasadzić słoneczniki wokół Koloseum. W sztuce wszystko jest możliwe, Laura wolałaby jednak osobno kwiatki, osobno malownicze starożytności. Razem wyglądało to trochę jak widok z dwóch okien jednocześnie. Spojrzała na pozostałe obrazki. Koty, maki, cyprysy, złamane kolumny, kopuła Bazyliki św. Piotra, Schody

Hiszpańskie, wszystko razem, ciasno, kolorowo, słodko. W sam raz na ścianę w domu prawdziwego turysty, obok Napoleona pod wieżą Eiffla i Kolumba pod Statuą Wolności.

Obok Laury usiadł starszy pan, wyjął szkicownik i zaczął rysować. Dyskretnie obserwowała, co się rodzi na papierze.

– Umiesz rysować, dziecko? – zapytał, nie odrywając spojrzenia od fasady domu naprzeciwko. To ją właśnie rysował.

– Bardzo bym chciała, ale niestety nie umiem. – Laura westchnęła. Nie wiedziała, na co patrzeć. Na staruszkę w okularach z grubymi szklami, na budynek czy na szkicownik.

– Kiedyś dużo rysowałem, ale wzrok już nie ten i palce odmawiają współpracy. Ten budynek znam na pamięć, właściwie nie muszę patrzeć, żeby go rysować. Ale przychodzę, kiedy tylko mogę. Czterdzieści lat tu mieszkałem, o tam, na górze, na prawo od doniczek z kwiatami. Po pracy siadałem na tej ławeczce i rysowałem okno, z którego wychylała się do mnie moja piękna Giuseppina. Wciąż tak samo zdziwiona tym, że ktoś chce ją rysować. Potem szedłem na górę, a ona stawiała na stole talerz makaronu, siadała naprzeciwko i oglądała, co tego dnia naszkicowałem. „Wczoraj byłam szczuplejsza”, śmiała się, ale każdy mój rysunek chowała do szafki.

– Jest pan malarzem?

– Skąd! Przez całe życie pracowałem jako księgowy, dla Giuseppiny warto było jednak ćwiczyć. Kiedy moja piękna umarła, syn zabrał mnie do swojego domu, ale ja i tak wciąż tu przychodzę. Czekam, może pewnego dnia zobaczę ją w oknie...

Dokończył rysunek. Okno z firanką poruszoną podmuchem wiatru, w głębi jakby zarys twarzy, a może tylko cień wazy na ścianie.

– Weź to, dziecko. – Wręczył Laurze rysunek. – I spojrzij czasem w to okno, może pewnego dnia ją zobaczysz.

Podziękowała uśmiechem, żadne słowa nie przyszły jej do głowy. Zostawiła starszego mężczyznę samego na ławce. Kiedy przed opuszczeniem placu popatrzyła w jego stronę, ławka była już pusta.



- Pod kościół zajechali wcześniej, ale Domenico już na nich czekał.
- Synu, masz jeszcze czas – powitał serdecznie Paola.
 - Ojczy, już nie, już się stało – odrzekł pan młody.
 - Ale nie robisz tego pod przymusem? Bo ślub będzie nieważny.
 - Nie, robię to z własnej i nieprzymuszonej woli.
 - To dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.
- W tym momencie Domenico dostrzegł Nicole. Ruszył w jej kierunku.
- Dzień dobry, Nicole. Dlaczego dla ciebie czas biegnie w odwrotną stronę? Przysięgam, że gdy zniosą celibat, od razu do ciebie zadzwonię.
- Mocno pochwycił ją w ramiona.
- To jeszcze musieliby znieść zakaz bigamii, mój drogi przyjacielu.
 - Masz rację, ale tak dawno nie widziałem was razem, że zupełnie zapomniałem o tym szczególe. Fajnie, że przyjechałaś.
 - Też się cieszę, bardzo lubię słuchać twoich ślubnych kazań.
 - Słuchać to za mało. Wszyscy słuchają, a nikt nie stosuje. Sodoma i gomora!
 - Nie narzekaj, przynajmniej masz co robić w konfesjonale. – Andrea też musiał coś dodać jak zawsze. – Może kiedyś wydasz wspomnienia...
 - Zapomniałeś, synu marnotrawny, o tajemnicy spowiedzi!
 - Przecież możesz pisywać pod pseudonimem do jakiegoś szmatławca. Podobno dobrze płacą. Słyszałem, że autorom w redakcjach kończą się pomysły i wymyślają absurdalne historie, a ty masz historie z życia, prawdę najprawdziwszą.
 - Dziękuję, nie służę mamonie, tylko wyższym wartościom, a to, co usłyszę, zachowuję dla siebie. A ciebie już dawno nie słuchałem, mój przyjacielu.
 - Żyję przykładniej niż niejeden eremita. – Andrea złożył ręce na piersi i nieśmiało opuścił głowę.

– Tak, starzejesz się, to widać...

Powoli kościół zaczął się wypełniać. Przyszli nie tylko goście pary młodej. Chociaż Paolo nie mieszkał w Montepulciano, na uroczystość i tak przybyło wielu mieszkańców. Senior rodu od dawna wszem wobec rozgłaszał, że żeni pierwszego wnuka. W dodatku narzeczona Paola, Giorgia, nazywała się Vasari i pan Lituano zapewniał wszystkich, że jej przodkiem był słynny architekt, który pracował dla papieży i zbudował Uffizi we Florencji. Faktycznie nosiła to samo nazwisko i pochodziła z tego samego miasta co szesnastowieczny artysta, ale nikt z jej przodków nie przejawiał zainteresowania sztuką. Rodzice, dziadkowie, a teraz i ona, byli lekarzami, znanymi i cenionymi nie tylko w Arezzo.

Dziś Giorgia wyglądała inaczej niż zwykle. Andrei kojarzyła się z dżinsami, bawełnianą koszulką i gładko upiętymi włosami. Teraz miała na sobie długą suknię w kolorze écru, ozdobioną niezliczoną ilością pereł, na głowie diadem, a z tyłu welon wpięty w misternie uplecione loki. Za suknią ciągnął się długi tren. Wyglądała jak przedstawicielka wielkiego tokańskiego rodu.

Młodzi poprosili, by zamiast kwiatów goście przynieśli maskotki dla dzieci z obozu dla uchodźców. Goście dopisali i zabawek była cała góra, niektóre naprawdę ładne i drogie. Widząc to, najbardziej cierpiały Oriana i Angese. Prawie z płaczem powiedziały, że one też chcą wziąć ślub i dostać tyle zabawek...



Veronique i Lucia siedziały już przy stoliku. Matteo zadzwonił, by uprzedzić, że się spóźni, może nawet sporo, bo rodzice kazali mu odwiedzić babcię w Viterbo.

– Miałaś jechać do Ankony. Zmieniłaś zdanie? – Laura pamiętała ostatnie spotkanie z Lucią i jej zapowiedź rychłego wyjazdu. – Myślałam, że dawno zaczęliście wakacje, a w was duch nauki jednak zwycięża.

– Raczej duch wolności – odpowiedziały niemal równocześnie Lucia i Veronique. – Rodzina jest fajna, ale nie dłużej niż do matury. Potem trzeba zacząć się od niej odzwyczajając, powoli, żeby nie bolało i żeby nie obudzić w rodzicach demona tęsknoty. Kupować prezenty, odwiedzać w święta, dzwonić, czasami zdradzić jakiś niewinny sekret. I nic więcej. W przeciwnym razie nigdy się nie odkleisz od swojego dzieciństwa.

– A trzeba się od niego odklejać? – zdziwiła się Laura. Czyżby dzisiejszy sen miał jej przypomnieć, że wcale się od niego nie odkleiła?

– Mogłam zostać księgową i przez wieczność pracować w rodzinnej firmie. Świat by się nie zawalił, może nawet miałabym już męża i dzieci, pewnie nawet uważałabym się za całkiem szczęśliwą pod opiekuńczym skrzydłem rodziców. Ale wujek Jean-Paul od dzieciństwa dawał mi pod choinkę książki o podróżach i wspierał mnie, kiedy nieśmiało zaczęłam wspominać o archeologii. Sam był niespełnionym odkrywcą, więc przelał na mnie całą swoją miłość do świata, którego nie znamy. I ciągle mi powtarzał, że zawsze mogę wrócić do rodzinnej firmy, gdy wypełnię życie własną treścią. No więc je wypełniam. – Veronique zaśmiała się.

– Tak zupełnie poza rodziną?

– Zwierzam się czasem mamie ze swoich przygód miłosnych, opowiadam o sukcesach i porażkach, przyznałam się nawet, że przytyłam trzy kilo, co dla

Francuzki jest wstydem większym niż zdrada, ale do Rzymu nie pozwoliłam jej przyjechać. Trzeba mieć swój kawałek bruku, po którym nikt z rodziny nie będzie za tobą biegał.

Chwila powagi minęła. Veronique duszkiem wypła dwa kolejne drinki i zaczęła machać na kelnera, gotowa do spożycia następnych kolorowych płynów z parasolkami.

– Musisz nadrobić zaległości, jesteś trzy drinki za nami. – Lucia podsunęła Laurze szklanekę z czymś lekko fioletowym. Nie pachniało to jak denaturat, więc wypła prawie od razu.

Po chwili otrzymały coś, co przypominało koktajl z żaby, a potem błękitną sadzawkę z żelkami w kształcie kaczuśzek.

– Czego to ludzie nie wymyślą. – Laura zachwycała się galaretką, gotowa zamówić ją na zapas i dodawać do porannej kawy. – Spójrzeć rano kaczuścze w oczy, bezcenne... A wiecie, śniło mi się, że moja siostra i przyjaciółka układały puzzle, na których byłam ja i całkiem przystojny mężczyzna, ale jakaś mała zgubiła klocki i miał dziurę zamiast twarzy, więc nie wiem, kto to taki.

– Coś się szykuje. – Lucia mrugnęła. – Co pamiętasz z tego obrazka?

– Byłam ubrana w czerwoną sukienkę i czerwone szpilki, te same, które kupiłam tutaj niedawno. Chyba miałam inną fryzurę. Staliśmy przy stole, na którym było mnóstwo jedzenia, a między talerzami sunął ślimak.

– Coraz ciekawiej – rozmarzyła się Veronique. – Na moje oko zapowiada się długi, powolny seks po dobrej kolacji. Mężczyzna bez twarzy będzie z ciebie zdejmował czerwoną sukienkę, zostaniesz w samych seksownych szpilkach, potem jego ręce wyruszą na wędrowną podróż po piersiach...

– Wolałabym po plecach. – Laura westchnęła.

– Nie lubisz brzuszek w brzuszek?

– Lubię, ale potem. Moje guziczki startowe są na plecach, tam się mnie uruchamia...

Veronique szeptem opowiedziała, jak można ją wprowadzić w drżenie, łagodnie głaszcząc jej stopy, a Lucia przyznała się, że może skoczyć w najgłębszą przepaść, jeśli mężczyzna będzie się bawił jej włosami.

– Skąd się bierze w nich przekonanie, że wszystkie jesteśmy tak samo zaprogramowane? – Veronique była gotowa przytoczyć dziesiątki randek, które zaczynały się na dziesiątki sposobów, a kończyły zawsze tak samo: grą wstępna na poziomie stanika. – W takich chwilach mam ochotę zostać sufrażystką.

- Chyba feministką.
- Sufrażystka brzmi waleczniej. Byłabym piekielnie seksowną wojowniczką, żeby zobaczyli, co tracą, traktując mnie jak szafę grającą z dwoma pokrętłami...

Kelner przyniósł kolejną porcję drinków. Na szczęście pojawił się też Matteo.

- Zostawić was na chwilę i wywrócić świat do góry nogami. – Chyba musiał słyszeć ostatni fragment ich rozmowy. – Opowiedzcie wujkowi Matteo, co was boli...



Państwo młodzi opuścili przyjęcie weselne przed północą. Wybierali się w podróż poślubną – dwutygodniowy rejs luksusowym statkiem wycieczkowym po wyspach Morza Śródziemnego. Pojechali więc do Livorno, gdzie mieli wejść na pokład. Ich wyjazd nie przerwał zabawy. Nie było to już co prawda tradycyjne wesele, ale goście postanowili w tę piękną ciepłą noc kontynuować ucztę.

Kiedy zza wzgórz zaczęły przebijać pierwsze promienie słońca, Nicole, z którą tańczył Andrea, szepnęła mu do ucha: „Chodź do łóżka”. Powiedziała to tak, jakby była nastolatką i właśnie zdecydowała się na pójście na całość z chłopakiem poznanym na dyskotecę. Andrei, tak spragnionemu ostatnio kobiety, bardzo odpowiadała ta propozycja. Wziął Nicole za rękę i poprowadził ukradkiem wśród drzew do domu, jakby faktycznie sprowadzał sobie po dyskotecę dziewczynę do pokoju, by nie zbudzić rodziny i czujnego psa pilnującego obejścia. Jej ciało było rozgrzane nie tylko tańcem. Było tak dobrze. I to teraz, kiedy powiedzieli sobie, że to koniec. A może właśnie dlatego, że to sobie powiedzieli...



Dziś po raz pierwszy nie musiała pokazywać w Galerii Borghese listu upoważniającego do nieograniczonych wizyt w celu prowadzenia badań. Ochroniarz Anselmo uśmiechnął się do niej i kazał przejść bez tłumaczenia się, również starsza pani obserwująca salę Caravaggia pozdrowiła ją jak znajomą. Laura potrzebowała sześciu nieodległych od siebie wizyt w tym miejscu, żeby przestała być dla nich rozentuzjasmowaną turystką, a stała się poważnym gościem. Postanowiła zachowywać się godnie i poważnie, nie musieli wiedzieć, że w głębi duszy wciąż gnało ją tutaj to samo oczarowanie. Choć za każdym razem wybierała inną część muzeum, zawsze i tak kończyła przy Prozerpinie Berniniego, niezmiennie zachwycona ręką Hadesa, która zagłębia się w młodym ciele porwanej dziewczyny.

– Trudno oderwać od niej spojrzenie, prawda? – Usłyszała kobiecy głos. Tuż za nią stała Giulietta Antonelli, dyrektorka galerii.

– Wiem, że nie brak tu arcydzieł, ale...

– Niech się pani nie tłumaczy, pani Lauro. Od czterdziestu lat nie mogę się oprzeć pokusie, by przechodząc, nie rzucić choćby okiem.

– Czasami człowiek nie jest w stanie oprzeć się cudzej pasji... Tutaj to przynajmniej jest arcydzieło i można czuć się usprawiedliwionym, ale mnie zdarzało się ulegać sztuce przez bardzo małe s. W dzieciństwie przychodziłam codziennie do kościoła i zapalałam świeczkę przy Madonnie z krzywym okiem. Wydawało mi się, że mruga do mnie, i czułam się tym wyróżniona. Ksiądz na początku sykał na mnie, bo oczywiście świeczki brałam bez żadnej ofiary, potem jednak dzwonił do moich rodziców, gdy nie przychodziłam przez kilka dni, zatroskany o powód mojej nieobecności. Do dziś zresztą lubię tę smutną rzeźbę, odstawioną w najciemniejszy kąt kościoła.

Ani się spostrzegła, jak dała się zaprosić do gabinetu dyrektorki. Popijały

cappuccino, żartując ze swoich uniesień artystycznych. Giulietta była niezwykle elegancką panią w średnim wieku, jedną z tych pięknych arystokratek, które Laura widywała we włoskich gazetach. Starannie upięte ciemne włosy, nieskazitelny makijaż, dość mocny, ale Włoszkom nie szkodzi to nawet w świetle poranka. Strój klasyczny, niepodążający za modą i właśnie dlatego tak stosowny. Laurze przemknęło przez głowę, że chciałaby tak wyglądać, gdy wejdzie w wiek bardzo średni.

– A ja sztuce przez wielkie S zawdzięczam pomysły, które doprowadziły mnie niemal na skraj przepaści. – Dyrektorka się uśmiechnęła. – Tak zazdrościłam Madonnom Filippa Lippiego pięknych, jasnych, falujących włosów, że przez pół młodości farbowałam je i kręciłam bez opamiętania. Przestałam dopiero wtedy, gdy dotarło do mnie, że nigdy nie będę świetlistą, półprzezroczystą panią z renesansowych obrazów. Kiedy patrzę na panią, zastanawiam się, czy dawni mistrzowie nie sprowadzali modelek z północnej Europy, na przykład z pani ojczyzny. Przecież Włoszki tak nie wyglądają.

– Podoba mi się ta koncepcja. Od razu czuję się jakoś bardziej zasłużona dla włoskiej sztuki. – Nie do wiary, jak dobrze rozmawiało się z tą kobietą. Giulietta ani przez moment nie traciła dystansu, a jednocześnie zapewniała drugiej osobie poczucie komfortu podczas pogawędki.

– A właściwie czym się, Lauro, zajmujesz w tej swojej północnej krainie? – Niepostrzeżenie przeszła na ty. – W jakim idziesz kierunku?

– Sama chciałabym to wiedzieć, pani dyrektor. Byłam nauczycielką, urzędniczką i kandydatką na pracownika naukowego, ale wszędzie czułam się tak, jakbym była na marginesie swojego prawdziwego życia. Zdecydowałam się na pracę w muzeum, żeby być bliżej sztuki, na razie jednak zajmuję się bardziej finansami niż sztuką. Teraz jestem tutaj i czuję się na swoim miejscu, ale za półtora miesiąca będę musiała spakować walizkę i wrócić do Polski, gdzie pewnie znowu będzie mnie coś gniołło w środku. Rodzina uważa, że histeryzuję z tymi zmianami, a ja po prostu szukam miejsca, w którym będzie mi dobrze.

– Ja też zaczynałam jako nauczycielka, potem pracowałam naukowo, a teraz jestem muzealną urzędniczką. Mamy ze sobą coś wspólnego...

Rozmowa dobiegła końca, gdy na biurku dyrektorki rozdzwonił się telefon. Nie dało się go zignorować.

– Nie zapomnij pożegnać się z Prozerpiną – rzuciła jeszcze z uśmiechem, zanim Polka opuściła jej gabinet.

Laura wyszła z galerii i usiadła na ławce w parku. Przymknęła oczy i oddała się słońcu. Zapowiadał się kolejny upalny rzymski dzień.



Samolot po godzinnym locie schodził do lądowania na lotnisku w Warszawie. Pobyt w Wilnie był bardzo intensywny, wypełniony spotkaniami i konferencjami na najwyższym szczeblu. Andrea miał nadzieję, że krótki przystanek w stolicy Polski da mu chwilę wytchnienia. Przez chwilę bał się tego miasta i kraju; tutaj nie dotarli nawet starożytni Rzymianie, a przecież zaszli naprawdę daleko. Od początku jednak spotykały go tu miłe niespodzianki. Krótkie oczekiwanie na bagaż, kameralne, sympatyczne lotnisko, blisko do taksówki, która w kilkanaście minut dowiozła go do hotelu. Okazało się, że lotnisko jest w mieście, nie tak jak w Rzymie.

Giulia zarezerwowała nowoczesny hotel położony w pobliżu znanego parku, rezydencji ostatniego polskiego króla. Wiedziała, że Andrea nie cierpi hoteli położonych w betonowych częściach miast. Jadąc do hotelu, stwierdził, że właściwie cała Warszawa zatopiona jest w zieleni, a duże odległości między poszczególnymi budynkami zupełnie nie przypominają znanej mu ciasnoty rzymskich ulic. To było nawet miłe, a na pewno zapewniało odpoczynek oczom, przyzwyczajonym do tego, że zawsze na ich drodze stały jakieś domy, starożytne mury i kamienne przestrzenie. Tutaj było więcej miejsca na powietrze i ciszę.

W hotelowym barze poprosił o kawę. Najpierw musiał się zderzyć z serią szczegółowych pytań, czy ma być z mlekiem, syropem, bitą śmietaną lub czekoladą, potem na siłę usadzono go przy stoliku, chociaż chciał wypić na stojąco, szybko i bez ceregieli. A kiedy w końcu dostał swoje espresso, w ułamku sekundy zrozumiał narzekania Laury, że nie może napić się w Polsce dobrej kawy we włoskim stylu. To, co dostał, było obrzydliwe. Rozwodniona kawa o smaku goryczy i kwasu w niczym nie przypominała tego, co zbudowało włoską kulturę kawową. Jak oni mogą to pić? Aż się wzdrygnął na samą myśl

o tym, że tutaj naprawdę uważa się to za kawę.

Postanowił pospacerować po mieście, a potem w jakiejś lokalnej knajpce zjeść polski posiłek. Wybrał miejsce przypominające magazyn maniakalnego stolarza, niemal wszystko było tu drewniane. Kelnerki w ludowych strojach wyglądały, jakby wystawiały się na sprzedaż. Lubił czasem popatrzeć na nieubraną młodość, ale nie przepadał za biustem w talerzu. Na szczęście jedzenie było naprawdę dobre. Para starszych Hiszpanów przy sąsiednim stoliku poradziła mu, by wziął żurek, bo takiej zupy we Włoszech nie zje. Zamówił też gołąbki, chciał spróbować dania, o którym mówiła Laura. Był przyjemnie zaskoczony. Nie było to wprawdzie lekkie jedzenie, ale coś w sobie miało. Mógłby od czasu do czasu pozwolić Laurze ugotować polski obiad.

– Co porabiasz w ten miły dzień? – Niespodziewanie zadzwonił do niej, dobrze nastrojony polskimi przysmakami.

– Siedzę na ławce i kontempluję Rzym. Po południu idę do archiwum, ale teraz ładuję swoje baterie słoneczne. A ty gdzie jesteś?

– W zimnym i pochmurnym Wilnie. – Właściwie skłamał tylko z nazwą miasta, pogoda rzeczywiście była paskudna. Wiatr był naprawdę barbarzyński, lodowato przyciskał się do człowieka i po chwili chciało się już tylko wejść do jakiegokolwiek budynku, byle tylko uciec od zimnych podmuchów. – Zaczynam rozumieć wasze północnoeuropejskie zamiłowanie do dużych kubków herbaty i swetrów.

– Czasami bywa ciepło – powiedziała wesoło. – Ze trzy dni w roku.

– Zdecydowanie nie są to te dni. – Chętnie posiedziałyby z nią na rzymskiej ławce. Właściwie gdyby przyniosła szalik, mógłby z nią siedzieć nawet tutaj, w Warszawie. Po prostu leniwie by z nią posiedział, patrząc na cokolwiek, co chciałoby im się pokazać przed oczami. – Dasz się namówić na spacer jutro wieczorem?

– Pod warunkiem że zdradzisz mi jakiś swój sekret. Jeden spacer, jeden sekret. Może być malutki – negocjowała.

– Dobrze, ale ty też zdradzisz mi jakiś swój sekret. I nie będzie malutki – droczył się z nią.

– Coś wymyślę do tej pory...

Ledwo się rozłączył, a już zadzwonił jego telefon. Nicole poinformowała go, że przylatuje do Rzymu i chce załatwić wszystkie formalności z rozwodem. Pytała, czy będzie miał czas. Nie miał pojęcia, co wydarzy się w najbliższych

dniach, ale zapewnił ją, że tak. Był jej to winien. Był to winien sobie.

Daria, recepcjonistka w hotelu, świetnie poradziła sobie z jego prośbą. Powiedział, że chce pewnej Polce w Rzymie zrobić prezent i dać coś, za czym może ona tęsknić. Rano Daria wręczyła mu siatkę.

– Wiem, za czym tęskniłam, gdy studiowałam w Madrycie. – Uśmiechnęła się. – Wy południowcy myślicie, że nic nie zastąpi waszej kuchni, ale my, dzikie, barbarzyńskie Polki, też mamy swoje niepołudniowe przyjemności kulinarne. Myślę, że pana znajoma będzie zadowolona.

Zajrzał do środka, ale wszystko było tak zapakowane, że nie sprawdził, co będzie wiózł. Zdał się na intuicję recepcjonistki. Miał nadzieję, że jedna Polka zrozumie drugą i jego prezent z Warszawy przyniesie radość Laurze. Chciał, by była to prawdziwa niespodzianka.



Miło spędzało się przedpołudnie w parku, ale czas mijał i wkrótce do rozmarzonej Laury dotarła rzeczywistość. Musiała dziś popracować w archiwum, a to oznaczało, że nadszedł kres jej słonecznej przerwy. Zeszła w dół ze wzgórza, wprost na Piazza del Poppolo.

– Laura? Nie mogę uwierzyć! Laura! – Dzikie okrzyki błyskawicznie przywróciły Laurze przytomność umysłu.

Spojrzała w stronę nawołującej kobiety. Potrzebowała dłuższej chwili, by przypomnieć sobie, skąd zna to rozgorączkowane spojrzenie.

– Anka, jak miło cię widzieć.

Przyjaciółka Moniki zniknęła z ich życia niedługo po swoich trzydziestych urodzinach i ślubie z Januszem, byłym prezesem wydawnictwa, w którym pracowała. Laura pamiętała jej wizyty u Moniki, podczas których śmiech i alkohol przeplatały się do białego rana. Anka miała dar wyszukiwania sobie w życiu dodatkowych zajęć i trudności. Wtedy jeszcze Laura nie wiedziała, że sama też nie będzie umiała pogodzić się ze swoją ścieżką i na każdym zakręcie będzie szukać innego skrótu, żeby tylko nie było zbyt prosto do celu. Anka była podobna, choć jej problemy wydawały się Laurze nieco wydumane. Wymyśliła sobie na przykład, że do trzydziestych urodzin zrobi trzydzieści rzeczy, których nigdy wcześniej nie robiła. Zaśmiewały się z jej opowieści o pierwszej jeździe konnej, pierwszych stringach i pierwszym seksie przez telefon. Zdaje się, że trzydziestą rzeczą miało być przyjęcie oświadczyn Janusza.

– Co u ciebie słyhać? Jesteś tu z rodziną?

– Małolata została z babcią w Polsce, a my z prezesem renegocjujemy nasz ciąg dalszy pod Koloseum.

Przysiadły przy fontannie na Piazza del Poppolo. Laura zapamiętała Ankę

jako blondynkę z lekko zbójeckim uosobieniem. Teraz siedziała przed nią rudawa kobieta z pierwszymi zmarszczkami na twarzy i sporawą oponką na brzuchu.

– Ciągłe mówisz o nim „prezes”?

– Kiedy go poznałam, imponował mi tą swoją prezesowską pewnością siebie. Był uroczo władczy i zawsze gotów postawić na swoim. Po ślubie okazało się, że nie umie nie być prezesem. Zdecydował, że mam zrezygnować z pracy w redakcji i poświęcić się wychowaniu Melanii. To imię zresztą to też jego wybór, ja chciałam po prostu Małgosię. Na początku nawet mi się podobało, że ktoś podejmuje za mnie decyzje, że nie muszę już być mrówką w komputerze. Przestało mi się podobać, kiedy Janusz zaczął wybierać wakacje, książki, meble, przyjaciół. Po ośmiu latach miałam dość, na dziesiątą rocznicę ślubu dostałam rozwód. Janusz spił się wtedy i powiedział mi, że bez niego nigdy się nie odnajdę w świecie, że zawsze będę tylko śrubką w cudzym mechanizmie. Postanowiłam mu udowodnić, że tak nie jest.

W miarę rozwoju opowieści smutek ustępował miejsca uśmiechowi. Kiedy prezes odpłynął, Anka znowu zaczęła stawiać sobie wyzwania i mylić tropy na swojej drodze. Poszła na studia z dietetyki, zaczęła zarabiać na pomaganiu innym, poczuła się ważna i potrzebna. Melania najpierw trochę boczyła się na matkę, że nie chce już ojca, szybko jednak przekonała się, że osobne życia matki i ojca mają pewną wartość.

– Kiedy prezes uznał, że może znów stałby się częścią mojego życia, Mela powiedziała tylko: „No chyba żartujesz?!”.

– A żartowałaś?

– Mam do niego słabość, wciąż potrafi być uroczy. – Anka uśmiechnęła się zawadiacko. – Ale teraz jest inaczej. Wiesz, gdy ktoś jest wielokolorowy, to nie da się go łatwo przeoczyć, przestawić lub schować. Dopiero kiedy nabrałam kolorów, prezes uznał, że można mnie posłuchać, a nawet pozwolić mi decydować. Podoba mi się to.

– Będzie drugi ślub?

– Za żadne skarby. Będziemy chodzić na randki, dam się uwodzić i podziwiać, a kiedy będę miała dość, zrobię sobie urlop od szanownego pana prezesa. W końcu jestem wolną kobietą...

Laura przez chwilę miała wrażenie, że Anka straciła swój blask, ale to było tylko złudzenie, chwila jej słabości. Wciąż była zwariowana i z wiekiem coraz szczęśliwsza. Trochę tęzsza i kiepsko ufarbowana, ale naprawdę

w dobrym punkcie swojego życia.

Pozegnały się, wymieniając telefonami. Anka prosiła o wyściskanie Moniki, Laura kazała chłodno pozdrowić prezesa. Kiedy Anka pobiegła do sklepu, w którym od dłuższej chwili Janusz oglądał buty, Laura spojrzała w oczy jednemu z fontannowych lwów. Jest nadzieja, pomyślała. Skoro czterdziestopięcioletnia mrówka stała się lwicą, to ja też mogę jeszcze podbić świat...



Giulia przywitała go w doskonałym nastroju, potem wpadła rozszczebiotana Maria. Livia zadzwoniła, że wprawdzie nadal musi być na zwolnieniu, ale chętnie zajrzy na herbatę, bo i tak załatwia jakieś sprawy w kadrach. Teraz siedziały wszystkie trzy w sekretariacie i plotkowały, w ogóle się nim nie przejmując. Nawet kawę musiał sobie zrobić sam, bo akurat były zajęte oglądaniem ubranek dla dziecka Livii. Marta powiedziała mu przez telefon, że nie ma czasu na rozmowy, właśnie idzie z młodym Pietro do kina. Laura napisała esemes, że nie może się doczekać spotkania, ale potem nie odbierała, kiedy dzwonił. Nie było go zaledwie dwa dni, a świat zmierzał w inną stronę. Spojrzał na ścianę naprzeciwko. Przynajmniej święty Mateusz się nie zmienił, wciąż niepewny i pytający.

– Dzień dobry, wujku. – W drzwiach sekretariatu stał Giuseppe uśmiechnięty od ucha do ucha.

No jeszcze jego tu brakowało, pomyślał Andrea, ale ucieszył się i szczerze się z nim przywitał. Jedna niespodzianka więcej nie zrobi mu dzisiaj żadnej różnicy.

– Co cię sprowadza?

– Tata prosił, żebyśmy podrzucił wujkowi zdjęcia ze ślubu. Paolo i Giorgia wyglądają pięknie, zresztą wujek z ciocią Nicole też niczego sobie. Nawet babcia to zauważyła i powiedziała, że zawsze ładnie wychodziliście na zdjęciach.

– Obejrzę później, teraz mam dużo pracy. – Koperta była ciężka, mieściło się w niej ze dwieście zdjęć. Stanowczo za dużo, by przejrzeć je szybko. – Wracasz dziś do domu?

– Jutro. Dziś wieczorem się umówiłem.

– I coś mi się wydaje, że znam tę dziewczynę...

– Wujku, nie ma wujek nic przeciwko temu, żebym się spotykał z Marią?
Chyba jednak przesadził z budowaniem swojego autorytetu w rodzinie. Żeby dorosły mężczyzna pytał go o zgodę, czy może się umówić na randkę z jego sekretarką?...



Laura czekała na niego przed senatem, ale nie zauważyła, gdy wyszedł. Zobaczył ją wpatrzoną w wystawę sklepu z pamiątkami.

– Pani kupi to Koloseum, narzeczony się ucieszy – rzucił, stojąc tak, by go nie widziała.

Rozpoznała jego głos, nie musiała się nawet odwracać.

– Mój brat kiedyś powiedział, że jak mu kupię takie gipsowe Koloseum, to mnie wykreśli z testamentu.

– Nie zna się na sztuce. – Andrea się skrzywił. – Toż to historia, i jaka uniwersalna. Można sobie postawić obok solniczki...

– ...która oczywiście powinna być w kształcie kolumny Trajana.

– Można też takie Koloseum postawić na wannie...

– ...i spojrzawszy w lustro, czuć się równie starożytnie jak ta budowla.

– Nic a nic się nie znasz na sprawach imperialnych. Z daleka widać, żeś barbarzyńca. – Wręczył jej torbę z upominkami z Warszawy. – Przywiozłem ci kawałek twojego barbaricum.

Wpatrywała się zdziwiona najpierw w torbę, potem w Andreę. Zajrzała do środka, poszperała w pakunkach.

– Ojej, dziękuję. – Stała się jednym wielkim uśmiechem. – Nie mówiłeś, że będziesz w Polsce.

– Przesiadka w Warszawie – mruknął, wzruszając ramionami, jakby zawsze zmieniał samoloty na końcu świata.

Był ciekaw, co też zapakowała mu do torby recepcjonistka Daria, ale nie mógł dać po sobie poznać, że nie wie, co kryje jego prezent.

– Mam nadzieję, że choć trochę ukoi twoją tęsknotę – dodał.

– Nawet nie wiesz, jaką przyjemność mi sprawiłeś. Prawdziwy chleb, normalny biały ser i ogórki kiszzone. Będę miała dziś polską kolację na moim

podniebnym rzymskim balkonie.

Gdyby nie to, że rzekomo sam wybrał te produkty, zdziwiłby się niezmiernie i zasypał Laurę pytaniami o to, co jest tak niezwykłego w polskim chlebie i białym serze.

– Macie zabójcze śniadania. – Uśmiechnął się na wspomnienie eleganckiego bufetu, który zobaczył, gdy rano zszedł w warszawskim hotelu na kawę i słodki rogalik. – Nie wiedziałem, że jajka można podać na tyle sposobów.

– Lubię te nasze śniadania. – Nie przyzna mu się, że w tajemnicy przed wszystkimi tu w Rzymie też robi sobie czasami polskie śniadania: jajka na szynce i kanapki z serem i pomidorem. Jakimś cudem udało jej się to ukryć nawet przed siostrami Manzoni, więc tym bardziej nie powie o tym Andrei. – Polski twarożek ze szczypiorkiem i rzodkiewką nie ma sobie równych na świecie. A jeszcze lepsza jest jajecznica na maśle. Tylko z jajecznicą jest ten problem, że powinien ją robić mężczyzna, bo wtedy smakuje najlepiej. A ty mi takiej nie zrobisz, bo to nie pasuje do cappuccino i cornetto.

– Mogę cię dokarmiać od obiadu do kolacji.

– Z pominięciem deserów.

– A to dlaczego?

– Bo desery w Polsce też mamy lepsze niż wasze. Szarlotka podrywa duszę, puszysty sernik koi serce, piernik rozjaśnia spojrzenie, a biszkopt z czekoladą przenosi na wyżyny radości.

– Od tej strony cię nie znałem. Jedzenie budzi w tobie poetkę, robisz się wzniosła. Nawet obrażasz nas jakoś tak lirycznie.

– Jak zjesz kiedyś szarlotkę, też się wzniesiesz.

– Zrobisz ją dla mnie?

– Może...

Szli powoli, właściwie bez celu. Pograżeni w rozmowie, nie oglądali mijanego świata. Andrea prowadził, ale poza wybieraniem mniej zatłoczonych uliczek nic nim nie kierowało. Ich kameralna wieczorna passeggiata trwała w najlepsze, gdy nagle Andrea zatrzymał się i spojrzał na Laurę.

– Miałaś mi zdradzić jakiś swój sekret, miłośniczko dużych śniadań.

– No przecież właśnie się dowiedziałeś, że jedzenie robi ze mnie natchnioną wieszczkę.

– To się nie liczy, sam to odkryłem. Sekret, proszę!

Miał teraz oczy małego chłopca, który czeka, aż mama zdradzi, gdzie chowa czekoladę. Nie mogła go zawieść.

– Uwielbiam jeść palcami wszystko, co tylko się da. Mogłabym tak jeść nawet zupę. Nie wiem, na czym to polega, ale jedzenie bez sztuczków lepiej smakuje. A jeśli mogę pójść z talerzem do łóżka i tam jeść palcami, to moje szczęście sięga zenitu. Trwam w tym uniesieniu, dopóki nie usiądę na rozsypanych okruchach.

Nie pozwalał kobietom jeść w łóżku, ale kulinarne preferencje Laury wydały mu się całkiem interesujące. Mógłby zrobić wyjątek. Oczywiście sprawca sam potem sprząta do ostatniego okruszka. Nie ma nic gorszego niż okruh o psychopatycznym usposobieniu, który atakuje zniecka i nie daje zasnąć przez pół nocy.

– A twój sekret? – Nie zamierzała mu odpuścić.

Życia by mi nie starczyło na zdradzenie wszystkich sekretów, pomyślał gorzko, ale otrząsnął się i konspiracyjnym szeptem wyznał:

– Nie lubię bobu. Wiem, Toskańcykowi to po prostu nie uchodzi, ale nie lubię i już.

– Rodzina ci wybaczyła? – Laura z trudem zachowała powagę.

– Rodzina nic nie wie. Nie zdradzam się z tym, jem wszystko, co mi podadzą, ale cierpię... – Położył rękę na sercu, by podkreślić siłę uczuć, które nim targają, gdy musi ukrywać się z tym, że nie lubi bobu.

Całkiem zgrabnie wyszła im ta wymiana sekretów. Rozbawieni ruszyli w stronę przystanku autobusowego. Andrea odjechał, a Laura jeszcze przez chwilę snuła się po okolicznych uliczkach, w końcu i jej zachciało się domowego zacisza. Zwłaszcza że musiała przemyśleć w spokoju pewien pomysł, który przyszedł jej do głowy podczas spaceru.



Andrea miał nadzieję, że Marta nie opróżniła całej zawartości lodówki i uda mu się z resztek zrobić spontaniczną kolację.

Pierwsze miłe zaskoczenie czekało go już w progu.

– Witaj, wędrowcze, już zaczynałam się martwić o ciebie – powiedziała uśmiechnięta Marta. – Byłam gotowa wyjechać po ciebie, ale nie odpowiedziałeś na esemes z pytaniem, o której lądujesz.

– Drogę z lotniska jeszcze pamiętam, ale jeśli tak się stęskniłaś, że chciałaś siedzieć obok mnie w pociągu...

– Chciałam przyjechać po ciebie swoim samochodem!

– Masz samochód? I może mi jeszcze powiesz, że potrafisz prowadzić?

– Tak, kupiłam wczoraj mały samochodzik i wzięłam kilka lekcji. Mam prywatnego nauczyciela. Nie musisz pytać, to Pietro, w zamian za naukę strzelania.

– Jeśli tak, to nie pytam dalej. Rozumiem, że mam wam kupić w prezencie ślubnym mały czołg, połączycie naukę jazdy z nauką strzelania... A teraz na wszelki wypadek podaj mi grafik jazd, przesiądę się wtedy do metra.

– Mogłam się spodziewać takiego komentarza. – Machnęła ręką. – Przygotowałam obiad. Jeśli więc nie wierzysz także w moje umiejętności kulinarne, nie musisz jeść.

Nie wierzył, ale był bardzo głodny. Nie odmówił spróbowania. Gdy wrócił odświeżony z łazienki, w jadalni czekała na niego Marta wyglądająca jak kelnerka z bawarskich folderów reklamowych. Biała bufiasta bluzka miała olbrzymi dekolt, który odsłaniał piersi, dodatkowo optycznie powiększone specjalnym gorsetem. Gdy umiejętnie pochyliła się nad nim, by nalać zupy do talerza, zawstydzony aż opuścił wzrok. Tam jednak spotkała go równie wielka przyjemność, niewielki fartuszek z falbanką, pod nim króciutka rozkloszowana

spódniczka, a dalej już tylko bardzo długie nogi. Strój sprawiał wrażenie, jakby pochodził z czasów, gdy mała Martusia biegała po tyrolskich górkach za barankami. Od tego momentu jednak jej kobiece atrybuty zdecydowanie urosły.

Zanim zdążył ochłonąć i pomyśleć, że miał taki skarb pod swoim bokiem, wróciła z kuchni z dwoma olbrzymimi kuflami piwa. Nie przepadał za tym trunkiem, ale takiej kelnerce nie sposób było odmówić. Dostał podobno najlepszą tyrolską zupę, bulion z cienkimi jak nitki kluseczkami, powstałymi z połączenia jajek i parmezanu, a na drugie krojoną w plastry duszoną wołowinę w pysznym sosie z ziemniakami pieczonymi w folii. Wszystko było wyśmienite.

– No to teraz mów, o co chodzi naprawdę – spytał, gdy przenieśli się z kuflami do salonu na sofę.

– Chciałam cię prosić o radę...

Opowiedziała o tym, jak dobrze czuje się w towarzystwie Pietra juniora. Spotykali się codziennie, było coraz milej, padły już pierwsze zaklęcia i wyznania, choć wciąż jeszcze nieśmiało i szeptem. Dzisiaj Pietro powiedział, że został zaproszony na polowanie, bardzo ważne dla jego kariery. Przyjedzie wiele wpływowych osób ze środowiska, trzeba tam być, pokazać się, wykazać wynikami. zaproponował Marcie udział w jego dwuosobowej drużynie. Weekendowy wyjazd w góry na północy Włoch i publiczne okazanie.

– Nie wiem, jako kto mam tam pojechać. Trenerka? Kochanka? A może ja będę strzelać, a on z za drzewa będzie udawał, że to jego kule? Pomieszanie tylko z tymi uczuciami.

– Jedź z nim i musicie wygrać. To jest cel tego wyjazdu. Pomieszane uczucia w końcu się poukładają, a jeśli nie, to trzeba będzie przyjąć, że są pomieszane i już. W życiu łatwe jest tylko picie, nad resztą trzeba się trochę natrudzić. Masz niewielkie doświadczenie w miłości, bo późno zaczynasz, ale nadrobisz zaległości. Tylko nie uciekaj...

Tak dużo czasu spędził z Martą, odkąd u niego zamieszkała, a dopiero niedawno zaczęli ze sobą rozmawiać jak przyjaciele. Był pełen podziwu dla zmian, jakie w niej zaszły ostatnio. Od kobiety niedostępnej, niemal lodowatej w emocjach, przez małe, zapłakane i szukające ciepła dziecko, do uśmiechniętej i seksownej kobiety. Bywała jeszcze nieporadna, jak nastolatka, która przechodzi przez pierwsze kręgi wtajemniczenia. Andrea był jednak spokojny o jej przyszłość. To twarda dziewczyna, której nie brak wytrwałości,

a uczucia dodały jej uroku i pewności siebie.

– Ale przed wyjazdem idź na zakupy. Przydadzą ci się szpilki i ładna sukienka, nie za krótka. Masz zachwycić Pietra, a nie stać się łowną zwierzyną.



Po drodze do domu Laura kupiła wino i spory kawałek parmezanu. Wprawdzie niosła w torbie smakowity prezent od Andrei, ale dziś potrzebowała włoskich smaków. Świeży twarożek zje jutro na śniadanie. Czerwone primitivo nie wymagało chłodzenia, wystarczyło poczekać kilka minut, by odzyskało oddech po wyjęciu korka. W tym czasie pokroiła parmezan w kostkę, włożyła dres i rozłożyła się wygodnie na balkonie. Wieczór był ciepły, coraz cichszy, choć nie milczący, co bardzo jej odpowiadało. W ciszy głupie pomysły przychodzą do głowy, powtarzał Darek, nastawiając na cały regulator muzykę swojego ulubionego zespołu Czułe Szczękoczułki. Poziom muzyczny był tragiczny, ale zdaniem Darka głośne słuchanie ukrywało drobne niedociągnięcia. Dziś Laurze wystarczą odległe pomruki miasta.

Przyjechała do Rzymu cztery i pół miesiąca temu, ale dopiero niedawno jej życie tutaj nabrało rumieńców. Wcześniej grzała się na nasłonecznionych ławeczkach, zachwycała malarstwem w galeriach, przesiadywała w archiwach i bibliotekach. A potem nagle wszystko przyspieszyło. Pojawili się nowi znajomi, miała nowe powody do uśmiechu i odczuwała zupełnie nowe emocje. Andrea, Massimo, Matteo, Veronique, Lucia, Alessia, Sofia, profesor Scorzi i Giulietta, dyrektorka galerii. Kurs gotowania, rzymskie spacerki w blasku księżyca, podróż do Toskanii, zdrapywanie kurzu z historii dziadka Macieja. Gdyby to wszystko się nie wydarzyło, łagodnie dopłynęłaby do finału i wróciła do kraju zachwycona włoskimi smakami i uprzejmością. Ale wydarzyło się dość, by powrót nie był łagodny. Zdała sobie z tego sprawę kilka dni temu, gdy rozmawiała przez telefon z Kaśką.

– Czuję się, jakby ktoś właśnie doliczył się, że nie należy mi się miejsce w raju, bo w księgach stoi jasno, że Laura w czyścicu ma siedzieć i basta.

Za chwilę każą mi oddać komfortową chmurkę i podpisać obiegiwkę z biblioteki z gwiazdami, żeby mi nawet cień niebiańskości nie pozostał. A potem w dół, w szarość.

– Dramatyzujesz jak Modrzejewska. Włochy to nie Malediwy, będziesz wracać.

– Wkrótce spakuję walizkę i zniknę z tego świata, jakby mnie tu nigdy nie było. Kto będzie pamiętał o zziębniętej Polce rozdartej między Caravaggiem a carbonarą?

– No to zrób coś, żeby cię nie zapomnieli. Niech tęsknią za tobą i nocami myślą o twoim powrocie.

Przypomniała sobie tę rozmowę z kuzynką dzisiaj podczas spotkania z Andream. Kiedy zapytał ją, czy upiecze dla niego szarlotkę, poczuła ucisk w żołądku. Powinna była mu powiedzieć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zdąży już tego zrobić. Powstrzymała się jednak, bo to nie był odpowiedni moment, by mówić o pożegnaniach.

I właśnie w tym momencie przemknął jej przez głowę pewien szalony pomysł. A gdyby zorganizować pożegnalną ucztę dla wszystkich tych, którzy uczynili jej życie wielobarwnym? Podziękować Rzymowi za piękną gościnę? Zostawić po sobie wspomnienie pełne smaku i radości, zasiać w ich sercach tęsknotę i obietnicę, że coś jeszcze może się wydarzyć, że to pożegnanie nie oznacza końca.

– Nadal jesteś gotowa mi pomóc? – zadzwoniła do Kaśki, nie patrząc nawet na zegarek. Wiedziała, że było późno, ale są sprawy ważniejsze niż sen.

– Dla ciebie wszystko – mruknęła nieco zaspana kuzynka.

– Kup bilet na samolot...



Nicole wylądowała przed czasem, więc czekała na Andreę, gdy zdyszany dobiegł do hali przylotów. Wciąż latała jedynie z bagażem podręcznym, unikając czekania przy taśmociągu na swoje walizki. Andrea podziwiał w niej tę rzadką u kobiet umiejętność zabierania w podróż tylko naprawdę koniecznych rzeczy. Teraz stała w ciemnych okularach i kierowała twarz ku słońcu. Uwielbiała tak robić.

– Oto jestem. – Stał przed nią, przecinając promienie.

– Nareszcie! – Zrobiła obrażoną minę. – Długo kazałeś na siebie czekać.

– Długo? Ja na ciebie czekałem ponad trzy lata. – Wziął walizkę i pocałował ją w policzek.

– Taki pocałunek po latach i w dodatku po spóźnieniu? – Wciąż grała obrażoną.

– To na zachętę, a to, żebyś wiedziała, co przez te lata traciłaś...

Zbliżył się do niej i mocno przywarł do jej ust swoimi, odchyłając lekko jej głowę. Pocałunek był tak namiętny, że zwrócił uwagę większości ludzi zgromadzonych w hali przylotów.

– A teraz musimy iść, bo odholują nam samochód. Zaparkowałem na zakazie.

Gdy wyjechali z lotniska na autostradę, Nicole wzięła go za rękę.

– Nie jedźmy dziś na noc do Rzymu. Jest tak ciepło, że mam ochotę popływać w morzu. Dawno tego nie robiłam. Zapłacę za hotel. Proszę.

Nie odmówił. Ciągle była w niej ta szalona spontaniczność. Skręcił w przeciwną stronę, niż wskazywały drogowskazy na Rzym, minął Ostię i kierował się dalej na południe. Po godzinie zatrzymali się przed niewielkim nieznanym hotelem. Trafili idealnie, kompleks składał się z budynku głównego i wielu rozsianych po plaży domków. Tylko jeden z nich, najmniejszy i położony na uboczu, był wolny. Tak jakby czekał właśnie na nich. Zjedli

kolację w restauracji hotelowej, a potem z butelką wina zasiedli na piasku przed domkiem. Nicole podkurczyła boscie nogi i oparła się o Andreeę. Wsłuchiwała się w szum fal. Andrea milczał i czekał na jej opowieść. Kiedy zaczęła, nie przerywał jej ani słowem.

– Znowu pokrzyżowałeś moje plany. W dwa dni, które spędziliśmy razem, wywróciłeś do góry nogami to, co udało mi się zbudować przez ponad trzy lata bez ciebie. Kiedyś twoja przyjaciółka Giulietta powiedziała, że z tobą nie można się zadawać, bo ciebie nie można nie kochać. Kocham cię, Andrea, dziś tak samo jak wtedy, gdy wyjechałam. I tym bardziej chcę tego rozvodu. Wiem, że mnie szukałeś od pierwszego dnia, wszędzie i za wszelką cenę. Przez cały ten czas cię obserwowałam i wiedziałam, co się dzieje. Od początku byłam w kontakcie z Antoniem. Szybko mnie odnalazł po wyjeździe, dzwonił do mnie albo ja do niego. Obiecał, że dochowa tajemnicy, i wiem, że słowa dotrzymał...

Andreeę wstrząsnął dreszcz oburzenia. Wiedział, że Antonio jest mistrzem udawania, nie przypuszczał jednak, że ktoś, kto je calzone i patrząc mu prosto w oczy, mówi: „Nie mogę znaleźć Nicole”, kłamie. Obiecał dotrzymać tajemnicy i to Andrea mógł zrozumieć, ale to, że wykorzystywał jego prośby, by zlecać mu kolejne zadania...

– Nie złość się na Antonia. Znasz go, wiesz, że nie kieruje się w życiu prostymi zasadami. Ale dzięki niemu wiedziałam, co u ciebie słyhać. Wiem, że byłeś gotów zrobić wszystko, by mnie odnaleźć, że jesteś sam, że nie masz nikogo na stałe ani nawet na chwilę. Podobno zacząłeś inaczej traktować kobiety, dalej jesteś szarmancki, pomocny, ale teraz nie bierzesz nic w zamian. Wiedziałam, że mieszka z tobą Marta, że tylko mieszka. A ostatnio dowiedziałam się o Laurze z Polski. Od niego wiedziałam o twoim awansie. Od niego wiedziałam, że mnie kochasz...

– Skoro wiesz wszystko, to powiedz mi, dlaczego wyjechałaś?

– Musiałam. Straciłam kogoś, kto dawał mi nadzieję. W tym dniu zmarł mój ojciec... – opowiadała spokojnie, bez emocji, jakby w myślach miała od dawna gotową całą opowieść.

Wiedziała, że Andrea miał wiele kobiet. Nie dlatego, że szukała ich zapachu na jego koszulach czy ciele, ale dlatego, że była jego żoną i go kochała. Długo tolerowała jego wyskoki, prała, prasowała koszule, nie miała żadnego innego mężczyzny, nawet przyjaciela. Potem coś zaczęło się zmieniać. Nadal go kochała, ale przestała być obojętna wobec jego zdrad. Zaczęła się mścić tak,

by tego nie widział, ale by najbardziej go to bolało. Wiedziała, jak bardzo pragnął dzieci, jak co miesiąc nerwowo oczekiwał, czy może się udało. Jak się o to modlił i szukał ratunku u najlepszych specjalistów. Oszukiwała go. W tajemnicy przed nim cały czas łykała tabletki antykoncepcyjne. Wie, że to była okrutna zemsta.

Andrea słuchał w milczeniu, oddychając głęboko. Zamknął oczy, a w jego pamięci przesuwały się obrazy. Zapisane mocno wspomnienia chwil, dni, kiedy oczekiwał na radosną nowinę, kiedy wyobrażał sobie siebie z synem, jak chodzą po pagórkach wokół domu i uczą się świata, tak jak przed laty on ze swoim ojcem. Bardzo pragnął być ojcem. Tak, zemściła się w najgorszy i najokrutniejszy dla niego sposób.

Nicole milczała. Andrea milczał. Nie milczało jedynie morze. Nie przeprosiła go za swoje oszustwa. On przecież wciąż jej nie przeprosił za swoje występki. Właściwie nie przyznał się nawet, że zdradził ją wiele razy. Nie powiedział nawet, że ją kocha. To Nicole powiedziała, że wie o zdradach i że go kocha.

Do wyjazdu szykowała się od dawna. Czekwała na impuls albo na zmianę u niego. To drugie nie następowało. Andrea robił się za to coraz bardziej tajemniczy. Znikał, częściej wyjeżdżał. Mówił, że robi coś z Antoniem, a ona w tym czasie spotykała go na ulicy. Tego ranka dostała telefon od swojej siostry. Wiadomość o ojcu. To był ten sygnał. Zabrała tylko kilka najbardziej osobistych rzeczy i wyszła, zostawiając klucze od mieszkania u gospodyni. Nie chciała tych kluczy. Bała się, że wróci. Wzięła samochód, bo był zarejestrowany na nią. Nie zabrała nic, co było ich wspólne. Nie wiedziała, czy i kiedy wróci. Nie zawiadomiła Andrei o śmierci ojca. Nie chciała, żeby był wtedy z nią. Wiedziała, że nigdy nie znajdzie sił, by odejść, jeśli w takiej chwili będą razem.

Po pogrzebie musiała uporządkować wszystkie sprawy ojca. Zmarł nagle, a ostatnie lata życia spędził samotnie, w separacji z matką. Zostawił testament. Wszystko zapisał tylko jednej osobie – Nicole. To spowodowało jej ostateczne rozejście się z rodziną, matka i siostry miały do niej ogromne pretensje. Ojciec pod koniec życia bardzo dużo zarobił, zrealizował projekt samochodu dla największego włoskiego koncernu motoryzacyjnego. Majątek, który odziedziczyła, dawał jej samodzielność finansową na długie lata. Żeby ostatecznie zerwać z rodziną, zmieniła nawet nazwisko. Przyjęła nazwisko ojca, Menuiserie. To dlatego Andrea nie mógł jej znaleźć, gdy szukał Nicole

de Brie.

Dopiero teraz poznał tajemnicę rodziny swojej żony. Jej matka, panna z dobrego domu, popełniła mezalians, wychodząc za mąż za prostego człowieka z ludu. Musiała to zrobić, bo nosiła w łonie owoc ich znajomości. Nicole. Potem ten prosty człowiek okazał się znakomitym projektantem i źródłem utrzymania całej licznej rodziny de Brie. W zamian za ślub musiał jednak zrezygnować ze swojego nazwiska. Gdy zmarł, Nicole oddała mu jego nazwisko, przyjmując je jako swoje. Przeniosła się do Tuluzy i założyła studio grafiki. Malowała i projektowała okładki płyt, plakaty, opakowania. Wszystko, na co było zapotrzebowanie. Radziła sobie świetnie, ale nie miała z kim dzielić tej radości.

Stopniowo czas wygasił w niej wszystkie negatywne emocje, jakie czuła do Andrei, zostały tylko dobre wspomnienia. Dopadły ją problemy zdrowotne i wtedy najbardziej jej brakowało spokoju Andrei. Wiele razy miała w ręku telefon z wybranym numerem do niego. Raz przed operacją nacisnęła przycisk z małą zieloną słuchawką. Usłyszała jego głos. Milczała, a on powtarzał tym swoim ciepłym, niskim aksamitnym głosem: „Tak, słucham, kto tam, nic nie słyszę”... Rozłączyła się. Wiedziała, że operacja się uda.

Andrea często odbierał głuche telefony i zastanawiał się wtedy, czy to nie jest Nicole. Chyba czuł, chyba pamiętał ten telefon. Ktoś nie rozłączał się wyjątkowo długo, miał wrażenie, że słyszy w słuchawce czyjś oddech. Jej oddech. Bał się jednak zapytać: „Nicole, czy to ty?”.

Po operacji zajął się nią młody lekarz. Miły chłopak, młodszy od niej o dziesięć lat. Chodziła do niego na wizyty kontrolne. Potem zaczęli się spotykać prywatnie. Prawie banalna historia godna telenoweli, lekarz zakochuje się w pacjentce kolegi. Spotykała się z nim, ale nie potrafiła go kochać. Nie mogła pokochać kogoś, dopóki jest związana z Andreą. Dlatego przyjechała na wesele. Żeby udowodnić sobie, że to koniec. Zamiast tego wylądowali na dwie noce w jednym łóżku i kochali się jak dawniej.

Przyznała się, że widziała Andreę przed kilkoma miesiącami. Dowiedziała się od Antonia, że będzie z wizytą w Paryżu. Chciała sprawdzić, czy przyjdzie w ich ulubione miejsce, do Ogrodu Luksemburskiego. Przyszedł i usiadł w kawiarni, długo pił kieliszek calvadosu. Jak dawniej. Chciała położyć obok swoją rękę, ale uciekła do swojego lekarza Martina. Wtedy pierwszy raz była z innym mężczyzną.

Andrea nie skomentował ani słowem jej opowieści. Podał jej butelkę

z resztką wina na dnie, wypić do końca.

– Skoro jesteśmy wolni, pokażmy to. Rozbieraj się, idziemy popływać nago. Tak jak chciałaś, ale się wstydziałaś.

Zdjął ubranie i ruszył do wody. Nicole nie kazała na siebie czekać. Jednym ruchem zrzuciła sukienkę. Jak zwykle nie miała na sobie góry od bielizny. Po chwili płynęła obok Andrei.



Daniela była zaskoczona wizytą Laury. Lubiły się, czasami Polka przynosiła jej różne materiały od sióstr Manzoni i wypijały wtedy kawę w sympatycznej atmosferze. Namawiała ją nawet na bluzkę lub spódnicę, ale Laura konsekwentnie odmawiała, powtarzając, że jedna walizka ubrań jej wystarczy.

– Marcello, wracaj do lekcji – ponaglała nerwowo, jednocześnie mieszając zupę, która radośnie bulgotała na kuchence. – Damiano ubzdurał sobie, żeby mu zamiast makaronu zrobić zupę na obiad. W taką pogodę! Rozumiem zimą, ale teraz? Podobno mają Rosjanina w służbie i ten w kółko opowiada o jakichś barszczach i zupach rybnych. No i temu mojemu durnemu mężowi od razu się ubzdurało, że też będzie jadł takie zupy.

– U nas też podaje się zupy latem – wtrąciła nieśmiało Laura, przypominając sobie cudowny smak rosółu, doprawianego przez jej mamę sobie tylko znaną mieszanką ziół, dzięki której jednocześnie rozgrzewał i orzeźwiał. Idealna kompozycja na każdą porę roku.

– No dobrze... – Daniela nie dawała za wygraną. – Mogę mu zrobić lekką minestrone, ale nie to paskudztwo, w którym jest wszystko, co mu przyszło do głowy. A poza tym, dziecko drogie, w tych waszych zimnych krajach może to jest i dobre, ale nie u nas.

Daniela nie była dużo starsza od Laury, miała chyba mniej lat, niż wskazywały na to jej ostre rysy i przetykane dyskretną siwizną ciemne włosy. Na tle włoskich kobiet Laura prezentowała się dość młodo, co zawdzięczała blond włosom i delikatnej budowie. W jej obecności włoskie rówieśnice wyglądały na bardziej doświadczone życiem i tak też się zachowywały.

– Nie przyszłaś słuchać o zupach Damiana. – Daniela nagle wzruszyła ramionami. – Co cię do mnie sprowadza?

– Uszyj mi sukienkę – powiedziała Laura, jakby wszystkie poprzednie

rozmowy nie istniały. – Czerwoną.

– Co się stało? – Daniela za dobrze znała życie, by nie wiedzieć, że takie zamówienie zawsze ma poważną przyczynę.

– Trzeba jakoś wyglądać na własnym pogrzebie...

Opowiedziała Danieli o zbliżającym się końcu pobytu, o smutku i złości, które ją wypełniają od kilku dni tak szczelnie, że zaczyna brakować miejsca na radość.

– Rzym poszarzał, odkąd zdałam sobie sprawę z upływu czasu – mruknęła, zjadając kolejne ciastko. – Muszę coś zrobić, żeby te ostatnie dni były kolorowe. Pożegnaj się z przytupem.

– Podoba mi się takie podejście. – Daniela zabrała ze stołu talerz z ciastkami. – Jak zjesz jeszcze jedno, to zamiast sukienki trzeba ci będzie uszyć wdzianko maskujące.

– Od razu widać, że jesteś żoną mundurowego – wymamrotała Laura, tęsknie patrząc na oddalające się słodycze. – Nerwy zajadam...

– To jeszcze bardziej podkrecę twoje nerwy, gdy powiem, że nie uszyję ci czerwonej sukienki.

– A to dlaczego?

– Czerwone szpilki, czerwona sukienka, jeszcze czerwona szminka i będziesz wyglądała, jakby ktoś wylał na ciebie lakier do paznokci. Mam lepszy pomysł.

Laura czekała na konkrety, ale Daniela uśmiechnęła się tylko tajemniczo i bez słowa pobrała miarę.

– Wróc w przyszłym tygodniu. I żadnych ciastek po drodze...



Morze było spokojne. Nagle pojawiła się ogromna fala wywołana przez przepływający w pobliżu statek wycieczkowy. Uwielbiali takie fale od wyjazdu na antypody w podróż poślubną. Ignorując flagi zakazu kąpieli, biegli plażą w kierunku morza naprzeciw ogromnym grzywaczom tropikalnego sztormu. Masy wody chwyciły ich w swoje objęcia i wyrzucały z powrotem na brzeg. Powtarzali tę szaloną zabawę wielokrotnie, aż bez sił wracali do pokoju hotelowego, by oddawać się innym zabawom. Teraz ta jedna fala znów cofnęła ich na piasek. Pamiętali doskonale tamten wyjazd, ale żadne z nich nie chciało wracać do wspomnień. Zabrali swoje ubrania i pustą butelkę, po czym w ciszy wrócili do domku na plaży.



Być może Darek miał rację, że w ciszy rodzą się głupie pomysły. Odkąd pojawił się pomysł pożegnalnej uczyty, Laure znów wypełniła energia i chęć do działania. Robiła listy zakupów, spraw do załatwienia, telefonów i koniecznych spotkań. Znów przysiadła na schodkach nie w poszukiwaniu odpoczynku, lecz by cieszyć się chwilą.

– Oczywiście, że ci pomożemy – oświadczyły zgodnie siostry Manzoni, entuzjastycznie nastawione do wszelkich spotkań towarzyskich.

Zapytała je rano przy śniadaniu, pewna, że nie odmówią, ale bez przekonania, czy może je o to prosić. To miało być jej przyjęcie, panie wynajmowały jej uroczy pokój, ale nie musiały oddawać jej swojej kuchni i jadalni.

– Chodź z nami – powiedziała Francesca.

Zaprowadziły ją na pierwsze piętro i pokazały wielki prawie pusty pokój z oknami wychodzącymi na ulicę.

– Od dawna nic się tu nie działo, więc dziś mieszka tu głównie kurz. Jeśli posprzątasz, możesz tutaj przyjąć gości. Zmieści się ze dwadzieścia osób, a jeśli dobrze usadzisz, to i więcej. Trochę daleko do kuchni, ale z tym też można sobie poradzić.

Laura wyściskała siostry, a Chiara i Francesca od razu zaczęły planować menu.

– Nie zrobimy arrabiaty, bo goście Laury mogą nie wytrzymać twojego sycylijskiego zamięłowania do papryczki. Lepsza będzie amatriciana.

– Nie bądź nudna, Chiaro, stać nas na więcej...

Kolejny poranek u sióstr Manzoni przebiegał w atmosferze radosnego przekomarzania się. Laura uśmiechała się, popijając cappuccino. Tu i teraz było jej dobrze, tu i teraz wciąż jeszcze trwało.

– Zastanów się, moja droga, ile osób zaprosisz.

Starsze panie pochyliły się nad zeszytem z przepisami ich mamy i babci, a Laura zaczęła w myślach układać listę gości. Veronique i Lucia od profesora Scorziego, Massimo i Matteo po sąsiedzku, Erika z fundacji, która namówiła ją na kurs gotowania, Alessia i Sofia ze swoimi mężczyznami, Kaśka, Andrea. Nie wyobrażała sobie, żeby przy stole nie zasiadły gospodynie, Chiara i Francesca. Zaprosi też Daniełę, o ile jej tajemniczy projekt krawiecki nie wyprowadzi jej z równowagi.

Dostała od sióstr klucze do pokoju, żeby mogła go sprzątać w wolnym czasie. Poszła tam jeszcze raz tego ranka, by obejrzeć go już bez uroczego, ale głośnego towarzystwa sióstr. Wielki narożnik w rogu i jeszcze większy stół na środku, do tego kilka małych komódek i półki na książki na ścianach. Przedziwne połączenie jadalni z pokojem wypoczynkowym, na swój sposób urokliwe, a na pewno doskonałe do przyjmowania większej liczby gości. Spojrzała na książki, dużo włoskich powieści, tomik poezji Giuseppe Ungarettiego, dziewiętnastowieczny poradnik młodej mężatki, biografia Wawrzyńca Wspaniałego Medyceusza... Spodobało jej się, co zobaczyła. Jej goście na pewno też dobrze się tu poczują.



Zasnęli, dopiero gdy ujrzeli słońce wschodzące nad morzem, dlatego do Rzymu wyruszyli koło południa. Andrea bał się najbardziej momentu, gdy Nicole wejdzie do ich mieszkania. Czy nie zmieni zdania, kiedy zobaczy swój pokój, swoje rzeczy, kiedy dotrze do niej, że właściwie wszystko pozostało po staremu? A jeśli ona zmieni zdanie, czy on będzie miał siłę, by ją przekonać? By przekonać siebie...

Na szczęście nie musieli przechodzić obok gospodyni domu, która pełniła swoją odpowiedzialną funkcję chyba od wybudowania kamienicy. Znała wszystkich i wszystko o nich wiedziała, a swoją wiedzę chętnie dzieliła się z innymi. Powrót Nicole na pewno nie byłby długo tajemnicą. Andrea przezornie wjechał samochodem wprost do podziemnego garażu, kolejnego przywileju, który odziedziczył w spadku po swoim mecenasie. W windzie obserwował narastające zdenerwowanie Nicole. Mocno ścisnął jej dłoń.

Gdy weszli do mieszkania, zatrzymała się w przedpokoju. W środku panował półmrok. Przed wyjazdem Andrea zasłonił wszystkie okna zewnętrznymi żaluzjami, by ochronić wnętrze przed nagraniem. Teraz w tym półmroku Nicole powoli przypominała sobie całe mieszkanie. Lubiła je. Kiedy Andrea dowiedział się, że dostał spadek, na początku nie chciał go przyjąć. Miał duże opory i obawiał się reakcji Nicole. Zawsze powtarzała, że chciałyby mieszkać w domu, który razem zbudują, który będzie od początku, od pierwszego wbicia łopaty tylko ich. Ich własny, ich skarb. Kiedy jednak weszła po raz pierwszy do apartamentu, powiedziała wprost: „To jest nasz dom, dostałeś go dla nas”.

Mieszkanie, a właściwie dwa połączone ze sobą, zajmowało całe ostatnie piętro, prawie dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Mecenas Canelli kupił je po drugiej wojnie za pieniądze ze sprzedaży swojego rodzinnego

domu. Wojna odebrała mu całą rodzinę i nie był w stanie dłużej mieszkać w miejscu, gdzie każdy zakątek przypominał mu o jego samotności. Nabył więc ogromny apartament, do którego przeniósł tylko książki i obrazy. Z nimi nie potrafił się rozstać. I to chyba te książki i obrazy urzekły Nicole. Wprowadzili się niemal od razu, zmienili jedynie wyposażenie dwóch pokoi – sypialni i pracowni Nicole.

Przez trzy lata nieobecności Nicole nic się nie zmieniło. Może poza kwiatami, które zdecydowanie urosły. Oboje mieli na tym punkcie prawie obsesję. Nicole uwielbiała pielęgnować rośliny, Andrea szukał w nich odrobiny zieleni rodzinnej Toskanii. W wynajmowanym mieszkaniu musieli ograniczyć się do kilku doniczek. Kiedy jednak zaczęli mieć taką powierzchnię, a do tego dwa olbrzymie tarasy, mogli w końcu zaszaleć. Całe mieszkanie było pełne małych doniczek i wielkich glinianych donic. Jeden z tarasów został zabudowany i zamieniony na ogromną oranżerię. Wchodziło się do niego z pracowni Nicole. Mieszkanie wypełniały diffenbachie, draceny, bluszcz, figowce i zamiokulkasy, a oranżerię opanowały wszelakie storczyki.

Po wyjeździe żony Andrea nie pozwolił zmarnieć żadnej z roślin. Podlewał, pilnował temperatur i wilgotności, nawoził, leczył... Na to nie żałował wolnych chwil. Kiedy zamieszkała z nim Marta, zdziwiła się tym hobby samotnego mężczyzny. Widząc go wieczorem czytającego książki o pielęgnacji falenopsisów, musiała się zastanawiać nad jego poziomem normalności. Jeśli nie czytał o kwiatkach, oglądał albumy o sztuce i słuchał dziwnie poważnej muzyki. Gdy musiał wyjechać, pozwalał jej jedynie zajmować się roślinami zielonymi, do storczyków nigdy nie została dopuszczona. Miały własny system podlewania, przede wszystkim dlatego, że do oranżerii można było wejść jedynie przez stale zamknięty pokój. Wchodził tam zawsze sam i już na wstępie zaznaczył, że Marta ma swobodny dostęp do całego mieszkania, poza jego sypialnią i tym zamkniętym pokojem. Do sypialni po latach została dopuszczona, ale te jedne drzwi pozostały dalej zamknięte. Żartowała czasem, że być może w wielkiej lodówce trzyma tam poćwiartowane ciało swojej żony. Żartowała, ale była policjantką, więc niczego nie wykluczała, a przez to zamknięty pokój budził jej niepokój.

Andrea otworzył żaluzje i mieszkanie zalało się światłem.

– Chyba nic się nie zmieniło. – Uśmiechnął się.

– Prawie, buty damskie ciągle stoją w przedpokoju, ale rozmiar chyba ze dwa numery większy.

– Tak, Marta to słusznego wzrostu kobieta i ma solidne podstawy.
– Słyszałam, że nie tylko podstawy.
– A nie zaprzeczę, matka natura hojnie ją obdarzyła tym i owym.
– Kiedyś nie lubiłeś zbyt dużych kobiet, czy coś się zmieniło?
– Wciąż przedkładam jakość nad ilość. – Objął ją wpół. – Gdzie zanieść twoje rzeczy?
– Do gościnnego oczywiście. – Delikatnie wysunęła się z objęć, robiąc poważną minę, zbyt poważną.
– Pytałem o sypialnię lub twoją pracownię.
– Wrzucę rzeczy do szafy w pracowni, pewnie stoi pusta, od kiedy ją opróżniłeś ze mnie...
– Nie do końca, ale może twój tobołek podróżny się zmieści. Sama oceń.
Podniósł z podłogi jej walizkę i ruszył w kierunku zamkniętego pokoju. Ze skrzynki z kogutem, którego ogon był w kolorach flagi francuskiej, wyjął klucz. Podążała za nim wolno. Otworzył drzwi i gestem ręki zaprosił ją do środka. Weszła. Obwiodła wzrokiem cały pokój. Miała fotograficzną pamięć. Widziała, że w środku nic się nie zmieniło. Zauważył łzy w kącikach jej oczu. Postawił walizkę i wyszedł.



Uwielbiała cytryny. Może to sprawił ich słoneczny kolor, może skórka przypominająca ropuchę, a może smak, pierwszy, który odzyskała po przejściach z Krzysztofem. Piątego dnia pobytu w szpitalu Kaśka przygotowała dla niej wodę z cytryną, mieszając w proporcji mniej więcej pół na pół. Laura wykrzywiła się wtedy tak, że aż przesunął się opatrunek na szwie, który lekarz zdecydował się założyć na rozbitym nosie. Gdyby Krzysztof uderzył gołą ręką, nie byłoby krwi, ale on zawsze nosił na palcu sygnet po jakimś bliżej nieokreślonym pradziadku i właśnie ta rodowa pamiątka zrobiła jej najwięcej krzywdy, przecięła skórę nad wargą i po lewej stronie nosa. Dlatego lekarz na wszelki wypadek założył jeden szew, a sok z cytryny omal nie otworzył znowu rany. Przywrócił jednak Laurze przytomność umysłu i świadomość tego, co się stało. Właściwie powinien się jej źle kojarzyć, ale zaskakująco pozostał w jej pamięci jako symbol przebudzenia i nadziei na powrót radości.

Od tamtej pory zaczęła szukać cytrynowych smaków, piekła babeczki z kremem cytrynowym, złociście żółtą skórkę ścierała do jogurtu, zasypywała cytrynowe plasterki cukrem, by potem dodawać je do herbaty niczym uśmiech losu.

Stała teraz na Campo przed stoiskiem z owocami i przyglądała się cudownie wypiętrzonej piramidzie sycylijskich cytryn. Postanowiła, że na ostatnim spotkaniu z przyjaciółmi udekoruje stół tymi ogromnymi cytrynami przypominającymi nadmuchane ropuchy, a potem zabierze je ze sobą do Polski i spróbuje zrobić z nich prawdziwe limoncello. W polskich warunkach wychodziło albo za kwaśne, albo za słodkie. Nie mogła uchwycić właściwej nuty smakowej. Nie wiedziała, w czym tkwi problem, dopóki nie skosztowała wielkich cytryn z Sycylii, które były jednocześnie kwaśne i słodkie. To z nich należało robić likier cytrynowy.

– Dzień dobry, pani Lauro – usłyszała za plecami.

Odwróciła się i zobaczyła Giuseppe, bratanek Andrei. Spotkali się przelotnie, gdy była w Toskanii.

– Nie przesadzaj z tą panią – uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń na powitanie. – Co ty tu porabiasz?

– Czekam na Marię, robi zakupy na drugim końcu targu. Sekretarkę wujka...

– Rozmarzone spojrzenie Giuseppe mówiło samo za siebie.

– Wiem, znam Marię. Piękna dziewczyna.

No proszę, pomyślała, śliczna panna z Campo w objęciach młodego Lituano. Pamiętała, jak kiedyś spotkała się z Andreą przy stoisku Marii. Z daleka było widać, że są po prostu znajomymi, ale Maria delikatnie go kokietowała, wykorzystując dłuższą znajomość. Pewnie nie miałyby nic przeciwko, gdyby Andrea odwzajemnił jej zainteresowanie, nie zrobiła jednak nic, co mogłoby zostać odczytane zbyt jednoznacznie. Próbowwała po prostu pokazać Polce, że w razie czego jest pierwsza w kolejce.

Laura świetnie знаła ten rytuał. Wszystkie jej koleżanki odgrywały ten godowy taniec wokół chłopców, którzy wpadli im w oko. Ona sama zapewne też dała do zrozumienia koleżankom Krzysztofa, że ma pierwszeństwo, gdy zaczął zwracać na nią uwagę. Trudno było gniewać się na kogokolwiek za to, że zaznacza swoje terytorium i broni zdobyczy.

– Laura? Jak się cieszę, że cię widzę! – Maria rzuciła się jej w ramiona. – Odkąd pracuję w biurze, w ogóle cię nie widuję, a mam ci tyle do powiedzenia.

Dyskretnie wskazała głową na Giuseppe i spłonęła się jak nastolatka przyłapana na całowaniu się za szkołą.

– Musimy się umówić na pogaduchy.

– To ja mam pomysł. Zapraszam was oboje na moją wielką ucztę dla przyjaciół.

– Świetnie, będziemy na pewno. Musimy się trzymać razem, no wiesz, my dziewczyny Lituanów...

Czyżbym przesunęła się na pierwsze miejsce?, przemknęło Laurze przez głowę. Uśmiechnęła się jak lwica, która odkryła właśnie, że ma na wybiegu całkiem przystojnego lwa, a konkurencja poszła w odwiedziny do tygrysa.



Chociaż Andrea był adwokatem, nie przypuszczał, jak trudne jest przeprowadzenie rozwodu. Nawet gdy obie strony zgodnie do tego dążyły, w związku nie było dzieci, a małżonkowie od trzech lat żyli w faktycznej separacji. Andrea mógł co prawda użyć wpływów swoich ważnych znajomych i przyspieszyć sprawę w sądzie, ale nie chciał informować o tym całego świata. Nie chciał tak naprawdę informować nikogo o niczym, co dotyczy jego życia, a już na pewno nie poprosi o pomoc Antonia, mimo sugestii Nicole. Ciągle nie mógł mu wybaczyć, że go wykorzystywał przez lata.

Zwrócił się do Domenica, gdyż poza cywilnym kontraktem łączył go z Nicole także ten ważniejszy dla niego, sakramentalny. Andrea poprosił przyjaciela o pomoc w stwierdzeniu nieważności małżeństwa, a właściwie poprosili go razem. Odbyli bardzo trudną rozmowę, która stanowiła rodzaj ich wspólnej spowiedzi za murami Watykanu w mieszkaniu Domenica. Przyszli po kolejnej namiętnej nocy spędzonej w ich własnej sypialni.

W ich słowach nie było żadnego gniewu, żadnych pretensji, żadnych emocji. Ktoś postronny mógłby uznać, że Nicole i Andrea są chwilowo niepoczytalni albo żartują z księdza. Ale Domenico wiedział, że mówią poważnie i są w pełni świadomi swoich słów. Znał ich, bo byli jego przyjaciółmi. Rozumiał, że to jest najlepsza decyzja, i chociaż było mu przykro, że rozpadło się pierwsze małżeństwo, które jako ksiądz pobłogosławił, obiecał wszelką pomoc.



Po raz ostatni pamiątki z podróży przywiozła swojej rodzinie z wakacji nad polskim morzem, jakieś piętnaście lat temu. Potem dostała zakaz, bo mama i Monika nie lubiły kupować prezentów, a po jej podarunkach czuły się zobowiązane, by ze swoich wakacji również coś przywozić. Stało na tym, że Laura może przysyłać ładne pocztówki i pokazywać zdjęcia z wyjazdów, ostatecznie tolerowano słodycze. Laurze pozostały więc do kupienia drobne prezenty dla dzieci Darka i Moniki i nieco większe dla Zośki i Kaśki, które zawsze z radością witały każde wspomnienie urlopu, niekoniecznie swojego. Jeśli jechała na wycieczkę autokarową, nie troszczyła się o nadbagaż, przywoziła wino i likiery. Po wakacjach samolotowych dziewczyny dostawały pamiątki, które prawie nic nie ważyły, by nie mnożyć kilogramów. Laura obsypywała je wtedy biżuterią, a że i Zośka, i Kaśka były jak sroki, każde świecidełko wprawiało je w zachwyt.

Teraz Laura postanowiła się wyłamać z narzuconych jej przez rodzinę ograniczeń. Po półrocznej nieobecności zasłużyła na to, by zrobić sobie przyjemność kupowania prezentów. Zawsze to lubiła i najchętniej narzuciłaby światu dodatkowe święta i rocznice, byle tylko móc dzielić się z innymi tym, co wyszperała w dziwnych sklepach na końcu świata.

– Proszę mi zapakować ten zestaw przypraw – poprosiła sprzedawczynię w sklepiku niewiele większym od kiosku.

Uwielbiała małe sklepiki, zaglądała do każdego, radość sprawiało jej nawet oglądanie starych klamek u prawdziwych rzemieślników. Odwiedzała galerie schowane za siódmym zakrętem, stragany zapakowane pod sufit gospodarstwem domowym, delikatesy dla turystów i sklepy spożywcze dla tubylców. Kupowała pojedyncze zakurzone filiżanki za jedno euro, dziwne przyrządy niesłużące do niczego, ale pięknie wyglądające, jakieś obrazki

rysowane niewprawną ręką, motylki, aniołki, korale. Im bardziej były wciśnięte w kąty i pokryte kurzem, tym chętniej wyciągała po nie rękę.

– Powinnaś pracować w archiwum, tam też wszystko jest poupychane po kątach i nieziemsko zakurzone – marudziła Zośka, gdy raz pojechały obie na wakacje i przyjaciółka zobaczyła, co Laura wyprawia w sklepach. – Po zakupach z tobą muszę brać prysznic.

Laura uśmiechnęła się na wspomnienie Zośki. Specjalnie dla niej wybrała najbardziej zakurzoną bransoletkę w starym sklepiku na Zatybrzu. Właścicielka sama nawlekała koraliki i na pierwszy rzut oka efekt jej pracy nie zachwycał, ale czasem udawało jej się zrobić małe cudceńka, które spoczywały w wielkiej skrzyni, czekając na przyszłych posiadaczy. Zielone korale będą Zośce przypominać jej ulubione żaby.

Przyprawy dla bratowej, katalog zabawek dla brata, a dla ich dzieci dużo włoskich słodczy. Bardzo to niewychowawcze, ale od czasu do czasu Laura świadomie sabotowała zdrowe wychowanie i zapewniała maluchom chwile czystego szczęścia. Monika dostanie płytę z najpiękniejszymi chórami z włoskich oper, jej mąż zaś na pewno ucieszy się z filmu o włoskim rugby. Laura dopiero dzięki Wojtkowi dowiedziała się, że rugby istnieje w Polsce, nie powinna więc czuć się zaskoczona uprawianiem tego dziwnego sportu we Włoszech. Jaśkowi już dawno temu kupiła album z najciekawszymi muralami Europy. Dla rodziców wygrzebała piękne filiżanki w jakimś wyprzedającym się składzie porcelany.

Ciotce Sabinie z oczywistych względów nie mogła kupić nic, co by nawiązywało do Włoch, więc w ogóle zrezygnowała z prezentu dla niej. Jeszcze tego brakowało, bym czuła się winna, że wyjechałam, pomyślała, a upominek dla ciotki byłby jak wieczny wyrzut sumienia. Może kiedyś, gdy ciotka zyska spokój duszy, Laura pokaże jej zdjęcia, poczęstuje włoską kawą i opowie o tym dalekim kraju, z którego pochodziła Raffaella. Na razie nie było szans na to, by opowiedzieć ciotce o jej włoskiej rodzinie, być może nigdy nie dowie się, że ma dwie przyrodnie siostry, które chciałyby się z nią spotkać.

– Mamę bardzo cieszy myśl, że w Polsce ma rodzinę, ale to nic w porównaniu z ciotką Beatrice, która chciała już kupować bilet na samolot – opowiadała Alessia, gdy spotkały się kilka dni temu. – Z trudem jej wytłumaczyłam, że przyrodnia siostra z Polski nie będzie szczęśliwa, gdy w drzwiach stanie nagle córka Raffaelli. Na to trzeba czasu. Może najpierw

ciotka napisze list.

– Szczerze mówiąc, czarno to widzę. Na szczęście młodsze pokolenie jest bardziej otwarte, Kaśka wkrótce przyjeżdża do Rzymu.

– Fantastycznie. – Alessia była naprawdę zachwycona. – Ciebie uwielbiam i zawsze będziesz moim numerem jeden, ale z Kasią mamy tego samego dziadka, to taka trochę siostra.

– Jakoś będę musiała to przeżyć. – Laura dramatycznie złapała się za serce.

Najchętniej zachowałyby Alessię i Sofię tylko dla siebie, lecz Kaśka też miała do nich prawo. Kibicowała Laurze przed wyjazdem, pomagała jej w trudnych chwilach, podtrzymywała na duchu po Krzysztofie, zasłużyła na to, żeby poznać kawałek swojej historii. Trzeba ją będzie tylko prądem zmusić do milczenia przed ciotką Sabiną. W przeciwnym razie zrobi się z tego tragedia rodzinna i nic nie zatrzyma rozlewu krwi.



Nicole nie została długo w Rzymie. Po rozmowie z Domenikiem poszli z Andream na długi spacer po mieście. Odwiedzili stare zakątki, ulubione knajpki, zrobili sobie kilka zdjęć na pamiątkę. Czuli się trochę jak turyści, którzy po latach postanowili wrócić tam, gdzie spędzili miesiąc miodowy. Tylko że oni nie wspominali, nie uśmiechali się do chwil z przeszłości, pragnąc ich powrotu. Żegnali je w milczeniu.

Mieli dość czasu, żeby po powrocie do mieszkania wpaść do sypialni i zakończyć ten związek jeszcze jedną chwilą bliskości. Pozostali jednak w kuchni, krzątając się podczas przygotowywania ostatniego wspólnego posiłku. Rozmawiali o przyszłości, zastanawiali się, czy Giuseppe utrzyma zainteresowanie Marii, czy Giorgia szybko zdecyduje się na dziecko, czy Cecilia wytrwa w szkole artystycznej. Ani słowa o nich samych, o tym wszystkim, co ich łączyło, a co właśnie postanowili zakończyć. Jakby z chwilą rozmowy z Domenikiem ostatecznie przestali już istnieć jako liczba mnoga.

Andrei ulżyło po spotkaniu z przyjacielem. Wprawdzie Domenico od dawna wiedział, że małżeństwo z Nicole właściwie nie istnieje, żywił jednak nadzieję, że ten pierwszy poświęcony przez niego związek odrodzi się i powróci do tego, co było w nim najważniejsze. Andrea czuł, że zawiódł przyjaciela. Na szczęście duchowny przyjął ze spokojem ich wyznanie, pozwolił im wypowiedzieć te wszystkie słowa, których sami przed sobą nie chcieli wymówić. A potem poczęstował limoncello, opowiedział o nowych porządkach w Watykanie i wygonił, tłumacząc się obowiązkami.

– Nie zapominajcie o Bogu – dodał, zanim zamknął za nimi drzwi, a oni uśmiechnęli się na wspomnienie, że dawniej też ich tak żegnał, nawet gdy wcześniej wszyscy razem porządnie nagrześli nadmiarem jadła i napoju.

– Nie odprowadzaj mnie na lotnisko – poprosiła Nicole, gdy nadszedł

wieczór. – Nie chcę już dzisiaj więcej pożegnań. Chcę to zakończyć tutaj.

Zakończyli. W przedpokoju, obok skrzypiącej szafy, wtuleni w siebie, bez słów, które mogłyby coś jeszcze zepsuć. Byli pewni tej decyzji, a mimo to niełatwo było im odsunąć się od siebie i odejść.

– Zadzwoń do mnie. Masz już mój numer. – Nicole położyła mu dłoń na piersiach. Zawsze tak robiła, gdy chciała, żeby się skupił na jej słowach. – Ale dopiero za jakiś czas...



Konspirowanie z Kaśką było niebezpieczne, tym razem jednak kuzynka wywiązała się ze swojego zadania doskonale. Nie tylko nie opowiedziała o wszystkim ciotce Sabinie, co groziłoby rozpętaniami kolejnej wojny światowej, lecz zebrała wszystkie niezbędne informacje. Od mamy Laury przywiozła przepis na szarlotkę babci, od swojej mamy podstępem wyciągnęła przepis na polędwiczki w sosie miodowo-korzennym, Monika dała jej swój zeszyt z przepisami na ciasteczka.

– Niech ci Włosi zobaczą, że Polacy nie gęsi, swoje jadlo też mają. – Śmiała się, wypakowując z walizki dwa kilogramy sera białego, suszony koperek, woreczek tartych ogórków kiszonych, słoiczek konfitury wiśniowej osobiście zrobionej w ubiegłym sezonie przez ciotkę Sabinę, butelkę miodu pitnego. – Pokochają nas za to.

– No nie wiem. – Laura wciąż miała wątpliwości, czy dobrze wymyśliły menu na uroczystą kolację.

Na początku chciała się pochwalić swoją znajomością kuchni rzymskiej, zdobytą dzięki natchnionemu Giancarlo i jego surowej mamie. Potem pomyślała o stworzeniu stołu pełnego europejskich smaków. Jedynym polskim akcentem miała być szarlotka obiecana Andrei.

– Nie wygłupiaj się, europejska kuchnia jest w każdej knajpie – grzmiała Kaśka. – Ty masz im wszystkim pokazać kawałek siebie, część swojej tradycji.

– A jeśli im nie zasmakuje polska kuchnia, to wyjdą głodni.

– Zrób polskie potrawy, a wszystkim każ przynieść coś z ich stron. W ten sposób będziesz miała Polskę, Włochy, Francję, Skandynawię. Dla każdego coś dobrego.

Ustały, że przygotują mięso w słodkim sosie korzennym, według

staropolskiego przepisu, który ciotka Sabina przepisała kiedyś ze starej książki kucharskiej. Trochę go unowocześniła, ale dawny charakter pozostał. Laura bardzo chciała zrobić pierogi ruskie ze skwarkami.

– Wiem, że nie wyglądają jakoś nadzwyczaj dwornie, ale jest w nich cała moja miłość do polskiego jedzenia – upierała się, gdy Kaśka próbowała ją namówić na coś bardziej wyszukanego.

W końcu kuzynka się poddała i pierogi znalazły się na liście obok mizerii, sałatki ziemniaczanej i mnóstwa ciast. Kaśka zdecydowała się upiec sernik, Laura trzymała się swojej szarlotki, a razem planowały jeszcze zrobienie mnóstwa ciasteczek.

– Będzie pysznie.

– A nie za mało?

– Nie bądź jak moja babcia. Wagon jedzenia to byłoby dla niej za mało, zawsze się bała, że goście wyjdą głodni. Przecież oni też przyniosą coś do jedzenia – uspokajała Kaśka, ale Laurę zaczynały właśnie opadać setki wątpliwości.

Gdyby nie zaprosiła już większości osób, pewnie po kryjomu spróbowałyby się wycofać z całego przedsięwzięcia. Niezręcznie byłoby jednak odwoływać spotkanie, gdy poinformowała o nim Alessię, Sofię, Veronique i Lucię, chłopców z sąsiedztwa, Erikę i Marię z Giuseppe. Siostry Manzoni ustaliły, że przygotują wielki półmisek makaronu, i teraz trwały pertraktacje dotyczące sosu, składniki zmieniały się każdego dnia, o czym szczegółowo i z właściwym sobie zapałem informowały ją każdego ranka. Nie mogła im tego zrobić.

– Dasz się zaprosić na spacer? – zadzwoniła do Andrei, który wciąż jeszcze nie został oficjalnie wpisany na listę gości.

Nie widzieli się od kilku dni, a rozmowy przez telefon nie sprzyjały opowiedzeniu o tym poźegnalnym pomysle. Chciała to zrobić osobiście.

– Chętnie, ale załatwiam coś dzisiaj w okolicach ulicy Filiberta, więc może spotkamy się wyjątkowo nie w centrum, ale trochę bardziej na uboczu.

Umówili się dość późno, Laura miała więc sporo czasu, by zająć się kuzynką. Poszły na zakupy. Kaśka, która na co dzień zajmowała się public relations, ubierała się elegancko, wyrażała się starannie, znała słowa, których istnienia Laura nawet nie podejrzewała. Kiedy jednak mijał czas pracy, w Kaśce budził się zew natury, szpilki wymieniała na trampki, eleganckie loki spinała w kucyk, a zamiast garsonki za kilkaset złotych wkładała porozciągane

bawełniane T-shirty z jej ulubionych niszowych sklepów. Jej szef, spotkawszy ją kiedyś niespodziewanie w niedzielę, nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Pani Kasiu, czy pani wie, co robi? – powtarzał skoncentrowany na czerwonym podkoszulku z napisem „Chrzanię cię, misiu”. – Przecież o wizerunek musimy dbać cały czas, nigdy nie wiadomo, kiedy klient...

– Panie prezesie – rzuciła Kaśka, stając przed nim tak, by widział nie tylko napis, ale i przynajmniej połowę tego, co skrywało się pod koszulką. – Przed południem mogę tańczyć dla klientów, po południu to oni mogą tańczyć dla mnie. Życzę miłej niedzieli.

I odeszła, w ogóle nie przejmując się zdumieniem przełożonego. Jej pewność siebie sprawiła, że szef nigdy nie wrócił do ich spotkania, zapewne szczęśliwy, że do pracy przychodziła elegancka i zachowywała się grzecznie. Od tamtej pory nigdy też nie wchodził z nią w spory, a wszelkie sprawy dyskusyjne załatwiał przez innych pracowników. Może się bał, że usłyszy od niej to, co zobaczył na obcisłej koszulce.

Laurze na pewno nie wystarczyłoby odwagi na taką odpowiedź, a przede wszystkim nie włożyłaby takiego ubrania. W jej świecie królowały raczej słowne pastele, pensjonarskie „przepraszam” zamiast „spadaj” i „proszę” zamiast „należy mi się”. Nic dziwnego, że jestem panią z muzeum i zarabiam jedną trzecią tego co Kaśka, pomyślała wtedy i ta refleksja towarzyszyła jej niezmiennie przez wszystkie lata, które upłynęły od tamtego zdarzenia. Nie chodziło tylko o wybór zawodu, ale o pewną psychiczną niegotowość do walki. Mogła się kłócić o nieuszkodzoną bluzkę w sklepie, ale kiedy trzeba było naprawdę zaważać o siebie, stawała z tyłu i czekała, aż inni wyleją całą swoją krew, a potem sprawdzała, czy coś dla niej zostało po bitwie. Nigdy nikomu nie powiedziała, że jest głupi, że nie wie, o czym mówi, że nie zna się na swojej robocie. Poprawiała cudze błędy dumna ze swojej wiedzy, a potem patrzyła, jak ci wszyscy głupszy stawali się menedżerami.

– Ciesz się ze swojego cichego muzeum – powiedziała jej kiedyś Kaśka, gdy dopadło ją zmęczenie pracą. – Udział w tym wyścigu wymaga bardzo twardej skóry.

Laura miała trzydzieści pięć lat i wciąż nie mogła się zdecydować, co ceni bardziej: niezrealizowane marzenie o tym, by zostać zdobywcą świata, czy realizujące się marzenie, by cieszyć się z tego, co wokół.



Był piekielnie zmęczony. Giulia bardzo się starała, by ułatwić mu życie w pracy, ale nawet ona nie mogła załatwić za niego wszystkich spraw. Czekają go dwa trudne spotkania z dziwnymi ludźmi, którzy dużo chcieli, niewiele dając w zamian. Białe karteczki zapisane drobnym pismem Marii przypominały mu o wszystkich telefonach, jakie musiał wykonać. I jeszcze stos dokumentów do podpisania. A między tym wszystkim ludzie próbujący wykorzystać fakt znajomości z ministrem, prośby o pracę, wymyślone długi wdzięczności, obłudne uśmiechy i obietnice, które nic nie znaczą. Za dobrze to wszystko znał, żeby nie wiedzieć, jakie będą skutki każdej jego decyzji.

Wiedział, co go czeka. Była to konsekwencja dawnych wyborów, teraz należało tylko nie schodzić z obranej drogi. A jednak czuł się zmęczony, nie tyle pracą, ile całym swoim życiem. Ślub chrześniaka przyspieszył spotkanie z Nicole, choć i tak w końcu by się spotkali, żeby ostatecznie uporządkować ich sprawy. Nicole znajdowała się już pewnie w ramionach swojego doktora, pełna nadziei na pokochanie go. Bardzo tego chciała i zasługiwała na to. Andrea też na coś zasługiwał, ale nie wiedział jeszcze na co.

Na szczęście chaos wokół niego powoli się uspokajał. Maria każdą wolną chwilę spędzała z jego bratankiem, a Giuseppe zaczął nawet wspominać o przeprowadzce do Rzymu, przynajmniej na kilka miesięcy, na próbę. Marta dała się porwać gawędziarskiemu urokowi Pietra juniora. Chwilami był taki sam jak jego ojciec, niezawodny senator PePe. Obaj nie ustawiali w mówieniu i oczarowywaniu świata, uśmiechali się bez powodu i próbowali wszystkich przekonać do dobrego jedzenia i miłości.

– Sam bym ją przytulił, gdyby nie syn – pomrukiwał ostatnio Pietro w gabinecie Andrei, opowiadając o tym, jak Marta miękła w objęciach młodego adwokata.

Wygrali polowanie i w nagrodę polecili na weekend do Paryża, a potem Marta zadzwoniła do Andrei z pytaniem, czy nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby oficjalnie przeprowadziła się do mieszkania Pietra. Andrea przeczuwał to podczas ich ostatniego wspólnego wieczoru, gdy pili piwo i jedli golonkę przygotowaną przez Martę. Zachowywała się wtedy tak, jakby się z nim żegnała. Teraz naprawdę chciała zabrać swoją piżamkę w owieczki i zająć się prawdziwym życiem.

Nawet Giulia ostatnio wydawała się bardziej zajęta swoim życiem prywatnym. Coś musiało się wydarzyć, gdy wyjechała na kilka dni do Wenecji, bo od tamtej pory uśmiechała się bez powodu, nie denerwowała się na niespodziewanych gości, a na widok PePe stawała się samą słodyczą.

– Co wy tu palicie po godzinach? – dziwił się senator, przyzwyczajony do chmurnych spojrzeń sekretarki.

– Sam chciałbym wiedzieć. – Andrea wzruszał ramionami. – Ale obawiam się, że nam starym mogłoby to zaszkodzić.

– Mówisz, że już tylko cygaro i wspomnienia?

– Poszarżować zawsze można, tylko jak długo będziemy lizać te same rany...

– Oj, panie ministrze, źle się dzieje, trzeba ci dużej zmiany.

Wizyty senatora czasami bawiły Andreeę, czasami go irytowały, zawsze jednak wytrącały z marazmu, w który łatwo było wpaść w tej pracy. Teraz pozartowali, wypalili po cygarze, ukrywając się przed sekretarkami, które krzyczały na nich zawsze, bo uruchamiali czujniki dymu.

– Partyzanci od siedmiu boleści. – PePe zaśmiał się, wychodząc.

Andrea uśmiechnął się zrelaksowany. Tego mu trzeba było. Teraz mógł się zmierzyć z kolejną porcją dokumentów, zanim nadejdzie koniec pracowitego dnia.



Daniela przeszła samą siebie. Wprawdzie sukienka nie była jeszcze skończona i pozostały drobne poprawki, ale nie zmieniało to faktu, że wyszło jej małe krawieckie arcydzieło. Kremowy materiał pięknie otulał ciało Laury, załamując się tam, gdzie trzeba. Odślaniał nogi, podkreślał talię, pięknie uwypuklał biust.

– Nawet nie wiedziałam, że taka zgrabna jestem – żartowała modelka, obracając się przed lustrem.

Drobne czerwone kwiatuszki rozsypały się na gorsecie, większe spadały w dół, tworząc efektowny wzór, który falował przy każdym ruchu.

– Masz tę swoją czerwień. – Daniela była zadowolona z efektu. W pasie przewiązała ją jeszcze czerwoną szarfą, ale obie uznały, że wygląda jak prezent, i zrezygnowały z tego dodatku. – Więcej nie trzeba.

– Ale pazury i tak pomaluję sobie na czerwono – rzuciła zadziornie Laura.

Podobała się sobie. Zazwyczaj gdy stawała przed lustrem, dostrzegała w nim fajną dziewczynę z podwórka, teraz zobaczyła atrakcyjną kobietę. Nawet uśmiech miała bardziej seksowny.

– Chciałabym mieć takie wcięcie w talii. – Daniela westchnęła, pokazując swoje fałdki. – U mnie miłość i makaron zrobiły swoje...

Domenico zabrał chłopców na zawody sportowe, więc w domu panowała niespotykana zazwyczaj cisza. Daniela opowiedziała Laurze o swoim życiu, wcale nie takim łatwym, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Pochodziła z małego miasteczka w Umbrii, jej ojciec był urzędnikiem, a mama nauczycielką w szkole podstawowej.

– Rodzice zawsze powtarzali, że kobieta musi być niezależna. A ja się zakochałam w mężczyźnie, który wysłanie żony do pracy uznaje za największą plamę na honorze. Przywiózł mnie do Rzymu, bo tutaj dostał przydział,

wynajął mieszkanie w pobliżu swojego posterunku, przychodzi na obiady w czasie przerwy, jakby sprawdzał, czy mi przypadkiem coś głupiego do głowy nie wpadło. Kocha mnie, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale pilnuje jak więźnia. Szycie to jedyna rzecz, na którą mi pozwala, a i to niezbyt chętnie, chyba się obawia, że klientki namieszają mi w głowie i zdradzę go z jakimś młodym sąsiadem.

Laura przypomniła sobie włoskie filmy, które tak jej się kiedyś podobały. Mąż wraca z pracy, żona w obcisłej sukience podaje mu makaron, dzieci, dziadkowie i sąsiedzi biegają między pokojami, rodzinna radość kwitnie. Wielopokoleniowe szczęście na barkach Sophii Loren, która radzi sobie ze wszystkim bez jednej chmurnej miny, jakby chodziło o przygotowanie podwieczorku dla trzech przyjaciółek. A w rzeczywistości w kuchni stoją takie kobiety jak Daniela, której narzucono model włoskiej mammy, choć wolałyby pracować choćby w sklepie, byle tylko być wśród ludzi.

– Moja teściowa zaraz po ślubie powiedziała mi, że powinnam się cieszyć, że mam w mężu taką podporę. Nikt nie widzi, jak bardzo ja muszę podpierać ten jego idealny świat, być jego zapleczem, żeby on potem mógł błyszczeć wśród ludzi. Ale mówi się, że wszystko to dzięki niemu, pieniądze, spokój i bezpieczeństwo rodziny.

Siedziały nad zimnym cappuccino, pogrążone w niewesołych myślach. Laura wprawdzie pochodziła z rodziny, w której nie do pomyślenia było, by mężczyzna mógł zabronić kobiecie pracy, ale i tak wszystko kręciło się wokół sprawiania przyjemności chłopakom. Darkowi zawsze wolno było więcej niż Laurze i Monice, tacie uchodziło na sucho zapominanie o obowiązkach, a mama dostawała za to ciągi od całej rodziny. Wujowie spędzali niedziele na rybach, a ciotki w tym czasie szorowały mieszkania, robiły zapasy na zimę, prały i gotowały. Kiedyś ciotka Luiza wyjechała na weekend do przyjaciółki nad morzem i wujek Rysiek przez dwa miesiące się na nią gniewał, a na imprezach rodzinnych do dziś jej to wypomina. Niby wszystko wszystkim było wolno, a jednak zawsze chodziło o to, by zadowolić mężczyznę.

Krzysztof też ciągle przypominał Laurze, że jest w jego życiu po to, by jemu było przyjemnie. Stąd pretensje, gdy była zajęta swoimi sprawami, marudzenie, gdy na obiad nie było trzech dań, urażona mina po każdym jej późniejszym powrocie do domu. Jego życie nie podlegało żadnym ograniczeniom z powodu bycia z Laurą, jej musiało zostać podporządkowane. Stąd pewnie jego tragiczna w skutkach wściekłość, gdy tamtej pamiętnej nocy

wybrała drinki i przyjaciółkę, a nie świadczenie usług rodzinie Krzysztofa.

Zresztą jego poprzednicy też mieli tę niewiarygodną łatwość wpychania Laury w ramki swojego życia, dopasowywania jej czasu wolnego do ich zajęć. Czasami próbowała tłumaczyć, że to powinno działać w obie strony, najczęściej jednak machała ręką i zmieniała swój kalendarz tak, by móc się spotkać. Popełniała strategiczny błąd, ale zyskiwała uznanie w oczach kolegów, bo zawsze umiała się dopasować. Kompletnie bez sensu, pomyślała teraz, patrząc na Daniełę, tak doskonale dopasowaną, że niemal niewidoczną, wtopioną w tło.



Via Emanuele Filiberto łączyła wprawdzie Lateran z Piazza Vittorio Emanuele II, niedaleko dworca Termini, zwykle jednak tę trasę pokonywało się metrem, dla Laury była to więc zupełnie nowa okolica. Ani piękna, ani brzydka, zwykła śródmiejska.

Dotarła tu nieco wcześniej, dlatego teraz spacerowała, odkrywając boczne uliczki ze sławnymi nazwiskami. Emanuele Filiberto nie był dla Włochów postacią anonimową, w końcu jako książę Sabaudii, który przeniósł w szesnastym wieku stolicę swojego księstwa z Chambéry do Turynu, zasłużył na upamiętnienie i pewnie włoskie dzieciaki uczyły się o nim w szkole. Zdecydowanie lepiej jednak kojarzeni byli wielcy bohaterowie małych uliczek wokół głównej drogi. Machiavelli, Buonarroti, Dante, Ariosto, Tasso, wszyscy razem w tej nie najpiękniejszej części miasta, jakby stłoczeni w wielkiej hali, wzajemnie ogrzewający się swoim światłem.

Laura zawsze lubiła podążać ulicami o pięknych lub znaczących nazwach. Sama mieszkała przy ulicy Wełnianej, ale od dawna przymierzała się do kupna mieszkania w dzielnicy „śródziemnomorskiej”, gdzie wszystkie ulice nosiły nazwy związane z południem Europy. Życie w Warszawie na pewno byłoby bardziej znośne, gdyby po pracy wracała do mieszkania przy ulicy Sycylijskiej albo Portofino. Tuż obok był zestaw ulic warzywnych, mogła wybrać mieszkanie przy ulicy Pomidorowej albo Karczocha.

– Jeśli szukasz kogoś niezwykłego, właśnie znalazłaś. Oto jestem.

Andrea od dłuższej chwili obserwował Laurę, jak rozglądała się po okolicy, czytała tabliczki na domach, chowała się w zaułkach i po chwili znów była na głównej ulicy. Dobrze się bawiła, choć nie do końca wiedział w co.

– Masz silną konkurencję, niezwykły człowieku. – Zaśmiała się i pokazała mu tabliczki z nazwiskami wielkich Włochów.

A więc o to chodziło.

– Myślę, że bym sobie z nimi poradził. Bywam makiaweliczny, widziałem niejedną dantejską scenę, umiem być szalony jak Orlando, całkiem nieźle wychodzi mi uwielbianie kobiet, czyli Petrarke też pokonam. Nawet mam obok siebie Laurę...

– Czytałam w szkole Sonety do Laury, ale w szkole wszystko jest nudne, więc i to mnie nie zachwyciło pomimo wspólnego imienia. Potem wracałam do nich jeszcze kilka razy i niestety wciąż mnie nie zachwycają. Piękne słowa, ubrane w efektowne metafory i uniesienia, ale ta miłość jest okrutnie manieryczna. Doceniam jej wartość literacką, jednak nie odnajduję w niej żadnej prawdy.

– Zabolało – jęknął Andrea, chwytając się za serce. – Tak skrytykować naszego mistrza.

– Ależ ja bardzo cenię Petrarke, tylko trochę współczuję Laurze, o ile naprawdę istniała, bo włoczono ją w miłość upoetyzowaną, wystawioną na pokaz. Jeśli chcesz przebić Petrarke, musisz być prawdziwy...

– Myślałem, że wszystkie Laury są słodkie i milutkie, a tu taka niepokorna mi się trafiła.

– Mam dobre wzorce. W osiemnastym wieku był taki polski poeta sentymentalny, który nazywał się Franciszek Karpiński. Napisał sielankę Laura i Filon. Dziełko niezbyt wybitne, przyznaję, ale tamta Laura znacznie bardziej mi się podoba. Trochę wprowadzie panna jest rozhisteryzowana, ale charakter ma nie do podrobienia. Żadna tam przezroczyta dziewczeczka o duszy nieobecnej. W tej jest i awanturnica, i kochanka...

Zamilkła nagle, bo poczuła, że traci umiar. Wciąż jeszcze żywa w niej była rozmowa z Danielą i feministyczna złość na relacje damsko-męskie. Jeśli nie przerwie, powie o kilka zdań za dużo.

– Spotkałam niedawno Marię. – Zmieniła temat. – Jest zachwycona pracą urzędową.

– Wprowadziła trochę świeżej energii do biura.

Andrea przypomniał sobie, jak zaczynała pracę, pełna wątpliwości i strachu, czy da radę. Teraz radziła sobie z każdą sprawą, jej żywiołem okazały się rozmowy telefoniczne. Przez telefon potrafiła załatwić wszystko, umówić każde spotkanie i zniechęcić do wizyty każdego gościa, którego Andrea nie chciał widzieć. Praktyka na Campo przygotowała ją na kontakty z różnymi potworami.

– A właśnie, Maria wspominała, że organizujesz jakieś spotkanie...

– Spotkanie to mało powiedziane, przygotowuję prawdziwą ucztę pożegnalną. Oczywiście ciebie też zapraszam, będziesz moim gościem honorowym, ministrem do spraw urozmaicenia Pszczółce życia w Rzymie. Tyle mi pokazałeś, tyle opowiedziałeś.

– Idziemy na kawę – zarządził, niespodziewanie poirytowany tym, że Laura zaczęła używać czasu przeszłego.

Kawa okazała się naprawdę dobra. Zdaniem Laury nawet lepsza niż w Złotej Filizance przy Panteonie, ale nie powiedziała tego na głos, żeby nie wykazać się ignorancją. W Polsce kawa nie jest sprawą wagi państwowej i można się przyznać do różnych wyborów, może poza zalewaniem kawy wrzątkiem, co robi pół narodu, chociaż wszyscy wiedzą, że nie należy. Samo mówienie o kawie jest odbierane jako rodzaj wyższego wtajemniczenia. W Rzymie nie wystarczyło mówić, trzeba było jeszcze wiedzieć, co się mówi, a tej pewności Laurze wciąż brakowało. Postanowiła po powrocie do kraju pójść na kurs dla baristów. Może podczas następnego pobytu w Rzymie zadziwi Andreę znajomością zagadnienia i będzie mogła mu powiedzieć, dlaczego właśnie ta kawa na odległej ulicy Filiberta smakowała jej najbardziej.

– A oto kolejny przejaw wyższości Rzymu nad resztą świata – oznajmił Andrea, gdy po kawie spacerem dotarli na Piazza della Repubblica. – Kiedy barbarzyńska Europa kąpała się w rzekach i jeziorach, myśmy mieli już termy, miejsca czystościowego kultu i towarzyskiej wspólnoty.

Samouwielbienie Włochów bywało przerażające. Laura oczywiście z przyjemnością słuchała opowieści Andrei o caldariach i tepidariach, podziwiała rozmach przedsięwzięcia obejmującego dawniej cały teren obecnego placu. Nie zmieniało to jednak faktu, że ten rzymianin miał zdecydowanie zbyt dobre samopoczucie w związku ze swoim pochodzeniem.

– No to dorzucmy jeszcze... – przerwała mu w pół słowa – ...że na drzwiach tego niezwykłego kościoła Santa Maria degli Angeli znajdują się rzeźby polskiego rzeźbiarza Igora Mitoraja. Przyznasz, że są niezwykłej urody, chociaż autorem jest barbarzyńca z Północy.

Popatrzyła na niego zaczepnie. Uśmiechnął się szeroko.

– Jesteśmy uprzejmym narodem, pozwalamy czasami barbarzyńcom popracować dla nas. A poza tym Mitoraj mieszkał w Toskanii, więc nie był już tak całkiem wasz.

Powiedział jej kiedyś, że prawdziwa sztuka skończyła się w baroku. Była

przekonana, że nawet nie zagląda do sal ze sztuką współczesną. Teraz okazało się, że ma niezłą orientację co do dorobku dwudziestego wieku. Lubiła mężczyzn, którzy potrafili ją zaskoczyć.



Wracała do domu nieziemsko zmęczona. Najpierw miłe, choć niełatwe psychicznie spotkanie z Danielą, potem naprawdę długi spacer z Andrea, a na końcu niespodziewany tłok w autobusie, którym próbowała z Piazza della Repubblica podjechać w okolice domu. Kiedy wkroczyła na podwórko, spodziewała się ciszy i pustej ławeczki, na której będzie mogła przysiąść na chwilę, by pokontemplować rzymski wieczór.

– Cześć, kuzynko! – zawołała radośnie Kaśka otoczona grupą chłopców, wśród których prym wiódł oczywiście Massimo. – Dlaczego nic mi nie mówiłaś, że masz takich miłych sąsiadów?

– Właśnie dlatego – mruknęła Laura, słysząc w głosie kuzynki kilka kieliszków wina.

Kaśka była dziś porządną trzydziestoparolatką o w miarę uporządkowanym życiu, w którym mężczyźni zjawiali się kolejno, nie grupami. Kiedyś jednak bywało inaczej. Laura doskonale pamiętała imprezy zakrapiane tak, że uczestnicy tracili świadomość zaraz na początku. Jej samej nigdy się to nie podobało, od zawsze była zbyt trzeźwa w życiu, by brać udział w takich szaleństwach, ale Kaśce nieraz zdarzało się popłynąć.

– Nic nie mów. – Kuzynka szybko pożegnała się z nowymi kolegami i teraz kroczyła za Laurą. – Nie mogłam się powstrzymać, ale już jestem grzeczna.

Kiedy weszły do pokoju, Laura zobaczyła na wszystkich meblach jedzenie. Stół ugiął się od warzyw i owoców, na krześle leżała siatka, z której wystawały pakunki od rzeźnika. Na parapecie stały butelki wina.

– Jak ty to...?

– Massimo mi pomógł. I jego sympatyczni koledzy.

– Tym można nakarmić całą armię, a my zapraszamy piętnaście osób.

– Trochę więcej...

Kiedyś Kaśka przyszła na urodziny Laury z dziesięcioma swoimi przyjaciółmi, których Laura widziała pierwszy raz w życiu. Skończyło się taką awanturą, że przez rok nie miały ze sobą kontaktu. Teraz znowu jej to robiła.

– Spoko, siostra, oddychaj. Nie będzie żadnych ekscesów, chyba że ty sama postanowisz wreszcie pokazać światu swoją dziką naturę. Zadzwoiłam dzisiaj do Alessi i dowiedziałam się, że tego dnia będzie w Rzymie jej brat Lorenzo, a z Kolumbii akurat przyjeżdża szwagier Sofii, uwodzicielsko przystojny Mario, no więc ich zaprosiłam.

Laura poczuła, jak z jej serca spada kamień wielkości Piazza Navona. Potem przyszła zazdrość o telefon Kaśki do Alessi. Tłumaczyła sobie, że przecież nie może jej niczego zabronić, że Kaśka ma większe prawo do włoskiej rodziny niż ona, sama ją zresztą tutaj ściągnęła, lecz gdy przyszło co do czego, była po prostu zazdrosna. Uśmiechnęła się jednak jak zwykle.

– Dobrze, będzie weselej.

Nie będzie z nią rozmawiać o rodzinie, wrażenia z tych pierwszych spotkań zachowa tylko dla siebie. Kaśka dostała wszystko na tacy, przyjęła jak rzecz oczywistą, ale to Laurze przypadły pierwsze wzruszenia, gdy odkrywała krewnych, powitania pełne nieopowiedzianej jeszcze historii, wątki splatane z rzuconych przypadkiem zdań, zdjęć i uśmiechów. Poza tym Kaśka rozmawia z nimi po angielsku, a Laura może wnikać w ich życie w ich własnym języku. Tego poczucia współuczestniczenia nikt jej nie odbierze. Kaśka może przejąć listę telefonów, nie przejmie jednak emocji, których doświadczyła Laura.

Zresztą czego ja się w ogóle czepiam, pomyślała gorzko Laura. Za kilka dni obie stąd wyjedziemy i nasza wielka włoska przygoda z rodziną Raffaelli bezpowrotnie się skończy. Kilka mejli i telefonów kilka razy w roku, życzenia przed świętami, wakacyjne spotkanie w Rzymie i tyle. Jakie będzie miało wtedy znaczenie, która z nas wykona więcej telefonów, skoro obie znowu będziemy już tylko egzotyczną opowieścią przy stole w Montepulciano.

Kaśka poszła do łazienki, a Laura sięgnęła po pierwszą z brzegu butelkę stojącą na parapecie, otworzyła ją i duszkiem wypła dwa kieliszki. Kiedy kuzynka wróciła do pokoju, Laura przechylała się przez barierkę balkonu i próbowała śpiewać jakiś włoski przebój.

– Co ja sobie, cholera, wyobrażałam?! – krzyknęła, widząc Kaśkę. – Że to pół roku nigdy się nie skończy?! Że złapałam Pana Boga za nogi? Wpuścili mnie do przedpokoju, pozwolili popodglądać życie w salonie, a teraz każą mi wypieprzać z powrotem do piwnicy. Co z tego, że zobaczyłam to wszystko,

napisałam pięćdziesiąt stron doktoratu, jestem mądrzejsza o kilkadziesiąt książek, opaliłam się i mam seksowne ciuchy, skoro za chwilę znowu wrócę na tę swoją ulicę Wełnianą i będę wkładała coraz więcej swetrów, czekając na kolejne wakacje. Jaki to wszystko ma sens?! Powiesz mi czy będziesz mnie pocieszać, jak ci wszyscy idioci wokół? Że to nie koniec świata, że się ułoży, ble ble ble. Czy ktoś w to naprawdę wierzy? Czy ktoś mi powie, po jakiego grzyba w ogóle dano mi taką szansę w życiu, żeby mi ją zaraz odebrać? Alessię, Sofię, dziewczyny z seminarium, chłopaków z sąsiedztwa, ludzi z fundacji, Andreeę...

Dopóki krzyczała, miała w sobie siłę, teraz płacz odebrał jej resztki energii. Siadła na podłodze, obejmując prawie pustą butelkę, i pozwoliła, by wypłynęły z niej wszystkie łzy, które zbierała od miesięcy, a może i od lat. Ostatni raz tak płakała na pogrzebie Jolki, przyjaciółki z dzieciństwa, która zmarła na raka pięć dni po urodzeniu córki. Wtedy opłakiwała przyjaciółkę, teraz płakała nad samą sobą, nad wszystkimi głupimi decyzjami, złymi znajomościami, nad niespełnieniem i obietnicami bez pokrycia. Nad życiem, które choć wyglądało miło, wydawało się jej puste i bez wartości.

Wypiła resztę wina i zwinęła się w kłębek na małym dywanie przy łóżku.

– Zostaw – burknęła, gdy Kaśka próbowała ją podnieść. – Chcę poczuć dno, którego sięgnęłam.



Mieszkanie bez Marty był nieco cichsze, bo z jej pokoju nie dobiegała muzyka. Ale to nie cisza wydała się Andrei największą zmianą. W przedpokoju było znacznie jaśniej, gdyż światło wpadało nie tylko przez drzwi od kuchni i sypialni, ale przede wszystkim przez otwarte drzwi pokoju Nicole. Zawsze zamknięte, zatrzymywały słońce, które w pokoju Nicole było najsilniejsze właśnie po południu. Teraz promienie odnalazły drogę do przedpokoju. Zapomniał, jak przyjemnie bywało w mieszkaniu, gdy nie było w nim stref wydzielonych dla nieobecnej Nicole, dla obecnej Marty, dla niego, sam już nie wiedział, obecnego czy nie.

– To pudło wyślij mi do Francji, a resztę wyrzuć. Wszystko ma swój czas – zdecydowała Nicole przed wyjazdem, prosząc go o opróżnienie pokoju.

Zajrzał do środka kartonu. Były w nim dwa przewodniki po Rzymie, które dał jej, gdy przyjechała. Błękitny ceramiczny anioł, kupiony na targu staroci w Arezzo, żeby nie tęskniła za aniołami, które zostały we Francji. Mały słownik włosko-francuski, z którym chodziła po mieście, zanim nie poczuła się pewnie w nowym kraju. I stara koszula Andrei, zdaniem Nicole najlepszy strój malarski, jaki kiedykolwiek miała. Wyjął tę koszulę z pudła i wyrzucił razem ze wszystkimi jej rzeczami z szafy. Nie chciał myśleć o tym, że przytula się w tej koszuli do innego mężczyzny. Wszystko ma swój czas, jak sama mówiła.

W przedpokoju przybywało worków, do których upychał wszystko, co mu wpadło w rękę. Gdyby zaczął przeglądać, przypominać sobie skąd i dlaczego, wróciłyby myśli, których dzisiaj nie chciał. Słońce już zaszło, w mieszkaniu pojawił się półmrok. Ogarnął spojrzeniem prawie pusty pokój, szafy otwarte do wywietrzenia, wysunięte szuflady, nawet okno bez zasłon, które Nicole przywiozła z jakiejś swojej malarskiej podróży. Klucz od pokoju wrzucił jak zwykle do skrzynki z kogutem, ale drzwi pozostawił otwarte.



Telefon od Giulietty Antonelli zastał Laureę na Campo, gdy kupowała suszone pomidory do sałatki. Pijackie ekscesy przeszły do historii. Nadszedł czas przygotowań do uczy.

– Samo się nie robi – rzuciła filozoficznie Kaśka, gdy Laura próbowała stawiać bierny opór światu, odmawiając wszelkiej aktywności.

Czas płynął i żadna z nich nie mogła już nic nie robić. Pracy było wystarczająco dużo, by zapełnić każdą wolną chwilę. To akurat okazało się zbawienne, bo uniemożliwiło Laurze roztrząsanie wciąż na nowo kłęski wyjazdu. Skoncentrowana na krojeniu i mieszaniu, przestała na chwilę płakać nad kalendarzem.

– Dzień dobry, Lauro – odezwała się dyrektorka Galerii Borghese. – Dawno cię u nas nie widziałam, a szkoda, bo chciałam porozmawiać. Mam kilka pytań dotyczących Polski. Zechcesz mi pomóc?

– Oczywiście, zawsze do usług.

– To zapraszam dziś w południe. Wiem, że przygotowujesz się do wyjazdu, ale nie zajmę ci dużo czasu, obiecuję.

Laura spojrzała na zegarek. Miała dwie godziny, żeby odnieść zakupy do domu, przebrać się i dojechać do muzeum. Zdąży, musi zdążyć.

– Podziwu godna punktualność – uśmiechnęła się Giulietta na widok zasapanej Laury. – Żeby moi pracownicy byli tak punktualni...

– Skończyłam już pracę w fundacji, mogę te ostatnie dni spędzać bardziej swobodnie. – Próbowała uspokoić oddech i przyglądzić palcami niesforne włosy, jedno i drugie z kiepskim skutkiem.

Sekretarka podała kawę i ciasteczka. Przez chwilę rozmawiały o pogodzie i wyprzedazach, co w ustach eleganckiej damy brzmiało nieco dziwnie. Dziś miała na sobie piękną beżową sukienkę, a na ramiona zarzuciła żółty szal,

spięty bursztynową broszą. Żadna z tych rzeczy na pewno nie pochodziła z wyprzedaży.

– Jak sobie radzisz w tych ostatnich dniach? – zapytała Giulietta niespodziewanie, nie kończąc wątku o tanich zakupach na Porta Portese.

– Oficjalnie czy nie? – zapytała Laura. Uśmiechnęły się do siebie. – Kupiłam bilet na samolot i kiedy przyjdzie czas, odleczę w siną dal. Jestem dużą dziewczynką, nie wyskoczę z samolotu. Ale jest mi ciężko. Do dobrego łatwo się przyzwyczaić, a pobyt w Rzymie był jedną z najlepszych rzeczy, jakie mi się w życiu przydarzyły. Trudno tak po prostu o tym zapomnieć i wrócić do szarej codzienności.

– W Rzymie też codzienność bywa szara.

– Wiem, wszyscy mi powtarzają, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, i że idealizuję to miejsce, ale każdy ma prawo do własnej bajki, a moją bajką jest Rzym.

– Byłabyś gotowa stracić to złudzenie i zobaczyć, że Rzym to zwykłe miasto, czasami upiorne i wrogie?

– Byłabym gotowa dać sobie taką możliwość – odparła, uśmiechając się melancholijnie.

– No więc posłuchaj mnie uważnie, mała pszczołko z dalekiego kraju...

Następne minuty najchętniej nagrałaby i odtwarzała bez końca. Może wtedy naprawdę uwierzyłaby w to, co usłyszała. Giulietta zaproponowała jej roczny staż w archiwum, a jeśli w tym czasie zda odpowiednie egzaminy i zdobędzie uprawnienia, będzie mogła zostać na stałe.

– Czeka cię dużo pracy, dużo nauki i całkiem sporo stresu, przynajmniej na początku, na dodatek zapłacę ci tyle, żebyś miała za co żyć, ale nie spodziewaj się wiele. W wieku trzydziestu pięciu lat zaczynasz wszystko od nowa. Jesteś pewna, że tego chcesz?

Laura skinęła głową, nie wiedząc, co mogłaby w tej chwili powiedzieć. Żadne słowa nie oddawały tego, co czuje.

– A więc jednak będę układać mozaiki – wydusiła w końcu z uśmiechem i opowiedziała zaskoczonej Giulietcie o swoim śnie. O układaniu obrazu Caravaggia ze złotych kostek i o wielkiej bibliotece, w której siedziała. Pomięła tylko damę w żółtym szalu, bo nikt rozsądny nie uwierzyłby w taki zbieg okoliczności. – Wyśniłam sobie tę zmianę.

– Może w życiu nie ma przypadków.

Ustaliły wszystkie szczegóły. Dyrektorka chciała, by Laura zaczęła pracę

z początkiem nowego roku akademickiego, co dawało jej nieco ponad miesiąc na uporządkowanie spraw w Polsce. Rodzina dostanie zawału, kiedy się dowie, że znowu zrobiła w swoim życiu rewolucję. Ciotka Sabina odwoła się do ostatecznej instancji i pewnie nie obędzie się bez egzorcysty.

– Mam tylko jedną prośbę – rzuciła nowa szefowa przed rozstaniem. – Udawaj na razie, że nic nie wiesz. Obiecałam Andrei, że to on przekaże ci tę radosną nowinę. Nie mogłam się oprzeć pokusie, by powiedzieć ci to osobiście, ale zrobimy przyjemność Andrei i niech sam ci to ogłosi.

– To Andrea wszystko już wie?

– On mi podsunął pomysł. Wytłumaczył mi, że właśnie ciebie potrzebuję.

– Propozycja nie do odrzucenia...

– Gdybym cię naprawdę nie potrzebowała, to nawet on by mnie nie przekonał, choć mam do niego słabość. A teraz idź, moja droga, pomodlić się do San Lorenzo.

– Dlaczego akurat do niego?

– Bo to patron archiwistów, a ty właśnie zdecydowałaś się zostać archiwistką. Musisz się zaprzyjaźnić z nowym patronem, zaskarbić sobie jego względy.

Tak więc stary znajomy z szafki nocnej stał się jeszcze bardziej znajomy. Prezent od Giancarla nabrał dodatkowej mocy. Opiekował się nią w kuchni, patronował jej imieniu, prowadził ją do zwycięstwa, a teraz miał się jeszcze pochylać nad nią w pracy.

– W życiu na pewno nie ma przypadków – powtarzała sobie w drodze do kościoła San Lorenzo in Lucina.

W Rzymie było kilka kościołów pod wezwaniem tego świętego, w przyszłości wybierze swój ulubiony, będzie zapalała świętemu świeczki i oddawała się pod jego opiekę, na razie jednak porozmawia ze swoim świętym archiwistą znajdującym się najbliżej centrum.



Siostry Manzoni stanęły na wysokości zadania. Ze strychu zniosły zastawę rodową, wspomnienie tego, że ta kamienica w odległej przeszłości przeżyła niejedno przyjęcie.

– Nasza babcia po przedwczesnej śmierci dziadka wyszła jeszcze raz za mąż, co w tamtych czasach było czymś niezwykle rzadkim, na dodatek nowy mąż okazał się bogatym przedsiębiorcą, miłośnikiem dobrej zabawy i babcinej kuchni. Oj, działało się w tym domu, działało. – Francesca uśmiechnęła się. – Pół Rzymu tu przychodziło.

– Mama też uwielbiała organizować przyjęcia.

Chiara pamiętała, jak chowały się z siostrą i kuzynami w salonie pod długim obrusem przykrywającym stół na ciasta i napoje. Na początku podjadali słodczyce, a kiedy nieco podrośli, zaczęli podkradać alkohol. W końcu kuzynka Elisabetta dostała kiedyś ataku czkawki i skończyła się ich konspiracja. Zostali raz na zawsze wyproszeni z salonu.

– Wtedy zaczęłyśmy spędzać przyjęcia w kuchni, gdzie kucharka dokarmiła nas bez ograniczeń. To pewnie stąd nasza pasja kuchenna.

Laura była pod wrażeniem historii rodzinnych, bardziej jednak zafascynowała ją rodowa zastawa. Elegancka porcelana, a do tego kieliszki niczym puchary, sztucce jak ze skarbca w bogatym pałacu. Wszystko w najlepszym gatunku i w najpiękniejszej formie. Ona sama od lat wybierała kolorową ceramikę, która czyniła jej kuchnię bardziej śródziemnomorską. Krucha przezroczyść porcelany sprawiała jednak, że jedzenie wytworniało i zaczynało smakować bardziej szlachetnie. Zwykły obiad zmieniał się w królewską ucztę, wszyscy dbali o dobre maniery, nawet rozmowy krążyły wokół spraw wyższej rangi. Nie wypadało przecież mówić o codzienności, pijąc wino z kryształowego pucharu.

– Jesteś pewna, że wszystko już gotowe? – dopytywała Chiara, zdenerwowana tym, że lada chwila mieli pojawić się goście, a w kuchni wciąż jeszcze zbyt wiele się działo.

Wprawdzie Laura i Kasia przez cały wieczór lepiły pierogi i piekły ciasta, a od rana przygotowywały sałatki i mięsa, jednak Chiara obawiała się nieprzewidzianych wydarzeń.

– Uspokój się i nie strasz Laury – strofowała siostrę Francesca. – To ma być jej wielka chwila, a ty podnosisz nam wszystkim ciśnienie. Wprawdzie nie żegnamy się, jak było w planach, ale przyjęcie i tak ma być piękne...

Laura bała się, że kiedy siostry dowiedzą się o zmianie planu, nie zechcą wspierać jej uczyty dla przyjaciół. Zapaliły się do pomysłu, gdy chodziło o uroczyste pożegnanie, teraz ranga wydarzenia spadła. Powiedziała im to wieczorem zaraz po rozmowie z Giuliettą, gotowa odwołać całe przedsięwzięcie, jeśli Chiara i Francesca dadzą jej odczuć swoje niezadowolenie.

– Fantastycznie! – zawołały jednym głosem i wyściskały ją, jakby przyniosła im wiadomość o narodzeniu czterech nowych wnuków. – Oczywiście zostajesz z nami, prawda? Nawet sobie nie wyobrażamy, żebyś miała z nami dalej nie mieszkać. Pokój na poddaszu wciąż jest do twojej dyspozycji. Ogłosimy to podczas uczyty. Pozwolisz nam?

Zgodziła się, chociaż od kilku godzin zastanawiała się, jakimi słowami i w którym momencie przekaze przyjaciółom tę dobrą nowinę. Teraz musiała się nią podzielić z siostrami, które chciały wziąć na siebie część jej radości. Nie mogła im tego odbierać. Tak bardzo wspierały ją przez cały czas, że im również należało się coś specjalnego na zakończenie tego etapu.

Ucieszyła się z propozycji dalszego mieszkania na poddaszu. Zdążyła się zaprzyjaźnić z tym małym pokoikiem na dachu świata, z balkonem, na którym przysiadła wieczorny księżyc i razem obserwowali światła Rzymu. Wprawdzie jako normalny pracownik na pewno będzie miała mniej czasu, by kontemplować to miasto o poranku, ale wieczorami wciąż będzie mogła słuchać, jak powoli zapada w sen.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z zamyślenia. Zaczynała się uczyta. Jej podziękowanie dla wszystkich, którzy sprawili, że odchodzące półrocze otworzyło jej duszę, rozśpiewało ją i rozjaśniło. Nie opowie im o wszystkim, nie muszą wiedzieć, z jakimi demonami tu przyjechała, ale na pewno dowiedzą się, jak ważni stali się dla niej przez te miesiące.

Kaśka witała w drzwiach wszystkich przybywających, Laura prowadziła ich do salonu na piętrze, który wspólnymi siłami zamieniły w prawdziwą salę balową. Tam królowały już siostry Manzoni, odbierały potrawy, zabawiały gości rozmową. Mechanizm doskonale naoliwiony, żadnego zgrzytu.

Na stole między precudnymi cytrynowymi ropuchami pojawiły się nowe talerze. Lucia przyniosła całą torbę taralli, małych chrupiących obwarzanków z Apulii, które przygotowuje się wedle uznania, co tutaj oznaczało sól, papryczkę i mnóstwo suszonych ziół. W jednym kółeczku kryła się cała radość włoskiego południa.

– Zrobiłam też nasze lokalne orecchiette z cime di rapa, mama zawsze przygotowywała to na spotkanie ze swoimi koleżankami, więc pomyślałam, że będą doskonałe również na nasze spotkanie.

– Miałam kiedyś narzeczonego, który pochodził z Vieste na Gargano. Nie był ani piękny, ani mądry, ale miał cudowną mamę, która gotowała po prostu niebiańsko – zaczęła Chiara, przyglądając się czule półmiskowi makaronu z zielonym dodatkiem. – Gotowała takie orecchiette, że do dziś mi się śnią po nocach.

– A co się stało z narzeczoną? – zainteresowała się Lucia.

– Został marynarzem i pewnie gdzieś się zagubił na dalekich morzach. W każdym razie z mojego morza odpłynął. – Starsza pani zachichotała.

Chwilę później pojawiła się Erika z fundacji. Przyniosła fińskie kalakukko, ciasto skrywające w sobie farsz rybny.

Maria przygotowała sycylijskie cannoli, rurki z ciasta ze słodkim nadzieniem z ricotty. Giuseppe nie mógł się zdecydować, na co ma większą ochotę, na dziewczynę czy na jej wypieki. Najwyraźniej przypadł mu do gustu nie tylko sycylijski wdzięk Marii, ale i jej sycylijskie umiejętności.

Zaraz po nich w drzwiach stanęli bracia Zanetti. Matteo trzymał w ręku butelkę wina Est! Est!! Est!!!, Massimo wybrał colli albani, oba pochodziły z Lacjum. Matteo od razu przysiadł się do Lucii, a Massimo wrócił na parter, by towarzyszyć drugiej Polce, która pojawiła się na jego podwórku. Lubił Laurę, ale była dla niego zbyt subtelna, żywiołowość Kaśki znacznie bardziej mu odpowiadała. Wczoraj spędzili razem cudowny wieczór, zwiedzili pół Rzymu, opowiedzieli sobie pół życia. Szkoda, że poznali się dopiero teraz, na chwilę przed jej wyjazdem.

– Pamiętaj, że na dzisiaj też jesteśmy umówieni – wymruczał jej w ramię, wykorzystując chwilę przerwy. – Nie będziemy tu przecież siedzieli do nocy.

A nawet jeśli, to cię porwę...

– Cześć, Alessia! – Kaśka też była zauroczona Massimo, ale niedawno poznana siostra cioteczna wygrała w tym towarzyskim pojedynku, przynajmniej na razie. – Jak miło, że przyszliście.

Nie spotkały się wcześniej, kilka rozmów przez telefon sprawiło jednak, że nie czuły się jak nieznajome. Od razu rzuciły się sobie w ramiona. Szybko dołączył do nich Bernardo. Sofia była nieco bardziej powściągliwa, choć i jej wielką przyjemność sprawiło poznanie Kaśki. Jej mąż Pedro i jego brat Mario nie do końca orientowali się w polsko-włoskich zawiłościach rodzinnych, przyjęli po prostu, że to kolejna kuzynka, którą trzeba przywitać z entuzjazmem.

Laura zostawiła ich na dole i wróciła do gości w salonie, w którym prym wiodła właśnie Veronique. Od razu odnalazła wspólny język z siostrami Manzoni, chwalać ich dom za wyszukany styl, dobrze jej się też rozmawiało z Eriką, która zafascynowała Francuzkę niezwykle jasnym, słomianym blondem swoich włosów.

– Ależ ja bym chciała być taką blondynką – powtarzała, dotykając włosów nowej znajomej.

– Lepiej nie – wtrąciła Laura. – W moim kraju blondynki są uważane za najgłupszą część rodzaju kobiecego. Wystarczyło, że kiedyś przemaalowałam włosy na ciemny kasztan, a od razu dostałam bardziej odpowiedzialne zadania, jakbym w ciągu jednej nocy radykalnie zmądrzała.

– Bez przesady z tymi odpowiedzialnymi zadaniami. – Veronique miała nieco inaczej poukładane priorytety życiowe. – Trzeba się kochać, uśmiechać i pić dobre wino. I właśnie dlatego przyniosłam dziś ślimaki. No wiesz, czerwona sukienka, mężczyzna bez twarzy, ślimak na stole...

Uśmiechnęła się figlarnie, jakby chciała ją od razu wysłać do sypialni. Nie pytała o mężczyznę, a Laura nie zamierzała rozwijać tematu. Chyba zaczynała odzyskiwać brakujące elementy układanki...



Zgodnie z obietnicą daną Giulietcie nie przyznała się Andrei, że coś wie, ale jemu wystarczyło jedno spojrzenie, by wszystkiego się domyślił.

– No i tak to jest z wami kobietami. Obiecywała, że nic nie powie...

– Ale o co chodzi? – Laura próbowała ratować sytuację.

– Po twoich oczach widać, że już wszystko wiesz.

Uśmiechnęła się tylko.

– Dziękuję.

– Za co?

– Teraz ty udajesz?

Umówili się wczoraj niedaleko senatu. Andrea chciał jej wszystko powiedzieć w jakimś spokojnym miejscu, przy kolacji, może nawet z romantyczną świecą w tle. Teraz mógł tylko cieszyć się wraz z nią, od razu, na środku ulicy. Dobrze, że zdążyli zanurzyć się w jakimś zaułku, bo pracownicy senatu mieliby niespodziewaną radość, obserwując swojego szefa z nieznaną kobietą uwieszoną na nim niczym balowe boa.

– Wiem, że nie powinnam, ale nie mogę się powstrzymać. Poza tym to twoja wina, ministrze. Doprowadziłeś mnie do takiej radości, że tracę kontakt z ziemią.

To była prawda, więc delikatnie zdjął ją ze swojej szyi i postawił na rzymskim bruku. Odsunął na odległość ramienia i popatrzył na nią poważnie.

– Jesteś pewna tej decyzji?

To był chyba właściwy moment, by opowiedzieć Andrei o dodatkowej motywacji, by zostać we Włoszech – o jego sąsiadach z Montepulciano i kuzynkach z Rzymu.

Dawno już zjedli kolację, kelner przyniósł kolejną karafkę wina, a Laura wciąż snuła opowieść o czerwonych makach na Monte Cassino i pięknej

rzymianie Raffaelli, która nie wytrzymała polskiej melancholii.

– Pamiętam z dzieciństwa starszą kobietę w czerwonych bucikach przesiadującą przed apteką Strapponich... – powiedział Andrea.

– Ta starsza pani była pierwszą żoną Macieja, a Maciej był bratem mojego dziadka – określiła siebie w tej historii. – Jak widzisz, nie mogę stąd wyjechać, bo wciąż jeszcze nie poznałam całej rodziny.



Teraz obserwowała, jak Andrea rozmawia przy stole z wnuczkami starszej pani w czerwonych bucikach. Śmiali się, może odkrywali właśnie, że łączy ich coś więcej niż sąsiedztwo. Może dawno temu nastoletni Andrea ciągnął małą Alessię za warkocze pod apteką jej babci. A może ona w dzieciństwie wdychała do przystojnego chłopaka spod miasteczka, który podrywał jej starsze koleżanki ze szkoły. Kto to wie. Kto by się zresztą domyślił, że wiele lat później jakaś Polka połączy ich przy wspólnym stole w pobliżu rzymskiego Campo de' Fiori. Kto by przypuszczał, że będą jedli wtedy fińskie ryby, francuskie ślimaki i kolumbijskie papas relleñas, ziemniaczane kulki faszerowane mięsem i ryżem, przygotowane przez braci Juares.

Laura czasami łapała się na niedowierzaniu, że jest naprawdę w tym miejscu, w którym jest. W dzieciństwie planowano jej karierę w medycynie, potem rodzice widzieli ją w zawodzie prawnika lub choćby naukowca. Ona pozostała krnąbrna, dryfując w stronę zwariowanych humanizmów, kupowania książek zamiast butów i makaronu zamiast sushi. Pozwolili jej być sobą, nie krytykowali podczas rodzinnych świąt, ale czuła ich niepokój co do jej decyzji życiowych. Pewnie teraz też uznają, że bycie archiwistką jest jej kolejnym niezbyt mądrym wyborem, bo jeśli już musi być w Rzymie, to mogłaby chociaż zatrudnić się w jakimś biurze. Nikt nie zrozumie, że warto czasami przeczekać pół życia w przedśionku dla takich chwil jak ta.

Patrzyła na swoich gości zgromadzonych przy stole. Veronique kokietowała Maria z Kolumbii, Kaśka miękkła od romantycznych spojrzeń Massima, Matteo obejmował Lucię, jakby wreszcie coś między nimi zaszło. Maria odnalazła wspólny język z Danielą, obie doskonale się bawiły, słuchając radosnego przekomarzania się sióstr Manzoni. Alessia i Sofia nie mogły się oderwać od polskich dań przygotowanych przez Laurę i Kaśkę. Śmiały się, że prawdziwa

narodowość ujawnia się przy stole. Spisywały przepis na sernik i szarlotkę, wrywały sobie resztki miodu pitnego, który ich zdaniem przypominał tokańskie vin santo. Było radośnie i przyjaźnie.

– Moi kochani. – Francesca zastukała widelcem w kieliszek. Przy stole zapanowała cisza. – Zebraliśmy się tutaj, by uczcić naszą piękną Laurę, pożegnać się z nią i podziękować za to, że była tu z nami. Chciałyśmy jednak przy okazji powiedzieć wam wszystkim, że świat nie zna pustki i właśnie przedwczoraj dowiedziałyśmy się, że piękny pokój na poddaszu zaledwie przez miesiąc będzie stał opuszczony. Od pierwszego października zamieszka w nim pewna niebieskooka blondynka z Polski, która ma na imię Laura...

Tylko Kaśka i Andrea pozostali niewzruszeni, gdyż znali prawdę, reszta gości miała w spojrzeniach same znaki zapytania.

– Bardzo przepraszam, że zaprosiłam was na ucztę pożegnalną – zabrała głos Laura – po czym zrezygnowałam z wyjazdu, ale życie bywa nieprzewidywalne. Dostałam propozycję...

Nie zdążyła dokończyć. To, co stało się później, rozwiało wszelkie wątpliwości, jeśli jeszcze jakieś miała. Może Rzym nie zauważy jednej dodatkowej mieszkanek, ale kilkanaście osób zgromadzonych przy tym stole ucieszyło się tak, że warto było czekać na to trzydzieści pięć lat.

Mniej więcej pół godziny później, wyściskana przez wszystkich, wycelowana i obdarowana radością, odsunęła się od stołu, żeby złapać oddech. Objęła wszystkich spojrzeniem. Teraz, kiedy wiadomo już było, że to nie jest wieczór pożegnań, atmosfera zrobiła się jeszcze luźniejsza. Plotki, plany na przyszłość, marzenia i sekrety, tokańskie wino zrobione przez tatę Andrei i ciasteczka upieczone przez Laurę, improwizowana lekcja hiszpańskiego i rozmowy po włosku, angielsku, francusku. Wszystko to spotkało się tego wieczoru przy stole sióstr Manzoni, trzy dni przed wyjazdem Laury do Polski, miesiąc przed jej powrotem do Rzymu.

Spojrzała na Andree. Uśmiechnął się do niej tak jak wczoraj, kiedy zegnali się po długiej kolacji i długim spacerze, po opowieści o Raffaelli i o jej planach na przyszłość, po pocałunku, który rozpromienił wieczór. Za miesiąc wrócą do tej rozmowy, do kolacji i do spacerów. Wszystko przed nimi. Sami zdecydują, dokąd pójda i jaką drogę wybiorą.

Na chwilę zostawiła gości i wróciła do swojego pokoju. Wyszła na balkon, spojrzała na połyskujący w dole Rzym. Światło księżyca oświetliło jej pokój, padło na szafkę nocną, na której osobisty święty opierał się o zdjęcie jej

ulubionego nadtybrzańskiego Pegaza.

No, osiołku, pomyślała, czas odkurzyć błękitne skrzydła. Lecimy...

Podziękowania

Pragnę podziękować wszystkim, którzy wspólnie ze mną niezmiennie i radośnie uczestniczą w niecnym procederze przenoszenia Włoch do Polski. Szczególne podziękowania ślę:

Renacie – za dekadę cudownych wspólnych podróży po włoskiej ziemi.

Beacie – za przyjemność codziennego poszukiwania włoskiego życia.

Uli i Mauriziowi z „Parole Parole” – za przepiękne włoskimi słowami otulanie.

Marcinowi – za wszystko.

Grazie Amici!

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28

[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)

[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)
[75](#)
[76](#)
[77](#)
[78](#)
[79](#)
[80](#)
[81](#)
[82](#)
[83](#)
[84](#)
[85](#)
[86](#)
[87](#)
[88](#)
[89](#)
[90](#)
[91](#)
[92](#)

[93](#)
[94](#)
[95](#)
[96](#)
[97](#)
[98](#)
[99](#)
[100](#)
[101](#)
[102](#)
[103](#)
[104](#)
[105](#)
[106](#)
[107](#)
[108](#)
[109](#)
[110](#)
[111](#)
[112](#)
[113](#)
[114](#)
[115](#)
[116](#)
[117](#)
[118](#)
[119](#)
[120](#)
[121](#)
[122](#)
[123](#)
[124](#)

[125](#)

[126](#)

[127](#)

[128](#)

[129](#)

[130](#)

[Podziękowania](#)